

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY PIĄTY

ZESZYTY  
HISTORYCZNE

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI

1988



ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY PIĄTY

ZESZYTY  
HISTORYCZNE

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1988

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 442

ISSN 0406-0393

ISBN 2-7168-0109-6

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

## ANIELSTWO I IMPERIALIZM

### ROZMOWA Z PROF. DANIELEM BEAUVOIS\*

S.N.: — *Pańska książka pt. „Polacy na Ukrainie 1831-1863”\*\* została bardzo życzliwie przyjęta zarówno w kraju jak i na emigracji. Jej ogromną zasługą było ujawnienie niezwykle interesujących materiałów historycznych, zaczerpniętych z archiwów sowieckich. W jaki sposób udało się Panu skruszyć mur administracyjny, na którym tylu innych historyków połamało sobie zęby?*

DANIEL BEAUVOIS: — Pisałem o tym kiedyś na łamach *Histoire*. Udało mi się to z najwyższym trudem. Od momentu, w którym uzyskałem *komandirówkę* do archiwów musiałem czekać jeszcze trzy lata na urzeczywistnienie się moich poszukiwań. W pierwszej fazie wysłałem poprzez Centre National de la Recherche Scientifique plan badań wprost do sowieckiej Akademii Nauk. Po półtora roku oczekiwania otrzymałem odmowę. Wówczas napisałem list do ambasadora Związku Sowieckiego w Paryżu.

---

\* Daniel BEAUVOIS: historyk, polonista, rusycysta, tłumacz; profesor Uniwersytetu Lille III, kierownik Sekcji Polskiej, dyrektor Ośrodka Badań nad Kulturą Polską; w latach 1969-1972 dyrektor Centre de Civilisation Française w Warszawie; inspektor generalny nauczania języka polskiego we Francji; autor „Lumières et Société en Europe de l'Est: l'Université de Vilna et les écoles polonaises de l'Empire russe 1803-1832”, „Polacy na Ukrainie 1831-1863” (wersje angielska i francuska); tłumaczył m.in.: „Sprawę Dantona” S. Przybyszewskiej, „Miłosz par Miłosz” (Rozmowy Cz. Miłosza z A. Fiutem i E. Czarnecką), „Ludzi marginesu w średnio-wiecznym Paryżu” B. Geremka, „Był sobie sad” A. Zuławskiego. Jego główne zainteresowania obejmują problematykę historyczną i kulturową kresów wschodnich.

\*\* Biblioteka „Kultury”, 1987.

Upłynęło wiele wody w Sekwanie, zanim uzyskałem ostateczną zgodę.

S.N.: — *Czy miał Pan dokładne rozeznanie, o jakie materiały Pan walczy?*

D.B.: — Nie najlepsze, lecz jednak wystarczające dzięki katalogom, które wydają sowieccy archiwiści. Choć redagowane są one w sposób dość mglisty, to jednak przy odrobinie doświadczenia można się w nich zorientować. Ponieważ kilka lat wcześniej spędziłem nieco czasu na poszukiwaniach w archiwach wileńskich, więc byłem właściwie — również w sensie psychicznym — przygotowany do pracy. Kiedy przybyłem na miejsce, nie miałem złudzeń, że wszystko otrzymam od razu, bo praca archiwisty polega głównie na tym, by badacza zniechęcić i nakłonić do powrotu z pustymi rękami. Pomimo początkowych niepowodzeń trwałem więc uparcie przy swoim, a potem coraz bardziej nerwowo zacząłem domagać się materiałów, o które mi chodziło. Trochę groziłem, że mam poparcie w Moskwie, że znam ważnych historyków i samego szefa archiwów sowieckich, co nie było przecież niemożliwe [*śmiech*], aż wreszcie po dwóch kolejnych tygodniach znalazłem na swoim stole tzw. opisy, czyli świetnie opracowane katalogi wewnętrzne. Dzięki nim mogłem zamówić już wszystko, co mnie interesowało. Mam nadzieję, że teraz, w okresie *głásnosti*, następne badania pójdą lepiej.

S.N.: — *Na Pana miejscu nie żywiłbym tak wiele nadziei.*

D.B.: — Dlaczego? Ostatecznie badania obejmują okres tzw. miniony i nie dotyczą jakichś groźnych wad narodowych.

S.N.: — *Ale ujawniają podobieństwo strategii politycznych. Po Pana książce na ich miejscu nie udostępniłbym Panu niczego.*

D.B.: — A, bo Pan jest jeszcze gorszy od archiwistów sowieckich. Czy Pan myśli, że to poszło tak łatwo? Po prostu wiedziałem, że będą stosowali różne uniki, co zresztą bardzo skutecznie robili. Okazywało się więc, że materiały są właśnie w oparciu, że zostały ewakuowane w czasie ostatniej wojny, że pracują właśnie nad nimi historycy sowieccy, że trwa dezynfekcja i inwentaryzacja. W końcu się jednak udało.

S.N.: — *Słyszałem, że powrócił Pan z tej wyprawy do archiwów zupełnie zmarnowany i wyżęty?*

D.B.: — To prawda. Byłem tam w okresie śmierci Breżniewa.

Stare szatniarki ciągle płakały. Proszę sobie wyobrazić trzy miesiące w wielkim i pustym hotelu „Moskwa” w Kijowie. We wszystkich bibliotekach, na każdym parterze i piętrze sprawdzanie *propuska*. Te straszne dyskusje z dyrektorami archiwów, których trzeba było przekonywać, że materiały powinny być udostępniane wszystkim uczonym na świecie i że nie jest to żadna sprawa szpiegowska... To wszystko ogromnie gnębi człowieka i niszczy jego morale. Z drugiej jednak strony to, co przywiozłem okazało się tak pasjonujące, że warto się było męczyć.

S.N.: — *Czy ma Pan poczucie, że w ramach swojego tematu dotarł Pan do większości źródeł?*

D.B.: — Skądże! To są fantastycznie bogate zbiory. O tym samym okresie można napisać jeszcze kilka książek. Chociażby o Żydach na tym terenie. Berdyczów, Żytomierz — pomijając naturalnie Wilno — były największymi ośrodkami kultury żydowskiej na wschodzie. Tam są wręcz góry materiałów na ten temat: o akcjach represyjnych Bibikowa, o wewnętrznym życiu kahałów itp. Pełna dokumentacja życia ludu żydowskiego w tym rejonie. Nie wspominam już o okresie wcześniejszym i późniejszym. Dla historyków jest to kopalnia. Na przykład zupełnie nieuporządkowane archiwum Potockich. Miejscowi archiwiści niestety nie są w stanie odróżnić, co należy do kultury francuskiej, angielskiej czy niemieckiej, bo wszak arystokraci korespondowali ze sobą w różnych językach. W tej samej teczce odnajdzie Pan listy różnych Potockich, zarówno z wieku XVIII jak XIX. Ten materiał wymaga specjalistów znających język polski i języki zachodnie. Wspaniałe archiwum!

S.N.: — *Czy historycy w kraju próbowali dotrzeć do tych zbiorów? Czy mają orientację, co się tam znajduje?*

D.B.: — Wie Pan, to jest fatalne, ale w Polsce nikt nad tym nie pracuje.

S.N.: — *Może nikomu nie udało się jeszcze dostać do tych archiwów. Sam pamiętam z okresu pobytu w Wilnie, jak twarda jest to ściana. Nie udało mi się dotrzeć do niczego.*

D.B.: — Tak sądzę. Rosjanie prawdopodobnie uznają, że historycy francuscy są znacznie mniej groźni niż polscy. Ostatecznie ością sprawy jest Ukraina. Jak dotąd, problematyka Kresów leżała odłogiem. Ilość prac na ten temat jest doprawdy znikoma. Jakieś 25 lat temu Tadeusz Łepkowski pracował przez jakiś czas

w Kijowie i napisał ciekawy artykuł o udziale Polaków w Powstaniu Listopadowym na Podolu i Wołyniu, lecz w stosunku do całości sprawy jest to zaledwie przyczynek. Istnieją świetne szkoły historyczne, jak choćby warszawska i krakowska, lecz jednak nie miały one możliwości sięgnięcia do tych nietykalnych materiałów. Jeśli spojrzeć na programy badań Polskiej Akademii Nauk, to od razu widać prymat problematyki proletariatu, spraw narodowych, powstań, związków pomiędzy rewolucjonistami. Tymczasem historia stosunków polsko-rosyjskich bynajmniej nie ogranicza się do tego obszaru. Wręcz przeciwnie: stanowi jego nieznaczną część.

S.N.: — *Załóżmy jednak optymistycznie, że dostęp do sowieckich archiwów zostanie wreszcie otwarty. Jak według Pana opinii wpłynie to na polskie nauki historyczne?*

D.B.: — Wszystko zależy od tego, jakie tematy zostaną wybrane i jak zostaną zrealizowane przez badaczy. Bo przecież może być również tak, że historycy wykopią z nich to samo, co z archiwów polskich, a zatem odwieczny problem: słoń i sprawa polska. Jeśli do własnych dziejów będą podchodzić dalej w sposób hurrapatriotyczny, to oczywiście nic się nie zmieni. Obraz będzie ten sam, bo badacze będą poszukiwali wyłącznie potwierdzeń. Gdyby jednak podejść do tego w sposób bardziej otwarty i socjologiczny, wówczas można by zlikwidować wiele białych plam i otworzyć nową kartę badań nad stosunkami na wschodzie. Nie tylko zresztą polsko-rosyjskimi, lecz również polsko-litewskimi, polsko-białoruskimi, polsko-ukraińskimi, wreszcie polsko-żydowskimi. Nawet w historii XIX wieku jest jeszcze wiele obszarów nie zapełnionych. Jej obraz zupełnie zdeformował ton patriotyczny.

S.N.: — *Pan wyraźnie nawołuje — było to bardzo widoczne w „Polakach na Ukrainie” — do spojrzenia na siebie chłodnym okiem. Przyznam się, że czytając tę książkę poczułem się dość zmaltretowany przez przygnębiającą faktografię.*

D.B.: — To dla mnie raczej komplement. Historia przez małe „h” też jest pasjonująca. W tej książce jest sporo materiału do dziejów polskich zawikłań. Zauważyłem na przykład, że krytyka krajowa chętnie mówiła o drugim i trzecim rozdziale, podczas gdy pierwszy zbywała raczej milczeniem. To jest symptomatyczne. Tymczasem wszystko należy do historii.

S.N.: — *Pan czeka na wielkie samobiczowanie Polaków?*



D.B.: — W pewnym sensie. Każdy naród ma swoje okropne momenty, lecz należy o tym mówić, aby przyszłość była lepsza.

S.N.: — *Odnoszę wrażenie, że Pan Profesor mniema, że moi rodacy mają większą niż inne narody skłonność do upiększania własnej historii.*

D.B.: — Tak uważam. Ta tendencja jest u Polaków bardzo silna. Z prostego powodu. Po prostu więcej wycierpieli. Ostatecznie nasze francuskie granice nigdy nie były tak zagrożone jak polskie. Pewnym porównaniem może być naród żydowski. Cierpiał tak okropnie, że ostatnio doszedł do wniosku, że wszystko mu wolno, nawet mordować bezbronnych. Anielskość jest również bardzo silnym znamieniem literatury polskiej. Być może stało się to jakoś podświadomie, lecz w Polakach wyraźnie ugruntowało się przekonanie, że zawsze byli ofiarami, a ich sąsiedzi agresorami. Historia potwierdza takie rozpoznanie, lecz nie zmienia to faktu, że w czasach, gdy była wielkim mocarstwem była krajem o aspiracjach imperialistycznych. Nawet w jakiejś recenzji mojej książki wyczytałem, że słowo imperializm nie może być stosowane w odniesieniu do polityki Polski.

S.N.: — *Ani kolonializm...*

D.B.: — Właśnie. Zatem przepraszam bardzo, lecz ta kultura była ogromnie zaborcza. Jeśli ukraińskość i litewskość nigdy nie mogły się wybić na niepodległość, to przecież dlatego, że ustawnie były redukowane przez polskość.

S.N.: — *Ale przecież nie ogniem i mieczem!*

D.B.: — Może rzeczywiście nie zawsze siłą, może nie zawsze świadomie, lecz wyższość kulturalna zawsze idzie w parze z pewną przemocą. To są zagadnienia szalenie delikatne, a moja książka była zbyt szczupła, by ten problem dogłębnie wytłumaczyć. Omawiałem tylko wycinek tych dziejów. Należałoby napisać całą historię stosunku Polaków do tych ludów. Ona wyraźnie pokazałaby polską zaborczość. Od samych początków! Wszystko idzie już od XVI i XVII wieku. Jest np. do napisania książka na temat unii. Imperializm polski rodzi się głównie ze stosunku religijnego Polaków. Mimo wszystko Kościół unicki należy uznać za zaborczy. To idzie w parze. Wybrzuszenie się i rozgalarecenie Polski na wschód — jak mówił Witkacy — rodzi się stąd, że Polska chciała rozszerzyć rzymski katolicyzm. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że stawało się to kosztem prawosławia. W tym

punkcie historycy rosyjscy mają niestety rację. Historycznie Kościół unicki zmierzał do utwierdzenia polskości. To jest niezaprzeczalne.

S.N.: — *Ale to się przecież odbywało spokojnie i bez oporów biskupów prawosławnych.*

D.B.: — Wcale tak nie uważam. Obecnie ukazała się w USA świetna książka prof. Franka Sysina z Harvardu o Kisielu. Pokazuje on dobitnie, jak zmarnowano na wschodzie polską szansę. W końcu Polska mogła stać się krajem wieloreligijnym i przejąć prawosławie, zamiast zmieniać je na Kościół unicki lub katolicki. A jednak tak się nie stało. A jaki był proces przejścia unii? Liczne sesje, m.in. w Watykanie, usiłują nas przekonać, że odbyło się to dobrowolnie, a nawet entuzjastycznie. Tak jednak nie było. To wymaga jeszcze wielu badań i ustaleń, lecz moje poszukiwania bynajmniej nie potwierdzają tak laurkowego obrazu. Podczas sesji poświęconej kresom w Lille pani doc. Matuszewska mówiła o pojawieniu się na terenach wschodnich w XVIII wieku licznych błogosławionych obrazów, które były materializacją władzy religijnej. Z kolei wcześniej pojawiły się liczne procesy kanonizacyjne. Wymagałyby one dokładnego zbadania. Wydaje mi się, że pojawiło się tam sporo nadużyć. Jednak zabójstwa pomieędzy katolikami i prawosławnymi nie wzięły się z powietrza. Jeśli pojawiały się morderstwa na tle religijnym, to świadczy to dobitnie o tym, że opór jednak istniał. Po prostu Polacy narzucili miejscowej ludności swoją religię lub — nazwijmy to — półreligię w postaci Kościoła unickiego. Niestety był to rodzaj imperia-  
lizmu.

S.N.: — *Czy o podobnej zaborczości mówiłby Pan w odniesieniu do Litwy?*

D.B.: — W mniejszym stopniu. Wiąże się to z tym, że Litwini do katolicyzmu przeszli bezpośrednio od pogaństwa, z małym tylko epizodem kalwińskim. Identyfikacja narodu z religią jeszcze się nie dokonała, jak miało to miejsce z ukraińskim prawosławiem. Jeśli gdzieś się zaznaczyło, to tylko u Białorusinów. Na Litwie współdziałanie kulturalne i osmoza były znacznie głębsze.

S.N.: — *Pierwsze zdanie, jakie usłyszałem w Kownie brzmiało: „Gdy słyszysz polską mowę, to mi się rzygać chce”.*

D.B.: — W pewnym sensie i tam zaprzepaszczone historyczną szansę. Na Litwie były wszelkie dane do ententy. Liga zawsze

była możliwa. Napięcia społeczne występowały i tam, jednak w stosunku do Litwy nigdy nie ośmieliłbym się mówić o kolonializmie. To było inne społeczeństwo o sporym odsetku szlachty zagrodowej. Trafnie opisywała je Orzeszkowa. To społeczeństwo szlacheckie, choć nieco schłopiałe. Jednakże polskie. Te kwestie są tak skomplikowane, że za każdym razem należy je oglądać w perspektywie regionalnej.

S.N.: — *W Pańskiej pracy bardzo poruszające są rozważania nad cichym wytrzebieniem polskiej szlachty na Ukrainie. Każde dziecko wie, kim był Murawiew-Wieszatiel na Litwie. O Bibikowie nie wie nikt, choć jego rola nie była mniej złowieszcza.*

D.B.: — Z pełną odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że Bibikow był dla Polaków równie szkodliwy jak Murawiew. Tu widzimy bowiem dwie twarze polityki rosyjskiej: z jednej strony okrutny i bezwzględny Wieszatiel, z drugiej pedantyczny, skrupulatny i działający na długą metę (20 lat!) administrator Bibikow. Doszło do tego, że odnajdywanie śladów polskiej szlachty przypomina odkrywanie Atlantydy. To zupełnie zapomniany ład. Całej tej sprawie Rosjanie potrafili narzucić skutecznie zapomnienie. A przecież to wszystko, co działo się w ciągu tych trzydziestu lat, należy do wydarzeń najwyższej wagi. A historia o tym zapomniała. To jest właśnie siła administracji rosyjskiej. To ogromna siła tego systemu, który potrafił pozbawić życia obywatelskiego 400.000 osób — jak na wiek XIX jest to ogromna masa ludzka — nie zostawiając ani śladu, ani hałasu. Powoli, konsekwentnie, metodami tylko administracyjnymi. Z jednej więc strony wieszanie, z drugiej jednak spokojna asymilacja, zgryzanie i zacieranie. W efekcie kultura światowa zapomniała o tym świecie. Kiedy zaglądałem do tych zakurzonych papierów, których nikt przede mną nie miał w rękę, czułem się jakby na księżycu. Kiedy wracałem samolotem z Leningradu do Paryża i nie zabrano mi notatek, miałem wrażenie, jakbym wiozł kamień z księżycu.

S.N.: — *Literatura przyzwyczyła nas do pocziwego obrazu carskiej administracji: zbiurokratyzowanej, nieudolnej, przeżartej przez łapownictwo. Okazuje się jednak, że była to sprawna maszyna do mielenia mięsa.*

D.B.: — Tak, powolna, miażdżąca wszystko maszyna. Łapownictwo rzeczywiście było rozwinięte w skali wręcz niezwykłej. Pozwalało ono ratować się tylko najbogatszym Polakom. Ta jednak warstwa, ku której obróciła swą szczególną nienawiść Bibikow,

pieniędzy nie miała, więc musiała zginąć. Wynotowałem pewną ilość protestów tej szlachty. Trzeba powiedzieć, że była ona rozpaczliwie bezbronna. Sekretarz Bibikow, Pisariew, był największym łapownikiem na Ukrainie, więc kancelaria generał-gubernatora roiła się od ludzi, którzy płacili. Gogol to wszystko naturalnie okropnie ośmieszył, bo urzędnicy byli tak drobiazgowi, że aż śmieszni. Z drugiej jednak strony ta drobiazgowość okazała się szalenie skuteczna. Najbardziej jednak perfidnym pociągnięciem było wciągnięcie najbogatszych Polaków do mielącej maszyny. Jeśli Rosjanie zachowali pozory szlacheckiego samorządu, to tylko po to, by wykorzystać go w aparacie represji. Ci wszyscy marszałkowie, podkomorzowie, sędziowie rychło przekształcili się w kółka i trybiki tego diabelskiego mechanizmu. Przyjmowali kwestionariusze z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, odpowiadali na pytania, ankietowali, dostarczali rządowi najcenniejszych danych. Bez nich Bibikow nie mógłby pracować, bo na miejscu nie było tylu urzędników rosyjskich. Polacy nawet nie wiedzieli, kiedy zaczęli miażdżyć samych siebie.

S.N.: — *Jest w tym wyraźny rys XX-wiecznego totalitaryzmu, który zawsze dążył do tego, by same ofiary uczynić narzędziem zniszczenia. Skazani sami sobie kopią grób, wyznaczają kolejnych skazańców i przeprowadzają egzekucje.*

D.B.: — Dlatego właśnie nazwałem to techniką getta. A proszę zauważyć, że nie wymyślił tego sam Bibikow, bo on doszedł do władzy dopiero w roku 1838. Przed nim urząd sprawowali Lewaszow i Guriew. Posługiwali się głównie najbogatszą szlachtą, która zasiadała w sejmikach. Rosjanie na podstawie ustawy o jednodworcach kazali jej wykreślać z ksiąg szlacheckich maksymalną ilość swoich współbraci. Zrobili to lepiej niż mogliby to uczynić urzędnicy rosyjscy. Kiedy Bibikow doszedł do władzy, połowa roboty była już wykonana. W pierwszej fazie marszałkowie pozbyli się najbardziej podupadłych członków szlacheckiego stanu. Ale to był tylko początek akcji. Potem poprzeczkę podnoszono coraz wyżej, aż wykoszono wszystkich, których należało wyeliminować. To odwieczny dramat Polaków: jak żyć nie współpracując z zaborcą? Gdy się nie współpracuje, też się jakoś współuczestniczy. I tak na różny sposób i na różnych szczeblach podbity lud zostaje wciągnięty do aparatu represji.

S.N.: — *To pokazuje, jak będąc subiektywnie uczciwym można stać się po prostu delatorem.*

D.B.: — Sam nie miałem odwagi nazwać tego tak ostro, lecz

zupelnie się zgadzam. Co naprawdę interesowało marszałków i podkomorzonych? Zachowanie własnych stanowisk i ziemi. To jest aż nadto widoczne po Powstaniu Styczniowym. Utrzymanie ziemi stało się hasłem polskości. W końcu nie było innego wyjścia. Jedyłą warstwą, która mogła zachować swą polskość była wylegitymowana szlachta (ok. 70.000). Po powstaniu ci ludzie dalej prosperują, mają prawa obywatelskie i coraz bardziej angażują się po stronie Rosji. W końcu czy można im to zarzucać? Nie wiem! Historyk nie jest od tego, by udzielać ludziom lekcji moralności. Ale faktem jest, że tylko arystokracja i najbogatsze ziemiaństwo były w stanie przetrwać do rewolucji październikowej. W warunkach zresztą coraz lepszych, bo doszedł do tego postęp gospodarczy, zagospodarowanie lasów i uprawa buraków cukrowych. Natomiast jednodworcy zniknęli, pograżyli się w chłopstwo, a ślady po nich zostały zatarte.

S.N.: — *Tytuł recenzji z Pana książki w Tygodniku Powszechnym brzmiat: „Innego końca świata nie było”. To bardzo trafne nawiązanie do „Piosenki o końcu świata” Miłosza, gdyż wiersz ten mówi o paradoksalnym braku świadomości końca wśród tych, którzy zostają nim objęci. Ciekaw jestem, na ile i w jakim stopniu zdawano sobie sprawę z zanurzania się w odmęty szlacheckiej Atlantydy?*

D.B.: — Taką świadomość stwierdziłem wyłącznie u Kraszewskiego. To bodaj jedyny człowiek, który doskonale rozumiał, do czego to wszystko zmierza. I za tę świadomość płacił niezwykle wygórowaną cenę, bo wśród jego współziomków nikt tego w pełni nie ogarniał. Oni marzyli wyłącznie o udziale w różnych instancjach carskiego reżimu lub o spokojnym życiu na własnych majątkach. Kraszewski to naprawdę piękna postać, choć niedoceniona, bo zawisło nad nim piętno grafomana, co niestety jest trochę prawdą. Ale był to człowiek ogromnie szlachetny, nieco natury Wiktora Hugo. On nie mógł już wytrzymać wśród swoich. Proszę pamiętać, że zajmował wysokie stanowisko w urzędach szlacheckich w Żytomierzu, był również dyrektorem teatru, lecz w pewnym momencie przed reformą w 1860 roku po prostu uciekł. Wszystko sprzedał lub zostawił i uciekł, bo dusił się w tej zatechłej atmosferze. Najpierw mieszkał w Warszawie, lecz wkrótce przeniósł się jeszcze dalej, aż do Drezna. Cała jego korespondencja krajowa pokazuje, jak on się strasznie szarpał i dusił. Gwoli sprawiedliwości godzi się jednak dodać, że było jeszcze paru takich, którzy przeniknęli istotę carskiego mechanizmu. To ci spośród „czerwonych” rewolucjonistów, którzy wzięli udział

w Powstaniu Styczniowym. To też bardzo jasne postacie. Najczęściej wykształceni na uniwersytecie kijowskim. Oni też się okropnie dusili i stąd może brało się ich nieprzejednanie.

S.N.: — *Co nie zmienia faktu, że po kilkunastu latach ich radykalizm pryskał jak bańka mydlana. Ot, choćby Asnyk: w powstaniu członek skrajnej organizacji terrorystycznej, później autor zacnych wierszy pozytywistycznych.*

D.B.: — Oczywiście bywało tak i jeszcze gorzej. Być historykiem, to znaczy mieć do czynienia z ludźmi, widzieć ich wzloty i upadki, czasem obserwować, jak się wręcz marnują. Obok nich jednak pojawiają się i tacy, którzy aż do śmierci zachowują piękną i niezłomną postawę. Patrząc w głąb historii, możemy ujrzeć wszystkie możliwości i postawy, które służą poznaniu pełni człowieka i tworzonej przez niego historii.

Jacek TRZNADEL

## POWSTANIE WARSZAWSKIE. HAMLET W HISTORII

Szczęśliwi ci, których temperament i zdolność  
wydawania sądów są w zgodzie! Nie są jak  
flet, na którym palce losu wygrywają to, co  
im się podoba.

(*Hamlet*, akt III, sc. II)

### 1. MIĘDZY DRUGĄ A PIĄTĄ PO POŁUDNIU

Ten rozdział nie odnosi się do żadnego autora i utworu literackiego. Mówi o wydarzeniu dziejowym. Na ogół szuka się w książkach złoży historycznych. Tutaj odwrotnie: szukam jakby książek w historii samej. Uważałem, że jedna taka próba powinna się znaleźć w tych szkicach.

Ile etapów przeszło moje myślenie o polskich powstaniach? W tym także o ostatnim, będącym dla mojego pokolenia prawdą życia — powstaniu w Warszawie, w roku 1944. Nie byłem w Warszawie, nie byłem więc w powstaniu, nie przeżyłem go. Pisząc to zdaję sobie sprawę, że dzisiaj podobne zdanie ma jeszcze sens wyróżniający, lecz za dwadzieścia, trzydzieści lat każdy będzie mógł tak napisać, ba, będzie musiał. Odchodzą świadkowie historii. Podkreślam problem świadków także dlatego, że ta największa i najdłuższa w dziejach polskich wojen bitwa działa się na oczach, a nawet we współdziałaniu największej w naszej historii liczby uczestników — milionowego miasta. Nic więc prost-

---

Fragment książki pt. „Polski Hamlet — kłopoty z działaniem”, która ukaze się w niedługim czasie w wydawnictwie „Libella” w Paryżu.

szego, niż być świadkiem powstania. Był nim co dwudziesty — trzydziesty Polak.

Powstanie Warszawskie jest jednym z podstawowych zwo-  
rników najnowszej historii Polski. Jest największą przegraną bit-  
wą w dziejach Polski w ogóle, ostatnim aktem klęski narodu w  
czasie okupacji hitlerowskiej, klęskąadaną przez upadającego  
już wroga. Uległo zniszczeniu jedno z największych miast Europy.  
Warszawa jest też jedyną stolicą zniszczoną całkowicie. Liczba  
ofiar cywilnych powstania w Warszawie przewyższyła dwukrot-  
nie liczbę ofiar Hiroshimy, a dodana do wcześniejszej liczby ofiar  
eksterminacji ludności żydowskiej Warszawy, podnosi do 50 %  
zagładę ludności miasta. Zginęła w nim elita młodzieży polskiej,  
a także elita polskiej inteligencji. Uległy zagładzie archiwa, a  
w nich bezcenne rękopisy niewydanych utworów literackich, bi-  
blioteki, dzieła sztuki, nie mówiąc już o architekturze i substancji  
miasta. To, co wyliczono, byłoby wystarczającym ciosem w siły  
życiowe i kulturę narodu. A trzeba dodać, że cios ten nastąpił w  
chwili, gdy naród miał przeciwstawić się nowemu zagrożeniu —  
wejściu w orbitę wpływów sowieckich, w nową okupację. Z tym  
zagrożeniem łączyła się, jak wiemy, sama decyzja powstania.

Nie pamiętam, którego dnia dowiedziałem się w Krakowie o  
wybuchu powstania. Na początku musiała to być jakaś abstrak-  
cja: nigdy nie widziałem walk ulicznych, choć leżałem przez wiele  
najdłuższych w moim życiu godzin pod bombami i obstrzałem  
broni maszynowej we wrześniu 1939 roku. Świadomość powsta-  
nia dotarła do mnie silniej dopiero 6 sierpnia, w niedzielę, kiedy  
w Krakowie Niemcy urządzili wielką łapankę i nasz powrót z  
wycieczki do podkrakowskich Batowic zakończył się jakimś prze-  
kradaniem bocznymi uliczkami i ogrodami, choć nie mieszkaliśmy  
daleko: na Czerwonym Prądniku. Potem te przeloty — ile ich  
było? nie pamiętam — samolotów z Włoch na pomoc Warszawie.  
Przelatywały wysoko nad Krakowem, przy wibracji i głuchym  
warkocie powietrza, niewyobrażalnym dla ludzi, którzy nigdy w  
życiu tego nie słyszeli. Bo jak dziś zgromadzić eskadrę wielkich  
bombowców i samolotów transportowych zaopatrzonych w silniki  
śmigłowe wielkiej mocy? Na niebie krzyżowały się niemieckie  
reflektory i biła Flackartillerie, a tamci w górze wyrzucali z sa-  
molotów skrawki folii aluminiowej, uniemożliwiającej kanonie-  
rom dokładną obserwację. Staliśmy w ogródku małego domku  
przy ulicy Duchackiej 11, nie ma już tego domu i ogródka. Było  
ciepło, nie byliśmy jedynymi obserwatorami podczas tej sierpnio-  
wej nocy. Potem trzeba było wejść pod dach: spadały odłamki  
pękających pocisków broni przeciwlotniczej.

Następnie powstały pierwsze stereotypy, wyrosłe z okrutnej



rzeczywistości: powstaniec w skoku z butelką benzyny, barykady, poruszanie się i błędzenie kanałami, tragedia stolicy. Problemy moralne, psychologiczne. I ten problem dziejowo-moralny, gdy powstanie zaczęło ginąć i potem, gdy zjawili się pierwsi uchodźcy: czy powstanie należało wywołać? Jak żywe było to pytanie tuż po powstaniu i tuż po wojnie! Potem paradoksalnie zaczęło przygasać, nie dlatego tylko, że zaczynało się nie-wojenne życie, ale dlatego, że prawda, którą znaleźliśmy już wtedy, w roku 1944 — że Armia Czerwona pozwoliła na śmierć naszej stolicy — została oмотana siecią propagandowych kłamstw. I zgodnie jakby z tymi kłamstwami formułowano inwektywy rzucone przez ludzi zgoła nie komunistycznych przekonań. Narastała faktograficzna wiedza o powstaniu: opisy, fotografie, filmy, oglądałem po wojnie straszne ruiny stolicy. Myślę, że powstanie stało się urazem także dla tych, którzy nie byli wtedy w Warszawie. Bilans strat... Może z powodu tego urazu jakieś nowe myślenie o powstaniu typu polityczno-historycznego powróciło do mnie silniej dopiero w latach siedemdziesiątych. Już pewnie po wydaniu *Pamiętnika z powstania warszawskiego* (1971) Mirona Białoszewskiego. Pamiętnika cywilnego, oczywiście, ale przecież przemilczającego jakieś ważne prawdy na temat tych daremnych spojrzeń kierowanych z rozpaczą na prawy brzeg Wisły.

Z ogromnym więc opóźnieniem w stosunku do (emigracyjnych zwłaszcza) dyskusji o powstaniu, zaczęła we mnie wtedy powoli narastać myśl, że ocena powstania jako błędu — pozornie po myśli komunistycznej propagandy — może być właśnie skierowana przeciw historiografii i myśli politycznej historyków realnego socjalizmu. Że mianowicie unikając powstania można było ocalić wiele sił także do walki z komunizmem. Teza taka zresztą nie była chętnie przyjmowana. Przypominam sobie dyskusję pod koniec lat siedemdziesiątych w mieszkaniu Mirona Białoszewskiego, gdzie po wyłożeniu przeze mnie takiej myśli obecni poddali ją w wątpliwość. A byli tam także humaniści od „wielkich” syntez kulturowych. Argumenty (autor *Pamiętnika* się do nich raczej przychylił) były takie: po pierwsze, powstanie musiało wybuchnąć ze względu na nie dającą się powstrzymać spontaniczność takiego odruchu; po drugie, nawet jeśli powstanie by nie wybuchło, większość aktywnych ludzi pokolenia, które w nim brało udział, zostałaby wywieziona do łagrów rosyjskich i w jakimś sensie zniszczona.

Więc tak się stało, że po tym wszystkim zaczął mnie nachodzić i prześladować dramat dojrzewania decyzji o powstaniu w grupie ludzi, którzy byli za nią bezpośrednio odpowiedzialni: w Komendzie Głównej, w sztabie Armii Krajowej. Myślałem o

tych dyskusjach i odprawach, ciągnących się dramatycznie przynajmniej w ciągu miesiąca lipca. A potem dramat ten zaczął się czasowo zawężać — do ostatniego dnia, do ostatnich godzin. Ta poranna narada sztabu na ulicy Śliskiej 57 i ta popołudniowa, niespodziewana decyzja „Bora” Komorowskiego na ulicy Pańskiej: nazajutrz o godzinie 17-tej rozpocząć powstanie. Decyzja niespodziewana, bo rano liczone się z odroczeniem decyzji przynajmniej o kilka dni. Dramat wahania i męka niepewności Kordiana, a przedtem głosowanie w podziemiach katedry — jeśli gdzieś mają analogie w roku 1944, to właśnie w tych rozmowach sztabowców i wojskowych specjalistów, którzy mieli decydować nie tylko o problemach wojskowych, ale i losie setek tysięcy zwykłych ludzi, a na dodatek jeszcze o historii. Oczywiście, analogie są zawodne nawet w tak prostych zdawałoby się rzeczach, jak militaria: Stare Miasto i Olszynka Grochowska? A przecież coś wspólnego, choćby znikomy jakiś ułamek, i ci, i tamci musieli mieć. Ta wspólnota i nas zresztą obejmuje i każe zastanawiać się, co zaszło w tym saloniku na pierwszym piętrze przy ulicy Pańskiej, tej już dziś nie istniejącej, co zaczynała się tam prawie, gdzie kończyła się Świętokrzyska, u zbiegu Wielkiej i Bagna.

Ponieważ wiemy, że na porannej naradzie sztabu odroczone decyzję o powstaniu, że podobnie mówiło się na naradzie z przedstawicielstwem władz cywilnych, z której „Bór” wyszedł około godziny 14-tej — pozostają nam trzy, może trzy i pół godziny do chwili, kiedy do „Bora” zgłosił się „Monter” i otrzymał decyzję dowódcy o rozpoczęciu powstania. Czy coś się stało w ciągu tych dwu-trzech godzin, coś niezwykłego, jak zdaje się myśleć Jean-François Steiner i jak stanowczo twierdzi Jan Matłachowski? Matłachowski sugeruje nawet, kto o ukrytych sprawach wiedział, czyje zapiski mogłyby nam odkryć prawdę. Więc: czas trwania dramatu około trzech godzin, ilość osób działających — pięć czy sześć, czy to nie zamówienie na pełnospektaklową tragedię? A może okazałoby się z jej tekstu, że nie zaszło nic, co by się jednocześnie wcześniej już nie stało? Dramat strategii wojskowej i politycznej przesuwalby się więc w dziedzinę aktywnych mitów kultury?

Myślę, że na większość tych pytań nigdy nie otrzymamy odpowiedzi. Może więc miał dużo racji Jean-François Steiner w swojej książce: *Varsovie 44. Insurrection* (Paris 1975) — uwydatniając właśnie kontekst kultury w tej sprawie? Uważam tę książkę za ważny głos w dyskusji o powstaniu i tak się złożyło, że odwołania do niej będą stanowić pewien rodzaj nici przewodniej tych rozważań. Steiner wykonał ogromną pracę źródłowo-historyczną w formie nagrań i rozmów z bohaterami tego

historycznego dramatu — a następnie odstąpił od integralności tego materiału, nie wymieniając nawet nazwisk osób, z którymi rozmawiał, ponumerował je, dosłownie, jako anonimowych świadków. Szło, jak widać, o inną prawdę od tej, której domaga się Matłachowski, ufny, że odpowiedzialnością za Powstanie Warszawskie uda mu się obciążyć jedną, dwie lub trzy osoby. I wszystko będzie wiadomo! Steiner natomiast pragnie wykazać coś zupełnie odwrotnego, jakby postępował badawczo w myśl formuły Nietzschego, że aby coś uczynić, „trzeba mieć pozwolenie” — ludzi tej epoki. A nawet nie tylko jednej epoki... Powołuje więc Steiner na „świadków” także polskich poetów romantycznych, Mickiewicza i Słowackiego, i wypowiadają się oni obok — jak można przypuszczać — Rzepeckiego, Iranka-Osmeckiego, Pełczyńskiego i innych. Mickiewicz i Słowacki „zeznają” tu o zakorzenionej niechęci do „azjatyckiej” Rosji i kulcie polskiej ofiary. Brzmi to trochę, jak przyznanie się do winy. Jest argumentem? Jest. Pośród innych. Ale jeśli Steiner redagując swoją książkę myślał jednocześnie o powstaniu w Paryżu w sierpniu 1944, to powinien wiedzieć, że było ono inne i nie doprowadziło do zniszczenia miasta nie tylko dlatego, że Francuzi nie czytali Mickiewicza i Słowackiego. Błogosławiony analfabetyzm kulturowy? Różnica polega na tym, że Francuzi nie wiedzieli także, co to jest taka niewola, jak w Polsce XIX wieku, że nie walczyli z komunizmem, jak Polacy pod Warszawą w roku 1920. Że w roku 1940 nie ulegli równocześnie dwóm okupantom, jak Polacy w roku 1939. A w sierpniu 1944 roku Francja czekała na wolność, a nie drugą okupację. I nikt nie zatrzymał celowo ofensywy pod Compiègne, St.-Denis czy na Rive droite. Tę różnicę przejmując utrwalił Andrzej Bobkowski w zakończeniu swego paryskiego pamiętnika okupacji — *Szkiców piórkiem*. Steiner jednak słusznie zwraca uwagę na atmosferę, w której możliwość decyzji o warszawskim powstaniu, takiej jaka zapadła, istniała jeśli nie od zawsze, to od dawna.

Ale zapomina Steiner o jednym: że zbiorowej atmosferze można się przeciwstawić, chociaż jest to trudne. Kultura nigdy nie jest monolityczna. Romantyczny kult ofiary nie miał u nas, jako swego przeciwstawienia — tylko rozważnego czy cierpliwego oczekiwania, ofiarnemu szaleńcowi przeciwstawiono bowiem już w romantyzmie pragmatycznie sprawdzoną zasadę walki. I dlatego właśnie dociekanie: kto, jak i dlaczego, konkretnie, przynajmniej dla mnie, nie musi być szukaniem osób poddanych działaniu koniecznego mitu. To może oznaczać też szukanie przyczyn działania na terenie wolności i wobec ścierających się ze sobą koncepcji. Można bowiem powiedzieć o tej garstce decydujących

o powstaniu, że reprezentowali przecież żywe, sprzeczne i niejednorodne, a więc wolne także tendencje naszego społeczeństwa.

Myślę i myślę: jak to jest możliwe, że wciąż pozostaje jakby tajemnicza luka w naszej wiedzy i to w momencie, który pozostanie na wieki zwornikiem decyzji, która tak zaważyła na historii Polski? Ta luka wciąż istnieje, mimo że ci, co decydowali o powstaniu, przeżyli je w zasadzie, a wielu z nich ogłosiło swoje pamiętniki i wspomnienia, dociekania wojskowe i polityczne. W chwili, gdy piszę te słowa, żyją jeszcze nieliczni ludzie, występujący na tamtej scenie, a dalej nie wiemy nic. Czy jednak nie trzeba raczej myśleć, że prawdopodobnie wiemy prawie wszystko, jeśli nie wszystko. Przecież przesłanki tej decyzji istniały już w rozmowach tej grupy ludzi, i nie tylko tej grupy, w myślach i działaniu całej polskiej społeczności w kraju i na emigracji — od miesięcy, jeśli nie od lat. Przyszła wreszcie chwila, w której można było decyzję podjąć, choć można by ją jeszcze odłożyć. Ale nie ma racji ten, kto sądzi, że była to decyzja czysto pragmatyczna: za wcześniej lub za późno. Tak, jak można patrzeć na jedną z wielu bitew, powiedzmy, napoleońskich. Była to bowiem rozgrywka o cechach ostateczności, nie dlatego, że tak myślał Okulicki czy Pełczyński, ale że taka była historia. Te więc słowa „dziś twój tryumf albo zgon” były aż nazbyt rzeczywiste, z tym że miały jeszcze odpowiednik w innej wersji wydarzeń: „dziś twój triumf albo niewola”.

Nowoczesna tragedia sztabu głównego Armii Krajowej na tym właśnie polegała, że wieloznaczny i przerastający aktorów dramatu kontekst historyczny był na granicy ich możliwości decydowania i rozeznania. Tak właśnie określiłem tragiczność Kordiana i tak rozumiem tę tragiczność, wobec której Hamlet musi zginąć w sztuce Szekspira. Zarzucano Szekspirowi, że nie stworzył Hamleta, który nie popełnia błędów, który po prostu zabiłby Klaudiusza, mając taki charakter. Ale byłby to charakter z dramatu z tezą, a nie z tragedii życia. Hamlet bowiem popełnia błąd czekania — jeśli to błąd — gdyż wymagają tego okoliczności i założone normy moralne działania, przy czym trzeba koniecznie zauważyć, że Hamlet pragnie pewności, zdobywa prawdę i przesłanki działania. Ale po co tutaj, w rozważaniach o sztabie Armii Krajowej, ten szekspirowski kontekst? Po to właśnie, by nadać błędowi powstania charakter tragiczny, wysokiej narodowej tragedii, którego to charakteru nie przyznają na przykład — idąc za historykami, których zdanie podzielam — decyzjom Skrzyneckiego w Powstaniu Listopadowym.

Tomasz Łubieński ujął symbolicznie problem Powstania Lis-

topadowego w słowach „bić się czy nie bić”, a więc może także w parafrazie hamletycznego „być albo nie być”. Tak bowiem miała się walka do bytu narodowego. Jeśli trzymać się tej paraleli — a wróci ona jeszcze za chwilę w tych uwagach — to warszawskie powstanie było akurat zrealizowaniem decyzji odwrotnej od decyzji Skrzyneckiego, która była: „nie bić się”, u d a w a ć walkę. Nie „romantyzm” zdecydował o klęsce Powstania Listopadowego, lecz właśnie brak „romantyzmu” i determinacji walki. Sztabowcy warszawscy roku 1944, choć sądzi się ich najczęściej grubo i jednostronnie, byli tych cienkich materii historycznych świadomi. Ale sądzimy ich najczęściej dzisiaj na podstawie naszej obecnej świadomości, tak jak na podstawie swoich zbrodniczych interesów oceniała ich zaraz po wojnie — ba, jeszcze w czasie trwania powstania, w wypowiedzi Stalina — komunistyczna propaganda.

Jeśli bowiem oni nie poczekali na coś, to — prócz rozwoju sytuacji militarnej przed i za Warszawą — nie poczekali, czy nie doczekali się takich przemian w swojej świadomości strategiczno-politycznej, by dojść do wniosku, że powstanie może być tylko błędem. Ale dojść do takiego wniosku, to znaczyło dla nich prawie myśleć, że nie ma nadziei na możliwą niepodległość. Czy można było to sobie tak po prostu powiedzieć? To właśnie, ta największa trudność sytuacji, przy najwyższych wartościach, jakie wchodziły w grę — nadaje temu błędowi znamiona wysokiej tragiczności.

Biorąc bowiem pod uwagę ówczesną sytuację świadomości europejskiej i światowej — nie był to błąd głupców. Czy wszyscy i wszędzie wiedzieli, że ta historia może się skończyć tylko niewolą narodu polskiego? Ani nie jestem pewny, że naprawdę nie było dla historii — dzieła ludzi — innej możliwości. Sądzę zresztą, że nasi sztabowcy świadomość tej perspektywy nadciągającej niewoli posiadali w wysokim stopniu. Mieli jednak nadzieję, że jest szczelina w historii, przez którą możemy się przemknąć. I uważali, że nawet w imię nikłej szansy należy zaryzykować. Osobiście uważam, że nie wolno ryzykować taką wartością, jaką jest cudze życie ludzkie. Ale uważam też, że życie ludzkie nie jest wartością ostateczną, najwyższą, i że w imię tego, co je przerasta — wolno z własnego życia uczynić ryzykowną próbę. Wolno oddać życie za kogoś drugiego i wolno wstrzymać się od takiego ratowania życia, swojego i cudzego, które byłoby pogwałceniem ludzkich praw walki o wolność.

To właśnie myśląc — między innymi — o powstaniu uświadomiłem sobie, że komunistyczno-pacyfistyczna propaganda szer-

muje ideą życia jako najwyższego dobra nie dlatego, że komuniści kiedykolwiek je szanowali. Lecz tylko dlatego, że slogan ten może powstrzymać od rozruchów i walk niepodległościowych społeczeństwa i narody, które są trzymane w niewoli. Powstanie warszawskie dlatego zostało także oplute przez komunistów — powoli wycofywali się z tych nieskutecznych pozycji światopoglądowych, trwało to latami — że chcieli stłumić wszelką pozytywną ideologię rewolty przeciw niewolnictwu. Muszę powiedzieć, że podejmowanie decyzji niosących zagrożenie życia ludzkiego przekracza moje kompetencje moralne, poza dziedziną mojego własnego życia. Nie potrafiłbym wzywać do buntu ani nieszczęśliwych, ani tym bardziej szczęśliwych niewolników. Sytuacja sztabowców w Warszawie 1944 była jednak inna, oni nie wzywali nikogo, oni mieli pokierować walką ludzi, którzy z d e c y d o w a l i się na walkę. Pamiętajmy zresztą, że ci sztabowcy wiedzieli, że komunizm oznaczał już miliony ofiar i że mógł oznaczać w przyszłości także miliony ofiar. Nie była to więc świadomość przyszłych szczęśliwych niewolników...

W tym procesie historycznym wytaczanym sztabowi Armii Krajowej przywołuje się, jako świadków, romantycznych poetów. Raz już w tej książce przypominałem słowami Henryka Elzenberga, że walka o wolność przekracza epokę romantyzmu. I gdy badać świadomość tych mistrzów wojennej sztuki sztabu AK, może należałoby także, jako inne świadectwo, obok przytaczanych przez Steinera, przytoczyć jeszcze jeden sąd „świadka Elzenberga”, sąd, który w Warszawie 1944 roku ludzie znać mogli, gdyż chodzi o esej ogłoszony w czasopiśmie międzywojennym „Pion” w roku 1934. Nie trzeba wcale komentować tych słów Elzenberga z artykułu *Ahimsa i pacyfizm. Rzecz o gandyzmie*. Dotyczą one prawd zbyt uniwersalnych, aby ich udział w świadomości tych, co obradowali nad decyzją o powstaniu — można było wykluczyć:

„Dla Gandhiego są rzeczy gorsze od wojny, a ze wszystkich grzechów przeciw *ahimsie* walka zbrojna dla celów czystych, skierowana przeciw silnemu i nie wyradzająca się w rozbój, wolna zresztą od nienawiści i trzymana w ryzach przez wołę, jest kto wie czy nie tym właśnie, który istota moralna może wziąć na siebie względnie spokojnie. I mogą być pomyślane wypadki, w których wojnę jako zło mniejsze istota moralna wybrać p o w i n n a.

Dwie rzeczy gorsze od wojny, to tchórzostwo i bierno znoszenie czy to hańby, czy to jawnej niesprawiedliwości.

Ale zgroza wobec cierpienia rozrosła się u pacyfisty do roz-

miarów jakiejś idiosynkrazji — obłądu, w którym ginie poczucie, gdzie jaka rzecz ma swe miejsce w skali wartości. Ze najgorszym albo jedynym zgoła złym postępowaniem jest wojna, w to wierzy on tylko dlatego, że najgorszym albo jedynym złem mogącym spaść na człowieka jest przedwczesna śmierć albo cierpienie. Ale tak czuć, to już nie jest godziwie. Cierpienie jest złem największym tylko dla zwierząt; mieć zmiażdżoną łapę, stracić potomstwo, być pożartym albo zastrzelonym, to jest katastrofa katastrof dla kota, dla psa, dla zająca.

Zna się tu [w gandyzmie] i pielęgnuje dobra, które warto kupić cierpieniem, co więcej: które można kupić tylko cierpieniem. I wziąć na siebie cierpienie, by owe dobra osiągnąć, to tutaj część nie tylko własnej godności: mój bliźni ma święte prawo, bym i jego wezwał do współcierpienia, jeśli tego cel sensowny wymaga”.

Nie można oczywiście mówić, że ofiara z życia jednostki, mnożonej w setki tysięcy, była jedynym elementem ryzyka błędu. W tak szalonych bowiem klęskach historycznych, jak klęska i koszty powstania, nie sposób w ogóle obliczyć strasznych i fatalnych reperkusji historycznych, gdyż wchodzą w grę elementy wieloplanowe, narastające później w czasie. Nie czuję się tu jednak na siłach do prowadzenia aż tak daleko sięgających rozważań. Powróćmy więc do problemu błędów na płaszczyźnie strategii — wtedy i tam — wojskowo-politycznej.

W ocenach decyzji powstania prawie wszyscy popełniają pewne przeoczenie: biorą pod uwagę rozwijanie się sytuacji na froncie niemiecko-sowieckim blisko Wisły bez uwzględniania jakby faktu samego powstania. Rozważa się sytuację militarną do poniedziałku 31 lipca 1944, a potem wysnuwa co najwyżej wnioski hipotetyczne o możliwym przebiegu kampanii, jakby nie było powstania. A przecież: jeśli Armia Krajowa miała od pewnej chwili status armii alianckiej nawet w stosunku do hitlerowskiego Wehrmachtu i SS — to fakt utworzenia takiego przyczółka nad Wisłą, zdobytego przez aliantów — nie jest faktem, którego nie wlicza się do kampanii nad Wisłą. Taki fakt powinien był kazać zmienić plany operacyjne Armii Czerwonej, raz ze względu na wspólne cele militarne, po drugie ze względu na ochronę ludności sprzymierzonego państwa. Powstanie to był ważny fakt militarny na froncie wschodnim, a tymczasem rozważa się dzieje tego frontu, jakby powstanie toczyło się na księżycu, a frontem rządziły niezależne od niego strategie i możliwości.

Właściwe rozważania militarne o froncie wschodnim w aspekcie bitwy powstania warszawskiego prowadzą do następujących wniosków: 1) że najprawdopodobniej Armia Czerwona, na wyso-

kim szczeblu dowodzenia, celowo nie wykorzystano dogodnej sytuacji militarnej, i decyzję wstrzymania ofensywy podjęto jeśli już nie w pierwszych dniach powstania, to w następnych; 2) że możliwa całkowicie, z punktu widzenia strategii, zwycięska walka o Warszawę, która mogła być postanowiona po wybuchu powstania nawet w sytuacji mniej sprzyjającej — została całkowicie zaniechana, by umożliwić Niemcom zdławienie walczącej Warszawy. Odbywały się jedynie walki pozorowane.

Wystarczających dowodów na te twierdzenia jest wiele. Jednym z dowodów dobitnych jest uniemożliwienie amerykańskim i angielskim sojusznikom Armii Czerwonej niesienia pomocy Warszawie przez wahadłowe przeloty samolotów zrzutowych nad Warszawą z lądowaniem po rosyjskiej stronie frontu. Ten fakt albo przez zaślepienie, albo kłamliwie i ze złą wolą przemilcza większość opracowań powstania, w tym przesadnie wyekspozowana książka Jana M. Ciechanowskiego. Dowodem oczywistym decyzji nieudzielenia pomocy powstaniu jest brak nawet pomocy zrzutowej ze strony Armii Czerwonej (to, co robiono, było tylko pozorem). Nie szło przecież o tysiące kilometrów, lecz kilkadziesiąt, a potem już tylko o szerokość rzeki Wisły.

W tej sytuacji czas już wreszcie przestać uznawać klęskę Warszawy za dzieło tylko silnej wciąż jeszcze armii niemieckiej. Zakładam, że front niemiecki został tu odciążony przez Armię Czerwoną, aby właśnie można było zgnieść Warszawę. Warszawa została zniszczona przez niemieckiego i rosyjskiego okupanta. Zamiast mówić o bierności Armii Czerwonej, lepiej wskazywać na agresywną w skutkach decyzję strategiczno-polityczną.

Tutaj można powiedzieć paradoksalnie, że do błędu sztabowców Armii Krajowej przyczyniła się i orientacja niepodległościowa, i świadomość prawie nieuchronnej przyszłej okupacji sowieckiej. Przy czym obie koncepcje tej okupacji mogły wzmacniać decyzję powstania. Wersja bardziej pozytywna — że będzie to Rosja mimo wszystko zmieniona na korzyść w wyniku tej strasznej wojny, ta Rosja, z którą porozumienie zalecali także z myślą, że jakoś to będzie, niektórzy politycy polscy, jak Sikorski, czy sztabowcy, jak Tatar, wysłany czy „zesłany” mostem powietrznym do Londynu, ale obecny ideą i wspomnieniem. Bo przecież z Rosją sowiecką, z którą może się i coś ułoży, da się także ułożyć doraźną współpracę militarną w bitwie o Warszawę. A jeśli myśleć o wersji gorszej, strasznej, jeśli będą patrzyli, aż nas Niemcy wyrzną, to znaczy, że oni sami mogliby nas wyrznąć potem... Zatem, czy nie należy ryzykować?...



Ale właśnie dlatego, że tak się to wszystko odbywało, że tak strasznie było trudne, mój szacunek dla walczącej Warszawy, a więc i dla tych, co wzięli na siebie tragiczną i błędną decyzję powstania (alternatywę tego błędu poruszam w drugiej części tego rozdziału), każe mi pytać: jak to się odbyło konkretnie, gdyż odrzucam mityczne fatalizmy kulturowe, przyznając po prostu ludziom w tej Warszawie istniejącą wolność wyboru, którą szczerze chcieli się posłużyć.

Co więc robił „Bór” Komorowski po zakończeniu drugiej przedpołudniowej odprawy? Jestem w gorszej sytuacji niż moi poprzednicy, „Bór” już nie żyje, nie mogę do niego zadzwonić i raz jeszcze zapytać: panie generale, chciałbym zrozumieć ludzi działających w polskiej historii, co pan robił między godziną czternastą a siedemnastą tamtego dnia, gdy przyszedł „Monter”? Wszystko chcę wiedzieć! Jak na pana działała pogoda tego dnia, czy było duszno i parno? Czy siedział pan długo sam w pokoju, czy długo szedł pan ulicą, co pan widział idąc? Jadł pan obiad? Sam czy z kimś? Czy może w ogóle nie mógł pan tknąć jedzenia? Czuł pan napięcie, czy nagle zmęczoną obojętność? Natknął się pan na patrol i strzelaninę, czy przeszedł pan przypadkową strefą spokoju? Jak pan był wtedy ubrany? Czy naprawdę przyszedł Okulicki z Pełczyńskim i strasznie krzyczeliście na siebie, czy wymyślono to później? Ile zostało później czasu do przyjścia „Montera”? Czy zmęczony usnął pan na chwilę? Czy nagle pan sobie coś przypomniał? Zdanie z podręcznika taktyki, czy relację kogoś, kto przekradł się z terenu akcji wileńskiej lub nawet uciekł z rąk NKWD?

Nie chcę już męczyć Ducha tymi pytaniami. Możliwości jest prawie nieskończona ilość. A może przez jakiś przypadek leżał na półce tom Mochackiego *Powstanie narodu polskiego* lub Goszczyńskiego *Noc belwederska* i generał sięgnął po książkę? I myślał o tej szansie, jaką przegapili najpierw podchorążowie nie strzelając na Placu Saskim, potem Belwederczycy, a potem generałowie ociągający się z przystąpieniem do powstania, a wreszcie, w toku walki, generałowie-kunktatorzy? Analogia pojawiła się zresztą kilka dni wcześniej na odprawie sztabu, jest na to dokument:

Generał Okulicki i pułkownik Rzepecki proponują natychmiastowe ustalenie daty wybuchu powstania. Pułkownik Rzepecki przypomina jako precedens przypadek generała Skrzyneckiego, który ponosi ciężką odpowiedzialność za upadek powstania 1830 roku, gdyż czekał za długo z wydaniem rozkazu do ataku.

Generał Bór odpowiada, że nie dysponuje dostateczną ilością

elementów, aby móc powziąć decyzję, i że trzeba jeszcze poczekać i zobaczyć, jak się rozwinie sytuacja.

Aluzja do Skrzyneckiego powraca na porannej odprawie 31 lipca w ustach Okulickiego (wciąż, jeśli wierzyć relacjom...):

Jeśli pan generał nie podejmie decyzji, będzie pan drugim Skrzyneckim itd.

A może tą książką, którą wziął z półki generał „Bór”, aby zając ręce i myśl, było wydanie Szekspira z tłumaczeniem *Hamleta* przez Józefa Paszkowskiego? Ulicą przechodzi wzmocniony patrol Wehrmachtu, a generałowi zdaje się jednocześnie, że z daleka słysząc odgłos sowieckich dział. Ale to przejechał wóz konny. Wzrok pada na te słowa sceny drugiej z aktu piątego:

*Biada podrzędnym istotom, gdy wchodzą  
Pomiędzy ostrza potężnych szermierzy.*

Te słowa oznaczają ostrzeżenie, a więc spokój. Tak, nie można wejść między dwie ścierające się armie. Przynajmniej na razie. Generał stoi przy oknie, przez szparę w firance widzi oddalający się patrol i znów zdaje mu się, że słyszy sowieckie działa. Robi mu się słabo, gdyż ledwo spał tej nocy, siada na pluszowej kanapie. Jednak machinalnie odwraca dwie karty:

*Trzeba ci bowiem wiedzieć, że nie wszystko  
Bywa po diable, co czynimy nagle,  
Że, owszem, czasem niezastanowienie  
Lepiej nam służy niż najumiejtniej  
Skombinowane plany; co dowodzi,  
Że jakieś dobre bóstwo kształt nadaje  
Naszym działaniom z gruba ociosanym.*

A może tamci, Okulicki, mają rację? Tak, wszystko można znaleźć w tej sztuce, w literaturze, za i przeciw, no, tak jak w życiu. Plan operacyjny bitwy warszawskiej w 1920 roku powstał o wiele szybciej. I udało się. Ale na froncie nie można inaczej, sytuacja jest płynna, zmienia się, nie można czekać na idealny moment. A przecież to też jest front... Przypomniało mu się znów, jak ktoś ze sztabu mówił: Och, hamletyzujemy, zwlekamy i zwlekać będziemy, czekamy na pewność. — Odpowiedział: Niech pan nie porównuje nas z Hamletem! Hamlet musi zginąć! My chcemy wygrać. O Hamlecie można mówić po wszystkim, kiedy się przegrało w życiu realnym, a wygrało tylko

moralnie. Nie chciałym z tych młodych robić warszawskich Hamletów.

To wszystko mu się przypomina, jest coraz bardziej znużony. Zapada w krótki sen godziny popołudniowej, który byłby litościwy, gdyby nie senne obrazy. Po obudzeniu zapamiętał z nich trzy.

Pierwszy: jakaś sala, jak w niemieckim kasynie, orkiestra gra tyrolskie walczyki, na podium taneczna para, to tańczy chłopak z dziewczyną, nie, to nie jest taniec, to dwóch chłopców, oni fechtują się na florety lub szpady, mają na nogach buty z cholewami, zielone bluzy, a na rękawie opaski biało-czerwone. Przecież to chłopcy z moich oddziałów, dlaczego mają tylko białą broń, co robią w niemieckim kasynie? Siermierce przypatruje się jakiś generał SS i dama w oficerskim niemieckim mundurze. Wznoszą jakiś toast i śmieją się głośno: *Oh, ja, schneller, schneller, sie müssen in Himmel gehen!* Generał wyciąga rewolwer i zaczyna strzelać po pijanemu, fechtujący akowcy zalani są już krwią, jeden pada. Dama w mundurze osuwa się na parkiet. Drugi z siermierzy, niski, krępy, w ostatnim wysiłku przebija szpadą SS-mana. Poleciała jakaś szyba, strzały, otwierają się drzwi i do kasyna wchodzi masa wojska, na czapkach czerwone gwiazdy, karabiny Kałasznikowa. A na czele młody sowiecki generał: — *Tak wot, eto i my.* Poległym pogrzeb z honorami, a żywych aresztować!

„Bór” obudził się z biciem serca, odłożył trzymany ciągle kurczowo w rękę egzemplarz Szekspira, z ulicy dobiegały pojedyncze strzały, ale coraz bardziej oddalone. Uspokoił się, usnął.

Tym razem śniła mu się odprawa. Okulicki, w porozrywanym mundurze oficera czwartaków z powstania listopadowego, z jakąś sadzą na twarzy, krzyczał: Jeśli trzeba, cała Warszawa powinna stać się redutą Orдона. — Było strasznie cicho, inni oficerowie też mieli na sobie mundury z okresu powstania listopadowego, tylko on siedział w garniturze i usłyszał swój głos: — To nie jest powtórka z historii, generale. Cała stolica nie może być redutą. A reduta na Woli wyleciała w powietrze przez przypadek. — W ciszy brzęczała natrętnie mucha, zaczął ją odpędzać. Mucha była prawdziwa, obudził się, odpędził ją i znów usnął.

Trzeci sen „Bora”: jest w wiosennym lesie, sosenki, brzozy, skraj jakiejś polany, w górze jest jasny błękit i jakieś ptaki drobne przelatają z gałęzi na gałąź. Ptasie melodie, gwizdy. Zapach lasu, wiosny, a wszystko takie kolorowe. Nagle poczuł coś twardego, zimnego, z tyłu na czaszce. Ręce ma z tyłu, nie może nimi ruszyć, nie może się odwrócić. I ten głos: *Wot tiebia, spokojno!...* Wtedy spojrzął pod nogi, na polanę, i zobaczył, że stoi nad

dołem, takim samym, jaki pamięta z publikowanych w prasie zdjęć z lasku katyńskiego. Widzi kłęb pozwalanych ciał, szaroczarnych, jak w gazetowej odbitce, na tle tej zieleni, tak jakby ktoś powiększył wyciętą z gazety fotografię i ułożył w dole. Nagle poczuł w głowie detonację, ciało objął skurcz, obudził się z krzykiem, ręce miał pod głową, zdrtwiałe. Nad nim stała dziewczyna z grupy łączności, dyżurująca w sąsiednim pokoju. — Panie generale, niedługo następna odprawa, trzeba coś zjeść. — Strasznie, strasznie — zaczął, nie wiedział, jak skończyć. — Strasznie tu duszno — powiedział.

Usiadł i całkiem oprzytomniał. — Tak — powiedział — dziękuję. — Z głową jeszcze omotaną tamtymi wizjami pomyślał trzeźwo: nie dać się rozmaitym panikom. Trzeba jeszcze zaczekać, może przyjdzie jakaś decydująca wiadomość i wtedy wszystko będzie jasne.



Można sobie to wyobrazić tak albo inaczej. Potem wrócili Okulicki i Pełczyński. Znów wszyscy krzyczeli? A może nie krzyczeli, tylko siedzieli i patrzyli na siebie ironicznie? Jeśli siedzieli cicho, to i tak krzyczeli, wcześniej, na niezliczonych odprawach, przerzucali się racjami, chłód sztabowej rutyny mieszał się z emocjami. A potem wpadł „Monter”: Czołgi sowieckie na Pradze! — I wtedy „Bór” czuje wyzwolenie. To coś, co zdecydowało, stało się oto. — Tak, jutro powstanie. — Relacje są sprzeczne. Wszystkie relacje o takich chwilach zawsze zawierają sprzeczności. Inaczej widzi się bitwę ze środka *carré* piechoty, a inaczej z pagórka dowodzenia. Wierzę jednak, że jest gdzieś „czarna skrzynka” historii świata i że wszystkie luki kiedyś zostaną uzupełnione.

Ukazując sytuację sztabu Armii Krajowej i „Bora”, chciałem podkreślić, że odwlekanie decyzji, zdobywanie pewności w warunkach najwyższego zagrożenia, powoduje straszliwe napięcie psychiczne. Podejmuje się wtedy nagłe decyzje, jakby wbrew logice poprzedniego wyczekiwania. Rozumiał to Szekspir, a nawet — jak wynika z przytoczonego wyżej cytatu — nawet częściowo pochwalał. Wynikiem takiego napięcia jest błędne rozumienie i nagła decyzja Hamleta, gdy z okrzykiem: Szczur! Szczur! — przebija oponę gobelinu i znajdującego się za nim Poloniusza. Myślał, że to Klaudiusz. Wynikiem takiego napięcia jest omdlenie Kordiana. Ile razy musiał mdleć rozum w owym lipcu 1944 roku. Polskie historie...

Lipiec 1944 roku w Warszawie to dla mnie sytuacja hamletyczna. Konspiracja to przecież ukrywanie się wobec zagrożenia

przez uzurpatora (Hamlet udaje szalonego). To wyczekiwanie i opóźnianie działania nazywano hamletyzowaniem. Nie wynikało to jednak ze słabości, czego nowsze wypowiedzi o Hamlecie nie zdają się już kwestionować, lecz z szukania pewności działania i prawdy. Ale w świetle całego dramatu sytuacja hamletyczna to także klęska fizyczna, choć zwycięstwo moralne. Hamlet musi zginąć, reszta jest milczeniem. Ale nie milczeniem całkowitym. Gdyż Hamlet zostawia świadka, którym jest Horatio, pragnie, aby przekazał on prawdę moralną o wydarzeniach dla potomności. Hamlet uważa, że Horatio zdolny jest dać o wszystkim „wieść dokładną”. Ale podobnie jak w naszej tu sprawie, słowa Horatia tej pewności nie potwierdzają; za dużo tu komplikacji:

*Lecz skoro po tych fatalnych wypadkach  
Wy z polskiej wojny, a wy z granic Anglii  
Tak bezpośrednio przybywacie, kaźcież,  
Aby te zwłoki wysoko na marach  
Na widok były wystawione; mnie zaś  
Pozwólcie i wszem wobec, i każdemu  
Nieświadomemu prawdy opowiedzieć,  
Jak to się stało. Przyjdzie wam usłyszeć  
O czynach krwawych, wszetecznych, wyrodnym,  
O chłostach trafu, przypadkowych mordach,  
O śmierciach skutkiem zdrady lub przemocy,  
O mężobójczych planach, które spadły  
Na wynalazcy głowę.*

Sytuację hamletyczną konspiracji polskiej w Warszawie roku 1944, konspiracji postawionej nie wobec jednego, ale dwu uzurpatorów, i masy Rosenkrantzów i Guildensternów, prowokatorów, zdrajców i konfidentów, dobrze, jak się zdaje, odczuł pułkownik Tatar:

Świadek nr 28:

„Być albo nie być”, zapytał Hamlet. Dla nas w Warszawie pytanie brzmiało: „za wcześniej czy za późno?”. Cały dramat obracał się wobec tych dwu pytań. Po raz pierwszy, gdy pojawiły się one jesienią 1940 roku, pracowaliśmy z Roweckim nad pierwszym szkicem tego, co miało stać się planem powszechnym powstania. Pamiętając o tragicznych załamaniach wszystkich naszych powstań, zaproponowałem „Grotowi” napisanie we wstępie motta w rodzaju: „Powstanie nie może się nie udać”. Rowecki, który był wspinałym oficerem, lecz także wielkim ro-

mantykiem, zrazu odmówił: „Każda operacja wojskowa połączona jest z ryzykiem. Nie chceć się go podjąć, to znaczy skazać się na bezczynność”. Odpowiedziałem, że w zasadzie zgadzam się z nim, lecz wydaje mi się, że my Polacy nabraliśmy złego zwyczaju podejmowania ryzyka w większym stopniu, niżby to nakazywał rozsądek. Przedstawiłem tę propozycję, pragnąc zmienić ową tradycyjną już nieprawidłowość. Dorzuciłem, że moim zdaniem, biorąc pod uwagę naszą tendencję do pośpiechu, byłoby rozsądnie zdecydować już dziś, że nie zaatakuje się armii niemieckiej, zanim nie będzie ona w zupełnym rozkładzie, zanim nie będzie „czuć jej trupem”. „Grot” odpowiedział, że drugą polską wadą jest tendencja do zwlekania, która powoduje, że czekając działamy często za późno.

Hamlet jest samotny i w swoich decyzjach polegać musi tylko na sobie samym. Jest to samotność konspiratora. Jeśli wybrałem tu powstanie 1944 jako przykład wcielania się toposu, to dlatego, że rozterki grupy przywódców, powtórzmy, przypominały mi refleksje i czyny Hamleta, zaś samotność i śmierć powstańczej Warszawy, los szekspirowskiego bohatera, określony zasadą: HAMLET MUSI ZGINĄĆ. To wciskanie historii w schemat hamletyczny byłoby może niepotrzebne, gdyby nie ciągnąca się od prawie dwustu lat świadomość podobnego modelu, przymierzalnego do niektórych epizodów polskich dziejów. Do mojego „mierzenia Hamletem” przyczyniło się także to, że w tuż powojennej literaturze polskiej nawiązania do Hamleta, czy wyklinanie go, kryją niedwuznacznie w swoim podtekście adres do tej właśnie Polski walczącej, konspiracyjnej, samotnej i przegranej w swoim wysiłku ostatecznym, przynajmniej na czas jakiś. W tym wyklinananiu nie chodziło tylko o powstanie, bo nie było ono ostatnim i ostatecznym epizodem walki i konspiracji.

Proces szesnastu w Moskwie i fala procesów politycznych w Polsce aż po lata pięćdziesiąte, dziesiątki tysięcy poległych i straconych, to los jednostek samotnych, walczących o wolność, honor i *virtus* w sensie społecznym. Jakże długo trwała ta reszta, która była milczeniem. Za długo młodzież polska nie wiedziała, kto to był i jak zginął Leopold Okulicki, za długo nie pamiętała, ile lat przeżył w celi, zeznający jak bohater i skazany na śmierć Franciszek Niepokólczycki, który — zwolniony wreszcie w 1956 roku — nie doczekał się nawet oznak społecznego szacunku. System tępił zresztą nawet cień szacunku dla pokonanego przeciwnika. Przykładów takiego szacunku dla wrogów nie brak w starożytnych. Natomiast w komunizmie nie było już możliwe powtórzenie gestu tego generała rosyjskiego, który płakał po wejściu na redutę Sowińskiego na Woli, widząc zabitego Generała. Sądy

komunistyczne ferując wyroki na bohaterów walki z faszyzmem i totalizmem sowieckim, określały utratę praw obywatelskich i honorowych na zawsze, po wiek wieków, łącznie z utratą prawa do własnego grobu. Sztuczka na razie udała się władcy Klaudiuszowi — i rapier, i kielich był zatruty. Ale w historii nigdy nie ma ostatniego słowa.

Myśląc o takich, jak rozstrzelani pod Smoleńskiem, jak zamęczeni w sowieckich więzieniach i łągrach, spaleni w wielkim pożarze Warszawy na oczach widzów zza Wisły, zamordowani w swoich celach jak Fieldorf — szkicowałem swoje poetyckie zapiski do „polskiego” Hamleta. Zamieszczam je na końcu tego rozdziału.

## 2. OSTATNIA REDUTA DRUGIEJ RZECZYPOSPOLITEJ

*Leży Gajcy, nigdy się nie dowie,  
Że warszawska bitwa zeszła na nic.*

(Czesław Miłosz — *Ballada*)

Określenie „Powstanie Warszawskie”, które na wieki już zostanie w historii Polski, ma w sobie coś mylącego także, właśnie w słowie „powstanie”, jeśli odnieść je do długiego ciągu naszej historii, do okresu niewoli, między upadkiem Pierwszej, a powstaniem Drugiej Rzeczypospolitej. Słowo to, choć poprawne z punktu widzenia militarnego, to na tle historii — poprzez siłę analogii językowej — ustala jednak powinowactwo między wszystkimi polskimi powstaniami a bitwą warszawską. Spory terminologiczne nie zawsze są pozorne. Ten odbywający się na naszych oczach o pomnik — „Powstania” czy „Powstańców” — łatwo zakwalifikować jako spór między patriotyczną polską racją historyczną a falsyfikacjami propagandy realnego socjalizmu. Sprawa oczywista. Co mogłoby nam jednak przynieść mówienie o powstaniu warszawskim jako o „bitwie warszawskiej”?

Myśląc o powstaniu warszawskim cały czas usiłuję odbudować świadomość z tamtego okresu. Nic trudniejszego. Uważam, że nazwa „bitwa warszawska” mogłaby odbudowaniu tamtej świadomości narodowej bardzo pomóc. Bo powstanie warszawskie nie było takim samym powstaniem jak listopadowe czy styczniowe — po długotrwałej okupacji i starciu Polski z karty Europy. Była to niewątpliwie bitwa w ramach toczącej się i nie zakończonej wojny, w której brało udział polskie społeczeństwo suwerennej Drugiej Rzeczypospolitej, mającej swój legalny rząd

na emigracji i jego przedłużenia w kraju. Tej sytuacji nie zmienia fakt, że terytorium polskie znajdowało się pod c z a s o w ą okupacją niemiecką i sowiecką. Ciągłość wolnych instytucji II Rzeczypospolitej nie została zerwana. Co więcej — istniała świadomość narodowa związku z tamtą niepodległością i suwerennością kraju. Dla nas — myślę, że dla wszystkich, prócz komunistów — tamta Polska jeszcze istniała, walczyła nie tylko o swoją godność, ale także o swój niepodległy byt. Taka była prawda świadomości Polaków, niezależnie od dyskusji, jakie formy społeczno-ustrojowe ta Druga Rzeczpospolita po wojnie będzie posiadać. Takie dyskusje wszakże cechują życie wszystkich wolnych państw i narodów, także i wtedy, gdy nie znajdują się one w niewoli.

A jeśli tamta Polska — Drugiej Rzeczypospolitej — istniała jeszcze podczas toczącej się wojny, jako organizm legalny, ale także w najbardziej bezpośredniej świadomości i uczuciach Polaków, dla których wolność i suwerenność to było zaledwie w c z o r a j, to różnica między znaczeniem słowa powstanie w odniesieniu do „bitwy warszawskiej” a jego znaczeniem w stosunku do powstania listopadowego czy styczniowego rzuca się w oczy. Niech łaskawie pamiętają o tym ci, którzy używają zbitki pojęciowej: powstania polskie. Dla mnie powstanie warszawskie było ostatnią wielką bitwą na ziemiach polskich, stoczoną przez żołnierzy i społeczeństwo Drugiej Rzeczypospolitej, w ostatnim — i jak się zdawać mogło — ostatecznym wysiłku uratowania i przedłużenia bytu tej II Rzeczypospolitej. Dlatego właśnie myśląc o powstaniu warszawskim nadałem temu rozdziałowi tytuł „Ostatnia reduta Drugiej Rzeczypospolitej”.

Co innego bowiem — chcieć się wybić na niepodległość po dziesiątkach lat niewoli, a co innego toczyć wojnę i wydawać bitwę w obronie istniejącego organizmu narodowo-państwowego, w ramach toczącej się i nie zakończonej wojny. Już trochę zapomnieliśmy, jak dodaje siłą obrona niepodległości. Bo i tych, co ją w ogóle pamiętają, nie jest za dużo. Myślę, że dwudziestolecie nie było „szkołą bohaterów”, jak chce w swojej książce Steiner, o niepodległość po prostu chciało się walczyć, cokolwiek się przedtem o tamtej władzy państwowej myślało. Poświadczają to nawet niektórzy patrioci prokomunistycznej lewicy. „Ale krwi nie odmówi nikt” — pisał Broniewski. Tak, z niepodległości nie rezygnuje się łatwo. Ale niepodległość może też być kulą u nogi, jeśli trzeba właśnie ten wariant — jej utratę — wziąć pod uwagę. Rozpacz może wtedy zmieniać proporcje realnego świata, podpowiadać nierealną lub czasem samobójczą taktykę.

I tutaj, święta jeszcze w pamięci tych, co podjęli decyzję o powstaniu, niepodległość Drugiej Rzeczypospolitej okazała się nie



tylko atutem, ale i psychologicznym stygmatem. Ludzie nie mogli pogodzić się z nową sytuacją, w której trzeba było myśleć o walce w niewoli i zachowaniu sił na permanentną wojnę ze stalinizmem i komunizmem. A przyjęcie tego właśnie: walki w nowej niewoli, psychologicznie było najtrudniejsze. Śmierć wydawała się często lepsza niż utrata niepodległości na trwałe, zwłaszcza tym, którzy, jak na przykład Okulicki, uczestniczyli w kampanii 1920 roku. Prawdopodobnie większość sztabowców brała udział w tej kampanii. Ale nieznośna myśl o niewoli dotyczyła także młodego pokolenia akowskiego. W znanym wierszu *Czerwona zaraza* pisał na krótko przed śmiercią w powstaniu „Ziutek” — Józef Szczepański, żołnierz batalionu „Parasol”:

*Czekamy ciebie, czerwona zarazo,  
Byś wybawiła nas od czarnej śmierci,  
Byś kraj nasz przedtem rozdarłaś na ćwiertki,  
Była zbawieniem, witanym z odrazą.*

Pamiętam dobrze te nastroje pod koniec wojny. Pamiętam pocieszanie się przez sporządzanie surrealistycznych (nacjonalistycznych) map Polski: od morza do morza (Czarnego). A więc to, co i dziś uważamy za ważny punkt odniesienia — niepodległościowy model Drugiej Rzeczypospolitej, ocalający nas właśnie ideą niepodległości — w decyzji powstania odegrał paradoksalnie także złą rolę. Wojskowi rozumieli oczywiście, że z Armią Czerwoną otwarcie bić się nie będzie można, zarówno ze względów politycznych — postawiłoby to przeciw nam wszystkich sojuszników — jak i ze względu na absurd wojskowy. Losy „Burzy” na terenach wschodnich i los AK, więzionej i także rozstrzelwanej, to było dociśnięcie do muru.

Więc nagle trzeba było rozważyć przestawienie na inny typ walki, na długotrwałe podziemie. Cała organizacja wojskowa i wieloletnie wysiłki niepodległościowe zmieniały swój charakter. Okropna sytuacja. A ponieważ istniał jeszcze, mimo wszystko, pewien kredyt zaufania wobec sojuszników zachodnich, rzucono się w szansę powstania. Książka Steinera mówi jasno, że sztabowcy rozważali wszelkie warianty. Uwzględniali i prowokację polityczno-militarną ze strony Związku Sowieckiego, i zatrzymanie się Armii Czerwonej, nawet w korzystnej dla niej sytuacji militarnej. Jednak za mało liczono się z bezwzględnym podporządkowaniem przez Stalina strategii Armii Czerwonej celom politycznym. A tak właśnie się stało. Osobiście myślę, że Stalin nie zawahałby się przed odcięciem od tyłów i wydaniem na pastwę Niemcom własnej dywizji, gdyby tylko przeszkadzała ona Niemcom w zniszcze-

niu powstania. Niszczenie powstania przez samą Armię Czerwoną byłoby już trudniejsze ze względu na opinię międzynarodową. Na to właśnie liczyli sztabowcy AK. Należało jednak — wobec braku całkowitej pewności sukcesu — zrezygnować z powstania, a to było ponad siły dla większości sztabu, a pewnie także dla wielu szeregowych żołnierzy AK. Gdyby jednak nie sztab, to — wbrew dość rozpowszechnionemu pogładowi — do powstania by nie doszło, co najwyżej do sporadycznych walk, szarpiących Niemców. Była to przecież zdyscyplinowana organizacja wojskowa.

Polska była jedynym krajem mającym tak tragiczną politycznie sytuację. Francja, Anglia, Stany Zjednoczone były bezpośrednio zagrożone tylko przez Niemców i ich sojuszników. Polska znalazła się pomiędzy dwoma państwami totalitarnymi, z których Związek Sowiecki stał się na chwilę tylko sojusznikiem, gdy chodziło o perspektywę zgniecenia Niemiec. Żeby zrozumieć położenie polskiego rządu w Londynie i Komendy Głównej AK, wystarczy pomyśleć, że układanie się ze Związkiem Sowieckim i Armią Czerwoną było podobne do układania się z hitlerowcami, gdyby to oni zaczęli zwyciężać... Związek Sowiecki był faktycznie państwem zaborczym, a jednocześnie w stanie wojny z Polską, przynajmniej moralnie, jako że we wrześniu 1939 roku upadający rząd sanacyjny zaniedbał ogłoszenia ZSSR agresorem. W tej sytuacji Sikorski i Mikołajczyk poszli na ogromne ustępstwa układając się ze Stalinem. A jednak w tym 1944 roku wyjście było tylko jedno: trzymać się koncepcji nowego podziemia, zgodzić się na utratę połowy terytorium i podstawowych dla kultury polskiej miast: Lwowa i Wilna. Starać się, aby polska opozycja była jak najsilniejsza. Choć warto zauważyć, że problem rekompensaty na zachodzie był jeszcze wtedy mglisty i niepewny. W warunkach silnej polskiej opozycji, wspartej rozbudowanym podziemiem, Stalin, niepewny Polski, stawiałby na „swoje” Niemcy.

Było to trudne psychologicznie, a jednak konieczne — nie uzależniać wszystkiego od tej jednej bitwy. Ocalałoby się w ten sposób pokolenie wyrosłe w warunkach wolności i niepodległości Drugiej Rzeczypospolitej. Trudno to przecenić, niezależnie od pretensji do lat międzywojennych. To pokolenie zostałoby może zdziesiątkowane przez stalinizm, ale oddziałyłoby na kształt i wygląd przyszłej Polski niezależnie od tego, kto by w niej rządził. Trzeba jednak pamiętać o tym, że decyzja utworzenia podziemia skierowanego przeciw Sowiетom nie była identyczna z modelem podziemia walczącego z Niemcami. Wszyscy — wojskowi i cywilni politycy — zdawali sobie z tego niewątpliwie sprawę. Jeśli naród był zwarty wobec Niemiec hitlerowskich, to wobec Rosji sowiec-

kiej był o wiele bardziej podzielony. Istniały różne koncepcje społeczne i polityczne, także wpływy komunistyczne, choć nie należy ich przeceniać. Skłóceniom w elicie londyńskiej i jej krajowych odpowiednikach odpowiadały skłócenia w masach. Podziemie i konspiracja nie mogły już liczyć na poparcie całego narodu, byłyby przez część tego narodu dekonspirowane, co przecież miało miejsce w latach tuż powojennych. Istniało też pytanie, czy po tylu latach terroru dwu okupantów stać było ludzi na dalszą, ostrą i długą walkę?

Pamiętajmy, że niesłychanie trudne są przeorientowania tak radykalne, do jakich było zmuszone społeczeństwo i wojskowa elita Armii Krajowej. Do 1941 roku można było liczyć, że alianci w długiej wojnie pokonają Niemcy hitlerowskie i że Rosja ograniczy się do swojej aneksji z 1939 roku. I że potem nie zacznie walki ze światem zachodnim. Wątpię zresztą, aby taka wersja historii — z długą wojną z Niemcami bez udziału Rosji, wygraną w końcu, i oswobodzeniem nas przez aliantów zachodnich — była wersją prawdopodobną. Bo gdyby nawet Hitler nie napadł na Związek Sowiecki i gdyby Związek Sowiecki nadal pozostał jego cichym sojusznikiem — to przestałby nim być w momencie, gdy losy wojny przesądziłyby już upadek III Rzeszy. Stalin wypowiedziałby wtedy wojnę Niemcom, w ostatniej chwili, tak jak wypowiedział ją Japonii, by — jak hiena — zebrać łupy z pobojowiska i obedrzeć trupy. Czy za to obdzieranie trupa nie zażądałby przynajmniej Polski, w której miałby swoją armię (o krajach bałtyckich już nie ma co mówić)? I czy by jej nie otrzymał? I może do czerwca 1941 roku nie wszyscy przypuszczali, że tak czy inaczej Rosja na czas jakiś stanie się sojusznikiem świata zachodniego. Potem — do Stalingradu — możliwa była koncepcja, że zostanie zniszczona najpierw Rosja Sowiecka, a następnie Niemcy. Ale pierwsza wojna światowa nie chciała się już powtórzyć.

W 1944 roku dla trzeźwo myślących sztabowców koncepcja inna niż powstanie oznaczała niewolę. Niewątpliwie mieli rację, tyle że w niewoli także można walczyć. Był narodowy mierzy się długimi okresami. I trudno też odmówić im racji, gdy uważali — nigdy już nie wywikłamy się z tego myślenia alternatywnego — że jest jakaś szansa, i wiedzieli, że losy kraju nie rozstrzygną się ani pod Monte Cassino, ani pod Bolonią czy Falaise, jak nie chciały się rozstrzygać pod Samosierrą czy Saragossą. Zdecyduje walka w kraju. Ale czy koniecznie — myślimy dzisiaj — powstanie? Czyli jedna bitwa — warszawska? Los Jugosławii — gdzie zdecydowała silna partyzantka tego kraju, daje do myślenia, choć analogia to częściowa, ze względu na nieobecność tam Armii Czerwonej i pojałtańskie strefy wpływów. Ale przykład

Węgier, gdzie zwycięża w pierwszych wyborach, przecież nie komunistyczna, partia drobnych posiadaczy, czy przykład Czechosłowacji — niekomunistycznej do 1948 roku — czy nie daje do myślenia? Gdyby więc cała Armia Krajowa zachowała siły tylko dla walki o wewnętrzną władzę legalnego rządu, nie angażując się zgoła — poza lokalnymi potyczkami — w walkę z ustępującą armią niemiecką?

Ale byli to jednak wojskowi. Tak długofalowe scenariusze jak te, które tu buduję, w ogóle nie były praktycznie rozważane. Mieli także instrukcje rządowe i taktykę długofalową, gdzie przeżyła koncepcja ujawniania się wobec Armii Czerwonej. Ta taktyka była rewidowana lokalnie, ale nawet po doświadczeniach Wilna i Wołynia nie zdobyto się na dalej idące posunięcia. Pamiętamy, że na samej górze toczyła się międzymocarstwowa gra polityczna, a Mikołajczyk wybierał się do Moskwy.

Popełniony błąd oceny militarnej powstania wiązał się z błędami scenariusza politycznego, w którym za mało uwzględniono wariantów. Były w związku z tym nawet naiwności w szczegółach planowanej operacji warszawskiej. Zakładano na przykład, dowody w różnych relacjach, także u Steinera, że Warszawa zostanie opanowana na 12 godzin przed wejściem Armii Czerwonej, by dać władzy cywilnej czas na objęcie funkcji (sławetna chęć powitania Rosjan na Moście Poniatowskiego, który, mówiąc nawiasem, raz już odegrał dwuznaczną rolę, w 1926, teraz jednak po prostu wyleciał w powietrze). A gdyby się ujawnić równocześnie z walkami ulicznymi, w chwili, gdy ciężkie czołgi sowieckie wypierałyby niemieckich grenadierów z Panzerfaustami? A nawet gdyby dopiero w dziesięć godzin później Warszawa zakwitła biało-czerwonymi opaskami żołnierzy AK, broniących dostępu do gmachów ze sztabem AK i administracją cywilną rządu londyńskiego na kraj? Nie widzę żadnej różnicy w skutkach politycznych w stosunku do tych „dwunastu godzin wcześniej” — poza dumą wojskowych że s a m i oswobodziliśmy Warszawę. Bo gdyby nawet PKWN przyjechał dwa dni później, po ujawnieniu się Delegata Rządu, to co? I tak po kilku dniach sytuacja ostrej walki byłaby podobna. Tu bez wahania stwierdzam: to że nie chciano trochę poczekać było niedomyśleniem politycznym! Zresztą Stalin mógłby nie uznać ukonstytuowanego rządu w Warszawie, tak jak przestał dla niego istnieć rząd polski w 1939 roku, a potem rząd emigracyjny w roku 1943!

Jedną z idei przewodnich książki Steinera, ale przecież i dość żywotną tezę publicystyki politycznej w Polsce, jest przekonanie, że charakter narodowy Polaków zakłada poświęcenie się. Łatwo

jest argumentować taką tezę. Trzeba jednak pamiętać, że żaden z narodów zachodniej Europy nie stanął oko w oko z dwoma współczesnymi totalitaryzmami, z dwoma nieludzkimi ustrojami XX wieku naraz. Wbrew pozorom, to właśnie małe państwa nie mogą sobie pozwalać na przegrane, i muszą walczyć, jeśli nie chcą zostać pochłonięte. A jeśli argumentować ofiarnictwem, to należałoby wtedy może do poświęcania się zaliczyć także obronę Warszawy w 1939 roku i kampanię wrześniową. Mogliśmy przecież zdecydować los polski jako los nowego *Blitzanschluss*'u, jak w Austrii czy Czechosłowacji. A jednak podkreślamy dzisiaj, że ci, co zdecydowali się bronić Polski w kampanii wrześniowej, patrzyli daleko, tak jak de Gaulle jako jedyny wybitny polityk w sztabie francuskim z historyczną wyobraźnią pojął zabójczość nazizmu niemieckiego i oparł się przyszłej polityce rządu Vichy i sędziwego pogromcy Niemców z pierwszej wojny światowej, Pétain'a.

Tutaj oczywiście można by napisać, że Francja zyskała na istnieniu rządu w Vichy. Miała okupację łatwiejszą, nieliczny legion francuski na froncie wschodnim nie odegrał żadnej roli w powstrzymaniu zwycięstwa koalicji antyhitlerowskiej, same zyski. A gdyby założyć, że de Gaulle umówił się z Pétain'em? — „Pan, panie marszałku, będzie udawał, że Francja jest sojusznikiem Niemiec, a ja będę grał inną rolę i będę ratował jej honor, na wypadek zwycięstwa koalicji antyhitlerowskiej...”. „Oszczędzimy substancję materialną i społeczeństwo Francji; ocalimy także jej honor...”. Wiemy jednak, co myśleć o Wallenrodach. Pétain nie był Wallenrodem, gdyż wtedy, po wylądowaniu alianatów w Afryce i wkroczeniu Wehrmachtu do „zone libre” uszedłby z flotą, zamiast zatapiać ją i masakrować w Tulonie. Taka to była i gra. Jeśli jednak nawet rozumowanie to byłoby dobre dla Francji, dla Polski było już chyba niemożliwe po 23 sierpnia 1939 roku. Na Polskę czyhały dwie obce potęgi. Przymierze z Niemcami hitlerowskimi też groziłoby okupacją sowiecką. A sojusz ze Związkiem Sowieckim? Można podobny sojusz zawierać z państwem totalitarnym tylko w nadziei, że ono upadnie, gdyż inaczej sojusz zmienia się w niewolę trwałą. Może na ten upadek Niemiec liczył Pétain?

Politycy polscy (a po nich de Gaulle) ujrzeni we właściwej perspektywie totalitaryzm hitlerowski. Ale i sowiecki przecież. Ugoda mogłaby być tutaj tylko taktyką, choć los takiej ugody mógł być równie nieobliczalny, jak los powstania. Łatwiej dużo mówić z perspektywy dzisiejszego doświadczenia. Ci, którzy wtedy pamiętali masowe deportacje Polaków do Związku Sowieckiego, którzy wiedzieli o losie Ukrainy na początku lat trzydziestych

(miliony ludzi zagłodzonych na śmierć), o deportacjach całych narodów, zastanawiali się, jaki będzie los Polski i czy nie stanie się ona następną sowiecką republiką, w której zginą i z której zostaną deportowane miliony, a inteligencja zostanie zniszczona w łagrach. Jeśli chcemy zrekonstruować stan świadomości politycznej ludzi podejmujących decyzję o powstaniu, musimy i to wziąć pod uwagę. Ale czy chęć walki z niewolą miała tylko jeden scenariusz — powstanie?

Wskazany wyżej naiwny szkic politycznego scenariusza „powstania” na moście Poniatowskiego, prowadzący do błędu militarnego, czy by zaistniał, gdyby nie współczynnik „ofiary”? Komu trudniej się poświęcić, ten zastanawia się dłużej i lepiej. Jeśli jednak odegrał rolę model ofiary, to jaki? Trudno szukać mitu ofiary w tamtych zamysłach politycznych i wojskowych, on istniał w nadbudowanej atmosferze kulturowej. „Na stos rzuciliśmy swój życia los” — śpiewali legionści w pierwszej brygadzie. A więc literatura. A więc także „kamienie na szaniec”, te wszystkie gesty ukazywane apologetycznie, ale i polemicznie. Zresztą polemika też ewokuje mit ofiary. Postawę czynu zbrojnego kupuje się często wraz z wątpliwą stroną mitu, jeśli podobne wątki nie zostały dostatecznie przepracowane w świadomości narodowej. A trzeba niestety zauważyć, że nie zostały, zabrakło czasu. Euforii drugiej niepodległości, z perspektywy posiadania tej niepodległości, przeszły mit ofiary już nie przeszkadzał. Więc stawała się tylko literaturą ofiara młodziży w *Dziadach*, zakrwawiona reduta w *Warszawiance*, rozmowa Cedry z Napoleonem w *Popiołach*. Wyparowała analiza historyczna kryjąca się poza tymi sprawami. O ile wiem, ofiara filomatów w *Dziadach*, budząca szacunek, nigdy nie wzbudziła poważniejszej dyskusji nad stopniem zakonspirowania tej działalności i możliwą lekkomyślnością (na przykład Malewskiego w rozmowie z Wielkim Księciem). Mit działającej postaci jest skuteczny i pozytywny, jeśli jego obrys jest dostatecznie wyraźny i jeśli realna kultura polityczna, trzymająca się ziemi, ma w danym narodzie czy społeczeństwie dobrze ugruntowane trwanie i tradycję.

W każdym razie z dzisiejszego rachunku wynika, że popełniono błąd najstraszliwszy — 1 sierpnia powstanie nie miało przed sobą szans ani militarnych, ani politycznych. 31 lipca koszt powstania można było oceniać o wiele niżej, przeszły one wyobraźnię sztabowców i polityków, co zresztą nie najlepiej o nich świadczy. Oczywiście, przekaz ideowy i moralny tej bitwy, co stała się powstaniem — walka z faszyzmem niemieckim i sprzeciw wobec totalitaryzmu sowieckiego — stanowi wysoki model oporu narodu przed ztratą swego „jestestwa”. Myślę,

że nie jesteśmy dziś w stanie ocenić, co zyskałobyśmy, a co stracilibyśmy przez powstanie w bilansie przyszłości.

Niepocieszające także — powiedzmy to jeszcze raz — jest myślenie o tym, co by się stało, gdyby powstanie zostało uwieńczone sukcesem? Wehrmacht nie broni Warszawy, były to rzeczywiście tylko niedobitki uciekającej armii, i równocześnie z kilkoma czołgami sowieckimi przekraczającymi most Poniatowskiego spełnia się marzenie delegata na kraj, Jankowskiego — spotyka na moście, jako gospodarz, wysokich przedstawicieli dowództwa sowieckiego. Potem, wariant I: następnego dnia, gdy główne siły frontu białoruskiego zajmują Warszawę, przybywa żandarmeria i NKWD, następuje próba unicestwienia polskiej władzy. Co wtedy? Bronimy się. Drugie powstanie? Przeciw Armii Czerwonej, silnej, wygrywającej wojnę, armii *de nomine* sojuszniczej? Jakimi siłami? Wszystko wskazuje na to, że stałoby się jak w 12 lat później w Budapeszcie. Powstanie takie, antysowieckie, zostałoby ogłoszone wobec świata jako profaszystowskie, prohitlerowskie, a Polacy (źli Polacy!) zostaliby uznani za sojusznika Niemiec. Zaś Anglicy, Amerykanie, Francuzi i tak uznaliby rząd PKWN-u. Bo to przecież niewiarygodne, żeby Stalin wypuścił z łap Polskę, której terytorium już prawie miał — tylko z powodu „londyńskiej” Warszawy? Wariant II: „czeski”. Pamiętamy o *coup de Prague* w roku 1948. A zresztą u nas oba warianty też częściowo zrealizowały się. Pierwszy — przez aresztowanie rządu w Pruszkowie i proces szesnastki w Moskwie, na Zachodzie nikt nawet nie mrugnął... Mikołajczyk w tym czasie uznawał Stalina za partnera bezpośredniej rozmowy, biorąc tę hańbę za obowiązek. Naród przebaczył, ale nie kocha go, mimo późniejszych zasług. Drugi wariant zrealizował się poprzez zniszczenie PSL-u, sfałszowane skutecznie (a więc i przegrane) wybory w 1947 roku, ucieczkę męża stanu, starającego się w ciężarówce upodobnić do jakiegoś opakowania...

Było więc powstanie może tylko przedwczesnym aktem rozpacz, a w takim razie zasadnym byłoby porównanie z gestem Orдона wysadzającego redutę w mitycznym wierszu Mickiewicza? A co pozostawało? Owszem, coś pozostawało. Zdecydować się na długą i niepewną walkę, a nie rzucać wszystkiego na szalę „jednej bitwy”. Ale gdyby się udało? Ta uzbrojona Warszawa, pełna tajnych drukarni i zakonspirowanych żołnierzy — to było nie byle co! Właśnie jako etap długofalowej walki. Więc dlaczego napisałem wyżej o przykładzie rozpaczliwym Budapesztu? Bo gdy buduje się hipotetyczną historię, uwzględnia się wszystkie rzeczy nie wykluczone. Czy warto to dziś robić? Warto także po to, aby odbudować świadomość tych, co decydowali

o powstaniu, i ujrzyć tę gorączkę, z jaką stawiali sobie hipotezy tego, co może być dalej. Cały ten gąszcz, coraz mniej koherentny, gromadzonych tu i zbijanych argumentów, przyczynków i hipotez — właśnie jest po to!

Ciekawe, że u Steinera, w konstrukcji i treści książki istnieją podobne niekoherencje. W końcu wbrew autorowi, wbrew anonimowości, przez którą poświadcza on jakby nieunikniony polski nurt historii (do czego ma należeć i decyzja o powstaniu) — historia okazuje się w tych relacjach nie ciągiem faktów zdeterminowanych, ale wynikiem walki sprzecznych racji spierających się ze sobą ludzi. Istniała przecież walka, a nawet skłócenie władz politycznych Polski na emigracji, a także wewnątrz Polski podziemnej, a więc i wojskowej. Pogranicze spisku, puczu. To też przyczyniło się do wydania owej błędnej decyzji powstania. Te rewelacje u Steinera, sygnalizowane przez aluzje Pużaka czy Jankowskiego, pozostają niedomówione. Ale w historii politycznej państw nowożytnych wiele jest takich wydarzeń, skłóceń, nieporozumień. Ani fakt, że Sosnkowski (przeciwnik powstania) był przygotowany w chwili wizyty Mikołajczyka w Moskwie do wojskowego puczu (w sytuacji frontowej!), ani ostra rywalizacja polityczno-organizacyjna w Komendzie Głównej AK (Tatar — Pełczyński i „Bór”), nie są niczym nadzwyczajnym i należałoby póki czas — jeśli już nie minął — wydobyć z zakamarków pamiętników i pamięci owe rewelacje, jeśli istnieją.

Jedno jest pewne. Owo wewnętrzne skłócenie wskazywało, że były różne możliwości. Jeśli w jednej z relacji pojawia się cień Hamleta i jego wątpliwości, to niewątpliwie jest to analogia trafna. Wiemy, że to pułkownik Tatar mówił o sytuacji hamletycznej. Więc jak? Fatum? Ale Hamlet to tragedia o paradoksach wolności i decyzji. Jeśli zważyć, że oni wszystko wiedzieli i przewidywali, to czy nasz byt narodowy podlegał fatum? Hamlet igra właśnie z fatum i mówiąc „być albo nie być”, sam decyduje. W końcu okazuje się, że los jest silny, wciąga go, ale wolność została zaakcentowana w większym o wiele stopniu niż w wypadku tragedii greckiej, Orestesa czy Edypa. Bo Hamlet to już era nowożytna, nowoczesnego pojmowania wolności.

Jeszcze o tytule tego podrozdziału: to że wszystkie opisywane wypadki, i na ich temat hipotezy, dotyczą obszaru „reduty Drugiej Rzeczypospolitej” — określa, że dzieją się one na obszarze — jakby nie była ograniczona — wolności. Tej sfery wolności dotyczy właśnie to wiekopomne pytanie przytoczone u Steinera, a wypowiedziane przez jednego z oficerów sztabu (Szostaka), przychodzącego na odprawę po południu 31 lipca i dowiadującego



się, że jest już po decyzji: „Jak to, wydał pan rozkaz nie poradziwszy się Iranka, szefa II Oddziału, ani mnie?”. A więc: JAK TO, BEZ NAS? Takie zdanie mogłoby zostać wyjęte z tekstu tragedii, mimo że padło w życiu. Jakby ślepy los nie zważał na zdanie jednostek czy grup i musiał się dokonać. Ale można na ten „los” spojrzeć inaczej. Jako na wynik samowoli, pomyłki, błędu. Bo jednak zawarty w dokumentach ten wielogłosowy „chór” świadków historii Powstania, mimo wypowiedzianych nieraz sprzecznych racji, ale także dlatego, że jest sprzeczny, wykazuje dowodnie, że nie był chórem fatalistycznej tragedii antycznej, lecz nowożytną, wieloaspektową racją ludzi, do których należy duży kawałek wolności i wolnej decyzji. W 1944 roku w Warszawie mógł się odbyć jakiś epizod polskiego dramatu, nie musiało dojść do narodowej tragedii, choć sytuacja podbudowana była tragicznością i dobrych wyborów nie było. Jest w tych wszystkich relacjach historycznych o naradach poprzedzających powstanie coś z dramatu scenicznego czy filmowego. Tych kilkanaście dni poprzedzających powstanie miało gęstość jedną z największych w naszych dziejach, jeśli chodzi o ośrodki decyzyjne. Potem nastąpiły 63 dni najgęstsze, jeśli chodzi o walkę, bohaterstwo, zagładę i wolę przetrwania. Walka o wolność, jej utrata, i przesłanie do całej późniejszej walki o wolność.

Ale gdyby tak około świąt Bożego Narodzenia lub raczej około sierpniowej rocznicy przyszedł do mnie Aktor i oświadczył, że chce grać Powstanie i że chce porozmawiać o Powstaniu —

— odpowiedziałbym, że — o Powstaniu myślę aż nazbyt często i choć zawsze z przykrością, mogę porozmawiać o Powstaniu —

— że — o Powstaniu czytywałem ciągle i wiele ustępów jeszcze umiem na pamięć i Powstanie — znam —

— ale grać go jeszcze nie można, bo nie napisano jeszcze o Powstaniu całkowicie prawdziwego MITU, a może i dlatego, że gra się ono jeszcze w rzeczywistości —

— i że wobec tego w rocznicę Powstania lepiej mówić na razie — o polskim Hamlecie.

*Jacek TRZNADEL*

Emanuel HALICZ

## ALEKSANDER II — MICHAŁ GORBACZOW

Polityka M. Gorbaczowa zainicjowana przezeń po objęciu stanowiska generalnego sekretarza KPZS w 1985 roku i wyłożona szerzej w jego pracy *Pieriestrojka i nowoje myslenie dla naszej strany i dla wsiego mira* (1987) jest centralnym problemem w życiu politycznym całego świata. Tysiące artykułów ukazało się na łamach prasy światowej, niektóre fundacje, m.in. socjaldemokratyczna Fundacja im. Friedricha Eberta, uznały *Pieriestrojkę* za dzieło roku. Nie wchodząc w metoryczną ocenę pracy Gorbaczowa, chcę pokazać, że zjawisko zwane w skrócie *pieriestrojką* i *glasnostią* nie jest w dziejach Rosji czymś zupełnie nowym.

W żadnym innym kraju na świecie problem zwany przez historyków i politologów *continuity and change* nie występuje tak wyraźnie, jak w historii Rosji, przy czym dotyczy to nie tylko polityki zagranicznej Rosji, o czym niejednokrotnie i w wieku XIX i obecnie pisano. *Continuity and change* dotyczy także polityki wewnętrznej Rosji carskiej, jak i sowieckiej.

Historia się nie powtarza. Choć podobieństwa są uderzające, istnieją oczywiste różnice między różnymi okresami historycznymi. Przeprowadzenie paraleli między zjawiskami z różnych epok bynajmniej nie oznacza, że zjawiska są identyczne.

Zastanawiając się nad obecnymi planami przeobrażeń M. Gorbaczowa, doszedłem do wniosku, że *pieriestrojka* i *glasnost'* są bardzo pokrewne epoce posewastopolskiej w Rosji, to jest epoce reform, dokonanych w latach 1856-1874 przez Aleksandra II.

Do ich dokonania zmusiły cara takie czynniki, jak katastrofalna porażka Rosji w wojnie krymskiej, w której rozpadł się mit o wojskowej wszechpotędze Rosji, oraz dotarcie do świadomości kół, nawet blisko stojących cara, że Rosja to olbrzym na glinia-

nych nogach, pozostający w każdej dziedzinie życia, a zwłaszcza w dziedzinie ekonomicznej i technologicznej, daleko w tyle za przodującymi krajami Europy zachodniej.

Tym głównie, jak i obawą przed ruchami społecznymi, buntem chłopskim na podobieństwo pugaczowszczyzny, wyjaśnić można fakt, że już 30 marca, w dniu podpisania Traktatu Paryskiego ze zwycięzcami wojny krymskiej, Aleksander II w adresie do szlachty moskiewskiej guberni zapowiedział reformy, używając znamienych słów: „Istniejący system pańszczyźniany nie może pozostać. Lepiej znieść pańszczyznę odgórnie, niż czekać aż zostanie zniesiona oddolnie”.

Reforma społeczna wymagała usprawnienia innych dziedzin życia. Stąd też nastąpiły chronologicznie: reforma życia uniwersyteckiego z 18 czerwca 1863 r., ustawa o ziemstwach z 1 stycznia 1864 r., reforma systemu sądownictwa z 25 listopada 1864 r., nowa reforma prasy z 6 kwietnia 1865 r., rozporządzenie o żydowskich rzemieślnikach z 28 czerwca 1865 r., ustawa o samorządzie miejskim z 16 czerwca 1870 r., w końcu ustawa o powszechnej służbie wojskowej z 1 stycznia 1874 r.

Cel tych reform był jednoznaczny — ożywić życie ekonomiczne i społeczno-kulturalne w kraju. Ale zasadniczy warunek musiał być spełniony. *Władza cara nie mogła być uszczuplona ani kwestionowana*. Nie było mowy o utworzeniu parlamentu, o udziale społeczeństwa w podejmowaniu decyzji na szczeblu państwowym czy też o utworzeniu rządu w nowoczesnym tego słowa znaczeniu. *Rosja pozostała nadal krajem rządzonym absolutnie*.

Reformy, zwłaszcza najważniejsza z nich, dotycząca z górą 50 milionów chłopów, choć formalnie uczyniła ich wolnymi, w istocie miała charakter grabieżczy, ponieważ chłopci otrzymali tylko część ziemi, z której poprzednio korzystali i płacić za nią musieli obszarnikom haracz przez długie dziesięciolecia oraz nadal wykonywać przeróżne powinności wobec dworu.

Rosja spodziewała się, że w wyjściu z zacofania ekonomicznego, w budowie sieci kolei żelaznych i obiektów przemysłowych może liczyć na pomoc zachodu, głównie Francji. Chodziło jej zarówno o otrzymanie na korzystnych warunkach kapitałów, bo skarb państwa był pusty, jak też o pomoc technologiczną. Pomoc tę początkowo otrzymała, ale plany rosyjskie zostały tylko częściowo zrealizowane, ponieważ kapitaliści francuscy nie osiągnęli korzyści, jakich się spodziewali.

Aby pozyskać liberalną opinię publiczną w Europie, zwłaszcza we Francji, Rosja czyniła wysiłki, aby przedstawić się jako kraj liberalny. Tę politykę dość konsekwentnie i umiejętnie realizował mianowany w kwietniu 1856 roku Aleksander Górczakow, mający opinię liberała. Jego okólniki i sposób argumentowania przemawiały do wielu liberałów i polityków, zwłaszcza we Francji. Pomogła mu też reputacja frankofila. Polityka ta mimo zygzaków utrzymała się do 1863 roku, gdy okazało się, że Rosja w stosunku

do polskiego powstania odniosła się może jeszcze bardziej brutalnie, niż Mikołaj Pałkin w 1831 roku.

Warto wspomnieć, że Rosja sięgnęła do starych praktyk, polegających na wykorzystaniu różnych metod propagandowych zmierzających do zdobycia opinii publicznej na Zachodzie. Nie małe usługi oddała jej prasa. Szczególną rolę w przedstawianiu Rosji jako kraju liberalnego i dążącego do pokoju odegrał wychodzący w Brukseli i uchodzący za pismo liberalne *Le Nord — Journal International*, stworzony przez rosyjskie ministerstwo spraw zagranicznych i stale przez to ministerstwo subwencjonowany. Artykuły w *Le Nord* miały wyjaśniać politykę rosyjską. Wiele z nich było nie tylko inspirowanych przez gabinet rosyjski, ale pono pisanych przez samego Gorczakowa. Co więcej, Gorczakow wykazywał dużą elastyczność: z jednej strony dążył do zbliżenia z Francją, zakładając, że Napoleon III pomoże Rosji w jej dążeniu do zmiany postanowień Traktatu Paryskiego, nakładających na Rosję restrykcje dotyczące jej roli na Morzu Czarnym i Bałkanach, z drugiej zaś dbał o bliskie stosunki z Prusami i państwami niemieckimi. *W gruncie rzeczy uważał jednak, że nie sojusz z jednym czy drugim mocarstwem Europy, ale skłócenie Francji i Anglii będzie najbardziej korzystne dla Rosji.* W tym dążeniu nie był osamotniony. Podobne myśli znaleźć można w artykułach pióra znanego słowianofila N. Danilewskiego. Rosja życzyła sobie pokoju w Europie, ale jednocześnie w imię „misji cywilizacyjnej” sięgała po nowe terytoria w Azji środkowej i na Dalekim Wschodzie.

Zakres reform przeprowadzonych w latach 1856-1875 był ograniczony, ale wzmocnił pozycję cara „oswobodziciela” i jego reputację liberała. Nawet Herzen początkowo uwierzył, że car przeprowadzi głębokie reformy. Takich złudzeń nie żywił natomiast Czernyszewski. Car miał też, mimo ograniczonego charakteru zmian, licznych przeciwników. Napotykał na opór większości obszarników, biurokracji oraz tzw. partii niemieckiej, grupującej się wokół dworu. Byli oni przeciwni reformom i zbliżeniu z Francją. W końcu zwyciężył kurs antyreformistyczny. Tyle o przeobrażeniach wewnątrz Rosji po 1856 roku, przeobrażeniach, które mimo wszystko odbiły się korzystnie na dalszym życiu i rozwoju Rosji.

Warto zastanowić się, czy istnieją jakieś wspólne punkty w zakresie celów, jakie przyświecały Rosji w połowie XIX wieku i obecnie Gorbaczowowi, i w zakresie taktyki i strategii zmierzającej do osiągnięcia celu. Czy okoliczności, w jakich podjęto obecne reformy, są podobne? Wydaje mi się, że tak, mimo, iż różnice są oczywiste i olbrzymie. Inny jest okres historyczny, inne stosunki. Trudno jeszcze dziś ocenić skutki porażki militarnej i politycznej ZSSR w Afganistanie. Ale po raz pierwszy od 1917 roku komuniści zmuszeni zostali do wyjścia z kraju przez nich ponad osiem lat okupowanego. Niezwyciężona dotąd armia nie potrafiła oprzeć się „wojnie ludowej”. Teoria Henryka Ka-

mieńskiego, wyłożona 125 lat temu w jego pracy „Wojna Ludowa”, sprawdziła się w pełni dopiero w Afganistanie. „Wojna ludowa — pisał — walką jest pognębionych przeciw panom tego świata, słuszności przeciw ludzkiej samowoli. Słaby może zwyciężyć mocarza ziemskiego, gdy ten ostatni potęgą swą podtrzyma to, co koniecznie upaść powinno. A koniecznie upaść powinno to, co przemoc wystawiła, a co bez przemocy nie mogłoby stać... Wojna ludowa — dowodził Kamiński — najwyższym jest wyrazem narodowego powstania, a jedynym na świecie sposobem użycia wszystkich bez wyjątku narodowych sił do obrony ojczystej ziemi”.

Porażka w Afganistanie nie jest zapewne najważniejszym powodem, dla którego podjęto w ZSSR próbę reform. Istnieją powody ważniejsze. Ustrój komunistyczny nie zdaje egzaminu. Mam na myśli załamanie ekonomiczne i technologiczne oraz marazm w ZSSR po okresie panowania Breżniewa, przy czym regres notuje się nie tylko w stosunku do USA, Europy Zachodniej i Japonii, ale może też wkrótce w stosunku do Chin. Załamuje się też system rządów w Europie środkowo-wschodniej pod rządami komunistów, a w krajach znajdujących się pod rządami komunistycznymi w Trzecim Świecie panuje nie tylko regres, ale głód (Etiopia, Wietnam). Nie wiem, czy w gronie doradców M. Gorbaczowa jest wielu historyków, ale uderza zbieżność metod stosowanych przeszło 100 lat temu i obecnie. Nie jest to jednak na pewno tylko powtórka. Zespół argumentów używanych obecnie jest bogatszy, sytuacja bardziej skomplikowana zarówno w ZSSR, jak i na świecie. Inne jest też miejsce ZSSR. Wiele jest zachęcających propozycji i idei w pracy Gorbaczowa. Słuszne są słowa, że przy pomocy wojny atomowej żadnych problemów rozwiązać nie sposób. Zachęcające są słowa pod adresem Europy zachodniej. Wiele w nich zachęty do współpracy. Wyraźne kokietowanie. Cel oczywisty, chyba podobny jak po 1856 roku. Jakie będą wyniki dla ZSSR i Europy, trudno przewidzieć.

Wynikają też inne pytania. Czy możliwa jest zmiana dotychczasowego biegu dziejów Rosji, sposobu jej myślenia, mentalności rosyjskiej? Czy Rosja sowiecka jest zdolna do przewartościowania swej historii i zrezygnuje z roli, jaką sobie przypisywała w poprzednich wiekach i po zwycięstwie komunistów od 1917 roku? Czy obecny monopartyjny system daje gwarancje trwałości zmian? Czy ulegnie zmianie stosunek Kremla do krajów satellickich? Pytania można mnożyć. Nie sposób na żadne z nich obecnie odpowiedzieć.

Historia nie jest może nauczycielką życia, ale na pewno spełnia pożyteczną rolę w zrozumieniu zjawisk przebiegających obecnie w Rosji, o której Herzen pisał: „Rosja jest zupełnie innym światem, ma własną, jej tylko swoistą drogę rozwoju, odrębny charakter, ani europejski, ani azjatycki, ale słowiański”.

*Emanuel HALICZ*

S.W.R.

## NAJBOLEŚNIEJSZA „BIAŁA PLAMA”

### UZUPEŁNIENIE

W artykule pod powyższym tytułem (*Kultura* nr 4/1988) J.B. apeluje o informacje w sprawie martyrologii ludności polskiej w ZSSR w latach 1938-1939 i wiąże ten fakt z rozwiązaniem KPP w 1938 roku.

Autor myli się odnośnie dat, a jeżeli to, co działo się na sowieckiej Ukrainie czy Białorusi miało jakiś związek z rozwiązaniem KPP — to kolejność była odwrotna. Ale najpierw trochę informacji o tej polskiej mniejszości narodowej w ZSSR. Zwarłe skupiska były na Ukrainie — tzw. „Marchlewszczyzna” — polski obwód autonomiczny i „Dzierżyńszczyzna” na Białorusi. Były też duże grupy Polaków w Kijowie, Moskwie, Leningradzie i innych jeszcze miastach. Ilu ich było — milion, półtora? Nie wiem, ale jakieś opracowania chyba istnieją. Nie wiem też, jak przebiegała w tych polskich rejonach kolektywizacja, ale jeszcze w połowie lat 30-tych we wsiach tych obwodów było sporo gospodarstw indywidualnych. Chodziły słuchy, że w czasie Wielkiego Głodu na Ukrainie tłumy ginących z głodu ludzi próbowały sforsować polską granicę, co skończyło się okrutną masakrą. Ale czy byli to tylko Polacy? Ogólne tragedie ludności sowieckiej dotykały w równym stopniu i Polaków, ale polityka narodowościowa w latach 20-tych i do połowy lat 30-tych w stosunku do nich była całkiem rozumna. Czy chodziło tylko o zjednanie tej ludności, czy miało być też przeciwstawieniem się temu, co działo się na Zachodniej Ukrainie i Białorusi? Chyba jedno i drugie. W rejonach „Marchlewszczyzny” i „Dzierżyńszczyzny” obowiązywał w urzędach język polski, były polskie szkoły, kluby, zespoły artystyczne. Na kierowniczych stanowiskach — dyrektorów szkół,

przewodniczących rad, prokuratorów — byli Polacy, oczywiście głównie komuniści, komsomolcy, ale np. wśród nauczycieli-Polaków sporo było bezpartyjnych. Pytanie — skąd te kadry? Był w Moskwie tzw. KUMNZ (Komunistyczny Uniwersytet Mniejszości Narodowych Zachodu), gdzie na polskim wydziale uczyli się Polacy-komuniści, miejscowi i emigranci z kraju. W Leningradzie w Instytucie im. Herzena (Wyższy Pedagogiczny) też był sektor polski, tam byli i bezpartyjni. Były jeszcze jakieś seminaria nauczycielskie, polski „rabfak” itd. Szkoły polskie były nie tylko w tych obwodach, ale i w Kijowie, Moskwie, Leningradzie. W 20-tych latach funkcjonowały jeszcze kościoły katolickie, przynajmniej część, w latach 30-tych już ich prawie nie było. W niedzielę ludność wiejska zbierała się często w jakiejś większej chacie i modliła się, słuchając nadawanej z Polski mszy. Można było spotkać we wsiach i na małych stacyjkach zakonnice (nie w stroju zakonnym), roznoszące przepisane odręcznie modlitwy, psalmy.

Wychodziły gazety w języku polskim — centralna w Moskwie, początkowo *Świt* później *Trybuna Radziecka*, w Kijowie *Sierp*, w Mińsku *Orka*, były też pisma powiatowe, np. w Żytomierzu, Płoskirowie. W Moskwie wychodził miesięcznik literacki *Kultura Mas*. W Kijowie funkcjonował teatr polski, zorganizowany i kierowany przez poetę i dramaturga, Witolda Wandurskiego. W Moskwie działały dwa kluby polskie, oba przy zamkniętych już chyba wtedy kościołach. Klub w Milutyńskim zaułku miał bogatą bibliotekę, zwłaszcza dużo klasyki polskiej. Był też amatorski zespół teatralny na wcale niezłym poziomie (kierownikiem artystycznym był wybitny aktor moskiewskiego teatru żydowskiego). W Kijowie na początku lat 30-tych utworzono Instytut Kultury Polskiej, ale czy zdążył coś zdziałać — nie wiadomo.

Kiedy to wszystko zaczęło się rozpadać? Jeszcze wiosną 1936 roku kierowano absolwentów KUMNZ-u na stanowiska redaktora gazety w Żytomierzu czy prokuratora w Płoskirowie, ale w tymże roku KUMNZ został rozwiązany, a żytomierscy redaktorzy i inni trafili do Gułagu. Ale to nie był początek, chyba pierwszym dzwonkiem był jakiś incydentalny fakt. Może areszt znanego na Ukrainie działacza — polskiego komunisty Skarbka w 1933 roku, a może Witolda Wandurskiego w 1934 roku? Pierwsza masowa fala aresztów nastąpiła latem i jesienią 1935 roku w Kijowie. Dotknęła głównie działaczy z kraju. Byli to emigranci polityczni, działacze KPP, kolejni sekretarze KC KZMP — Bronisław Berman, Ignacy Tom, Józef Konecki, aktywiści — Jerzy Zadrożny, Hanka Turska, Jan Kwiatkowski, Stasiek Flatau, Emil Gruda, Gront i inni. Do ZSSR przyjechali stosunkowo niedawno, pracowali w *Sierpie*, w Instytucie Kultury Polskiej itd. Następne ofiary to autochtoni — Polacy z Kijowa, Żytomierza, Mohyłowa — aktywiści. A później — w 1936, początkach 1937 — masowa eksterminacja — zniknęły instytucje polskie, prasa, a także szkoły, bo nie było już nauczycieli. Później z map zniknęły i obwody polskie, nazwy „Marchlewszczyzna”, „Dzierżyńszczyzna”. Nie wiem,

kiedy nastąpiła masowa wywózka ludności polskiej z tych terenów — bo mnie już wtedy nie było w wolnym świecie. Ale na pewno w 1938-1939 roku trudno było znaleźć Polaka tam i gdzie indziej. Jaki zasięg miało to „przesiedlenie” ludności polskiej, niech świadczy następujący fakt: żony wybitnych działaczy sowieckich — Jakira, Radka i in. — były początkowo zesłane z rodzinami do Astrachania, a później aresztowane. Wędrowały etapem do obozu i w jednym z więzień tzw. „przesyłkowych” wepchnięto je do celi, wypełnionej po brzegi tłumem kobiet — z wyglądu robotnic, gospodyń domowych. Na pytanie — „Kobietki, a wy za co?” — odpowiedziały chórem: „Za Polszu!!!”. Okazało się, że były to rodowite Rosjanki, żony polskich robotników-metalowców z Tuły. W czasie pierwszej wojny światowej władze carskie wywoziły z Polski, to jest z tak zwanej Kongresówki, całe fabryki razem z załogami, ewakuowały kolejarzy, wykwalifikowanych robotników. Duża grupa polskich metalowców trafiła do Tuły, gdzie były fabryki zbrojeniowe. Część z nich później wróciła do Polski, a część założyła tam rodziny i pozostała w Tule. W 1937 roku mężów-Polaków aresztowano, a w ślad za nimi poszły żony — jako członkinie rodzin wrogów ludu (to się tak ładnie nazywało w skrócie — „Cz.S.I.R.”). Co się stało z tymi kobietami — nie wiem. Tak samo, jak nie wiem, co się stało z milionową masą Polaków z Ukrainy, Białorusi itd. Może wszyscy zginęli, a może pozostały jakieś resztki w stepach Kazachstanu, Kirgizji? W obozach zdarzało się spotkać jakiegoś szewca z Żytomierza czy hutnika szkła z Szepletówki, ale to były jednostki.

A jakie były przyczyny tego nagłego zwrotu od liberalnej polityki narodowościowej do masakry setek tysięcy ludności polskiej, zatarcia nawet śladów tego, że istniały autonomiczne obwody polskie, liczne skupiska Polaków, ośrodki kultury polskiej? Niech próbują odpowiedzieć na to pytanie historycy. Może w okresie *glasnosti* i likwidacji „białych plam” uda im się dotrzeć do źródeł, znaleźć jakieś ślady?

S. W. R.



Kajetan BIENIECKI

## JAK RZECZYWIŚCIE WYGLĄDAŁA POMOC Z ZACHODU DLA WARSZAWY W PIERWSZYCH DNIACH POWSTANIA

Pomoc lotnicza z Zachodu w czasie Powstania Warszawskiego była i jest kontrowersyjna. Warto więc zanalizować w świetle dokumentów, jak ona wyglądała w pierwszych dniach powstania, kiedy była powstańcom najbardziej potrzebna, bo inicjatywa była jeszcze w rękach Polaków.

W pierwszych czterech dniach powstania słabo uzbrojeni powstańcy zdołali opanować trzy czwarte lewobrzeżnej Warszawy, ponosząc dotkliwe straty. W wyniku szturmów powstańców powstało szereg odosobnionych grup, które miały możliwość współdziałania. W dniu 4 sierpnia 1944 roku wieczorem położenie powstańców w Warszawie przedstawiało się następująco:

W północnej części miasta na Żoliborzu opanowany został obszar z dostępem do Wisły o powierzchni 2 km<sup>2</sup>. W centrum Warszawy główne siły powstańcze opanowały Wolę, Śródmieście północne, Stare Miasto i Powiśle północne, teren o powierzchni 9 km<sup>2</sup>. W centrum tym powstańcy nie zdobyli przyczółka niemieckiego o powierzchni 1,5 km<sup>2</sup>, który obejmował Nowy Zjazd, teren uniwersytetu, plac Piłsudskiego i Krakowskie Przedmieście. Nie udało się również powstańcom zdobyć kilku odosobnionych gmachów, w których broniły się oddziały niemieckiego garnizonu warszawskiego. W Śródmieściu południowym opanowany został teren o powierzchni 2,5 km<sup>2</sup>, który łączył się wąskim korytarzem

z opanowanym przez powstańców Śródmieściem północnym. Na Ochocie zdobyty został mały obszar o powierzchni zaledwie 0,4 km<sup>2</sup>. W południowej części miasta powstańcy zdobyli na Mokotowie obszar o powierzchni 2,4 km<sup>2</sup>, a na Czerniakowie i Sadybie obszar o powierzchni 5 km<sup>2</sup>.

Największym obszarem opanowanym przez powstańców było więc centrum Warszawy o powierzchni 9 km<sup>2</sup>, którego obwód od zachodu, północy i południa tworzyła linia kolejowa, a od wschodu zamykała go Wisła. Obszar ten był więc łatwym do odnalezienia celem dla lotników, zwłaszcza, że pierwsze dni powstania zbiegły się z tercetem księżycowym, który rozpoczął się 28 lipca i trwał do 11 sierpnia. Przy księżycu rzeki świecą się, a wysłizgany od kół wagonów tor kolejowy widać w nocy, nawet gdy pada deszcz.

Przenieśmy się znad Wisły do południowych Włoch, skąd od stycznia 1944 roku odbywały się loty do Polski.

W basenie Morza Śródziemnego alianci dysponowali lotnictwem strategicznym, taktycznym, obrony wybrzeża, myśliwskim i do specjalnych zadań, w sumie przekraczającym liczbę 200 dywizjonów (około 3.000 samolotów). Tym lotnictwem MAAF-u (*Mediterranean Allied Air Force*) w drugiej połowie 1944 roku dowodził Amerykanin Lt. Gen. Ira C. Eaker. Jego zastępcą był Brytyjczyk A/M John Slessor, któremu podlegało około 52 dywizjonów RAF-u i 19 dywizjonów SAAF-u (*South African Air Force*). Dziesięcioma dywizjonami do specjalnych zadań z ramienia A/M Slessora dowodził Brytyjczyk A/VM William Elliot.

W basenie Morza Śródziemnego były cztery jednostki lotnictwa dalekiego zasięgu do specjalnych zadań. Dwa dywizjony — 624 Dywizjon brytyjski, wyposażony w Halifaxy i 885 Dywizjon amerykański, wyposażony w Liberatory — operowały z lotniska Blida w Algierze, dokonując zrzutów skoczków i broni do Francji<sup>1</sup>. Na lotnisku Campo Casale k/Brindisi stacjonował 148 Dywizjon brytyjski, wyposażony w Halifaxy i polska Eskadra 1586, wyposażona w Halifaxy i 3 Liberatory. Stąd dokonywano operacji zrzutowych do Albanii, Austrii, Bułgarii, Czechosłowacji, Grecji, Jugosławii, Rumunii i Polski. Dowódcą lotniska Campo Casale w pierwszych dniach powstania był Brytyjczyk G/C W. Rankin, któremu podlegały również tam stacjonujące cztery amerykańskie dywizjony dwumotorowych Dakot z 60 Grupy Transportowej, których głównym zadaniem było wspieranie partyzantów Tity. Dowódcą polskiej Eskadry 1586 w tym okresie był S/L Euge-

---

1. Od lutego do maja 1944 roku zrzucono 76.000 stenów i 28.000 pistoletów, co przedstawiało wagę około 278,8 ton.

niesz Arciuszkiewicz. Warto jest przytoczyć fragment wspomnień<sup>2</sup> tego dowódcy dla lepszego zrozumienia ówczesnych problemów, z jakimi spotykali się polscy lotnicy.

„(...) G/C Rankin zarządził, aby załogi (...) latały 4 do 5 nocy z rzędu. Okres 200-godzinnego przeglądu samolotów i kończenie tur operacyjnych postępowały w zawrotnym tempie. Moja interwencja u dowódcy stacji nie odniosła żadnego skutku. Sąsiedni 148 Dywizjon w wyniku tych intensywnych lotów doszedł do stanu 3 samolotów. Aby zapobiec wyniszczeniu eskadry przez nadmierne latanie (średnio na jeden lot do Polski polska załoga wykonywała siedem lotów do innych krajów — K.B.) podałem w raporcie do ośrodka dowodzenia dnia 24 czerwca 1944 roku, że eskadra posiadała zero załóg i zero samolotów, zdolnych do lotów. Dowódca stacji wezwał mnie do siebie, wydając rozkaz wyznaczenia załóg na loty. Podałem dowódcy stacji, że załogom po trzech kolejnych lotach operacyjnych przysługuje według rozkazów dowództwa RAF-u 24 godzinny odpoczynek. Mimo tego zawiesił mnie w lataniu, rozkazując zdać dowództwo eskadry najstarszemu oficerowi. Zameldowałem, że zdam dowództwo eskadry na rozkaz dowództwa RAF-u, które wyznaczyło mnie na to stanowisko. Na drugi dzień przybył starszy oficer z dowództwa MAAF i płk pilot Brzezina z Londynu. Sprawdzili rozkazy lotów i za dwa tygodnie (pomyłka — dopiero 4 sierpnia K.B.<sup>3</sup>) mieliśmy nowego dowódcę stacji G/C Woodhalla, wielkiego przyjaciela Polaków. Ja pozostałem dowódcą eskadry do końca wojny. (...)”.

Dowódcą Bazy Nr 11 Oddziału Specjalnego pod Brindisi, ośrodka łączności i bazy zaopatrzenia, był ppłk Hańcza<sup>4</sup>. Miał on duże doświadczenie w organizowaniu odbierania zrzutów, mniejsze zaś w ich wysyłaniu, gdyż podjęty został z Kraju razem z gen. Tatarem „Mostem I”<sup>5</sup> w nocy z 15/16 kwietnia 1944 roku,

---

2. Eugeniusz Arciuszkiewicz, *Polskie lotnictwo w działaniu na rzecz Kraju*. Jednodniówka, The Royal Canadian Air Force Association Nr 431 „Kraków” Wing, September 1976 — Hamilton, Ontario — XI Zlot Światowy, str. 49-53.

3. Instytut Polski i Muzeum gen. Sikorskiego, Londyn (IPMS) — *Dziennik bojowy 1586 Eskadry*, sygn. LOT. A.V. 35/10.

4. Więcej o ppłk. Hańczy p. *Kultura* Nr 10/192, 1963; 1/195-2/196, 1964; 5/199, 1964; *Zeszyty Historyczne* Nr 65, 1983 i nr 69, 1984.

5. Samolot Dakota „I” Nr FD-919 z 267 Dywizjonu lądował na polu koniecznie pod Beżycami 19,5 km na południowy zachód od Lublina. Załogę samolotu stanowili: piloci F/L E. Harrod, F/L Bolesław Korpowski (1586 Esk.), naw. P/O W. Wells, r/o P/O J. Wilcock — Public Record Office, Londyn (PRO) — *Dziennik działań 267 Dywizjonu*, sygn. AIR 27/1560, str. 2-3.

a objął dowództwo Bazy Nr 11 w lecie 1944 roku. Górował nad nim doświadczeniem w wysyłaniu zrzutów jego poprzednik, mjr dypl. saperów Jan Jaźwiński pseudonim „Sopja”, który znał język angielski, był twardy i konsekwentny w stosunku do Anglików z SOE (*Special Operations Executive*)<sup>6</sup> i pracował w Oddziale VI Sztabu Naczelnego Wodza od 10 czerwca 1940 roku jako szef wydziału „S” (transport lotniczy i kompletowanie sprzętu dla AK). Był on niewątpliwie pionierem i *spiritus movens* przetrzutu lotniczego do Kraju.

Po powzięciu decyzji o powstaniu gen. Bór-Komorowski wysłał depeszę<sup>7</sup> do ppłk. Hańczy. Oto jak ona brzmiała:

„Nr 472/VV/111  
Wanda 7 do Mewa  
Dnia 29 lipca 44

O. VI L.Dz.6187/tjn/44  
Otrzymano dnia 30 lipca 44  
Odczytano dnia 31 lipca 44

Hańcza

W razie walki w Warszawie nie mamy z góry określonych miejsc na terenie miasta dla 2103 (transportu lotniczego — K.B.) celem dozbrojenia oddziałów walczących. 7401 (zrzuty — K.B.) będziecie dokonywali w miejscach wyłożenia 1944 (światła — K.B.) kostek 4 światła podwójne tworzące linię prostą, 3 biało-zielone. Pierwsze wskazujące kierunek wiatru biało-czerwone, odzew 2568 (placówki — K.B.) nadaje pierwsza lampa biała. Odległość między lampami 30 m. Liczcie się ze szczupłością 2568 (placówki — K.B.), a więc zmniejszyć wszystkimi sposobami rozrzut do minimum. Ustalam zawartość — broń maszynowa gotowa do strzału, d m p n i (Piaty? ppanc? — K.B.) tornistrówki typ h 2193 faz. [?]

Dam krótką dep., liczcie się z 7401 (zrzutami — K.B.) nawet przy złym met.

L a w i n a 1472

Niestety, ppłk Hańcza albo nie zrozumiał wagi tej depeszy, albo nie potrafił przekonać Lt. Col. Threlfalla, oficera SOE, który decydował o dacie zrzutu i jego ilości w danym kraju, aby wszystkie samoloty wyznaczone na lot do Polski 1 sierpnia skierować do Puszczy Kampinoskiej, gdzie odbioru skoczków i broni spo-

6. Oddział wykonawczy działań wywrotowych w krajach okupowanych przez Niemców, podlegający Komitetowi Szefów Sztabów.

7. *Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945 (AKwD)*, Studium Polski Podziemnej, Londyn, tom IV, str. 24.

dziewała się czuwająca placówka „Chochla” 207<sup>8</sup>. Zaledwie 9 km na północny-wschód od położenia tej placówki biwakował od 25 lipca 1944 roku silny i dobrze uzbrojony oddział partyzancki por. cc „Doliny” Adolfa Pilcha [w sile 78 p.p. (434 żołnierzy), dywizjonu 27 p.uł. (282 jeźdźców), szwadronu ckm 23 p. uł. (67 żołnierzy) — razem 783 żołnierzy], przybyły tam pod jego dowództwem aż z nowogródzkiej Puszczy Nalibockiej. Oddział ten nie tylko mógł przyjąć zrzuty, ale je nawet obronić przed doraźną interwencją niemiecką.

### *Analiza zrzutów w pierwszych dniach powstania*

1 sierpnia 1944

Według poprzednio ustalonego planu, dnia 1 sierpnia 1944 roku wyznaczonych zostało do lotu ze zrzutami do Polski 13 samolotów<sup>9</sup>. Dwa zrzuty ze skoczkami miał otrzymać Obszar Warszawa, dziewięć zrzutów materiałowych Okręg Łódź i dwa materiałowe Okręg Radom. Stan samolotów czynnych w tym dniu w polskiej 1586 Eskadrze wynosił: 6 Halifaxów: „A” JP-180, „C” JP-220, „N” JP-230, „P” JP-251, „L” JP-252, „G” JP-283 i 3 Liberatory: „R” ??-978, „U” ??-827, i „S” KG-890<sup>10</sup>. Stan załóg wynosił: 3 załogi Liberatorów i 3 załogi Halifaxów. Na loty tego dnia wyznaczonych zostało 6 załóg polskich z Eskadry 1586 i 7 załóg brytyjskich<sup>11</sup> z 148 Dywizjonu. Jednak tylko 11 samolotów wystartowało o godz. 19.45, w odstępach parominutowych z lotniska Campo Casale, bo Halifax „C” BB-412 F/L R. G. Pryora miał źle podłączone dodatkowe zbiorniki benzyny do głównego systemu paliwa, a Halifaxowi „W” JP-223

---

8. W roku 1944 placówki kodowano następująco: Obszar Warszawa — domowe przedmioty gospodarcze; Okręg Radom — rośliny, Okręg Łódź — rzeki; Okręg Kraków — ptaki.

9. Studium Polski Podziemnej (SPP), Londyn — *Sprawozdania nawigatorów*, sygn. 2.3.5.14.

10. Samoloty były znakowane po obu stronach kadłuba obok kręgów RAF-u trzema literami około 1 m wysokości. Dwie pierwsze litery były kodem dywizjonu, a trzecia litera była kodem samolotu w dywizjonie. Polska Eskadra 1586 miała litery GR, 138 Dywizjon NF, a 148 Dywizjon FS. Numer samolotu, około 20 cm wysokości, był umieszczony na kadłubie koło ogona i składał się na początku wojny z litery i czterech cyfr, zmieniony później na dwie litery i trzy cyfry. Kod i numer samolotu wpisywali lotnicy do książki lotów. Po numerach tych łatwo jest udowodnić, jak stare i jak zużyte były samoloty, na których latano podczas powstania.

11. PRO — *Dziennik działań 148 Dywizjonu*, sygn. AIR 27/996.

W/O D. Browna pękła opona. Już o godz. 20.25 powrócił na lotnisko z pełnym ładunkiem i benzyną<sup>12</sup> Liberator „R” ??-978 F/L Zygmunta Pluty, bo miał defekt w dopływie oleju do silników. W 15 minut później lądował, uprzednio wyrzuciwszy ładunek na zrzutnię, Halifax „J” EB-154 W/O G. P. Bowsera, bo miał defekt silnika. Halifax „C” JP-220 W/O Henryka Jastrzębskiego wrócił po 2 godzinach i 30 minutach lotu z powodu defektu silnika, wyrzucając przed lądowaniem ładunek na zrzutnię. Dwa brytyjskie Halifaxy poleciały na placówkę „Nida” 225, położoną po lewobrzeżnej stronie Pilicy 28 km na południowy wschód od Piotrkowa i odległą od Warszawy o 143 km (odległość mierzona jest od Dworca Głównego). Z tym, że Halifax „D” JP-254 F/L A. R. Blynna dokonał zrzutu 9 zasobników i 6 paczek o godzinie 01.00 w jednym nalocie, natomiast Halifax „K” ED-147 F/O L. G. J. Kinga nie znalazł placówki i wrócił z ładunkiem do bazy. Halifax „E” EB-196 Sgt F. N. Snowa zrzucił 9 zasobników i 6 paczek o godz. 00.50 z wysokości 250 m w jednym nalocie na placówkę „Dracena” 217, położoną 40 km na południowy wschód od Radomia koło miejscowości Grabowiec i oddaloną o 131 km od Warszawy. Halifax „B” JP-294 W/O K. J. Bettlesa zrzucił 9 zasobników i 6 paczek o godz. 00.30 z wysokości 313 m w jednym nalocie na placówkę „Wisła” 214, położoną po prawobrzeżnej stronie Pilicy 29 km na południowy wschód od Piotrkowa i oddaloną od Warszawy o 122 km. Polski Halifax „G” JP-283 W/O Kazimierza Wolskiego zrzucił 9 zasobników i 12 paczek na placówkę „San” 215, położoną 27 km na południowy wschód od Skierniewic i oddaloną od Warszawy o 61 km. W drodze powrotnej został on zestrzelony przez nocnego myśliwca nad Węgrami koło miejscowości Szentes. Z płonącego Halifaxa wyskoczyło 5 lotników, dwóch pozostałych nie zdążyło wyskoczyć i spaliło się<sup>13</sup>. Brytyjskie załogi po wylądowaniu w Campo Casale raportowały:

„Okolo godz. 02.30 nad Węgrami, pozycja okolo N 47° E 22°

---

12. Liberator miał w skrzydłach główne zbiorniki benzyny, których pojemność wynosiła 10.447 litrów. Dla zwiększenia zasięgu samolotu montowano w komorach bombowych 2 zbiorniki po 1.500 litrów każdy. W sumie więc Liberator zabierał 13.447 litrów benzyny, co przedstawiało wagę 9.413 kg. Przeciętnie Liberator zużywał 730-800 litrów benzyny na godzinę. Zasięg więc Liberatora wynosił 16-18 godzin. Przeciętna szybkość okolo 320 km/godz. Relacja notowana Stanisława Masłonia, mech.-pokł., 2. 6. 86.

13. Załogę Halifaxa „G” JP-283 stanowili: piloci W/O Kazimierz Wolski i F/S Witold Raflewski, naw. P/O Ludwik Domański, r/o F/S Bazyli Chmaruk, mech. Sgt Paweł Szejnowski, strz. F/S Adam Proszek i W/O Jan Lewandowski — IHMS, *Straty operacyjne*, sygn. LOT A.V. 35/11e.

w rejonie Oradea-Debrecen zestrzelona spadająca czterosiłnikowa maszyna”<sup>14</sup>.

Radiooperator F/S Bazyli Chmaruk w swojej relacji tak ten lot wspomina:

„ (...) Halifax wybuchł, prawe skrzydło paliło się, a w kadłubie pełno płomieni, bo zapasowe zbiorniki, mimo że były już puste, wybuchły, gdy dostaliśmy serię. (...) dałem nurka przez płomień i uratowałem się na spadochronie. Po wylądowaniu uciekałem i biegłem przez pola na południe. Zrobiłem około 10 km i znalazłem się między farmami. Jak słońce wyszło, popatrzyłem się w lusterko na swoją twarz. Byłem osmolony, włosy, rzęsy i brwi opalone, na twarzy krew. Postanowiłem uciekać nocami, bo każda osoba, jakby mnie zobaczyła tak osmolonego, to na pewno byłbym podejrzany. Więc wszedłem w duże pole kukurydzy, położyłem się i zasnąłem. Około 14.30 pluton żandarmerii węgierskiej znalazł mnie śpiącego. Wzięli mnie do Szentes najpierw furmanką przez polne drogi, a potem motocyklem z przyczepką. Wartownik siedział za kierowcą, od którego dowiedziałem się, bo był węgierskim Słowakiem, że dwóch zostało zabitych. Ze łzami poprosiłem, że chcę ich zobaczyć. Zgodzili się i zbczyli kilka kilometrów z trasy. Widziałem kawałki spalonego Halifaxa i dwa ciała spalone do nie rozpoznania, tylko po ubraniu mogłem rozpoznać, że to byli Lewandowski i Szejnowski (...) zawieźli mnie potem na policję w Szentes, tam spotkałem resztę załogi. (...) Po kilku dniach Węgrzy zawieźli nas pociągiem do więzienia cytadeli w Budapeszcie i oddali nas Niemcom. (...)”<sup>15</sup>.

Halifax „N” JP-230 P/O Zbigniewa Foriana poleciał z 9 zasobnikami i 12 paczkami najpierw na placówkę zapasową „Kanarek” 211<sup>16</sup>, położoną 16 km na północ od Miechowa i oddaloną od Warszawy o 206 km. Krążył nad nią 35 minut, od godz. 23.50 do 00.25, placówka odpowiedziała literą, ale sygnału świetlnego z podaniem kierunku wiatru nie wyłożyła. Nawigator F/O Władysław Schöffler zauważył sześć niemieckich Junkersów w pobliżu lotniska. Halifax poleciał więc na placówkę główną „Sekwana” 201, położoną 46 km na zachód od Piotrkowa koło miejscowości Szczerców i oddaloną od Warszawy o 170 km. Krążył nad nią 29 minut, od godz. 00.51 do 01.20. Placówka w

14. SPP — *Sprawozdanie nawigatorów*, sygn. 2.3.5.14.

15. Relacja — Bazyli Chmaruk, 26.1.86.

16. W dniu 1 sierpnia 1944 roku 31 km na południe od placówki „Kanarek” 211 w miejscowości Goszcza biwakowała kompania batalionu „Skąta” Kedywu krakowskiego.

ogóle nie świeciła, samolot wrócił więc z ładunkiem do bazy we Włoszech.

Nie wykonały również zadania dwa polskie Liberatory. Liberator „S” KG-890 F/L Zbigniewa Szostaka poleciał z ekipą 6 skoczków „Jurek 1”, 12 zasobnikami i 7 paczkami na placówkę „Chochla” 207, położoną w Puszczy Kampinoskiej i oddaloną od warszawskiego Dworca Głównego o 25 km, ale z powodu złej widoczności, mgły przyziemnej i deszczu wrócił do bazy. Nawigator F/L Stanisław Daniel nie widział również pożarów w Warszawie, bo o tym nie meldował po powrocie. Drugi polski Liberator „U” ??-827 F/L Jana Mioduchowskiego poleciał z ekipą 6 skoczków „Staszek 1”, 12 zasobnikami i 6 paczkami na placówkę „Krata” 206, położoną 7 km na południowy wschód od Skierniewic i oddaloną od warszawskiego Dworca Głównego o 63 km. Placówka ta nie czuwała, bo mimo krążenia samolotu w rejonie przez 45 minut nie odpowiadała na sygnalizowane przez samolot hasło. Nawigator F/L Edmund Helwig też nie widział pożarów w Warszawie. Liberator poleciał więc na placówkę zapasową „Trawa” 204<sup>17</sup>, położoną nad Nidą koło Pińczowa i oddaloną od Warszawy o 181 km, ale i tam z powodu złej widoczności nie zauważył żadnych sygnałów, więc wrócił ze skoczkami i zaopatrzeniem do bazy.

W sumie więc na 13 startujących tego dnia samolotów tylko 4 wykonały zadania. 5 samolotów miało defekty mechaniczne, z czego 2 jeszcze na ziemi, a 3 w powietrzu. 4 samoloty zadania nie wykonały, z czego 1 nie znalazł placówki, 1 bo placówki nie czuwały, 1 z powodu złej pogody, 1 z powodu grożącego niebezpieczeństwa i nieczuwania placówki zapasowej. Stracono 1 samolot z załogą, z której 2 lotników poległo, 5 dostało się najpierw do więzienia węgierskiego, a później do niewoli niemieckiej. Zadanie wykonane zostało zaledwie w 30 %.

Do odbierania zrzutów z reguły wyznaczane były dwie placówki: główna i zapasowa. Położenie tych placówek określano depeszami na podstawie map sztabowych w skali 1 : 300.000 za pomocą współrzędnych prostopadłych, wyrażonych w milimetrach, a dla uniknięcia pomyłek dodatkowo określano położenie tych placówek współrzędnymi biegunowymi, gdzie punktem odniesienia była miejscowość lub stacja kolejowa, położona w pobliżu placówki i odległość podawano w kilometrach. Przykład z de-

---

17. W okolicy Daleszyc, oddalonych o 30 km na północny wschód od placówki „Trawa” 204, biwakował 30 lipca 1944 roku doświadczony w odbieraniu zrzutów oddział partyzancki w sile kompanii „Wybraniec” pod dowództwem ppor. „Barabasha” Mariana Sołtysiaka.



peszy: „Położenie placówki Trawa trzechsetka Kraków od pr 194 od góry 73 półtora km zach Przyrów”.

Dla zmniejszenia ilości niepotrzebnie czuwających placówek, po polskiej audycji BBC nadawano melodię i szereg trzycyfrowych liczb. Umówiona melodia oznaczała, że samoloty wystartowały, a liczby, które zmieniano co dwa tygodnie, oznaczały placówki, na które skierowane zostały samoloty.

Natomiast lotnicy mieli na odprawach podawane położenie placówek w szerokościach i długościach geograficznych, wyrażonych z dokładnością sekund. Elementy sygnalizacyjne w zasadzie podawane były w zalakowanych kopertach, które otwierano dopiero w samolocie. Przykład 505 — N 51° 41'30", E 20° 18'20". Hasło samolotu litera „K”, ziemia odzew litera „A”, znak świetlny „T” określający kierunek wiatru i zmieniany okresowo.

Z rezultatów wynika, że po trzech i pół rocznym doświadczeniu nie potrafiono zwiększyć efektywnie wydajności dokonywanych zrzutów i wracano z ładunkiem do bazy. Można by to zrozumieć, gdyby działo się to w okresie, kiedy dla zachowania tajemnicy tych operacji dokonywano zrzutów na z góry ustalone placówki. Trudno jest jednak zrozumieć fakty powrotu z ładunkiem do bazy we Włoszech w sierpniu 1944 roku, kiedy na trasie tych samolotów od Tatr aż poza Góry Świętokrzyskie niemalże na każdym zalesionym większym obszarze znajdowały się liczo uzbrojone oddziały partyzanckie Armii Krajowej, wykonywujące „Burzę” i oczekujące zrzutów jak manny z nieba. Gdzie szukać przyczyn tych nieudolnych i zmarnowanych wypraw lotniczych? Czy tragedia nie leży także w doborze szefów Oddziału VI Sztabu Nacz. Wodza? W czasie prawie czteroletnich zrzutów było ich czterech.

## 2 sierpnia 1944

W dzienniku bojowym 1586 Eskadry czytamy, że w drugi dzień powstania nie było dobrej pogody na trasie do Polski, więc 2 polskie Liberatory i 1 Halifax poleciały ze zrzutami do północnych Włoch.

W Bazie Nr 11 ppłk Hańcza otrzymał od gen. Bora alarmowy telegram:

„Nr 507/XXX/111  
Wanda 1 to Mewa  
Dnia 1 sierpnia 44

O. VI L.dz 6255/tjn/44  
Otrzymano 2. 8. 44 godz. 11.25  
Odczytano 2. 8. 44 godz. 14.55

Do Hańczy

Podjęliśmy walkę o godzinie 17 dnia 1 sierpnia o Warszawę. Dajcie pilnie zrzuty amunicji i broni ppanc. na światła 'Kostek', a też na place wprost na miasto: Filtry, Kercelego, Ogród Saski, Aleja Wojska, Puławska, Belwederska.

L a w i n a 1507''<sup>18</sup>

3 sierpnia 1944

W trzeci dzień powstania nie było odpowiedniej pogody na trasie do Polski. Należy nadmienić, że z Campo Casale leciano do Polski aż przez trzy strefy klimatyczne. Jeszcze raz poleciały 2 polskie Liberatory i 2 Halifaxy na operacje do północnych Włoch. Każda nieprzespana noc zużywała odporność psychiczną i fizyczną lotników.

A z Kraju nadchodziły telegramy z wołaniem o zrzuty na Warszawę. Ppłk Hańczy otrzymał następujące dwa alarmowe telegramy:

„Nr 513/XXX/111

Wanda 1 to 94

Dnia 2 sierpnia 44

O. VI L.dz. 6280/tjn/44

Otrzymano i odczytano 3 sierpnia 44

Do Hańczy

Gwałtownie pilne dziś masowe zrzuty amunicji i broni do Warszawy. Artylerii plot. nie ma. Znak świetlny strzała. Zrzucacie też bez znaku.

L a w i n a 1513''<sup>19</sup>

„Nr 519/XXX/111

Wanda 1 do 94

Dnia 2 sierpnia 44

O. VI L.dz. 6281/tjn/44

Otrzymano i odczytano dnia 3 sierpnia 44

Do Hańczy

Katastrofalny brak amunicji do kb, km, pm i pilna broń ppanc. Dodatkowo dajcie zrzuty do małego getta, obsługuje Import (odbior zrzutów K.B.) oraz Filtry i Niepodległość i rejon Madalińskiego. W rejon Kercelak, cmentarz żydowski, najlepsze placyki

18. *AKwD*, tom IV, str. 32-33.

19. *AKwD*, tom IV, str. 34.

między Mireckiego i Żytnią. W dzień dajcie nawet bez sygnału — w nocy strzała.

L a w i n a 1519''<sup>20</sup>

Ppłk Hańcza po otrzymaniu kilku depezech od gen. Bora, domagających się natychmiastowych zrzutów, wysłał telegram do gen. Tatara. Brzmiał on następująco:

„Nr 1168/VV/222  
Mewa  
Dnia 3 sierpnia 1944

O. VI L.dz. 6331/tjn/44  
Otrzymano dnia 3 sierpnia 44  
Odczytano dnia 4 sierpnia

Generał Turski

Pokazałem Rankinowi depezę Lawiny 1513 — wyraził zgodę na wykonanie operacji, jednak nie dziś, bo bardzo zły met. na trasie i nie jest prawdopodobne, by samoloty dotarły do Warszawy. Opinię tę podzielają nasi lotnicy. Poprawa met. spodziewana od jutra. Konieczne operacje dzienne.

H a ń c z a''<sup>21</sup>

Z depezy wynika, jak mało orientował się ppłk Hańcza w stosunkach, bo prosił o przydział samolotów G/C W. Rankina, który następnego dnia nie dowodził już lotniskiem Campo Casale, co przypuszczalnie miało związek z raportem, o którym wspomina Arciuszkiewicz.

W związku z listem Prezydenta Władysława Raczkiewicza do Premiera Churchilla 3 sierpnia A/M John Slessor, zastępca dowódcy MAAF, otrzymał od Ministerstwa Lotnictwa następujący telegram:

„Ściśle tajne.

Najpilniejsze.

Od: Ministerstwo Lotnictwa

Do: Główna Kwatera Sił Powietrznych

Powtórzone Marszałkowi Lotnictwa Slessorowi (Lotnictwo Sprzymierzone Obszaru Śródziemnomorskiego Caserta).

Poniższe dla Generała Wilsona i Marszałka Lotnictwa Slessora od Szefów Sztabu.

3 sierpnia 1944

1. Polska Armia Podziemna, jak donoszą, trzyma południowo-zachodnią część Warszawy przeciw półtorej dywizji niemieckiej.

20. *AKwD*, tom IV, str. 34.

21. *AKwD*, tom IV, str. 51.

2. Rząd Polski zwrócił się z gorącym apelem do premiera o zrzuć dostaw dla Warszawy dziś w nocy, powtarzam, dziś w nocy, lub możliwie jak najwcześniej.

3. Rząd Jego Królewskiej Mości przywiązuje największą wagę do spełnienia tej prośby, jeśli Pan i Slessor jesteście zdania, że pozwalają na to względy operacyjne.

4. Stawell<sup>22</sup> posiada szczegóły potrzebnych dostaw (około 60 ton) i punktów zrztu.

5. Poinstruowaliśmy wczoraj wieczór Misję nr 30, by poinformowała sowieckie władze wojskowe o sytuacji i że proszono was o podjęcie tej operacji. (Zob. nasz następny telegram).

6. Natychmiast meldować czy możliwe jest podjęcie operacji. Rozdzielnik: Minister Spraw Zagranicznych, Pierwszy Lord Morski, Szef Sztabu Imperialnego, Szef Sztabu Lotnictwa, Generał Gubbins, Ministerstwo Obrony”<sup>23</sup>.

O staraniach polskich o pomoc lotniczą u sojuszników pisze również gen. Tatar w depeszy do Bazy Nr 11. Oto jej fragmenty:

„O. VI L.dz. 6271/44

Dnia 3 sierpnia 1944

Elba

1. Zrobiony został nacisk w Air Ministry i uzyskano obietnicę (...) zrztów dzisiejszej nocy. Jeśli dotrzymają obietnicy, to (...) powinny iść do Slessora odpowiednie zarządzenia. Zróbcie ze swej strony maksymalny wysiłek używając ewent. Sopję dla nacisku na przyjaciół, aby pomóc stolicy (...).

T u r s k i”<sup>24</sup>

Z treści tej depeszy wynika, że gen. Tatar z zaskakującą znajomością rzeczy zdawał sobie sprawę, jaką rolę odgrywają osobiste kontakty z Anglikami mjr. dypl. Jana Jaźwińskiego „Sopji” w organizowaniu przerzutu lotniczego do Kraju. Można więc przypuszczać, że po objęciu stanowiska zastępcy Szefa Sztabu N.W., usunął go z dowództwa Bazy Nr 11 pod Brindisi, mianując na jego miejsce ppłk. Hańczę.

22. Maj. Gen. Stawell, wyższy oficer SOE w „Force 266” przy sztabie dowódcy wojsk alianckich na obszarze M. Śródziemnego, któremu podlegał Lt. Col. Threlfall.

23. *AKwD*, tom IV, str. 44-46.

24. *AKwD*, tom IV, str. 46.

4 sierpnia 1944

Dnia 4 sierpnia 1944 roku pogoda zmieniła się i w południe zapowiedziano operację na Warszawę. Polska Eskadra 1586 miała tylko 5 załóg: 3 załogi Liberatorów i 2 załogi Halifaxów. Dodatkowo udało się zebrać 2 załogi Halifaxów z lotników, którzy ukończyli tury operacyjne. Wyznaczono więc tego dnia 7 załóg do lotu na Warszawę. Celem był pl. Krasieńskich, Ogród Saski i cmentarz żydowski. Z brytyjskiego 148 Dywizjonu wyznaczono również 7 samolotów. Mechanicy zamontowali po dwa dodatkowe zbiorniki 14 samolotom<sup>25</sup>. Liberatorzy i Halifaxy załadowano zasobnikami i paczkami. W sumie Warszawa miała otrzymać 135 zasobników i 126 paczek (około 17 ton uzbrojenia).

Na nic się jednak zdały zabiegi licznych Polaków u najwyższych czynników brytyjskich. Nie pomógł również list prezydenta Władysława Raczkiewicza do premiera Winstona Churchilla z dnia 3 sierpnia 1944 roku o pomoc lotniczą dla Warszawy. W dzienniku bojowym Eskadry 1586 czytamy, że na odprawie o godz. 14.00 przyszedł rozkaz z MAAF **z a b r a n i a j ą c y z r z u t ó w n a W a r s z a w ę**, a zezwalający na zrzuty na placówki.

Zanim samoloty wystartowały, ppłk Hańcza otrzymał od gen. Bora dwa następane alarmujące telegramy. Oto ich treść:

„Nr 537/XXX/111

Wanda 1 to Mewa

Dnia 4 sierpnia

O. VI L.dz. 6341/tjn/44

Otrzymano g. 12.04 dnia 4 sierpnia 44

Odczytano g. 15.15 dnia 4 sierpnia 44

Żądam kategorycznie pomocy w amunicji i broni ppanc. natiychmiast i w dniach następnych. Czeka nas walka co najmniej kilkudniowa i musimy być cały czas zaopatrywani. My postawiliśmy wszystko na utrzymanie stolicy — zdobądźcie się na wysiłek.

L a w i n a 1537”<sup>26</sup>

---

25. W lotach do Polski za każdym razem, aby zwiększyć zasięg, montowano w komorach bombowych dodatkowo 2 zbiorniki po 1.500 litrów benzyny każdy, co przedłużało lot o 3-4 godziny. Niekiedy złe podłączenie tych zbiorników do głównego systemu paliwa było powodem powrotu samolotu do bazy.

26. *AKwD*, tom IV, str. 53-54.

„Nr 539/XXX/111  
Wanda 1 to Mewa  
Dnia 4 sierpnia  
Na 252:

O. VI L.dz. 6342/tjn/44  
Otrzymano g. 11.50 dnia 4 sierpnia 44  
Odczytano g. 15.10 dnia 4 sierpnia 44

Za wszelką cenę dajcie nam zrzuć amunicji do miasta na trzy punkty: cmentarz żydowski, Okopowa, pl. Napoleona i małe getto. Od otrzymania od was amunicji zależy nasze wytrwanie w walce. Stanowisk artylerii lekkiej opl. wskazać nie możemy. Wszystko płynne — mogą być przy głównych arteriach komunikacyjnych wschód - zachód.

L a w i n a 1539”<sup>27</sup>

Trzy polskie Halifaxy i siedem brytyjskich Halifaxów wystartowało o godz. 19.45<sup>28</sup> w odstępach kilkuminutowych z lotniska Campo Casale i poleciało na placówki: trzy do Okręgu Łódź, pięć do Okręgu Radom i dwa do Okręgu Kraków.

S/L Arciuszkiewicz po konferencji z ppłk. Hańczą zdecydował pomimo zakazu, za zgodą załóg, w tajemnicy przed Anglikami, wysłać do Warszawy 3 Liberatory i 1 Halifax<sup>29</sup>.

Liberator „U” ??-827 F/L Jana Mioduchowskiego<sup>29a</sup> nie doleciał do Warszawy. Zaatakowany przez niemieckiego nocnego dwusilnikowego myśliwca JU-88 został uszkodzony w rejonie Piaseczna. Zawrócił więc i wyrzucił ładunek na dziko w Górach Świętokrzyskich i przy lądowaniu skraksował na lotnisku w Grottaglie. Z wyrzuconego ładunku 12 zasobników i 9 paczek został znacznie później potwierdzony odbiór 9 zasobników.

Liberator „S” KG-890 F/L Zbigniewa Szostaka<sup>29b</sup> dokonał

27. AKwD, tom IV, str. 54.

28. PRO — *Dziennik działań 148 Dywizjonu*, sygn. AIR-27/996, także *Log book* 784797, mech. F/S Franciszek Stawidło; *Log book* 780043, r/o W/O Edward Janik.

29. IPMS — *Dziennik bojowy Eskadry 1586*, sygn. LOT A. V 35/10.

29<sup>a</sup>. Załogę Liberatora „U” ??-827 stanowili: piloci F/L Jan Mioduchowski, F/L Zygmunt Radecki, naw. F/L Edmund Helwig, r/o W/O Franciszek Obuch, mech Szt Marian Baran. Strzelcami przypuszczalnie w tym locie byli: F/S Tadeusz Piziura i W/O Edward Stasiak — *Log book* 783176 Franciszek Obuch.

29<sup>b</sup>. Załogę Liberatora „S” KG-890 stanowili: piloci F/L Zbigniew Szostak, W/O Józef Bieliński, naw. F/L Stanisław Daniel, r/o F/S Józef Witek, strz. W/O Stanisław Malczyk. Przypuszczalnie pozostałymi członkami załogi w tym locie byli: bomb. W/O Tadeusz Dybowski i mech. F/S Wincenty Rutkowski. W dziesięć dni później poległ on wszyscy k/Bochni po dokonaniu zrzutu na Warszawę w nocy z 14/15 sierpnia 1944 roku. Dokonali oni jeszcze zrzutów na Warszawę w nocy 8/9, 12/13 i 13/14 sierpnia

zrzutu 12 zasobników i 8 paczek na cmentarz żydowski, a pozostałe 4 paczki zrzucił na placówkę „Chochla” 207 (13 km na północ od Błonia) w Puszczy Kampinoskiej.

Liberator „R” ??-978, pilotowany przez „Zygulę” F/L Zygmunta Plutę<sup>30</sup> zrzucił 12 zasobników i 9 paczek na wolskie cmentarze. Również na wolskie cmentarze zrzucił 9 zasobników i 12 paczek Halifax „P” JP-251 W/O Henryka Jastrzębskiego<sup>31</sup>. Zasobniki i paczki wylądowały w okolicach placu Kercelego, ul. Młynarskiej, na cmentarzu powązkowskim i żydowskim.

W dzienniku bojowym Zgrupowania „Radosław”, który został znaleziony w czasie odkopywania zasypanych w nalocie bombowym na Mławskiej i Franciszkańskiej na Starym Mieście, czytamy:

„5 sierpnia 1944 roku, godz. 01.15 — przyjęto zrzuty materiałów”.

Dziewiętnastoletni kapral „Bogiel” Bogusław Kaufmann z 1 kompanii harcnerskiego batalionu „Parasol” w swojej relacji tak ten zrzut wspomina:

„Okolo godziny 22.00 dostałem rozkaz wyruszenia grupy wydzielonej do podjęcia zrzutów. Nie wierzyłem, że rzeczywiście zrzut nastąpi. Widziałem sygnalizację świetlną koło kaplicy Halpertów na cmentarzu ewangelickim. Samolot nadleciał od strony północnej. Leciał na wysokości 200-300 m. Strzelano do niego z tyłu punktów, że dopiero wtedy uświadomiłem sobie, jak dalece Niemcy panują nad ogromnym terenem miasta i jego najbliższych okolic. W świetle reflektorów poznałem, że był to samolot typu Consolidated B-24 D, zwany Liberatorem. Kilka miesięcy przed powstaniem zrobiłem jego redukcyjny model, tak że nie miałem trudności w rozpoznaniu samolotu. Dźwięk wydawany przez jego 4 silniki był zupełnie inny niż samolotów niemieckich. Pamiętam, że znacznie wyższy i bardziej metaliczny. Zasobniki na spadochronach spadły bardzo blisko nas. Jeden spadochron nie otwo-

---

1944 roku. W nocy z 9/10 sierpnia 1944 roku, zaatakowani przez myśliwca niemieckiego w rejonie Mokotowa, zestrzelili go, dokonując następnie zrzutu na Puszcę Kampinoską. Spoczywają oni na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

30. Skład załogi p. *Zeszyty Historyczne* Nr 75 (1986), str. 205.

31. Załogę Halifaxa „P” JP-251 stanowili: piloci W/O Henryk Jastrzębski, W/O Jan Cholewa, naw. F/O Stanisław Kleybor, r/o W/O Edmund Marchlewski, mech. F/S Emil Szczerba, strz. F/S Tadeusz Ruman i F/S Antoni Imielski — *Log book* 784107 Henryk Jastrzębski vel Morton.

rzył się całkowicie i zasobnik uderzył silnie w dach domku przy ul. Mireckiego na wprost cmentarza ewangelickiego. Widziałem jak koledzy mocowali się i wyciągali z przełamanych desek dachu. W momencie zrzutu, wśród naszego radosnego wycia i strzelaniny Niemców, jakiś obudzony raptem i nieświadomy sytuacji żołnierz rzucił w grupkę, w której stałem, ręczny granat. Granat nie wybuchł. W radosnym uniesieniu spowodowanym zrzutem dopadłem tego żołnierza i rozbiłem mu dość serdecznie buzię. Sprawa wyjaśniła się, kiedy wytłumaczył, że nie wiedząc o zrzucie wziął nas za niemieckich spadochroniarzy”<sup>32</sup>.

Po wylądowaniu nad ranem w Campo Casale załogi z lotu nad Warszawę meldowały:

„ (...) ul. Marszałkowska, aleje Jerozolimskie, część Mokotowa i Czerniaków w ogniu. Obrona przeciwlotnicza lekka z rejonu Mokotowa, Dworca Głównego, mostów i Cytadeli”<sup>33</sup>.

F/O Kazimierz Szrajer pilot Halifaxa „L” JP-252<sup>34</sup>, podaje w swojej relacji, że zrzutu dokonał na Puszczę Kampinoską, jego radiooperator w książce lotu zanotował „over Warsaw”. W obu *log book*’ach ilość godzin lotu 9,20. W ewidencji lotów sezonu „Odwet” (SPP-sygn. SK WP/1) podana jest placówka „Mirt” 218. Halifax „A” JP-180, którego nawigatorem był dowódca 1586 Eskadry S/L Eugeniusz Arciuszkiewicz dokonał zrzutu na placówkę „Mirt” 218, położoną 15 km na południowy wschód od Kielc i odległą od Warszawy o 156 km. Halifax „C” JP-220 Zbigniewa Foriana leciał na placówkę „Cekinia” 219, położoną 7 km na północny zachód od miejscowości Końskie i odległą od Warszawy o 120 km. Zawrócił jednak z drogi z powodu defektu silnika i wylądował po 7.20 godzinach lotu w bazie na trzech silnikach i zadania nie wykonał.

Na placówkę „San” 215, położoną 27 km na południowy wschód od Skierniewic i odległą od Warszawy o 61 km, poleciały z 148 Dywizjonu dwa brytyjskie Halifaxy: Halifax „A” JP-276 F/L A. R. Blynnia i Halifax „K” EB-147 F/O L.G.J. Kinga. Po dokonaniu zrzutu na placówkę „San” 215 oba nie wróciły. Halifax „A” JP-276 został zestrzelony przez nocnego myśliwca koło Dąbrowy Tarnowskiej, położonej 18 km na północ

32. Stachiewicz Piotr, *Parasol*, wyd. II, Pax 1984, str. 498.

33. IPMS — *Dziennik bojowy Eskadry 1586*, sygn. LOT A. V 35/10.

34. Załogę Halifaxa „L” JP-252 stanowili: piloci F/O Kazimierz Szrajer, F/L Edmund Ladro, naw. F/O Jerzy Zbroja, r/o W/O Edward Janik, mech. F/S Grzegorz Denisienko, strz. Sgt W/O Marian Roman — *Log book* F/O Kazimierz Szrajer.



od Tarnowa i odległej od Warszawy o 227 km. Wszyscy zginęli<sup>35</sup>.

O losach nawigatora Halifaxa „K” EB-147 dowiadujemy się już w dwa tygodnie później z telegramu, wysłanego z Bazy Nr 11 do 148 Dywizjonu, który tak brzmiał:

„Crack signal: From Sandomierz. With us safe is [uratował się i jest z nami — tłum. K.B.] F/O J. W. Symington Nr 151787 16. 8. 44”<sup>36</sup>.

O losach pozostałych członków załogi Halifaxa „K” EB-147 pisał w depeszy trzy miesiące później płk Jan Zientarski, kdt Okręgu Radom do Sztabu N.W. Oto jej treść:

„Nr 627/6/VVV/777  
436 Wanda 52 do 10  
Dnia 15. 11. 44  
Nadana 17. 11. 44

Otrzymana 17. 11. 44  
Odczytana 18. 11. 44

(...) Wśród oddz. AK znajdują się następujący Anglicy:  
1) Nr 151789 *flying officer* W. Symington RAF, strącony w powrotnej drodze po wykonaniu zrzutu. O kolegach podaje: *The rest of the crew are believed to be prisoners in German hands. The captain of my aircraft was: flying officer L. G. W. King.* [Przypuszczam, że pozostali z mojej załogi dostali się do niemieckiej niewoli. Moim dowódcą samolotu był por. L. G. W. King<sup>37</sup> (winno być L. G. J. King — K.B. — tłum. K.B.). (...)

M i e c z y s ł a w”<sup>38</sup>

Na placówkę „Trawa” 204, położoną 12 km na północny zachód od Pińczowa, a odległą od Warszawy o 181 km, poleciały też dwa Halifaxy, ale tylko Halifax „W” JP-223 W/O S. R. Frencha dokonał zrzutu 9 zasobników i 6 paczek. Halifax „P” JP-295 W/O D. Browna nie wykonał zadania, bo nie znalazł placówki.

Na placówkę „Skawa” 231, położoną 33 km na południowy

---

35. Załogę Halifaxa „A”, JP-276 stanowili: piloci F/L A. R. Blynn, F/S C. B. Wylie, naw. W/O G. A. Chapman, r/o F/O H. L. Brown, mech. Sgt F. G. Wenham, strz. K. J. Ashmore i F/S A. G. W. Liddell. Spoczywają oni na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

36. PRO — *Dziennik działań 148 Dywizjonu*, sygn. AIR-27/996, str. 4.

37. Załogę Halifaxa „K” EB-147 stanowili: piloci F/O L. G. J. King, F/O G. Watson, naw. F/O J. W. Symington, r/o Sgt J. Stewart, mech. Sgt T. E. Hammond, strz. Sgt R. C. Grenfell i W/O B. A. Miller.

38. *AKwD*, tom V, str. 133.

wschód od Skierniewic i odległą od Warszawy o 76 km, miał dokonać zrzutu Halifax „Z” LW-294 Sgt F. N. Snowa, ale wrócił po 1.25 godzinie lotu, bo zacięła mu się tylna wieża. Przy lądowaniu w Campo Casale, pękła opona, samolot skręcił gwałtownie i urwało się podwozie. Samolot zapalił się i spłonął z ładunkiem, blokując na parę godzin pas startowy. Załoga ocalała.

Halifax „S” JP-162 F/O J. G. McCalla dokonał zrzutu 9 zasobników i 6 paczek na placówkę „Kanarek” 211, położoną 13 km na północ od Miechowa i oddaloną od Warszawy o 206 km, ale w drodze powrotnej został zaatakowany przez niemieckiego nocnego dwusilnikowego myśliwca ME-110 koło Wojnarowej, położonej 37 km na południowy wschód od Tarnowa i oddalonej od Warszawy o 282 km. Z płonącego Halifaxa wyskoczyło tylko czterech lotników, pozostałych trzech spaliło się w samolocie<sup>39</sup>. Spoczywają na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Sgt Robert Peterson, 2-gi pilot tego samolotu, tak ten lot wspomina:

„Na odprawie 4 sierpnia 1944 roku w pokoju operacyjnym 148 brytyjskiego dywizjonu specjalnego w Brindisi, oficer operacyjny przedstawił nam poważną sytuację, jaka się wywiązała w Warszawie. Naszym celem była początkowo Warszawa, zmieniona w ostatniej chwili na spotkanie z polskim podziemiem (...). Znaki partyzantów były poprawne, zniżyliśmy lot z 10.000 do 800 stóp (...). Do zrzutów podchodziliśmy dwa razy, zrzucając z wyrzutni bomb zasobniki (...) z pokładu samolotu wyrzuciliśmy paczki na spadochronach. (...) Około północy nad południową Polską zostaliśmy zaatakowani przez niemiecki samolot myśliwski. Nasz Halifax zapalił się (...) założyłem spadochron i wyskoczyłem. (...) Wylądowałem na stoku pagórka w odległości około 50 stóp od małego lasu. Schowałem spadochron i zacząłem biec. Szczekały psy. Ktoś mnie gonił — słyszałem kroki. Biegłem bez wytchnienia. Upadłem z wyczerpania. Kroki, które słyszałem, były biciem mego serca, które waliło jak młotem. Z brzaskiem dnia ukryłem się w łanie dojrzałego zboża. Przez cały dzień słyszałem głosy i śmiechy dzieci, bawiących się opodal samotnego domu. O zmroku zastukałem do drzwi. Byłem w niebieskim mundurze i pistolet miałem w kaburze. Otworzył mi mężczyzna. W słabo oświetlonej izbie zobaczyłem kobietę i dwunastoletniego chłopca. Na mój widok ogarnęło ich przerażenie i nie mogli wydobyć ze siebie

---

39. Pełną załogę wymieniłem w *Zeszytach Historycznych* Nr 36 (1976), str. 206 i podałem w oparciu o relacje R. O. Petersona, że zrzutu dokonano koło Warszawy w rejonie Wołomina, bo nie znamem wtedy dokumentów SPP sygn. SK WP/1, sygn. 2.3.5.8.1 i PRO sygn. AIR-27/996.

słowa. Po pewnej chwili zaczęli ze sobą gorączkowo rozmawiać. Domyślili się, że jestem brytyjskim lotnikiem, którego szukali Niemcy, przeczesując okolicę (...). Zadawali mi pytania, których nie rozumiałem, ale czułem ich sympatię, troskę i współczucie. Zdrada równała się nagrodzie, a pomocą ryzykowali swoje życie (...) zajęli się mną (...) ale nie miałem pewności co do ich zamiarów. Zbyt byłem zmęczony, — nie spałem ostatnie trzy noce — aby myśleć co przyniesie jutro. (...) Rano ktoś ostrzegł, że Niemcy szukają zbiegłych lotników. Ukryto mnie na strychu z całą determinacją. Nie wyczuwałem już więcej strachu u swoich gospodarzy (...). Moje podejrzenia i wątpliwości zniknęły. Znalazłem przyjaciół. (...) [tłum. z angielskiego K.B.]<sup>40</sup>.

Halifax „X” JP-181 P/O C. W. Crabtree’go zrzucił 9 zasobników i 6 paczek na placówkę „Kobuz” 212, położoną 15 km na północny wschód od Miechowa i 212 km od Warszawy. W drodze powrotnej został on zestrzelony koło miejscowości Łętowice, położonej 10 km na zachód od Tarnowa i oddalonej od Warszawy o 247 km. Wszyscy zginęli. Spoczywają na cmentarzu Rakowickim w Krakowie<sup>41</sup>.

Na ogólną liczbę 14 startujących samolotów tylko 3 polskie zrzuciły broń i amunicję, wbrew wydanym rozkazom, na Warszawę, a 1 polski samolot dokonał zrzutu pozostałych 4 paczek z ładunku na Puszczę Kampinoską, 8, z czego 1 na dziko, dokonało zrzutu na placówki oddalone od Warszawy w granicach od 61-212 km, 1 nie znalazł placówki, 2 zawróciły z powodu defektów mechanicznych. Stracono 5 samolotów i 4 brytyjskie załogi. 1 samolot został uszkodzony. Poległo 17 lotników, 6 dostało się do niewoli niemieckiej, a 5 od niewoli niemieckiej uratowała Armia Krajowa.

Na podstawie tych strat, które nie miały żadnego związku z powstaniem, A/M Slessor zawiesił loty załogom brytyjskim do 12 sierpnia 1944 roku.



W świetle tych przytoczonych dokumentów i relacji mimowoli nasuwa się pytanie: jakie mieli możliwości techniczne alianci wykonania efektywnych zrzutów lotniczych w nocy z 4/5 sierpnia 1944 roku?

40. Peterson Robert, *Canadian Airman in Poland*, Biuletyn Nr 11 Kongresu Polonii Kanadyjskiej — Okręg Alberta, Edmonton 3. 5. 1962.

41. Załogę Halifaxa „X” JP-181 stanowili: piloci P/O C. W. Crabtree, F/S A. Bennett, naw. F/S D. J. Mason, r/o W/O J. A. Carroll, mech. Sgt D. Aird, strz. Sgt C. A. Beanland i Sgt A. Sandilands.

W basenie Morza Śródziemnego dysponowano czterema jednostkami do specjalnych zadań dalekiego zasięgu. Poza tym w Anglii na lotnisku w Tempsford koło Bedford stacjonowały dwa brytyjskie dywizjony 138 i 161 do specjalnych zadań dalekiego zasięgu. Z lotniska tego latano do Algieru, Austrii, Belgii, Czechosłowacji, Francji, Holandii, Norwegii, Prus Wschodnich<sup>42</sup> i do Polski. Z końcem 1943 roku loty do Polski zostały zawieszono, ponieważ trasa prowadziła przez Danię, gdzie Niemcy wzmocnili obronę przeciwlotniczą, gdyż tamtędy kierowano też samoloty na bombardowanie Berlina. W sierpniu 1944 roku, już po inwazji aliantów obrona niemiecka była słabsza i może ta trasa mogłaby być wykorzystana. Były więc na pewno możliwości techniczne dokonania zrzutu w nocy z 4/5 sierpnia 1944 roku na cel w Warszawie o powierzchni 9 km<sup>2</sup>, obramowany torami kolejowymi i Wisłą. I to nie z trzech samolotów, które rzeczywiście tam dotarły, ale co najmniej z 60 samolotów, których jednak nie wykorzystano. I to nie z powodów technicznych — jak usiłowano tłumaczyć — ale z powodów politycznych.

Dnia 5 sierpnia zastępca Szefa Sztabu NW gen. Stanisław Tatar wysłał do gen. Bora-Komorowskiego depezę następującej treści:

„O. VI L.dz. 6409/tjn/44  
Nr 700/XXX/555  
Dnia 5 sierpnia

Lawina

Wiadomość o rozpoczęciu (...) walki o Warszawę otrzymałem (...) 2 sierpnia. (...) wszcząłem starania o pomoc (...) akcja (...) angażująca najwyższe czynniki (...) doprowadziła (...), że Churchill (333) 3 sierpnia zlecił udzielić pomocy (...) Warszawie. Komitet Brytyjskich Szefów Sztabów (...) nakazał wykonanie zrzutów dowódcy lotnictwa Morza Śródziemnego. Zarządzone na noc 4/5 sierpnia przygotowania zostały w ostatniej chwili zmienione przez dowódcę lotnictwa Morza Śródziemnego, wyłączając Warszawę, jako miejsce zrzutów [moje podkreślenie — K.B.].

---

42. W nocy z 15/16 kwietnia 1942 roku Halifax NF-„V” Nr L-9613 F/S Juliana Pieniążka bombardował Królewiec. Załogę stanowili: piloci F/S Julian Pieniążek, F/S Stanisław Kłosowski, naw. F/O Mariusz Wodzicki, F/O Stanisław Król, r/o P/O Ignacy Bator, mech. Sgt Czesław Kozłowski, strz. F/S Zdzisław Nowiński, F/S Tadeusz Madejski, godz. lotu 11.15 — Log book Julian Pieniążek: Start godz. 19.35 — Log book 782529 Zdzisław Nowiński.

Wyczuwa się wyraźnie przeciwne wpływy Sowietów, którzy uważają Warszawę (...) obecnie w sferze ich zainteresowań taktycznych. (...) Brytyjczycy przekazali Moskwie żądanie pomocy dla Warszawy. (...) Wznowiona (...) 5 sierpnia interwencja (...) najwyższych czynników nie zmieniła (...) rzeczy. Liczyć się musimy, że i dalsze starania nie doprowadzą do (...) zaopatrywania Warszawy. Najwyżej będziemy mogli uzyskać zrzuty w okolice Warszawy i w Radomskie. Niezależnie wdrożone zostały starania u Amerykanów. (...)

T u r s k i<sup>43</sup>.

Niemcy jednak sprawniej działali. W przeciągu czterech dni zorganizowali sztab i kilkutyśieczną odsiecz, zbieraną z doraźnych oddziałów SS, Wehrmachtu, policji i żandarmerii na zapleczu frontu, z odległości dochodzącej do 300 km, i rano 5 sierpnia przystąpili do szturm.

Przy dalszej analizie dokumentów odnośnie pomocy lotniczej w czasie powstania odkrywamy, że niewiele zostało dokonanych zrzutów na samo miasto, a wysokie straty poniesione zostały wcale nie nad miastem, ale na trasie. I to nie tylko od niemieckiej obrony przeciwlotniczej, ale również w skutek złego stanu technicznego wysyłanych samolotów. Temat ten wychodzi poza ramy niniejszego artykułu i wymaga wnikliwego studium.

*Kajetan BIENIECKI*

---

43. *AKwD*, tom IV, str. 60.

Tadeusz WYRWA

## ZE WSPOMNIENIŃ GENERAŁA LOUISA FAURY, SZEFA WOJSKOWEJ MISJI FRANCUSKIEJ W POLSCE W 1939 ROKU

W 1953 roku, na łamach francuskiego kwartalnika wojskowego<sup>1</sup> zostały opublikowane wspomnienia generała Faury, pt. *La Pologne terrassée (août-septembre 1939)* — „Polska zmiądzzona (sierpień-wrzesień 1939)”. Wiele lat później, w 1987 roku, ukazało się w tym samym kwartalniku zakończenie tych wspomnień<sup>2</sup>, zatytułowane: *L'épilogue en Roumanie (septembre-octobre 1939)* — „Epilog w Rumunii (wrzesień-październik 1939)”. W epilogu tych wspomnień nie ma rewelacji, warto jednak zasygnalizować jego ogłoszenie, tym bardziej, że ukazał się z 34-letnim opóźnieniem.

Na wstępie trzeba przypomnieć, iż gen. Louis Faury był osobistością dobrze znaną i cenioną w Polsce międzywojennej, z którą był związany od chwili odzyskania niepodległości. W 1919 roku, w randze podpułkownika, Louis Faury wyjeżdża do Polski z francuską misją wojskową. Jak powie o nim w 1986 roku jego syn Yves Faury, również generał, w odczycie poświęconym swojemu ojcu: „Dla tego oficera przesiąkniętego tradycją i wzniosłym ideałem, ukształtowanym w kulcie Napoleona, odrodzenie Polski było egzaltującym wydarzeniem; po zwycięstwie nad Niemcami nic

---

1. *Vide: Revue historique de l'Armée*, numery 1-4/1953, Paryż.

2. *Vide: Revue historique des Armées* nr 3/1987, str. 87-95. W tytule tego kwartalnika, w 1953 roku, mowa była o *l'Armée*, a później zmieniono na liczbę mnogą *des Armées*, na co zwracam uwagę, żeby nie myślano, iż jest to pomyłka w druku.

nie mogło go bardziej pobudzić do czynu niż okazja pomóżenia Polsce w zachowaniu jej świeżo odzyskanej niepodległości". Odczyt ten, wygłoszony w Bibliotece Polskiej w Paryżu, z którego czerpię tutaj dane, słusznie był zatytułowany: „Oficer francuski w służbie Polski”.

Uczeń marszałka Focha, Louis Faury już w czasie pierwszej wojny światowej był ceniony w środowisku elity sztabu francuskiego, zwłaszcza jako organizator i instruktor. Nie było więc rzeczą przypadku, że został wysłany do Polski, gdzie trzeba było w pośpiechu tworzyć armię, wypracować doktrynę wojskową i wszystko właściwie zaczynać od podstaw. Najpierw gen. Faury wykładał w Szkole Sztabu Głównego, której był współorganizatorem i która zdążyła jeszcze, w kursie skróconym do trzech miesięcy, mieć dwie promocje oficerów, skierowanych następnie na front w wojnie z bolszewikami. Wykłady w Szkole zostały zawieszane. Płk Faury został przydzielony na własną prośbę do sztabu IV Armii, dowodzonej przez gen. Leopolda Skierskiego, z którą odbył kampanię wojenną w 1920 roku. Udział płk. Faury w wojnie z bolszewikami i osobiste obserwacje, jakie z niej wyniósł były jednym z powodów, że podkreślał, iż zwycięstwo w bitwie pod Warszawą Polacy zawdzięczają przede wszystkim strategii Marszałka Piłsudskiego i poświęceniu żołnierza, przeciwstawiając się w ten sposób późniejszym twierdzeniom przypisującym gen. Weygandowi odegranie głównej roli.

Po zakończeniu wojny z bolszewikami płk Faury wykładał do 1928 roku w nowoutworzonej Wyższej Szkole Wojennej. Wypadki z maja 1926 wywołały w nim głęboki wstrząs, tym silniejszy, że uczniowie Wyższej Szkoły Wojennej znaleźli się w obydwu, przeciwstawnych sobie obozach. Płk Faury starał się być mediatorem i pogodzić zwaśnione strony, co osiągnął wśród swoich uczniów i co było przykładem dla innych.

W 1928 roku Marszałek Piłsudski postanowił, w porozumieniu z rządem francuskim, zakończyć działalność francuskiej misji wojskowej, ale chciał, żeby płk Faury pozostał w Polsce i objął stanowisko komendanta Wyższej Szkoły Wojennej. Dowództwo francuskie nalegało jednak na powrót i płk Faury, lojalny w stosunku do swoich przełożonych, opuścił Polskę, żegnany z żalem i szacunkiem za swoją pracę i przyjaźń okazaną Polsce. Wkład jego w przygotowanie kadr wojska polskiego był imponujący: wyszkolenie 700 oficerów sztabowych i 40 profesorów.

Po powrocie do Francji, mianowany generałem, Louis Faury zachował kontakt z Polską. Przyjechał również na pogrzeb Marszałka Piłsudskiego i przy tej okazji miał rozmowę z min. Beckiem na temat paktu o nieagresji, jaki Polska podpisała z Niemcami dnia 26 stycznia 1934 i który niepokoił Francję, która zapomniała, że rok wcześniej, po objęciu przez Hitlera, 30 stycznia 1933, stanowiska kanclerza Rzeszy, Piłsudski proponował Francji podjęcie prewencyjnych środków. Płk Beck miał zapewnić gen.

Faury, iż celem zawarcia tego paktu było uzyskanie dla Polski kilku lat koniecznych do uzbrojenia kraju.

W 1936 roku gen. Faury przeszedł na emeryturę, starając się w dalszym ciągu przyczynić do zaciśnięcia więzów między Francją i Polską, których stosunki, jak sam się wyraził, oparte były na wzajemnym nieporozumieniu i — jeśli chodzi o Francję — to jej pasywna polityka i obronny charakter jej strategii, której wyrazicielem była linia Maginota z jednej strony, a z drugiej jej zbliżenie do ZSSR — musiały siłą rzeczy niepokoić Polaków.

Dnia 23 sierpnia 1939 roku, z polecenia gen. Gamelina, gen. Faury przyjechał do Warszawy na czele francuskiej misji wojskowej. Gen. Gamelin miał mu zalecić, żeby: przyspieszyć przygotowanie armii polskiej; unikać wszystkiego, co mogłoby sprowokować konflikt, zostawiając Niemcom odpowiedzialność za dokonanie agresji; zapewnić marszałka Rydza-Śmigłego, że dowództwo francuskie udzieli mu poparcia, ale bez sprecyzowania, na czym to poparcie będzie praktycznie polegało. Dyrektywy gen. Gamelina miały sprowadzać się do jednego słowa: *durer* — trwać.

Wyjeżdżając z Paryża gen. Faury nic jednak nie wiedział o umowie wojskowej, zawartej w maju 1939 między dowództwem francuskim i polskim. Chodziło o tzw. protokół wojskowy, podpisany dnia 19 maja przez gen. Gamelina i gen. Kasprzyckiego w wyniku wizyty tego ostatniego w Paryżu. Gen. Gamelin zastrzegł wówczas, grając na zwłokę, że protokół wojskowy nabierze mocy obowiązującej dopiero po podpisaniu protokołu politycznego, co nastąpiło nie wcześniej niż 4 września 1939, a więc po wybuchu wojny. Gen. Faury dowiedział się o protokole zupełnie przypadkowo od gen. Musse, *attaché* wojskowego Francji, kilka dni po swoim przyjeździe do Warszawy. Chłodno też został początkowo przyjęty przez gen. Stachiewicza, szefa sztabu, dawnego swojego ucznia i współpracownika, co — jak się później okazało — wypływało z planów Polski odnośnie obrony korytarza gdańskiego, planów które były sprzeczne z ustaloną strategią przez marszałka Rydza-Śmigłego z generałem Gamelinem.

W kampanii wrześniowej gen. Faury dzielił los rządu polskiego. Wobec szybkiego parcia Niemców w głąb Polski, gen. Faury, jak pisze w swoich wspomnieniach<sup>3</sup>, zaproponował marszałkowi Rydzowi-Śmigłemu i generałowi Stachiewiczowi utworzenie, w oparciu o granicę rumuńską, *une zone refuge*, obszaru mogącego służyć do zgrupowania cofających się jednostek wojska polskiego, które mogłyby być następnie zaopatrywane w broń przez Francję i Wielką Brytanię i w ten sposób przejść później do ofensywy. Błyskawiczny charakter wojny i wkroczenie armii sowieckiej do Polski przekreśliły automatycznie wszelkie plany. Jedno jest jednak pewne, a mianowicie, że gen. Faury, bez większej zwłoki, orientował się na Rumunię i 13 września „starał się nakłonić ministra Becka, żeby natychmiast wraz z całym ministerstwem

3. *Vide: Revue historique de l'Armée* nr 4/1953, str. 130.



wyjeżdżał w stronę Rumunii<sup>4</sup> i, jak powiedział 17 września płk. Jakliczowi: „z Rumunii przejdziemy do Francji, gdzie będzie się formowało przy boku Francji nowe wojsko polskie<sup>5</sup>”.



Kilkutygodniowy pobyt gen. L. Faury w Rumunii opisany jest przez niego we wspomnianym już „Epilogu”, opublikowanym w 1987 roku, dzięki jego synowi gen. Yves Faury, który — mówiąc nawiasem — urodził się w 1923 roku w Warszawie, gdzie spędził pierwsze 4 lata swojego życia. Z gen. Y. Faury miałem dwie dłuższe rozmowy. Przyjął mnie w swoim domu i w czasie naszego pierwszego spotkania pokazał mi z dumą, starannie zachowane, różne pamiątki z Polski po swoim ojcu.

Na wstępie postawiłem oczywiście pytanie, z jakiego powodu epilog wspomnień, wydrukowanych w 1953 roku, ukazał się dopiero w 1987? Otóż, według tego, co mi powiedział gen. Yves Faury, po śmierci ojca, który zmarł w 1947, matka powierzyła te wspomnienia generałowi Ruby. Yves Faury pełnił wówczas służbę w Indochinach, nie wie, co się wtedy stało z epilogiem — znalezionym niedawno przez niego — i dlaczego jego matka zwróciła się do gen. Ruby, który poprzedził wspomnienia (zawierające sporo błędów m.in. w pisowni nazw miejscowości i nazwisk osób) obszernym wprowadzeniem<sup>6</sup>. Gen. Yves Faury podkreślił w rozmowie ze mną, że matka (zmarła w 1954 roku) nie była zadowolona z wprowadzenia napisanego przez gen. Ruby, w którym były ustępy sprzeczne z tym, co myślał i mówił za życia gen. Louis Faury. W stosunku np. do gen. Weyganda, gen. Louis Faury miał bardzo dużo sympatii i szacunku, ale nigdy nie przypisywał mu decydującej roli, jak usiłował to zrobić gen. Ruby, w zwycięstwie z 1920 roku<sup>7</sup>.

Oprócz wprowadzenia gen. Ruby, wstęp do wspomnień gen. Louisa Faury napisał gen. Weygand, z którego warto przytoczyć kilka zdań: „Z racji swych właściwości Polska jest krajem, w którym obcy wpływ jest przyjmowany z trudnością. Charakter narodowy, dumny aż do przeczulenia, nieufność narodu, którego prześladowanie było chlebem codziennym, rozbieżności nie do uniknięcia po stuletniej okupacji niemieckiej, rosyjskiej i austriackiej są powodem, że zadanie doradcy staje się delikatne... Uwa-

4. Ludwik Łubieński, „Raport” z 21 maja 1940 w *Zeszytach Historycznych* nr 81, str. 211.

5. Gen. Józef Jaklicz w *Zeszytach Historycznych* nr 82, str. 126.

6. *Vide*: Generał Ruby w *Revue historique de l'Armée* nr 4/1952, str. 47-66.

7. W 1987 roku ukazała się w Londynie, staraniem Instytutu Józefa Piłsudskiego, bardzo wartościowa książka właśnie na ten temat: Ks. Dr Zdzisław Musiałik, „General Weygand and the Battle of the Vistula — 1920”, Londyn 1987, str. 146.

ga ta, prawdziwa w stosunku do wszystkich dziedzin, dotyczy w większym jeszcze stopniu dziedziny wojskowej, w której Polak, uniesiony słuszną dumą swojej chwalebnej i bogatej przeszłości, osiągniętej przeważnie za cenę nierównych walk, uważa że jest równy każdemu cudzoziemcowi. Nie akceptuje więc rady, jeżeli ona nie odpowiada jego aspiracjom i możliwościom... W okolicznościach dramatycznych rząd polski nie zrezygnował ze zwrócenia się o porady do aliantów, którzy zwycięstwem drogo okupionym nabyli doświadczenie, jakiego brakowało odradzającej się armii. Ale gdy niebezpieczeństwo minęło — żegnaj aniele stróżu (*adieu le saint*). Generał Faury był jedną z rzadkich osobistości, które stanowią wyjątek od tej reguły i które w Polsce miały dar trwania<sup>8</sup>”.



Epilog wspomnień gen. Louisa Faury zawiera część danych z raportów, jakie Faury wysłał z Rumunii, jesienią 1939 roku do gen. Gamelina<sup>9</sup>. Niektóre fragmenty epilogu, uzupełniające znane już fakty, warte są przytoczenia, co robię w porządku chronologicznym tak, jak zostały zanotowane przez gen. L. Faury<sup>10</sup>. Dnia 18 września, na terytorium Rumunii, gen. Faury spotkał ambasadora Noëla po rozmowie tego ostatniego z generałem Sikorskim, który zdał sobie sprawę z błędnego rozumowania, że „Rosjanie weszli do Polski, aby pokrzyżować plany Niemców i że będzie możliwe porozumienie się z nimi celem uratowania kraju”.

W Bukareszcie ambasador Francji, A. Thierry, przyjął chłodno gen. Faury z uwagi na stanowisko Rumunów i francuska misja wojskowa ulokowała się nie w gmachu ambasady, lecz w *Maison de France*, domu wokół którego kwaterowali zgodnie Polacy i Francuzi, z wzorowym przestrzeganiem dyscypliny. Jedyny wówczas kłopot, o którym wspomina gen. Faury, to zniknięcie z samochodem szofera polskiego.

Dnia 21 września (lub 22 — dokładna data nie jest pewna) Faury otrzymał telegram od gen. Gamelina, upoważniający go do pozostania przy marszałku Rydzu-Śmigłym (*demeurer près du maréchal*) tak długo, jak będzie uważał za stosowne. Jednocześnie generał Gamelin zlecił przekazanie Rydzowi-Śmigłemu „uczucie jego wiernej przyjaźni i podziwu dla waleczności armii polskiej, oraz wiary w końcowe zwycięstwo”. Marszałek Rydz-Śmigły był wówczas internowany w Craiovej i gen. Faury udał się do niego dnia 2 października. Najpierw jednak gen. Faury pisze o tworzeniu rządu polskiego we Francji: „Sprawa była prowadzona w Paryżu,

8. Maxime Weygand w *Revue historique de l'Armée* nr 1/1953, str. 131.

9. *Vide: Zeszyty Historyczne* nr 64, str. 223 i nast.

10. *Vide: Revue historique des Armées* nr 3/1987, str. 87-95. Przekład z tego kwartalnika robię za pozwoleniem gen. Yves Faury i gen. J. Pailarda, naczelnego redaktora tego czasopisma.

wspólnie między rządem francuskim, ambasadorem Noëlem i generałem Sikorskim, a w Bukareszcie w porozumieniu między p. Thierry, ambasadorem Polski [Rogerem Raczyńskim] i prezydentem Mościckim — sprawa załatwiona z szybkością, która przynosi zaszczyt negocjatorom”.

Według opinii zebranej przez gen. Faury w obozach internowanych, „oficerowie pozostali głęboko przywiązani do osoby marszałka Rydza-Śmigłego, uważając go jeszcze za swojego szefa pomimo, że nie byli w stanie nawiązać z nim kontaktu. Ta postawa armii, która do niedawna walczyła, nosi znamię wielkości i stanowi przeciwieństwo postawy uchodźców cywilnych i oficerów bez zajęcia, którzy zatłoczyli Bukareszt i napastliwie krytykowali nieudolność naczelnego wodza”.

Gen. Faury jechał do marsz. Rydza-Śmigłego po ukonstytuowaniu się już rządu polskiego w Paryżu. Celem wizyty gen. Faury nie było więc tylko przekazanie „przyjaznych uczuć” gen. Gmelina, ale — i przede wszystkim — wysondowanie w tej sprawie stanowiska marsz. Rydza-Śmigłego i nadzieja, że uzna on nowy rząd polski. Do Craiovej<sup>11</sup> gen. Faury pojechał samochodem rumuńskim, za nieoficjalną wiedzą G. Gafenco, rumuńskiego ministra Spraw Zagranicznych.

Okoliczności spotkania z marsz. Rydzem-Śmigłym, tak jak je opisał gen. Faury, były typowe dla ówczesnej atmosfery politycznej w Rumunii, a jednocześnie nie pozbawione pewnego wdzięku. Po przyjechaniu do willi, gdzie przebywał Rydz-Śmigły, urzędnik policji rumuńskiej nie pozwolił gen. Faury na spotkanie z marszałkiem. Po dwugodzinnym czekaniu w pobliskiej cukierni, gen. Faury został zabrany samochodem marszałka, w którym znajdował się polski oficer sztabowy i przy szoferze siedział agent policji rumuńskiej. Po kilkunastu minutach jazdy zatrzymano się w parku, z małym jeziorem w środku, całość podobna do Łasku Bulońskiego w Paryżu. Łodzią dojechali następnie na drugi brzeg, gdzie znajdowała się wysepka, na której czekał marsz. Rydz-Śmigły. Rozmowa z marszałkiem trwała jedną godzinę. Z rozmowy tej gen. Faury nie zanotował nic specjalnie nowego, czego by dzisiaj już nie wiedziano. Marsz. Rydz-Śmigły miał być w dobrej formie, „wydaje się, iż poddał się faktom dokonany; wychwalał prezydenta Raczkiewicza, ale powstrzymał się od oceny składu rządu”.

Rydz-Śmigły podziela — pisze dalej Faury — „punkt widzenia gen. Sikorskiego o potrzebie utworzenia we Francji armii polskiej tak silnej, jak będzie to możliwe... Życzeniem jego było, żeby Polska miała rzeczywisty udział w zwycięstwie aliantów, co do którego nie miał żadnych wątpliwości”. Następnie Rydz-Śmigły dał mu do zrozumienia, „jak bardzo cięży mu internowanie”.

---

11. Gen. Faury zamiast Craiova pisze uparcie Grajewo.

Gen. Faury odegrał również znaczną rolę w organizowaniu ewakuacji żołnierzy polskich z Rumunii i Węgier. Pisze o tym w swoich wspomnieniach i w raportach do gen. Gamelina. Zgodnie z apelem gen. Sikorskiego, pierwszeństwo w ewakuacji do Francji winny były mieć kadry, zwłaszcza specjalistów. Wojskowi w mundurach byli internowani i przed ewakuacją musieli oczywiście wydostać się po kryjomu z obozu. Gen. Faury pisze na ten temat, że „ucieczki na większą skalę zaczęły się dopiero po trzech tygodniach, gdyż wskutek mylnego zrozumienia dyscypliny, oficerowie polscy sądzili, że obowiązkiem ich jest nie odłączać w niepowodzeniu swojego losu od losu swoich podwładnych, co było chlubne, ale stało w sprzeczności z interesami armii. Pierwsze ucieczki były nawet zainicjowane przez misję francuską”.



W drugiej połowie października 1939 gen. Faury wrócił do Francji. W dalszym ciągu był przy wojsku polskim. Pełnił funkcję dyrektora Centrum Wyszkożenia Wojska Polskiego w Coëtquidan. Dnia 14 czerwca 1940, na rozkaz gen. Weyganda, objął dowództwo nad wojskiem polskim w Bretanii, były to już jednak dni klęski, a nie chwały. W czasie wojny był w kontakcie z płk. Jakliczem i współuczestniczył w przerzucaniu żołnierzy za granicę. Zmarł w Paryżu w 1947 roku. Trumnę z kościoła wynieśli Polacy, przyjaciele i jego wierni towarzysze broni.

*Tadeusz WYRWA*

## WSPOMNIENIA

Aleksander HRYNKIEWICZ

### DZIENNIK ADIUTANTA MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

*Belweder, 15 stycznia 1935 roku*

Na skutek telefonicznego wezwania mnie przez ppłk. Butlera, przybyłem z krótkich wywczasów w Zakopanem do Warszawy, by objąć służbę przy Komendancie, jako adiutant przy Jego Osobie. Rankiem dnia tego o godz. 8-ej przyjechałem do Belwederu, gdzie przywitał mnie ppłk Butler wraz z kpt. Pacholskim, oznajmiając, że będę mógł zameldować się Komendantowi, jeżeli Komendant przybędzie do Belwederu, co jeszcze nie jest ustalone. Zanim jednak do tego dojdzie, chętnie mnie poinformują o przyszłych obowiązkach, które wymagają szczegółowej znajomości zwyczajów Komendanta.

Przez długie godziny słuchałem tych nader cennych wskazówek, które mają być fundamentem przyszłych moich obowiązków i drogowskazem w zawiłych czynnościach.

Po tej lekcji, czując się zmęczony drogą i pilnym słuchaniem interesujących pouczeń, poszedłem do domu, by wypocząć i nabrać sił do pracy, która z tego co mi mówiono, nie miała być lekką i łatwą.

*Belweder, 21 stycznia 1935 roku*  
*Poniedziałek*

W dniu dzisiejszym wypada mi służba; w czasie jej obejmowania od kpt. Pacholskiego o godz. 8-ej stwierdziliśmy, że Komendant śpi.

O godz. 10-tej Pani Marszałkowa budzi Komendanta razem z Jagódką, która przyjechała dziś rannym pociągiem z Krynicy, lecz bezskutecznie, gdyż Komendant znajdując się w półśnie zaraz zasypia.

O godz. 10.15 Pani Marszałkowa usiłuje ponownie zbudzić Komendanta. Komendant pogrążony w twardym śnie na nic nie reaguje.

O godz. 10.30 zameldowałem się w sypialni Komendanta. Komendant obudził się, podziękował za obudzenie i wkrótce znów zasnął, śpiąc bez przerwy do południa. W międzyczasie załatwiałem sprawy, które się koncentrują w Belwederze, kiedy w nim Komendant przebywa.

O godz. 14.30 Komendant ubrany siedzi w pokoju narożnym. Na propozycję zjedzenia obiadu Komendant odmawia, zamawiając go na godz. 16-tą.

O godz. 14.10 zgłosił telefonicznie swój przyjazd minister Spraw Zagranicznych J. Beck, po zakończonej sesji Ligi Narodów w Genewie, o czym zameldowałem Komendantowi. Otrzymałem odpowiedź, że dziś Komendanta ministra nie przyjmie, przypuszczalnie jutro. Ponieważ minister Beck mówił mi, że chciałby zdać Komendantowi sprawozdanie z konferencji odbytych w Genewie, skomunikowałem się z ministrem, oznajmiając decyzję Komendanta.

O godz. 17.40 Komendant wezwał mnie i zapowiedział wyjazd do szpitala, w celu odwiedzenia pani Zuli. Wyjechalśmy o godz. 17.45. Komendantowi towarzyszyła Jagódka i ja. Stan zdrowia p. Zuli, który w dniu tym znacznie się pogorszył, wpłynął na usposobienie Komendanta bardzo przygnębiająco, widoczny był głęboki smutek malujący się na bladym obliczu Komendanta. Wychodząc ze szpitala Komendant szedł bardzo wolno, zgarbiony więcej niż zwykle, z głową pochyloną w zamyśleniu. O godz. 18.20 powrót do Belwederu. O godz. 21.30 Komendant przywołał mnie do siebie i zapowiedział wyjazd do G.I.S.Z. O godz. 21.45 jesteśmy w G.I.S.Z., gdzie po rozebraniu się Komendant niezwłocznie wydał rozkazy kpt. Miładowskiemu na dzień następny.

*Belweder, 22 stycznia 1935 roku*  
*Wtorek*

Dziś, z powodu wolnego od zajęć dnia, składałem wizyty: płk. dypl. A. Sokołowskiemu, szefowi gabinetu ministra, płk. dypl. J. Karczowi, szefowi Dep. Kawalerii, płk. Wartha, szefowi kanc. G.I.S.Z., płk. Strzeleckiemu, Wendzie i Insp. Gen. Orlicz-Dreszerowi, płk. Woyczyńskiemu oraz adiutantom Generalnego Inspektora kpt. Miładowskiemu i kpt. Lepeckiemu. Byłem w G.I.S.Z. w mieszkaniu Marszałka. Komendant golił się i ubierał, szykując się na zebranie generałów inspektorów oraz specjalnie wezwanych wyższych oficerów, łącznie z szefem Biura Pers. M. S. Wojsk. płk. Misiągiem i gen. Wienawą-Długoszowskim, biorącym zawsze udział przy głosowaniu w czasie debat nad awansami. Komendant zapowiedział stawienie się tychże samych wyższych oficerów o godz. 18-tej tegoż dnia.

*Belweder, 28 stycznia 1935 roku*  
*Środa*

Dziś mam służbę, którą objąłem o godz. 8-ej. W rannych godzinach przybyła do Belwederu pani Pohoska, żona wiceprezydenta miasta Warszawy z prośbą o przyjęcie przez panią Marszałkową w celu korekty statutu jakiegoś związku kobiet pracujących społecznie. Przybyli również lekarze w osobach płk. Bakuna (?) i majora nieznanego mi z nazwiska, w celu zbadania pani Marszałkowej. Po wizycie lekarskiej przedstawiłem sprawy adresowane do Pani Marszałkowej, na które składały się w przeważnej większości prośby o pomoc materialną ludzi pozbawionych pracy, a znajdujących się na dnie nędzy lub skrajnej rozpacz.

*Belweder, 25 stycznia 1935 roku*  
*Piątek*

Godz. 8.00 objąłem służbę przy Komendancie przekazaną mi przez kpt. Pacholskiego. O godz. 8.15 Pani Marszałkowa wyjechała z córkami do szkoły. Komendant śpi. O godz. 10.30 obudzony przez Panią Marszałkową Komendant nie spożył śniadania i spał nadal do godz. 11.30. O godz. 12-tej Komendant przeszedł do pokoju narożnego, gdzie polecił podać śniadanie.

O godz. 14-tej Komendant podpisał dekret nominacyjny na generałów i pułkowników.

O godz. 18-tej Komendant zapowiedział wyjazd do szpitala w celu odwiedzenia pani Zuli, która Komendanta nie przyjęła z powodu złego wyglądu po ostatnim przesileniu spowodowanym gorączką. Ta niby kokieteria chorej ma swe ukryte cele, by swym złym wyglądem nie pobudzić wrażliwości Komendanta. Powrót do Belwederu ze szpitala nastąpił o godz. 18.40. Komendant siedząc w przyległym pokoju, obok chorej, rozmawiał z p. Zulą Kadenacówną i jej siostrami oraz panią dr Znajewską, informując się szczegółowo o stanie zdrowia p. Zuli.

O godz. 20.50 Komendant przyszedł do pokoju mego urzędowania i zapowiedział wyjazd do G.I.S.Z. około godz. 10-tej, o czym polecił mi zawiadomić znajdującego się w tym dniu na służbie kpt. Miładowskiego.

Do G.I.S.Z. wyjazd nastąpił o godz. 23-ej. Opóźnienie nastąpiło z powodu rozmowy Komendanta z Panią Marszałkową i córkami, które zadowolenie swoje objawiały głośnym i radosnym śmiechem.

W czasie jazdy do Inspektoratu Komendant rozmawiał ze mną o niepogodzie, która tak bardzo daje się odczuć ludziom.

O godz. 23.05 przybyliśmy do G.I.S.Z.

*Belweder, 27 stycznia 1935 roku  
Niedziela*

Służbę objąłem o godz. 8-ej.

O godz. 11.45 Pani Marszałkowa z córkami wyjechała do Sulejówka. Wyjazd jest już zwyczajem w życiu rodziny Komendanta i należy do programu dnia świątecznego.

O godz. 12-ej przyjechał pruski prezydent ministrów Göring w towarzystwie ambasadora Niemiec von Moltkego i sekretarza, którym towarzyszył z ramienia ministra Spraw Zagranicznych radca Aleksander Łubieński. Wizyta ta jest o tyle charakterystyczna, że mimo programu ustalonego przez nasze władze, na wyraźne żądanie ministra Göringa, wprost z dworca kolejowego, najpierw przyjechali do Belwederu złożyć podpisy, potem na Zamek. Wjazd na dziedziniec belwederski odbył się nader ciekawie. Auto ministra poprzedzało inne auto odkryte, w którym przybyli liczni wywiadowcy stanowiący osłonę osobistą, za autem ministra Göringa dwa motocykle z takim samym personelem zamykały orszak.

W hallu oczekiwałem na przyjezdnych. Mimo, że nie uprzedzono mnie o tym zamiarze, zdążyłem nie uchybić należytej grzeczności wobec gości. Przedstawiłem się pruskiemu ministrowi i



przywitałem z ambasadorem Niemiec, sekretarzem i radcą Łubieńskim. Po tej ceremonii zaprosiłem ministra i towarzyszące mu osoby do dalszych pokojów, zatrzymując się w drugiej poczekalni. W czasie wpisywania się do księgi audiencjonalnej zauważyłem, że całe towarzystwo ochrony osobistej z auta poprzedzającego wpakowało się do hallu i na jedną nawet chwilę nie spuszczało nas spod swojej bacznej obserwacji. Przy okazji pobytu w Belwedrze, ponieważ ministra Göringa i jego otoczenie zainteresowało mieszkanie Komendanta, zaproponowałem zwiedzenie muzeum, na co minister bardzo chętnie się zgodził, okazując dużą ciekawość poznania tego, co się w nim znajduje.

Wstępując po schodach, prowadzących do muzeum, zwróciłem uwagę zwiedzających na karykatury Czermańskiego o charakterze politycznym. Najszczegółowiej prezydent minister Göring oglądał order i odznaczenia znajdujące się i zgrupowane w jednej sali, interesując się bardzo tym, przez jakie państwo nadesłane i jaką nosi nazwę.

W sali wyrobów ludowych wskazałem na miecz wykuty ze stali przez górników i robotników przemysłu śląskiego. Prezydent minister Göring popatrzył na wskazany miecz i po chwili, jak gdyby namysłu, ujął miecz w obie ręce, by zbadać jego ciężar, następnie jak się widzi na obrazach średniowiecznych lub na scenie, przyjął postawę rycerza krzyżowego, wsparł się na trzymanej oburącz rękojeści miecza i przez pewną chwilę w tej pozie pozostał. Scena ta — charakterystyczna w swym wyrazie — przeniosła myśl moją w te odległe czasy historyczne związane z losami Rzeczypospolitej i konsekwencjami tego na ziemiach Pomorza i Prus Królewskich. Gdy weszliśmy do sali, gdzie zebrane są adresy, honorowe dyplomy, akty obywatelstwa itd., zauważyłem ożywienie na obliczu Prezydenta. Minister Göring ruchem głowy i uśmiechem dał poznać po sobie, że są mu znane takie objawy uczuć społeczeństwa.

W czasie oglądania powiedział, że ma tych dyplomów z 1 i pół tysiąca i że Hitler posiada ich 14.000 ofiarowanych przez miasta i osady całej Rzeszy. Na to odpowiedziałem, że choć nie mogę przytoczyć dokładnej cyfry dyplomów posiadanych przez Marszałka Piłsudskiego, to dla objaśnienia oznajmiam, że to co tu jest zebrane jest tylko częścią tego, co naród ofiarował swemu Marszałkowi; szczupłość miejsca nie pozwoliła na umieszczenie wszystkiego i że muzeum takie znajduje się również w Sulejówku. Tym chciałem dać do zrozumienia, że cyfrą, którą przytoczył, wcale nam nie imponuje.

W czasie oglądania przedmiotów znajdujących się w muzeum

minister Göring zatrzymał wzrok na rzeźbionym krzyżu w kształcie swastyki. By nie sądził błędnie, pospieszyłem z objaśnieniem, iż to odznaka 4 pp. legionów z okresu wielkiej wojny i że obecnie jest odznaką Dywizji Podhalańskiej. Objasnienie to przyjęte zostało z pozorną obojętnością.

Po obejrzeniu muzeum prezydent minister Göring podszedł do mnie i w grzecznej uprzejmej formie podziękował za pokazanie tych rzeczy, ściskając mi dłoń pożegnał się.

Ambasador Niemiec przez cały czas z dala towarzyszył ministrowi Göringowi, zachowując chłodny spokój typowego dyplomaty, mało mówiącego, ale na wszystko zwracającego uwagę z pozorną obojętnością.

Odjazd ministra odbył się w tym samym porządku jak i przyjazd. Towarzysząca mu ochrona, czyniąc tumult i hałas motorami swych motocykli i aut, wypadła za bramę belwederską.

*Belweder, 31 stycznia 1935 roku*  
*Piątek*

Komendant w Inspektoracie. Normalny tok urzędowania. Telefonicznie poinformowano mnie o wyjeździe Komendanta samochodem na miasto — jest to spacer w okolicy podmiejskie — wyjazd nastąpił o godz. 10.30 i trwał około 2-eh godzin.

Zostałem również zawiadomiony o mającym nastąpić przyjeździe Komendanta do Belwederu i wizycie pruskiego ministra Göringa o godz. 18-tej. Ze względu na brak danych, czy Komendant zechce przyjąć gościa herbatą, wydałem zalecenie, by na wszelką ewentualność wszystko było przygotowane.

Dziennikarze już na długo przed wyznaczoną godziną spotkania tłumnie zjeżdżali ze swymi fotografami do Belwederu. Chcąc zachować przynajmniej pozorną poufność do czasu tego wydarzenia, zakazałem wpuszczania kogokolwiek do pałacu.

Stosownie do umowy, auto wysłałem o godz. 17-tej. Komendant przyjechał o godz. 17.40. Krokiem energicznym i żwawym udał się do pokoju narożnego, nic nie mówiąc. W pięć minut po przyjeździe Komendanta przybył minister Spraw Zagranicznych Beck i oznajmił mi, że zanim przybędzie premier Göring, chciałby przez parę minut pomówić z Komendantem. Stosownie do tego życzenia zameldowałem Komendantowi przybycie ministra Becka. Komendant polecił prosić ministra.

Punktualnie o przewidywanej godzinie 18-eh nadjechał mi-

nister Göring z sekretarzami, którego w hallu przywitałem. Kpt. Lepecki i Pacholski przeprowadzili ministra Göringa do salonu, ja zaś poszedłem do Komendanta, meldując o przybyciu prezydenta ministrów Göringa. Komendant wysłuchał mego meldunku, wolno wstając zza stołu, kładąc papierosa, trzymanego w ręce, skierował się z min. Beckiem do salonu, do którego drzwi otworzyłem. Na środku salonu Komendant spotkał się z ministrem Göringiem. Wzajemnie lekko do siebie uśmiechając się Komendant przywitał ministra, którego prezentował minister Beck. Po tej ceremonii zasiedli wszyscy we wnęce salonu, rozpoczynając rozmowę. Rozmowa trwała długo, ożywiona. Sekretarzom, zatrzymanym w 2-jej poczekalni, towarzyszyli adiutanci rozmawiając bądź to o błahych sprawach lub o stosunkach w Polsce i Niemczech, częściowo o wojsku z czasów wojny i pokoju.

Konferencja w salonie przeciągała się i trwała dość długo. Nasza rozmowa przerywana od czasu do czasu przeszła w milczące oczekiwanie końca konferencji.

O godz. 19.50 minister Göring wyjechał z Belwederu odprowadzony i żegnany przez ministra Becka. Minister Beck rozmawiał z nami jeszcze przez 10 minut, po czym również opuścił Belweder.

Z polecenia Komendanta zaprosiłem wiceministra Kasprzyckiego do Komendanta, zapytując kiedy pan generał mógłby przybyć; mając odpowiedź, że niezwłocznie, zameldowałem ją Komendantowi. Istotnie, o godz. 20.05 generał Kasprzycki już był w Belwederze. Komendant przyjął pana generała w pokoju narożnym. Po godzinnej rozmowie wiceminister Kasprzycki wyszedł od Komendanta oznajmiając mi, że jedzie do DOK Kraków dziś o godz. 23-ej, i że sobotę i niedzielę spędzi w Zakopanem, a od poniedziałku jest do dyspozycji Komendanta w Warszawie. Prosił, że jeżeli Komendant pragnąłby się widzieć wcześniej z panem generałem, by go zawiadomić pod wskazanym adresem.

O godz. 22-ej Komendant zjadł kolację z rodziną i przeszedł do pokoju narożnego, gdzie przebywał do godz. 4-tej dnia następnego, po czym położył się spać.

Już o godz. 6.30 Komendant zażądał śniadania. Skonstatowałem, że w czasie tego spoczynku Komendant wcale nie spał, natomiast przez cały czas rozmawiał ze sobą w różnych językach, raz ciszej, to znów głośno. Rozmowa ze sobą trwała do godz. 6.30, przybierając różne odcienie napięcia.

Czytając gazety podane Komendantowi przy śniadaniu, czas zszedł do 8-ej. O tej godzinie Komendant już ubrany przeszedł do pokoju narożnego.

*Belweder, 2 lutego 1935 roku*  
*Sobota*

Telefonował kpt. Lepecki, zawiadamiając o przyjeździe Komendanta do Belwederu w godzinach poobiednich. O godz. 18-tej przyjechał Komendant. Wkrótce po przygotowaniu aparatu rozpoczęło się wyświetlanie obrazu pt. „Moskiewskie noce”. Po kinie kolacja o 21-ej, w czasie której otrzymałem wiadomość, że pani Zula czuje się źle i że należy się liczyć z tym, iż chora wkrótce życie zakończy.

Niezwłocznie powiadomiłem o tym Komendantową. Po nardzie ustaliliśmy, że najlepiej będzie powiadomić o tym Komendanta przez lekarzy w osobie płk. Woyczyńskiego lub Komendanta szpitala płk. Rosciszewskiego. Tak się też stało, płk Rosciszewski przybył niezwłocznie i w formie komunikatu o stanie chorej przedstawił sprawę, z której Komendant sam wniosek właściwy wyciągnął, że koniec życia jest bliski.

O godz. 2-ej dnia 3 lutego telefonowała do mnie pani dr Znajewska, prosząc bym uspokoił panie, które są strwożone stanem chorej, oznajmiając, iż do rana Panią Zulę da się utrzymać [przy życiu].

O godz. 4-tej Komendant położył się do łóżka, lecz nie spał. O godz. 6-tej prosił o śniadanie. Śniadanie Komendant zjadł, gazety, które podałem przeczytał. O godz. 7.15 na chwilę zasnął, lecz już o 8.30 ubrany przeszedł do pokoju narożnego.

*Belweder, 4 lutego 1935 roku*  
*Poniedziałek*

Dziś od rana przyjmuję osoby składające kondolencje Komendantowi i rodzinie z powodu śmierci pani Zuli. Członkowie rządu, Senatu, Sejmu, przedstawiciele wojska, społeczeństwa, dyplomacji itd. przybyli licznie, bądź nadawali telegramy.

O godz. 17.10 Komendant z rodziną udał się do szpitala, gdzie zwłoki pani Zuli Kadenacowej pozostają złożone w trumnie do dnia 6 lutego, to jest do dnia eksportacji. Po godzinnym pobycie powrót do Belwederu. Komendant wychodząc ze szpitala dziękował płk. Rosciszewskiemu i kwatermistrzowi szpitala za opiekę nad chorą, a szczególnie serdecznie siostrze sanitarnej W. Żylińskiej za roztoczoną opiekę, pełną poświęcenia i oddania się pielęgnacji.

Po powrocie do Belwederu Komendant długo jeszcze siedział w narożnym pokoju, o godz. 3.40 położył się do łóżka, lecz do

chwili zdania służby nie zauważyłem, by spał. O godz. 6.20 Marszałkowa podała śniadanie.

### *Przejazd do Wilna w dniu 7 lutego 1935 roku*

Wszystkie zarządzenia odnośnie pogrzebu p. Zuli Kadenacewej, mającego odbyć się w Wilnie, Komendant uprzednio wydał członkom rodziny, pułkownikowi Sokołowskiemu i kpt. Lepeckiemu.

Nam, to jest kpt. Pacholskiemu i mnie, wydał Komendant polecenia odnoszące się do samego wyjazdu oraz pobytu w Wilnie. Komendant zdecydował, iż ja mam Komendantowi towarzyszyć i opiekować się rodziną. Ze względu na chorobę kpt. Pacholskiego, który przechodził w tym czasie grypę, decyzja pierwotna odnośnie jego osoby brzmiała w ten sposób, że pozostanie w Belwederze. Jednak na usilną prośbę kpt. Pacholskiego, skierowaną osobiście do Komendanta, otrzymał imienne przyzwolenie wyjazdu do Wilna, lecz w charakterze prywatnym. Mając takie wytyczne wydałem zalecenia przygotowania wszystkiego do drogi. Skomunikowałem się z ministrem Budkiewiczem i wojewodą Jaszczółtem w Wilnie. Pana premiera Sławka powiadomiłem o dniu i godzinie wyjazdu.

Komendant, w związku z mającym nastąpić wyjazdem w godzinach nocnych, miał przybyć bardzo wcześnie do Belwederu; miało to mieć miejsce w godzinach popołudniowych i z tej racji kolacja dla Komendanta była przygotowana w Belwederze.

Komendant przybył o godz. 8-ej, był smutny, cichy i apatyczny. Po spożyciu kolacji przebywał w pokoju narożnym. By unie możliwić Komendantowi pogłębianie tego nastroju, Komendantowa oraz córki z kuzynkami często przychodziły i rozmową rozpraszały niepożądany nastrój psychiczny.

Mając wolną chwilę sporządziłem spis przedmiotów, które mają być zabrane w drogę i dałem wachmistrzowi Wójcikowi celem zabrania i spakowania w walizkach; ponieważ nie było dokładnie wiadomo, kiedy nastąpi powrót, zaopatrzyliśmy się na wszelki wypadek we wszystko, by wystarczyło na dni kilka. Na krzątanie z wachmistrem Wójcikiem i Jankiem schodził czas do wieczora i Komendantowa uzupełniła nasze zapasy licznymi dodatkami, które mogły przydać się w drodze.

Pani Marszałkowa, gościnnie jak zwykle, zaprosiła mnie na kolację, którą spożyłem w gronie rodziny Komendanta. Komendant kolację zjadł w pokoju narożnym.

O godzinie 10-tej Komendant wraz z panią Marszałkową niespodziewanie przyszli do adiutantury, gdzie wydane mi zostało polecenie wcześniejszego wyjazdu na dworzec, z powodu tego, że jadą również panienki, które należy skłonić do wcześniejszego położenia się spać, mając na względzie przemęczenie, wiek i konieczność ранnego wstania w Wilnie. Komendant mówiąc to przeszedł do pokoju przejściowego, usiadł na jednym z foteli przy stoliku i rozmawiał przez chwilę z Komendantową i ze mną. W tym czasie, gdy wydawałem instrukcje odnośnie wcześniejszego wyjazdu z Belwederu, Komendantostwo przeszli do pokoju narożnego.

Gdy nadeszła godzina wyznaczona na wyjazd, zameldowałem Komendantowi, że jest już wszystko gotowe do odjazdu. Komendant odpowiedział, że: „wypalę wpięć papierosa, potem wyjazd” i polecił mi sprawdzić, czy panie gotowe są do drogi. Po pewnym czasie Komendant wyszedł z pokoju narożnego, chrząkając głośno, przeszedł do adiutantury z zapytaniem, gdzie są panie. Odpowiedziałem, że się ubierają. W tym momencie weszła ubrana już pani Marszałkowa, wtedy Komendant zdecydował się włożyć płaszcz, zaznaczając żartobliwie: „panienki pozwalają na siebie zaczekać”. Po wypowiedzeniu tego zdania, wolnym krokiem skierowaliśmy się do wyjścia.

Na Dworcu Wschodnim żegnali Komendanta ministrowie, z którymi Komendant się przywitał i niezwłocznie wszedł do wagonu salonowego. Byli obecni: p. premier Kozłowski, minister Spraw Wewnętrznych Kościakowski, minister Komunikacji Budkiewicz, wiceministrowie Spraw Wojskowych, generał Kasprzycki i Składkowski i inni.

Komendant z rodziną zatrzymał się w salonie, gdzie rozmawiano i przeglądano tygodniki przywiezione przez kpt. Lepeckiego. Wkrótce po ruszeniu pociągu Komendantowa poleciła prowadzącemu wóz Wojewodzie podać herbatę, owoce i ciasta, na które zaprosiła płk. Woyczyńskiego, kpt. Lepeckiego, Miładowskiego, Pacholskiego i mnie. Herbatkę wypiliśmy w nastroju markotnym. Komendant był mało rozmownym, od czasu do czasu tylko dorzucił urwane zdania. Po wypiciu herbaty, około godziny 3-ej, panie przeszły do swych pokoików. Komendant pozostał w salonie, położył się dopiero po 5-tej.

O godz. 7.42 przybyliśmy do Wilna, w tym czasie Komendant jeszcze spał, panienki również. Komendantowa jedynie czuwała i widząc mnie rozmawiającego z Wojewodą, zaproponowała wypicie herbaty. Wojewoda herbatę podał do salonu, gdzie blisko do godz. 10-tej w towarzystwie Komendantowej, rozmawiając na

różne tematy, przebywałem, oczekując na zbudzenie się Komendanta. Panienki już wstały, widać było zmęczenie na bladych obliczach, wyraźniej na młodym obliczu Jagody — mniej odpornej na trudy. Śniadanie zjadły z dobrym apetytem.

O godz. 10.40 Komendant zbudził się, zadzwonił, prosił o herbatę i informował się u mnie, jakie są warunki atmosferyczne. Po wypiciu herbaty ubrał się niezwłocznie i wyszedł na peron. W sali recepcyjnej dworca Komendant przywitał się z zebranymi tu przedstawicielami władz miejskich i wojewodą Jaszczółtem. Nic prawie nie mówiąc Komendant usiadł w fotelu i smutnym wzrokiem wodził po otoczeniu. Biskup Gawlina, w licznym towarzystwie księży, przybył przywitać się z Komendantem, po czym ubrał się w szaty liturgiczne i przeszedł w miejsce, gdzie na peronie przed wejściem do sali recepcyjnej, podstawiono wagon z trumną pani Zuli. Wolnym krokiem Komendant udał się ich śladami. Po krótkiej modlitwie odprawionej przez biskupa Gawlinę, synowie zmarłej wynieśli trumnę z wagonu żałobnego. Komendant salutując stał do chwili, póki kondukt nie zniknął w sali recepcyjnej, po czym skierował się bardzo wolnym krokiem do wagonu salonowego. W eksportacji wzięła udział tylko p. Marszałkowa z córkami. Sądziłem, że wagon stoi w tym miejscu, gdzie stał w chwili opuszczenia go, co zostało ustalone między mną a dyrektorem ruchu na stacji Wilno, na życzenie Komendanta. Tymczasem jeden z funkcjonariuszy kolejowych, chcąc przepuścić pociąg idący do Warszawy, usunął wagon na boczny tor, w miejsce dość odległe. Widząc, że wagonu nie ma na właściwym miejscu, zwróciłem się z zapytaniem, gdzie się znajduje. Dyrektor kolei, speszyony tym faktem, nie wiedział co mi odpowiedzieć, gdyż to go, jak i nas, zaskoczyło. Zameldowałem Komendantowi, że wagon stoi przed dyrekcją ruchu, około 300 metrów od miejsca, w którym się znajdujemy, jeśli Komendant rozkaże, to zaraz wagon z powrotem będzie przytoczony na peron. Komendant zbadawszy sprawę, dlaczego tak się stało, odpowiedział, że pójdzie do wagonu. Rozglądając się szedł wzdłuż całego peronu i oddawał ukłony spotykanym po drodze funkcjonariuszom kolejowym oraz robotnikom, przerywającym pracę na widok zbliżającego się Komendanta. W wagonie Komendant pozostał do godziny pierwszej. Siedząc w salonie spędził ten czas na rozmyślaniu.

O godzinie pierwszej zostałem wezwany przez Komendanta, otrzymując polecenie przygotowania wszystkiego do jazdy na kwartę przewidzianą w pałacu biskupim. Niezwłocznie po ubraniu Komendanta wyruszyliśmy samochodem przez zaśnieżone, wąskie ulice Wilna. W czasie jazdy Komendant bacznie śledził słaby

ruch tego miasta, biednie przeważnie ubranych mieszkańców i nie-liczne sunące sanki chłopów, przybyłych z drzewem na sprzedaż i po zakupy. W oczy biła nędza miasta, w którym od czasu wojny tak mało się zmieniło, a ongiś żyjącego dostatnio, dzięki sprzyjającym warunkom handlowym i położeniu geograficznemu, dającym lepszą egzystencję i perspektywę rozwoju. Rozmyślenia moje związane z tym stanem rzeczy, zmieniających się koniunktur zależnie od warunków politycznych miast i połaci kraju, przerwał mi Komendant zapytaniem, czy znam Wilno. Odpowiedziałem, że znam. Poznałem miasto w czasie wojny, w roku 1919, kiedy to mój 1-szy pułk szwoleżerów zdobywał miasto. Dodałem, że należę do tych szczęśliwców, którzy pierwsi wkroczyli w bramy miasta. Byłem tym patrolem, który jako czołowy 3-go szwadronu dotarł o świcie dnia 19-go do Ostrej Bramy, konno. Z naciera-jącym pieszo szwadronem zapoznałem się z ulicą Wielką i Pla-cem Katedralnym, a dnia następnego z Cielętnikiem pod Górą Zamkową i ulicą Świętojerską i pobrzeżami Wilii oraz z mostem Zielonym i Nadbrzezną.

Komendant zwrócił uwagę na wygląd ulic i śnieg zalegający na jezdniach, porównując je do zasypanych jak gdyby piaskiem, co istotnie czyniło takie wrażenie, a jazda samochodem po tym śniegu dawała uczucie jazdy po sypkim piachu. Kręcąc po wąs-kich ulicach zajechaliśmy przed pałac biskupi. Apartamenty Komendanta położone były na pierwszym piętrze tego wielkiego stylowego gmachu, do których z hallu prowadziły obszerne szerokie schody i winda. Na piętro udaliśmy się piechotą.

W pałacu, wchodząc do wielkiej sali, Komendant zatrzymał się przed drzwiami wiodącymi do niej i trzymając się poręczy odgradzającej schody, powiedział: „Patrzcie, jaka to piękna aga-wa”, wskazując jednocześnie na grupę krzewów, dekorującą tę obszerną klatkę schodową. Nie zwróciłbym prawdopodobnie uwa-gi na ten szczegół, gdyby Komendant tego nie uczynił, gdyż od wojny, w czasie której w pałacu tym był czasowo zainstalowany szpital, dużo się zmieniło, a uwaga moja była skierowana na sze-reg sal, stąd widocznych, do których mieliśmy podążyć, jako do apartamentu zajmowanego przez Komendanta z rodziną. Do wy-powiedzianych słów przez Komendanta pozwoliłem sobie dodać, że roślina ta i inne jej towarzyszące, musi być już dobrze starą, dźwigając na swym pochylonym, bezlistnym pniu brzemię wieku, trudnych do obliczenia lat życia.

Komendant pokiwał głową na potwierdzenie mych słów, po-tem skierował się przez wielką salę w stronę gabinetu. Idąc przez wielką salę wolno stukaliśmy butami, a dzięki dobrej akustyce



odgłosy naszych kroków głośno odbijały się o grube ściany pałacu i wielkie okna, ginąc pod wysokimi sklepieniami.

Weszliśmy do obszernego gabinetu, meble przepiękne, stare bidermajery, dywany, ściany skromnie dekorowane, wiele światła z okien dających widok na uniwersytet Batorego i szczyty kościoła św. Jana. Całość o pogodnym uroczystym nastroju, z którego wieje przeszłość. Na obliczu Komendanta wyczytałem zadowolenie. Rozglądając się Komendant zasiadł w fotelu za biurkiem i wsparłszy ręce o biurko, patrzył w dal przez okno, pogrążony w zadumie. By nie krępować swoją osobą Komendanta, wyszedłem.

Po pewnym czasie Komendant wezwał mnie i wydał rozkaz, „by Wojewoda, biskup Gawlina, pan Czesław Kadenacy i kpt. Lepecki, zajmujący się z polecenia Komendanta pogrzebem, stawili się w pałacu o godz. 15.15 w celu omówienia wszystkich szczegółów jutrzejszego obrządku pogrzebowego”, przedtem chcąc się dowiedzieć, jak pani zadecydowała. „Czy zatrzyma się w pałacu i czy jest przewidziane miejsce dla bratanic, które przybyły razem z Warszawy?”. Zameldowałem, że pani Marszałkowa z córkami i bratanicą przybędzie do pałacu po eksportacji. Na przyjęcie pani Marszałkowej i pozostałych osób pokoje są przygotowane. O godz. 15-tej przyjechały Panie.

Wojewoda Jaszczółt zaprosił Komendantostwo z rodziną i adiutantami na obiad. Z zaproszenia skorzystały tylko pani Marszałkowa z panienkami oraz płk Woyczyński i adiutanci. Ja, będąc na służbie i zmęczony drogą, po nieprzespanej nocy, dziękując za zaproszenie, prosiłem o usprawiedliwienie mej nieobecności.

*Wilno, 8 lutego 1935 roku*  
*Piątek*

Po wspólnej naradzie orzekliśmy, że Komendantowi w czasie ceremonii towarzyszyć będzie kpt. Miładowski, a ja pani Marszałkowej. O godz. 11.20 pani Marszałkowa, Wandeczka i Jagoda wsiedliśmy do auta, które przewiozło nas do kościoła Bernardynów. Kościół stary, dostojne jego mury, patyną wieków i rzeźbą z drzewa dekorowany, wrosły w ziemię, tchnął powagą uroczystości. U stóp trumny, umieszczonej na wysokim katafalku, kobierzec wieńców i kwiatów, w ramach płonących setek świec. Nabożeństwo w asyście liczного duchowieństwa, wojskowego wyjącznie, celebrował ks. Gawlina. Komendant w czasie tym pozostawał jeszcze w pałacu, ze względu na stan zdrowia, przybył

w czasie wnoszenia trumny z kościoła na karawan, co programem było już ustalone, lecz do wiadomości ogółu nie ogłoszone.

Na pogrzebie byli obecni: rząd *in corpore*, na czele z premierem, marszałkowie Senatu i Sejmu, generalicja, liczne grono oficerów G.I.S.Z. Ministerstwa Wojny. Pana prezydenta reprezentowali płk J. Głogowski i szef kancelarii cywilnej Świeżawski.

Komendant postępował za trumną, prowadząc najstarszą córkę zmarłej p. Zulę Kadenacównę. Drogę, ze względu na odległość i zaśnieżenie, Komendant przebył od rzeki Wilejki, opuszczając kondukt na placu przed cerkwią nie dochodząc mostu, resztę drogi samochodem tu oczekującym, który podwiózł Komendanta do cmentarza. Przed murowaną bramą cmentarną Komendant oczekiwał nadejścia konduktu.

Na pierwszym etapie, wkrótce po ruszeniu konduktu spod bram kościoła Bernardynów, miał miejsce incydent, który został w sposób niezwracający niczyjej uwagi przez naszą osłonę zlikwidowany. Jakiś pan, dość przyzwoicie ubrany, który jak się potem okazało nie znał pani Zuli, zaczął nieznacznie mijać członków rządu i idąc jeszcze w ich szeregach podniósł lament i niby płacząc, szlochał z takim uczuciem, jak gdyby stracił co najmniej matkę. Znając wszystkich członków rodziny Komendanta przyszliśmy do wniosku, że jest to osobnik nie należący do zespołu krewnych. Jego uczuciowe zachowanie się i zajęcie miejsca w kondukcje wydało się podejrzane, na tej zasadzie zatrzymany, okazał się istotnie typem widocznie nasłanym przez organizację, której zależało na wywołaniu jakiegoś przykrego incydentu. Nikczemność tych zamiarów nie wymaga bliższego wyjaśnienia.

Zdjętą z karawanu trumnę ponieśli krewni do rodzinnego grobu. Ks. biskup Gawlina odmawiał modlitwy. Komendant, którego otaczała rodzina, stał wsparty o balustradę jakiegoś przyległego grobu i patrzył smutnym wzrokiem na trumnę siostry. Moment ten jest utrwalony na licznych zdjęciach fotograficznych. Po złożeniu trumny w grobie i odprawieniu ceremoniału, odprowadziliśmy Komendanta do auta, Komendantowa została jeszcze przez pewien czas przyjmując kondolencje od licznie zebranych uczestników pogrzebu. Komendantową z córkami, zmarznątą do granic wytrzymałości z powodu dotkliwego zimna i przedłużającej się w tych warunkach ceremonii, odprowadziłem do auta i bocznymi uliczkami zawiozłem do pałacu. Okazało się, że panienki bardzo lekko ubrane, zmarzły bardzo, tak że powstała obawa o stan ich zdrowia.

Komendant po powrocie z pogrzebu przeszedł do gabinetu, pijąc gorącą herbatę oczekiwał na powrót Komendantowej.

Wieczorem Komendant zapowiedział odjazd do Warszawy w dniu 9 lutego o godz. 8.10.

*Belweder, 9 lutego 1935 roku*  
*Sobota*

Wstajemy o godz. 6.45. Komendant już je śniadanie podane przez Józefa i zaraz ma zamiar wstawać. Wszystko do drogi gotowe, o godz. 7.50 Komendant wzywa mnie i zapytuje, ile mamy czasu do chwili wyjazdu, odpowiadam, że 10 minut. Czas ten przeznaczony został na wypalenie papierosa. O godz. 8-iej melduję się u Komendanta i stwierdzam, że jest względnie wypoczęty i w dość dobrym nastroju. W czasie ubierania Komendanta w płaszcz, Pani jeszcze nie ma, dlatego Komendant głośno woła: „Panie! hop! hop!”. Wkrótce zjawiają się panie, które do auta schodzą schodami, Komendant zjeżdża windą. Trasa jazdy prowadziła przez Plac Katedralny, Wielką, Ostrą Bramę do dworca. W sali recepcyjnej dworca nastąpiło pożegnanie się z władzami miasta i przedstawicielami wojska, trwało krótko. Komendant po wejściu do wagonu stał w oknie salonu i uśmiechem żegnał zgromadzonych na peronie do chwili oddalenia się pociągu. W czasie drogi Komendant przeważnie spał lub drzemał. Do Warszawy pociąg przybył o godz. 16.30.

Widząc liczne grono dostojników Rządu i wojska czekających na peronie, Komendant w czasie, kiedy go ubierałem, patrząc w okno wagonu powiedział, że tego bardzo nie lubi, że są to niepotrzebne ceremonie. Wypowiedział to głosem i tonem mrukliwym, z widocznym niezadowoleniem. Pani Marszałkowa dodała, że panowie się niepotrzebnie trują, że to zabiera czas wypoczynku po pracy i jest krępujące dla obu stron.

Wszyscy przybyli odprowadzili Komendanta po przywitaniu się do samego auta, którym Komendant z rodziną odjechał do Belwederu. W Belwederze byliśmy o godz. 17-tej.

*Belweder, 10 lutego 1935 roku*  
*Niedziela*

Przyjmując służbę w dniu dzisiejszym od kpt. Pacholskiego dowiedziałem się, że Komendant jest niezdrów, że jęczał leżąc w łóżku i na zapytanie kpt. Pacholskiego, czy Komendantowi coś nie dolega, otrzymał odpowiedź, że wszystko boli.

Powiadomiłem o tym Komendantową. O godz. 9-tej ma się

pani Marszałkowa porozumieć z płk. dr. Woyczyńskim i zarządzić złu.

Skonstatowałem, że nogi Komendanta ma opuchnięte. O godz. 12-tej pani Marszałkowa z córkami wyjechała na dwie godziny do Sulejówka.

Jak zwykle w dzień świąteczny wyświetlany był film, tym razem pt. „Chciałbym być młodym”. Komendant przyglądał się obrazowi z małym zainteresowaniem, na dodatku pt. „Zakochany zegarmistrz” już nie był, przeszedł do narożnego pokoju.

O godz. 23.15 odwiedził Komendanta płk dr Woyczyński. Przybył również kpt. Lepecki po dyspozycje na dzień jutrzejszy. Komendant zapowiedział tylko przyjazd jutro do G.I.S.Z.

Na zaproszenie Komendantowej byłem na kolacji. O godz. 3-ej w nocy, wbrew dotychczasowemu zwyczajowi, Komendant położył się do łóżka, zmierzwszy uprzednio temperaturę, bez zachęty do tego z mej strony. Temperatura podniesiona. Jęczeniami, kaszlem i postękiwaniami co chwila Komendant objawiał niedyspozycję. Jest to nad wyraz przykre, gdy się wie, że zdrowie tego człowieka jest ściśle związane ze stanem państwa, i że się jest bezsilnym, nie mogąc przyjść z pomocą ani ulżyć w cierpieniu.

O godz. 3-ej zaległa cisza w sypialni, który to fakt konstatuję po raz pierwszy w okresie służby mojej przy Komendancie i gdy to piszę, wybija godz. 5-ta, a Komendant jeszcze śpi.

O godz. 6.15 Komendant obudził się i zadzwonił na śniadanie, którego nie zjadł, wypijając tylko herbatę.

Z obserwacji jaką przeprowadziłem, sądzę że Komendant jest silnie przeziębiony, co przejawia się kaszlem i bólem mięśni — jest to konsekwencja wileńskich trudów, przywieziona z pogrzebu pani Zuli.

Komendant przeziębził się mimo zabiegów i ostrożności z naszej strony, by do tego nie dopuścić. Ból mięśni i leżąca pozycja, pobudzająca kaszel zmusiły Komendanta do wstania i przerwania pokrępijącego snu.

O godz. 7.30 Komendant wstał i przeszedł do pokoju narożnego, gdzie podałem prasę.

*Belweder, 12 lutego 1935 roku*  
*Wtorek*

Komendant w dniu wczorajszym pojechał do G.I.S.Z. w godzinie przedpołudniowej w towarzystwie kpt. Pacholskiego.

*13 lutego 1935 roku*  
*Środa*

Komendant w Inspektoracie, jak mnie informują, zdrowie bez wyraźnych różnic.

*14 lutego 1935 roku*  
*Czwartek*

Komendant, przebywający w Inspektoracie, zaprosił w dniu dzisiejszym p. Jagodę na godziny popołudniowe.

*16 lutego 1935 roku*  
*Sobota*

P. Jagoda z „bratnimi duszami” została zaproszona przez Komendanta na godz. 19-tą do G.I.S.Z. W tym rozumieniu, że tym „bratnimi duszami” są pani Marszałkowa i Wandeczka; przeziębienie Komendanta powoli ustępuje.

*20 lutego 1935 roku*  
*Środa*

Komendant w Inspektoracie, jak mnie informują, zdrowie polepsza się.

*Belweder, 21 lutego 1935 roku*  
*Czwartek*

Kpt. Miładowski powiadomił mnie telefonicznie, że Komendant w dniu dzisiejszym zamierza przybyć o godz. 20-tej do Belwederu, by pożegnać się z rodziną przed swoim wyjazdem do Wilna, mającym nastąpić nocą. W myśl tej zapowiedzi o zapowiedzianej godzinie Komendant przybył i skierował się, po rozebraniu w adiutanturze, wprost do prywatnych apartamentów, gdzie w gronie rodziny przebywał do godz. 11-tej. Po tej godzinie wyszedł Komendant z pokojów do adiutantury, gdzie wydał mi polecenie przygotowania wyjazdu na Dworzec Wschodni. Rozkaz Komendanta okazał się zbyteczny, gdyż wszystko od dawna było przygotowane; rozkazy wykonane. Jeden sygnał podany telefo-

nem wprowadzał w ruch wszystkich tą sprawą zainteresowanych.

O godz. 11.15 Komendant przeszedł z narożnego pokoju do adiutantury, gdzie Go ubrałem w płaszcz. Żegnany przez Marszałkową i córki Komendant wsiadł do samochodu. Jadąc na dworzec ciekawie wyglądał przez szyby samochodu, śledząc z zainteresowaniem ruch uliczny, dość jeszcze intensywny w śródmieściu.

Na Dworcu Wschodnim żegnali Komendanta premier Kozłowski, minister komunikacji Budkiewicz, wiceminister Składkowski, Kasprzycki i inni.

Po rozebraniu Komendanta w salonie odmeldowałem się i opiekę nad Komendantem przekazałem kpt. Miładowskiemu, który z rozkazu Komendanta miał towarzyszyć w drodze do Wilna.

*Belweder, 26 lutego 1935 roku  
Czwartek*

Nadeszła wiadomość z Wilna o zamierzonym powrocie Komendanta.

Wydałem w związku z tą możliwością zarządzenie odnoszące się do przyjazdu i przejazdu Komendanta do Belwederu. Z kpt. Pacholskim udaliśmy się o godz. 16-tej na Dworzec Wschodni, gdzie premier, minister Kościałkowski, Budkiewicz, Składkowski, Kasprzycki, oficerowie G.I.S.Z. i minister Spraw Wojskowych oczekiwali przyjazdu Komendanta.

Pociąg zatrzymał się na górnym peronie, wszedłem do salonki i jako służbowy adiutant zameldowałem się Komendantowi.

Po odczepieniu wagonu ze składu pociągu wileńskiego, przetoczono salonkę na dalszy peron, z którego Komendant wyszedł do samochodu oczekującego przed dworcem.

Tu, z oczekującymi, przez kilkanaście minut Komendant rozmawiał, opisując swoje wrażenia z pobytu w Wilnie.

Zauważyłem, że samopoczucie Komendanta było dość dobre.

W drodze, w czasie jazdy przez most Poniatowskiego, Komendant wyglądał przez szyby auta, interesując się życiem ulicy, a w szczególności stanem Wisły.

W pewnym momencie, gdy przejeżdżaliśmy Plac Trzech Krzyży, zrobił uwagę, że mimo ciepła „paniusie”, prawie co trzecia, są ubrane w futra, widocznie tego ciepła nie odczuwają. Odpowiedziałem, że prawdopodobnie surowy nakaz mody nie pozwala jeszcze na rozstawianie się z futrami.

Do Belwederu przyjechaliśmy o godz. 17-tej. Komendant przywitał się z córkami, potem z panią Marszałkową, przyjmującą w tym czasie prezydium Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet.

Komendant do chwili udania się na spoczynek przebywał w pokoju narożnym. O godz. 2.45 położył się do łóżka i po 15-tu minutach zasnął.

W czasie zdawania służby o godz. 8-ej kpt. Pacholskiemu, Komendant jeszcze spał.

*Belweder, 4 marca 1935 roku  
Poniedziałek*

Komendant wstał o godz. 11.30 i informował się o stanie ciepła na dworze.

O godz. 12-tej zażądał śniadania, polecając podać sobie jajecznicę, przy tym zaznaczył, że „jeśli mi jej nie dadzą, to jeść nic innego nie będę”. W czasie spożywania śniadania jeszcze raz dokładnie wypytywał mnie, jaka jest temperatura.

W dniu tym pięknie świeciło słońce, wiosenny nastrój w naturze. Nagrzany słońcem termometr, wiszący u okna sypialni Komendanta, wskazywał w tym czasie + 17°, później więcej. W miejscach zacienionych znaczna różnica ku dołowi.

To ciągłe badanie temperatury wskazuje na to, że Komendant nosi się z zamiarem spacerowania po parku.

O godz. 13-tej dowiedziałem się od Komendanta, że: „Ziuk zamierza wyjść na spacer do ogrodu”. Przypuszczenia moje miały się sprawdzić, jest to dowodem, że Komendant dziś lepiej się czuje i chce zażyć ruchu na świeżym powietrzu, wykorzystując sprzyjające warunki atmosferyczne.

Za chwilę usłyszałem dzwonek wzywający adiutanta. Po zameldowaniu się Komendant wyraził chęć ubrania się.

Ubrałem Komendanta w ciepły płaszcz zimowy, zapinając uprzednio dokładnie wszystkie guziki koszuli i bluzy, niezapiętych dla wygody i dostatecznego ciepła w mieszkaniu. Tak szczerlnie pozapinany na wszystkie guziki Komendant wolnym krokiem, wzięwszy uprzednio zegarek ze stołu do lewej kieszeni płaszcza, przez otwarte drzwi na taras wyszedł do ogrodu, kierując się w aleję kasztanową, mającą ścieżkę asfaltową.

Spacer trwał 10 minut, regulowany zegarkiem trzymanym w lewej ręce, tam i z powrotem, po tej samej ścieżce.

Przez ten czas wietrzył się pokój narożny, obniżając jego ciepłotę, która wzrastała w miarę silniejszego działania słońca.

O godz. 13.20, wolnym krokiem idąc po schodkach, wrócił Komendant do pokoju. Tu, przebrany, usiadł na zwykłym swoim miejscu. Chociaż spacer trwał tylko 10 minut, to w skutkach swoich okazał się dość męczący. Ciężko siadłszy, wspierając się rękoma o stół, zapalił Komendant papierosa, rozpoczął stawianie pasjansa.

O godz. 15-tej odjechał Komendant do G.I.S.Z. Winda, którą mieliśmy jechać na górę, przestała działać z powodu defektu.

Komendant cierpliwie siedział w windzie, oczekując chwili zaprzestania jej oporu. Ja, w tym czasie, znając mechanizm windy, czyniłem różne wysiłki, by oporną maszynę zmusić do posłuszeństwa. Kilkakrotnie zamykam i otwieram jedne i drugie drzwi, przymykam i odmykam, naprawiając to i owo, co mi się zdawało, że jest przeszkodą uchwycenia prądu, naciskam wszystkie guziki — wszystko bezskutecznie!

Bezradny i wściekły z powodu tej bezradności, melduję Komendantowi, że „uparła się winda i nie chce ruszyć”. Na to Komendant, śmiejąc się: „Maszyna ma również swoje kaprysy, widocznie chce byśmy poszli...”.

Mnie robi się przykro z powodu tej konieczności, i nie chcąc dopuścić do tego, próbuję jeszcze raz wszystkich możliwych sztuczek, nadal bezskutecznie. Widząc to Komendant mówi: „No cóż, trzeba iść”.

Otwieram drzwi i schodami udajemy się na górę do gabinetu. Kpt. Miładowski, mający służbę, zaniepokojony tak długim bezskutecznym przebywaniem Komendanta w windzie, wybiegł na klatkę schodową, by dowiedzieć się, co za przyczyna zatrzymuje nas na dole. Widząc moje szamotanie się z windą, miał zagadkę rozwiązaną.

*Belweder, 10 marca 1935 roku*  
*Niedziela*

Piękny wiosenny dzień marcowy został wykorzystany na wycieczkę samochodową do Sulejówka, na którą zgodnie ze zwyczajem udała się pani Marszałkowa z córkami.

Komendant w tym czasie przebywał w Inspektoracie. Przypuszczać należy, że w godzinach poobiednich przybędzie do Belwederu. Istotnie, kpt. Miładowski o godz. 17.30 zawiadomił mnie o mającym nastąpić przyjeździe Komendanta o godz. 18-tej. W tym czasie wszystko było gotowe do wyświetlenia obrazu pt. „Wesoła wdówka”. Komendant i otoczenie biorące udział w



widowisku byli z obrazu zadowoleni. Na dodatnie walory obrazu złożyły się dobra gra aktorów, melodyjność i estetyka, jak również wesoła treść.

Po seansie Komendant jeszcze przez pewien czas pozostał w salonie, gdzie toczyła się ożywiona dysputa z córkami w związku z wyświetlanym obrazem, po czym całe towarzystwo udało się do pokojów prywatnych. Kolację Komendant jadł w pokoju narożnym. Zaproszony przez Komendantową na kolację, udałem się w towarzystwie panny Jagody do jadalnego pokoju, częstowany bardzo gościnnie przez Komendantową. Przy stole prowadziliśmy beztroską rozmowę, w której — jak zwykle — panna Wanda swój temperament przejawiała głośnym timbrem głosu i zapałem w rozmowie.

Gdy młodsze panie rozeszły się do swych pokojów na spoczynek, pozostałem jeszcze czas dłuższy z Komendantową, rozmawiając o wojnie przeszłej i możliwości przyszłej, sztuce, pięknie natury, pięknie niektórych obiektów Belwederu i Sulejówka, odpowiednich jako motywy dla rysunków i pędzla, co mogłoby być wykorzystane przez naszych artystów. Przy tej sposobności poruszyłem już poprzednio omawianą sprawę malowania tych widoków przez Żukowskiego, artystę malarza rekomendowanego mi przez generała Jarnuszkiewicza, tego znakomitego pejzażystę, który by umiał właściwości tych widoków w swoisty sobie sposób uchwycić i utrwalić.

Muszę dodać, że widoki te w porównaniu z widokami, jakie roztaczają się w okolicy Pałacu Łazienkowskiego, są piękniejsze, i jeszcze ze względu na ich niedostępność, zupełnie niewykorzystane w celach malarskich. Wszystkie pory roku są sprzyjające, zwłaszcza wiosna i jesień ze względu na bogactwo barw i światła. Tło historyczne tych miejsc i obiektów znacznie przyczyniałyby się do podniesienia znaczenia obrazu, poza sztuką ich odtworzenia i swoistym pięknem.

O godz. 11.30 pożegnałem się z Komendantową. Do godz. 2-jej Komendantostwo, siedząc w pokoju narożnym, rozmawiali. Po rozmowie tej pani Marszałkowa przyszła do adiutantury i dała mi wskazówki dotyczące tego co mam czynić, by Komendant czuł się dobrze dzisiaj nocy. Przeszliśmy do pokoju sypialnego Komendanta i tu uregulowane zostały te rzeczy ostatecznie, po sprawdzeniu ciśnienia i termometrów, przy tym Marszałkowa powiedziała mi, że wkrótce rozpoczną się spaceru i proponowała szczegółowy strój na te przechadzki.

W związku z tym dowiedziałem się, że Komendant zamówił u siostrzenic trzy swetry z wełny, trzech rodzajów, mające być

wykonane w myśl wskazówek Komendanta i mające służyć do wspomnianych już spacerów zależnie od zmiany pogody. Pani Marszałkowa, pokazując mi rozpoczętą już robotę, objaśniała jak będą wykonane.

O godz. 2.30 Komendant położył się do łóżka, zasnął o godz. 5.15. Przed snem dość często kasłał, w czasie snu kaszel ustąpił.

*Belweder, 12 marca 1935 roku*  
*Wtorek*

Z polecenia Komendanta zaprosiłem telefonicznie premiera Kozłowskiego do Belwederu na godz. 17.30. O godz. 12-tej Komendant wstał, przeszedł do narożnego pokoju i tu o godz. 12.30 spożył śniadanie.

Pokazałem komendantowi podarunki nadesłane przez ks. misjonarzy zakonu jezuitów z Chin, w postaci trzech pięknie haftowanych poduszek oraz zęba hipopotama z centralnej Afryki, również od misjonarzy, zabitego w Rodezji nad rzeką Zambe.

Podąłem także list byłego wicemarszałka Sejmu, Polakiewicza, adresowany do Komendanta i raport sądu obywatelskiego w sprawie napiętnowania działalności p. Polakiewicza w organizacjach wiejskich wśród młodzieży pracującej ideowo, prorządowo, w której szeregach rzekomo poseł Polakiewicz, prowadząc swą politykę, stosował metody niezupełnie etyczne i zgodne z zasadami praktyk politycznych, mając na celu przyciąganie wspomnianej młodzieży do swego związku, którego jest prezesem.

Telefonowałem do pana Wł. Malinowskiego, autora książki rzekomo historycznej o Komendancie, pod tytułem „Józef Piłsudski w latach 1867-1901”, obejmującej treścią działalność Komendanta w partii PPS.

Rozmowę telefoniczną z nim prowadziłem w celu powiadomienia go, że Komendant polecił wyrazić swoje wielkie niezadowolenie z powodu napisanej książki i oburzenie z powodu wykorzystania do tego celu archiwum PPS, do czego nie miał prawa, nie posiadając do tego żadnego upoważnienia ze strony Komendanta, który p. Malinowskiego ani nie znał, ani go też nigdy nie widział.

Komendant twierdził, że śp. gen. Stachiewicz, który miał pełne zaufanie Komendanta i [...] upoważnienie do przeprowadzania kontroli nad publikacjami o treści odnoszącej się do osoby Komendanta, nie mógł udzielić swego zezwolenia na wykorzystanie tego materiału archiwalnego i zachęty do napisania książki, na co

powoływał się pan Malinowski w czasie rozmowy ze mną, prowadzonej ubiegłego tygodnia na temat omawianej książki.

Został mu również poczyniony zarzut, że powołuje się w swojej przedmowie i pracy na oświadczenie i rzekome dowody ludzi, z którymi Komendant nigdy nie współpracował, znając ich z życia towarzyskiego, jak np. panią Sieroszewską, Mirecką, Filipowiczową, z którą nigdy żadnego kontaktu nie miał, lub na ludzi, którzy biegunowo stali na innym poziomie politycznym niż Komendant, a stanowili tak zwaną opozycję, na przykład: Dener, Helman, Arciszewski, obecnie w CKW. Oświadczyłem również p. Malinowskiemu, że przez Komendanta ani przez panią Marszałkową przyjęty być nie może i że wszystkie wyjaśnienia, dotyczące tej sprawy, jakie chciałby przy tej okazji przytoczyć, są zbędne.

O godz. 17.30 przybył premier Kozłowski, którego prosiłem by zechciał spocząć i chwilę zaczekać. Poszedłem zameldować Komendantowi o przybyciu premiera. Komendant oświadczył, że przyjmie premiera w gabinecie na górze. Komendant przechodząc przywitał się z premierem, nic przy tym nie mówiąc, skierował się, idąc wolno po schodkach, do gabinetu. Za Komendantem, poprawiając nerwowym ruchem binokle, premier Kozłowski. Przyjmując premiera w gabinecie Komendant chciał wyraźnie podkreślić oficjalność swej rozmowy. Rozmowa ta trwała do godz. 18.45. Komendant zszedł na dół w piętnaście minut po wyjściu premiera, którego zdążyłem odprowadzić do hallu.

W adiutanturze oczekiwałem dalszych zarządzeń co do programu dnia. Komendant polecił przygotować auto, zapowiadając wyjazd do Inspektoratu, niezwłocznie. O godz. 19.15 odwiozłem Komendanta do Inspektoratu.

*Belweder, 14 marca 1935 roku*  
*Czwartek*

W czasie rannej wizyty w adiutanturze pani Marszałkowa zapytała o stan mego zdrowia w związku z wczorajszym badaniem w szpitalu przez dr. Znajewską. Proponowała mi, bym korzystał z usług kuchni pani Marszałkowej, stosując się do obowiązującej mnie diety. Podziękowałem za uprzejmą propozycję pani Marszałkowej zaznaczając, że wskazania lekarza mogę w warunkach mej pracy stosować i że gospodyni moja je stosuje. W czasie tej rozmowy pani Marszałkowa zadała mi nagle pytanie, czy widuję się z p. gen. Wieniawiną. Odpowiedziałem, że w ostatnich czasach mniej, gdyż służba mi na to nie pozwala. Pani Marszałkowa na to powiedziała: „Jeśli się pan z panią Wieniawiną zobaczy, pro-

sze powiedzieć, że Ziuk tylko o jednym wystąpieniu generała został poinformowany i o tym wie, natomiast o innych temu podobnych wystąpieniach nic nie słyszał i nic nie wie... Niech pani Wieniawina nie boi się o generała!”. Po czym, dodając w formie sarkazmu, powiedziała: „Generał nigdy nie pije, pan generał nigdy nie robi awantur... ani na przygodnych zebraniach nie zabiera głosu!”.

Słowa wypowiedziane zrobiły na mnie przykre wrażenie, po pierwsze dlatego, że odnosiły się do mego byłego dowódcy i że były ironicznym odzwierciedleniem istotnego faktu, szeroko już na plotkarskim terenie Warszawy komentowanego, w formie nieprzychylniej generałowi.

Dziś, załatwiając wiele spraw pomniejszej wagi, przyjąłem pana Sosnowskiego, ojca majora, który przebywa w Niemczech w więzieniu, będąc osądzonym na długoletnie więzienie za prowadzenie wywiadu na korzyść Polski. Pan Sosnowski, ciosem tym bardzo dotknięty, prosił o audiencję u pani Marszałkowej w celu interwencji u odpowiednich czynników, by mogła nastąpić szybka wymiana jego syna za kilku Niemców trzymanyh w naszych więzieniach. Rozchodzi mu się głównie o to, by syn nie stracił nadziei wydostania się z tej przykrew opresji i nie załamał się pod tym wrażeniem, że się nic nie czyni w celu jego ratowania. Po przedstawieniu tej sprawy pani Marszałkowa przyrzekła pomoc w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Miałem mały incydent telefoniczny z kpt. Lepeckim, polegający na niewłaściwym odezwaniu się kpt. Lepeckiego w czasie prowadzonej z nim rozmowy telefonicznej. Incydent ten dał mi dość jasny pogląd na jego charakter zupełnie jeszcze mi nieznanym. Brak dobrego wychowania i nerwowość połączona z brakiem, w niektórych wypadkach, możliwości panowania nad sobą. Prostactwo i ordynarność zamaskowane nieszczerą uprzejmością i układnością.

Po rozmowie na ten temat z kpt. Lepeckim, mającej miejsce później, dodać muszę, że sprawy tej zaraz nie załatwiałem ze względu na obecność żandarmów służbowych, którzy mogliby być niepotrzebnymi świadkami mego z kpt. Lepeckim nieporozumienia. Chciałem tym uniknąć sceny gorszącej podoficerów mi podkomendnych, gdybym zaraz słownie zareagował stosując metodę i formę p. kpt. Lepeckiego.

O godz. 14-tej powiadomiono mnie o wyjeździe Komendanta do G.I.S.Z.; przez pewien czas nie wiedziałem dokąd się Komendant udał. Pani Marszałkowa czyniła przypuszczenia, że może na zamku konferuje z panem Prezydentem. Okazało się, że Ko-

mentant, z racji pięknej pogody, udał się na spacer do Sulejówka, gdzie spacerował przez pewien czas na słońcu. Przed czwartą powrócił do Inspektoratu. O godzinie piątej przybył zaproszony w niedzielę p. minister Beck i pani Przybylska. O celu wizyty wspomnianych osób nie mówiła mi pani Marszałkowa, gdy miałem zapraszać ministra Becka. Pani Marszałkowa nadmieniła, że zaprasza również i panią Beckową, jeśli ta interesuje się tymi sprawami i posiada w tych godzinach wolny czas.

W związku z tą wizytą pani Marszałkowa prosiła, bym doręczył mapkę i plan horoskopu nakreślonego przez jakiegoś astrologa. Mapka ta i plan są opracowane w związku z dziejami i losami Polski, jej siłą wewnętrzną i zewnętrzną. Pani Przybylska, wnioskując z tych okoliczności, ma być tłumaczką tych rzeczy łączących się z osobą Komendanta.

*Belweder, 17 marca 1935 roku*  
*Niedziela*

Dziś o godz. 23.45 Komendant w towarzystwie pani Marszałkowej i córek odjechał na Dworzec Wschodni w celu udania się do Wilna. Jest to wyjazd mający na celu uniknięcie przyjmowania życzeń, jakie będą składane w dniu 19 marca.

*Belweder, 20 marca 1935 roku*  
*Sroda*

Rano otrzymałem wiadomość o wyjeździe Komendanta z rodziną z Wilna pociągiem osobowym wychodzącym o godz. 8.10.

Mając na uwadze zapowiedziany przyjazd, trzeba było sprawnie wykonać wszystkie czynności z przygotowaniem pałacu, by doprowadzić go do należytego stanu po wczorajszych wizytach tych, którzy składali życzenia z racji imienin Komendanta. Tysiące ludzi, którzy przeszli przez pokoje, zostawili widoczne ślady swojej bytności, należało wszystko w pałacu czyścić, czym prócz służby zajęto ludzi w ilości kilkunastu dodatkowo.

O godz. 16-tej pojechałem na dworzec z kpt. Pacholskim. O godz. 16.32 nadszedł pociąg wiozący Komendanta z rodziną. Na górnym peronie przywitaliśmy przyjezdnych. Komendant w tym czasie już szykował się do wyjścia z wagonu, chodził po salonie i wyglądał przez okna, śledząc ruch na dworcu. Z chwilą doprowadzenia wagonu na dolny peron niezwłocznie wysiadł i odjechał do Belwederu.

Komendant wchodząc do pałacu zwrócił uwagę na czystość i zapach terpentyny, którą myło się podłogi.

Po rozebraniu się w adiutanturze Komendant udał się do swego pokoju i zaraz położył się na kanapie.

Sądząc, że Komendant czuje się źle, lub jest osłabiony, udałem się do pani Marszałkowej z zapytaniem, czy to nie jest objaw choroby. Pani Marszałkowa zapewniła mnie, że to jest senność, ponieważ Komendant spał w drodze bardzo mało. Komendant po wyjściu z wagonu szedł do auta tak szybko, że pani Marszałkowa nie mogła dotrzymać kroku, z tego wnioskuje, że nie jest przemęczony i nie jest chory. Mnie te argumenty jakoś nie wydały się przekonujące.

Po tym wyjaśnieniu Komendantowa wypytywała, jaki był przebieg uroczystości imieninowych. Czy wszystko było z naszej strony w należyтым porządku, kto składał życzenia i w jakim nastroju. W odpowiedzi, opisując uroczysty i podniosły przebieg uroczystości, zaznaczyłem, że bardzo wiele młodzieży przybyło na czele z nauczycielstwem wyrazić swój hołd Marszałkowi, brak było natomiast młodzieży uniwersyteckiej, która ograniczyła się wyłącznie do grupy reprezentacyjnej wyższych uczelni. Komendantowa była zdania, że jest wpływ starszych na młodzież, która grupuje się w organizacjach politycznych znajdujących się w opozycji rządowej.

Szczegółowe zwiedzanie darów, zebranych w pokoju jadalnym, odbyło się w towarzystwie pp. Wandy i Jagody.

Komendantowa z uznaniem podkreśliła wartość artystyczną rzeźby wykonanej przez p. Widacką pt. „Kobieta z Polesia”, albumu utrzymanego w charakterze regionalnym Polesia ofiarowanym przez obywatelstwo województwa Poleskiego, które to dary przywiózł i osobiście wręczył wojewoda Kostek Biernacki. Następnie stół i taca wykonana przez wójta gminy Kossów. Bardzo podobały się te przedmioty o wysokiej wartości artystycznej, wykonane własnoręcznie przez tegoż wójta, pięknie inkrustowane motywami ludowymi Huculszczyzny.

Z postaci tego człowieka w chwili ofiarowywania darów była skromna radość, że mógł wykonać rzeczy tak piękne i złożyć je w dowód swego uwielbienia dla Komendanta. Komendant, chociaż nie oglądał darów, zainteresował się tym co zostało jako dary złożone. Szczególnie owocami nadesłanymi przez pewnego pana. Wyhodowane one zostały w kraju, w cieplarni.

By całkowicie zaspokoić ciekawość Komendanta, przywołałem służbę i wnieśliśmy kosz pięknymi kwiatami ubrany do salonu naróżnego i postawiliśmy obok Komendanta. Komendant dziwił się,

że wyglądem ani kształtem nie były podobne do owoców rosnących w kraju. Wyglądem swym przypominały w pewnym stopniu brzoskwinie lub duże śliwki francuskie, coś między jednym a drugim. Po dość długim wyjaśnianiu Komendant wybrał jedną z ładniejszych i spróbował. W smaku okazały się dobre, godne pochwały, było nieco dla Komendanta twarde. Komendantowi, który lubi owoce, ofiarodawca ich zrobił dużą przyjemność. Komendant z apetytem zjadł w ciągu nocy 5 czy 6 sztuk tych śliwek.

Opis mapy Żułowa wykonanej w 1858 roku przyjął Komendant z dużym zdziwieniem, gdyż taki plan z tego roku Komendantowi nie był znany. Gdy przytaczałem różne szczegóły tego planu, treść napisów, ilość i rodzaj pól, sumę dziesięcin stanowiącą całość, ciekawość Komendanta zaostrzyła się do tego stopnia, że na niektóre pytania, znając plan tylko pobieżnie, nie mogłem odpowiedzieć, wobec tego zaproponowałem przyniesienie planu do pokoju. Na tę propozycję Komendant odpowiedział uśmiechem zadowolenia. Wyczułem, że przyjmuje ją chętnie, chociaż wyraźnie tego nie wypowiedział. Zamiast Komendanta pani Marszałkowa podtrzymała moją propozycję, wobec tego posłałem po 6-ciu żandarmów, by plan oprawiony w ciężkie lustrzane szkło i mosiężne obramowanie w formie stołu na mosiężnych wygiętych nogach przenieść do pokoju narożnego. Dźwigaliśmy ten ciężar przez długość salonu. Komendant przyglądał się temu z jeszcze większym zdziwieniem, zadając sobie pytanie, dlaczego papierowy plan podklejony płótnem dźwiga tak wielka liczba ludzi. Upatrzyłem miejsce i gdy ustawiłem składany stół pod żyrandolem, tak by światło dobrze padało na taflę szyby, Komendant wstał z za stołu i przyglądał się temu przedmiotowi, w który oprawiony był plan Żułowa. Komendant oznajmił, że z takiego planu, lecz z innego roku, nie tak starego, a wydanego później, uczył się zapoznawać z terenem i całością folwarków i wsi należących do dóbr Żułowa, wynoszących w tym czasie przeszło 13 tysięcy dziesięcin.

By umożliwić dokładne studiowanie tego planu, przyniosłem szkło powiększające, którym w niektórych wypadkach Komendant się posługiwał. Przysunąłem fotel kryty zielonym safianem. Komendant klęcząc w nim wsparł łokcie na stole i przy pomocy szkła studiował napisy, całość i szczegóły planu. Pani Marszałkowa, pomagając w tym, słuchała wyjaśnień Komendanta. Dotyczyły one przeważnie okresu młodocianego, kiedy to z rodzeństwem Komendant odbywał włóczęgę po rozległych i odległych od Żułowa lasach, mokradłach i polach.

Po północy jeszcze trwało oglądanie tego planu i opowiadanie najróżnorodniejszych szczegółów.

Siedziałem w adiutanturze o godz. 1-ej, gdy pani Marszałkowa, zawsze o wszystkim pamiętająca i dbająca, przyniosła mi do adiutantury całą paterę owoców, prosząc bym w czasie nocy się pokrzepił.

*Belweder, 24 marca 1935 roku  
Niedziela*

Otrzymaliśmy zawiadomienie telefoniczne od szefa B. Insp., że w dniu dzisiejszym jest urządzane nabożeństwo w katedrze z racji uchwalenia nowej konstytucji. Ponieważ Komendant na nabożeństwie nie będzie, pozostajemy do jego dyspozycji. Projektowany wyjazd do Sulejówka, z powodu pogorszenia się pogody, będzie prawdopodobnie odwołany.

Prezes Rady Ministrów przysłał mi zaproszenie na herbatkę, mającą odbyć się w pałacu Rady Ministrów z okazji uchwalenia konstytucji. O godz. 14-tej, po odbytym nabożeństwie w katedrze, lud miasta Warszawy pod wodzą prezydenta miasta St. Starzyńskiego, wiceprezydentów, wojewody Jaroszewicza i wicewojewody Giergielewicza, sekretarza B.B. Brzęk-Osińskiego i innych przedefilował Alejami Ujazdowskimi przed Belwederem, wnosząc okrzyki na cześć konstytucji i Komendanta. Defilowały organizacje ze sztandarami, ludności biorącej udział z własnej woli, samorzutnie, nie zorganizowanej, prócz gapiów nie zauważyłem, co zrobiło na mnie wrażenie, że mieszkańcy miasta uchwalenie konstytucji przyjęli z całym spokojem i bez entuzjazmu. Całokształt manifestacji był wyraźnie reżyserowany. Wszystko, co dało się podporządkować rozkazowi, stanęło w szeregach swej organizacji. Można śmiało twierdzić, że społeczeństwo zupełnie sobie nie zdaje sprawy, czy nowe prawa, którymi ma się rządzić, są dobre czy złe, i z braku orientacji zachowuje się tak biernie.

Projektowany wyjazd do Sulejówka rodziny Komendanta i Komendanta nie odbył się ze względu na złą pogodę. Zwykły program dnia świątecznego wypełniło zostanie w Belwederze.

O godz. 6.30 Komendant, tak jak zapowiedział, przyjechał do Belwederu. Wchodząc po schodach do pałacu powiedział: „Tu jakoś mokro, woda stoi”. Następnie w poczekalni drugiej, gdzie został powieszony obraz rzekomo Matejki, ofiarowany przez Bank Polski, pod tytułem „Sobieski pod Wiedniem wręczający list do papieża”, zatrzymując się przy krześle, wsparty na nim powiedział Komendant, że jeszcze się dobrze obrazowi temu nie przyjrzał. Objąśniłem Komendantowi, że są co do pochodzenia



tego obrazu dwa różniące się przypuszczenia: ofiarodawcy twierdzą, że jest to szkic do obrazu znajdującego się w Watykanie pod tytułem „Odsiecz Wiednia” wykonany przez Matejkę. Malarze natomiast, składający życzenia panu Marszałkowi, między innymi profesor Pruszkowski twierdzą, że jest to niemożliwe, by Matejko robił taki szkic, na co wskazuje sama technika wykonania tego obrazu i przy tym historia malarstwa polskiego o szkicu takim w ogóle nie wspomina, a jest rzeczą nie do pomyślenia, by płótno tej miary mogło w spisie dzieł Matejki zostać pominięte. Przez chwilę jeszcze Komendant przyglądał się obrazowi nic nie mówiąc, potem rozebrał się i przeszedł do swego pokoju. Z zachowania się Komendanta wywnioskować nie mogłem, czy obraz podobał się Komendantowi, czy też nie.

Wkrótce zaczęło się wyświetlanie obrazu „Ramba” [?], przedmiot zainteresowania się większego nim panienek, trwało do godz. 20-tej.

W czasie kiedy rodzina spożywała kolację, Komendant, siedząc w pokoju narożnym, zażądał gorącej i mało słodkiej herbaty oraz owoców, przy tym wdał się w analizę, jaką herbatę winno się pić. Na to pytanie odpowiedziałem, że według mego smaku, panie Marszałku, przede wszystkim musi być świeżo zaparzona, mocna i gorąca, w miarę upodobania słodka. „O właśnie, taką proszę”. Zawołałem ordynansa Janka, dałem mu ścisłą instrukcję i poleciłem się do niej zastosować, polecenie niezwłocznie wykonać. Piszę o tym dlatego, by dać wyraz upodobaniu Komendanta, a nie receptę.

O godz. 1.20 dnia następnego Komendant położył się, prosząc, bym pomógł mu rozebrać się. W czasie mej służby notuję po raz pierwszy wypadek tak wczesnego położenia się do łóżka i korzystania z pomocy w rozbieraniu się. Normalnie nigdy Komendant pomocy takiej nie przyjmował. Z tego sędzę, że musi być bardzo osłabiony. Komendant nie spał, wiele mówił po francusku, drwiąco, jakby szydlerczo, głośno śmiał się lub irytował.

Na ranem zapadł w krótki sen i już o godz. 5.30 poprosił o śniadanie. Podałem Komendantowi o godz. 5.40 śniadanie i *Express Poranny*. W czasie spożywania śniadania Komendant w dalszym ciągu rozmawiał ze sobą, zwrócił się do jakichś nieobecnych osobników.

Całe zachowanie Komendanta i wygląd świadczy o tym, że jest całkowicie czymś przejęty, zdenerwowany tak, że o śnie nie może być mowy, tak żywiołowo przeżywa swe myśli gestami i mową. O godz. 6.40 Komendant wstał, na pół ubrany, w koszuli i kurtce nie zapiętej, przeszedł do pokoju narożnego oznajmiając,

że pod kołdrą jest zbyt gorąco: „Tak gorąco, że wytrzymać nie można”, głosem pełnym skargi w tonie. Z tego wnioskuje, że ze zdrowiem jest źle. Położył się Komendant na kanapie w narożnym pokoju, przykryty przeze mnie pledem, tak wkrótce zasnął.

Sprawdziłem termometry w sypialnym i narożnym pokoju i skonstatowałem, że jest zachowana temperatura ustalona. Jasne dla mnie było, że Komendant wyładowując swoją energię w dość gwałtownej formie, odczuł ciepło wytworzone własnym organizmem lub podniesioną temperaturą.

*Belweder, 2 kwietnia 1935 roku*  
*Wtorek*

Z powodu mającej mieć miejsce wizyty ministra Pieczęci Tajnej, Edena, i konferencji w Belwederze z panem Marszałkiem, poczyniliśmy z kpt. Pacholskim, służbowym w dniu tym adiutantem, przygotowania do tego aktu. Przyjazd z G.I.S.Z. Komendanta zapowiedziano około godz. 17-tej.

O godz. 17.52 Komendant przyjechał do Belwederu z kpt. Lepeckim. Z auta wyszedł bardzo ociężałe, tak jakby z trudem. Wchodząc do hallu ocierał się ramionami o krawędź drzwi i futryny, wolnym krokiem suwając podszewkami swych butów po posadzce, szedł do dalszych pokoiów. Przechodząc przez drzwi wiodące do poczekalni drugiej i następnie do adiutantury, otarł się prawym ramieniem o futryny. Był bardzo blady, cera ziemistego koloru, widocznie chory. Przez te kilka dni ostatnich swego pobytu w G.I.S.Z. wyraźnie schudł, co od razu rzuciło się w oczy, gdyż wolna przestrzeń kołnierza w obwodzie zwiększyła się. Komendant był ubrany mniej starannie niż zwykle w czasie takich występów oficjalnych, [co] znamionowało abnegację. Spodnie opuszczone bardzo nisko, załamywały się w okolicy stopy wielokrotnie, lewa nogawka podwinięta, podtrzymywana uchem buta niedosnurowanego, wystawała na zewnątrz. Kołnierz niezapięty. Wszystkie te braki trzeba było usunąć przed wyjściem na konferencję.

Według umowy kpt. Pacholski miał Komendantowi raportować przybycie ministrów, ja miałem witać i wprowadzić gości do salonu, czyniąc należne honory.

Punktualnie samochodami zajechali: minister Eden, któremu towarzyszył minister Spraw Zagranicznych Beck, wiceminister Szembek z 1-szym sekretarzem ambasady brytyjskiej, p. Avelingiem oraz sekretarz ministra Becka z sekretarzem ministra Edena, p. (?)

Minister Beck, po przywitaniu się ze mną, przedstawił mnie ministrowi Edenowi i zazaczył, że minister Eden życzy sobie, by w czasie konferencji byli obecni ci panowie, którzy z nim przyjechali, ze względu na to, że w zwyczaju ministra jest konferowanie zawsze w towarzystwie osób mu towarzyszących.

Ponieważ Komendant nie lubi świadków licznie zgromadzonych, nie przewidzianych w liście przezeń ustalonej, by to nie było zaskoczeniem, zakomunikowałem o tym kpt. Pacholskiemu, prosząc, by uprzedził o tym Komendanta.

Ministra Edena, trzymającego czarną tekę skórzaną w lewej ręce i ministra Becka, wraz z towarzyszącymi im panami, przeprowadziliśmy do salonu. Tu za chwilę, z narożnego pokoju, wyszedł Komendant, przywitał się z obecnymi i po chwili, siadając na kanapce z ministrem Edenem około okrągłego marmurowego stołu, rozpoczęli konferencję, trwającą do godz. 18.50. Tak jak przyjechali, tak i odjechali angielscy dyplomaci. Minister Beck pozostał jeszcze przez chwilę i w rozmowie nadmienił, że Komendant był widocznie zmęczony i jeszcze niezdrów po ostatnim niedomaganiu, co od razu dało się zauważyć, gdyż prowadzona konferencja nie miała ożywionego charakteru. Komendant był bardzo małowówny, a to co wypowiadał, mówił z trudem, nie wyczerpując całego zakresu zagadnień, które były w programie ustalonym poprzednio. Minister Beck przypuszcza, że to nie uszło uwagi ministra Edena. Bładość Komendanta i widoczne zmęczenie musieli zauważyć.

Z uwagi tej wyczułem, iż konferencja nie przyniosła oczekiwanych rezultatów, a przyczyną główną tego jest osłabienie Komendanta. W oczach i zachowaniu się ministra Becka zauważyłem jak gdyby częściowy zawód pokładanych w tej konferencji nadziei.

Pożegnaliśmy Ministra w przykrym nastroju i pełni refleksji. Ciągłe mnie trapiła myśl, że Komendant, który ma taką silną wolę i potrafi ją skoncentrować w uplanowanym kierunku, okazał się dziś bezsilny, czyli ulec musiał słabości, która Nim owładnęła.

Po konferencji przeszedł Komendant do pokoju narożnego i w niedługim czasie, około godz. 19.15 odjechał chmurny z kpt. Pacholskim do G.I.S.Z.

*Belweder, 3 kwietnia 1935 roku*  
*Środa*

Nie ma żadnej pewności, czy Komendant przyjedzie dziś do

Belwederu, by werandować. Trudno mi osądzić, czy werandowanie to wzmacnia czy osłabia Komendanta. Sądząc z wyglądu raczej osłabia ze względu na dość silne działanie świeżego, wiosennego powietrza, od którego Komendant zimą, przy bardzo ograniczonym ruchu, odwykł.

W rozmowie, prowadzonej z panią Marszałkową, powiedziałem, że wygląd Komendanta budzi obawy. Pani Marszałkowa jest zdania, że „na jesieni i na wiosnę zwykle gorzej się czuje. Teraz, kiedy zaczęły się werandowania, przyjdzie szybko do dawnego wyglądu”. Co się tyczy wczorajszego złego wyglądu Komendanta, to pani Marszałkowa to również zauważyła. Zauważyła brak humoru i niechęć do rozmowy. Komendant zwykle po takiej konferencji jest ożywiony, wiele rozprawia i dzieli się z otoczeniem swymi spostrzeżeniami, unikając zagadnień politycznych. W dniu ubiegłym, twierdzi pani Marszałkowa, że nie miało to miejsca.

*Belweder, 19 kwietnia 1935 roku*  
*Piątek*

O godz. 12.35 przyjechał Komendant z G.I.S.Z. do Belwederu w celu werandowania. Zły wygląd Komendanta i wychudzenie twarzy zwiększa zarost, niegolony od czasu wizyty ministra Edena. Dla próby dziś ustawiony został czarny fotel skórzany, wyniesiony z sypialnego pokoju. Jeśli się okaże, że odpowiada wymaganiom, będzie stosowany do tego celu i na przyszłość.

Zaraz po przyjeździe Komendant zajął miejsce w przygotowanym fotelu, po lewej stronie drzwi wyjściowych na taras. Komendant niechętnie przyjmuje okrycia, które zabezpieczają w czasie długotrwałego siedzenia przed obiadem. Nie pytając o zgodę, gdyż wtedy z pewnością Komendant jej nie udzieli, owijamy Komendantowi nogi ciepłym futrzanym pledem, używanym w czasie jazdy autem. Tak w płaszczu, zapiętym lub nie, zależnie od pogody, opatulony siedzi Komendant w fotelu. Z prawej strony, tuż przy fotelu, ustawia się stoliczek mahoniowy lub jesionowy, na którym przygotowane są papierosy, popielniczka i zapalniczka, skrzyneczka z pokarmem dla wróbli i gołębi, zlatujących się pod taras, spodeczek z owocami albo cukierkami, herbata lub mleko oraz lekarstwa w postaci pastylek, a jeśli w płynie, to w małym kieliszku, którego Komendant przeważnie nie przyjmuje, a nawet dość często, dziwnym zbiegiem okoliczności, przewraca, wylewając jego zawartość. Rzecz oczywista, że z chwilą zauważenia tego, stawia się nową porcję z zachętą do wypicia lub meldunkiem czasu, w którym nakazane jest przez doktora wypicie lekarstwa.

Skutek to odnosi zawsze jednakowy. Komendant lekarstwa w większości wypadków nie zażywa i złości się na lekarzy, którzy coś podobnego zaaplikowali. Jest to niezawodny sposób rozdrażnienia Komendanta, i gdy ma dobry humor, zapomina go na pewien czas.

Wiceminister Szembek zwracał się rano do G.I.S.Z. z prośbą, by mógł przybyć do Komendanta w sprawach, które od ministra Becka z Genewy zostały depeSZami nadesłane, w celu omówienia i zaakceptowania, lub wyrażenia swego poglądu przez Komendanta, względnie wydania odnośnej instrukcji co do dalszego postępowania.

Około godz. 13-tej przyjechał wiceminister Szembek. Komendant polecił prosić ministra na taras, gdzie nie przerywając sobie werandowania, rozmawiał gestykując żywo.

Po wyjeździe wiceministra Szembeka Komendant wyraził chęć orzeźwić się wodą. Odprowadziłem Komendanta do umywalni i tam na przygotowanym fotelu posadziłem. Nie zdejmując bluzy, podciągnąłem rękawy do łokci, okryłem Komendantowi jednym ręcznikiem kolana, drugim zasłoniłem kurtkę, podwiązując go pod szyję. Całej tej manipulacji Komendant poddawał się ze spokojem i biernością. Najpierw puściłem prysznic. Komendant, wsparty łokciami o krawędź umywalni, podawał ręce zimnemu prądowi tryskającej wody. Przy tej czynności wychwalał dobrodziejstwa wody. Prysznic trwał kilka minut, dopóki nie zauważyłem, że zziębnięte ręce przybierają siny odcień. Wtedy wziąłem mydło i kolejno namydliłem i umyłem ręce. Na propozycję, czy twarz umyć, skinął Komendant głową, odpowiedział: „Umyć, umyć”. Namydliłem gąbkę, lewą ręką podtrzymałem tył głowy, prawą myłem twarz Komendanta, tak jak to czyni niejedna matka, myjąc swe zamorusane dzieci.

Lecz w tym niezwykłym wypadku jest daleko trudniejsza sprawa, gdy adiutant myje swego ministra — I-go Marszałka Polski — bez wprawy w tych czynnościach pielęgnarskich i zupełnym braku w tym kierunku umiejętności, a przy tym skrępowaniu. Ale chwalcę Boga jakoś to poszło, mimo że zarośniętą twarz i sztywno sterzące, żółtawe od dymu papierosowego wąsy trzeba było myć ostrożnie, a te nieposłuszne stawały sztorcem, z jakiej bym strony tę czynność zaczynał.

W czasie mycia Komendant mruzczał i błogosławił wodę. Wytarte do sucha ręce, w tym czasie kiedy myłem twarz, Komendant znów trzymał pod prysznicem, mówiąc: „jak dobrze... dobrze, dobrze!”. Po wypłukaniu ust chinosolem wziąłem Komendanta pod rękę, pomogłem wstać z fotela i odprowadziłem do

narożnego pokoju na łóżko, które rano, na życzenie pani Marszałkowej, kazałem znieść z gabinetu w celu umożliwienia Komendantowi chwilowego, wygodniejszego odpoczynku, gdyby na to miał chęć. Przechodzenie do sypialnego pokoju mężczyłoby niepotrzebnie Komendanta, czego uniknie się przez wstawienie drugiego łóżka.

Gdy tak szliśmy, noga za nogą, Komendant dziękował mi za przeprowadzenie zabiegów z dodatnim skutkiem. W mowie i zdaniach wypowiedzianych pod moim adresem było dużo ciepła i nuty wdzięczności za spowodowanie ulgi, jaką odczuł Komendant po umyciu.

Komendant usiadł na łóżku widocznie zmęczony. Za chwilę położył się lewym bokiem na poduszkach, mając nogi wiszące ku ziemi. Ponieważ wydawało mi się, że ta pozycja za chwilę okaże się niewygodna, uniosłem nogi Komendanta, kładąc je na łóżku. Przygotowanym pledem nakryłem Komendanta, drugim, z szarej wełny, przykryłem nogi. Tak przygotowany do ewentualnego snu, Komendant popadł w drzemkę. O piątej zbudził się i zapowiedział odjazd do G.I.S.Z. O godz. 17.15 odwoziłem Komendanta.

*Belweder, 21 kwietnia 1935 roku*  
*Niedziela — Wielkanoc*

O godzinie 8-ej objąłem służbę przy Komendancie. Komendant śpi w fotelu, mając głowę wspartą na poduszce. O godz. 8.45, gdy nastąpiła przerwa w śnie, zameldowałem przybycie dr. płk. Mozołowskiego, który rozpoczął badania i elektryzację kończyn połączoną z masowaniem. W czynnościach tych pomagającym doktorowi razem z siostrą sanitarną Makarowiczówną. Zabiegi te, łącznie z myciem, trwały do godz. 9.45. Komendant niezupełnie biernie odnosi się do tych zabiegów. Widać było, że Go to złości.

Po zabiegach i śniadaniu, do godz. 11-tej Komendant wypoczywał. Po odpoczynku ubrałem Komendanta i odprowadziłem na taras, gdzie werandował do godz. 15.15, potem wypoczywał w ubraniu w narożnym pokoju do godz. 18.30. O tejże godzinie rozebrałem Komendanta i położyłem do łóżka. Sen trwający 1 i pół godziny pokrzepił Komendanta znacznie, skutkiem czego stał się rozmowniejszy. Opowiadał Komendant wiele i stawiał mi z różnych dziedzin zapytania. Między innymi zadał mi Komendant pytanie, czy jestem „nasz”, to miało znaczyć, czy pochodzę z kresów litewskich. Odrzekłem, że raczej pochodzenia białorusińskiego, na co wskazuje moje nazwisko. „To jest wszystko

jedno” — przeciął Komendant moje wywody, dodając z naciskiem — „jest pan nasz”. Wszystkim, którzy podchodzili do Komendanta, pani Marszałkowej, p. Wandeczce i Jagodzie niezwłocznie o tym mówił, dodając jak gdyby w zamyśleniu, „widzicie z Witebszczyzny, spod Połocka”. Interesując się wszystkim, zapytał, czy bliżej Newla i czy blisko rzeki itd. Musiałem tłumaczyć, dlaczego akcent mam inny niż kresowiaczy i bez śpiewności w mowie. Przynależność Komendanta, po rozważeniu mej wypowiedzi, że główną tego przyczyną było me przebywanie od urodzenia w Królestwie, a to że „Mamusia była z Królestwa”.

O Wilnie mogłem rozmawiać, snując ten wdzięczny temat bez końca, tak miły był dla ucha Komendanta i niewyczerpany. Z powodu przybycia p. Wandeczki począł Komendant swoje reminiscencje z naszej rozmowy powtarzać. Patrząc na zegar z aeroplanem ofiarowany Komendantowi w dniu 19 marca, zapytał mnie czy znam Bajana. Odpowiedziałem, że tak, że kolegowałem z nim w zeszłym roku na stażu w Rembertowie. Tam miałem możność poznać jego skromność i ambicję pracy oraz koleżeństwo. W związku z jego osobą opowiedział nam Komendant, jak to było z Bajaniem, gdy po zawodach międzynarodowych przyjechał pociągiem do Krakowa. „Po zwycięstwie swym w *challenge*’u chcąc uniknąć owacji, o której wiedział, że mu mieszkańcy Krakowa mają zgromadzić na dworcu, wyjechał innego dnia i gdy wysiadł w towarzystwie kolegów z pociągu zauważył grupę chłopców wypatrujących kogoś, oczekujących mimo tego wybiegu Bajana, by powitać tego bohatera przestworzy. Zbliżył się Bajan do grupy chłopców, skromnie przesuwając się wzdłuż wagonów, zdawałoby się niepostrzeżenie. Nagle jeden z chłopców, odważniejszy, który go poznał, ale nie był tego zupełnie pewien, zadał, nieśmiało skłoniwszy się, pytanie: — Czy pan jest kpt. Bajan? — Zapytany miał na to odpowiedzieć, by nie zdradzić swego incognita: — Nie! Ja nie Bajan!

Chłopiec odpowiedź przyjął z niedowierzaniem. Widząc gromadzącą się około lotników publiczność, śpiesznie z kolegami Bajan wyśliznął się z otaczającej go ciżby. — Widzicie jak skromny Bajan! — zakończył opowiadanie Komendant.

Po przerwie patrząc na sufit, spytał Komendant Wandeczkę: — co tam jest wymalowane na tym suficie? Wandeczka patrzy, kręci się i kręci głową. Widzi poszczególnie fragmenty fresku, lecz z całokształtu zupełnie nie zdaje sobie sprawy. Komendant zapytuje, czy o tym, co tam widzi, nie mówiono jej w szkole. Okazuje się, że może mówiono, lecz dobrze nie pamięta. Wtedy Komendant radzi Wandeczce: — Zwróć się do rotmistrza, to rotmistrz ci objaśni. Czując niedwuznaczną intencję Komendan-

ta, tłumacząc, że fresk znajdujący się na suficie przedstawia znaki zodiakalne, które według wiedzy astrologicznej symbolizują poszczególne miesiące roku. Na tych malowidłach niektóre znaki są zbyt podobne, ze względów prawdopodobnie tych, że malarz niezupełnie dobrze zdawał sobie sprawę z wyglądu niektórych postaci malowanych zwierząt. Na przykład widać niewielką różnicę między baranem i koziorożcem, to samo daje się zauważyć, jeżeli porównamy raka ze skorpionem.

Wszystko jednak, jeśli weźmiemy dodatkowo dekorację kwiatów i owoców, odmalowane jest z myślą i chęcią wyobrażenia tego, co się w tym czasie dzieje w naturze, zależnie od pór roku. Przy tym dodałem, że zbyt szczegółowym dojaśnianiem zagadnień związanych z wiedzą astrologiczną lub astronomiczną nie mogę się chwalić; mimo że ta wiedza bardzo mnie interesuje, nie miałem okazji, by się w nią zagłębiać i uzupełnić skromne o niej wiadomości.

Komendant słuchał i wodził wzrokiem po wskazywanym malowidle. Gdyśmy tak z Wandeczką przyglądali się nieznanym nam egzotycznym kwiatom i wymieniali nazwy znanych i rosnących u nas owoców, Komendant objaśnił nas, że: wszystko to niedawno matka czytała z jakiejś książki; tam znajdziecie wiele rzeczy, o których jeszcze nie wiecie. Zwróćcie się do matki, to was objaśni.

Istotnie na stolicku czeczotowym zauważyłem poprzednio rozłożoną książkę w starej oprawie, ale ponieważ nie zaglądałem do jej wnętrza, nie wiedziałem, że jest to książka o treści astrologicznej.

Na takich pogawędkach, przerywanych od czasu do czasu, schodził czas do późnego wieczora, a myśl Komendanta odrywana była od tych zagadnień, które wiązały się bądź z chorobą, bądź ze sprawami natury publicznej lub zagadnieniami szerszej polityki zagranicznej. Przez cały czas mej służby pani Marszałkowa z wielką troskliwością i pieczołowitością doglądała chorego Komendanta, będąc sama wyczerpana bezsennymi nocami, ciąglem krzątaniem się koło chorego, do czego przybyło jeszcze zdenerwowanie chorobą siostry, oczekującej w szpitalu na operację.

O godz. 24-tej przybył dr płk Mozołowski, któremu zwróciłem uwagę na zwiększające się obrzmienie nóg, a zwłaszcza nogi prawej. To przypuszczenie, oparte na obserwacji optycznej, znalazło swoje potwierdzenie w czasie ponownego badania, przeprowadzonego przez doktora. Okazało się, że noga nabrzmiała o 1 cm więcej w ciągu dnia dzisiejszego. Zapytany o przyczynę tego pogorszenia, doktor objaśnił mnie, że jest to w związku z nie-



prawidłowym działaniem serca i gromadzącą się wodą w jamie brzusznej i dzięki nieprawidłowości działania organów przyjmujących nadmiar płynów w organizmie. Lekarstwa, które się winno stosować, mają częściowo temu zapobiegać. Jest trudność osiągnięcia rezultatów pozytywnych z tego względu, że Komendant opiera się przyjmowaniu przepisanych lekarstw. Przynależem, że ze swej strony czynić będę wszystko, by Komendanta wszelkimi możliwymi sposobami nakłaniać do przyjmowania lekarstw, zdając sobie jednocześnie wyraźnie sprawę, że będzie to niełatwe.

O godz. 1.30 dnia 22 kwietnia Komendant zmęczony zabiegami zasnął, lecz nie na długo. O godz. 2.45 o własnych siłach wstał z łóżka i nieubrany przeszedł do umywalni, wziął przy mojej pomocy prysznic rąk, które dość długo chłodził. W obawie, by Komendant raptownym ochłodzeniem się nie zaszkodził sobie, okryłem Go szlafrokiem z zielonego sukna, którego mówiąc nawiasem Komendant nie znośił. Odprowadzony do łóżka położył się i w niedługim czasie zasnął. Tak przeszedł nam pierwszy dzień świąt Wielkiej Nocy.

Dnia tego o godz. 14-tej zostałem zaproszony przez panią Marszałkową na obiad świąteczny. Na obiedzie było kilka osób spośród rodziny Komendanta i pani Marszałkowej. Tradycyjne dzielenie się jajkiem święconym miało miejsce w tym czasie, kiedy chwilowo znajdowałem się przy Komendancie. Trudno byłoby w tych okolicznościach zdobyć się na swobodną i pogodną formę składanych życzeń. Ze swej strony życzyłbym pani Marszałkowej zdrowia Komendanta. Uważałem, że byłoby to najodpowiedniejsze w obecnej sytuacji. Zadowolony byłem z tego, że okoliczności uwolniły mnie od złożenia życzeń.

Komendant w obiedzie nie brał udziału, w tym czasie werandował. Nastroju w czasie obiadu odpowiedniego nie było i być nie mogło. Byliśmy zbyt przygnębieni chorobą Komendanta, czaiło się zbyt wiele niewypowiedzianych przypuszczeń i troski o zdrowie Komendanta oraz szacunku dla cierpień, by okazać najmniejszą formę zapomnienia o tym.

*Belweder, 23 kwietnia 1935 roku*  
*Wtorek*

Godzina 8-ma, Komendant śpi. Obejmuję służbę od kpt. Pacholskiego. W pół godziny potem Komendant obudził się i wstał z łóżka o własnych siłach. Umyłem Komendanta tak, jak już to niejednokrotnie robiłem, z czego był bardzo zadowolony. Wyraził się, iż: „jest mi dobrze, czuję się tak, jak od dawna już

się nie czułem!”. Choć słowa brzmiały w mych uszach tak mile, czułem, że jest to wrażenie przemijające, działające przez czas krótki. Przypuszczenia okazały się słuszne, gdyż po pewnym czasie Komendant znów zaczął objawiać dolegliwości, sprawiające cierpienie i zdenerwowanie.

Lekarza, płk. Mozołowskiego, przyjął bardzo niechętnie. Doktorowi dostało się z tego powodu dość wiele, co musiał cierpliwie wysłuchać i co na mnie czyniło przykre wrażenie i wzbudzało żal o tego tak bardzo bezradnego i troszczącego się o zdrowie doktora. Doktor czynił różne zabiegi, których dodatnich skutków w żadnym wypadku dopatrzeć się nie mogłem. Komendant się niecierpliwił. Po zabiegach, o godz. 10.30, zacząłem Komendanta ubierać i ku swemu przerażeniu skonstatowałem, że objawy choroby, wyrażające się opuchlizną nóg i brzucha, przybrały takie rozmiary, że skarpetek już włożyć się na nogi nie dało i że spodni zapiąć nie można było na żaden guzik, mimo popuszczania z tyłu znajdujących się zapinek. Po tak prowizorycznym ubraniu, Komendant przeszedł na fotel, by werandować.

O spostrzeżeniach swoich powiadomiłem niezwłocznie dr. Mozołowskiego, by umożliwić powzięcie środków zaradczych. W czasie werandowania towarzyszyła Komendantowi pani Marszałkowa bądź córki. Doktor Mozołowski przepisał jakieś lekarstwa, które natychmiast sprowadzić z apteki kazałem. Tłumaczył usilnie, że muszą być przez Komendanta przyjmowane i prosił, bym wywarł presję na Komendanta, by je systematycznie przyjmował. Komendant pozornie się na to godził, lecz do wypicia lekarstwa jakoś nie dochodziło. Udałem się do pani Marszałkowej z prośbą o interwencję. Po długich targach Komendant zgodził się wypić lekarstwo pod warunkiem, że „wypije później”.

O godz. 11.45 Komendant przyjął po raz pierwszy lekarstwo przepisane przez doktora i podane przez panią Marszałkową. Złorzeczył przy tym i wymyślał nas wszystkich i wszystko. Zwyciężyliśmy, łamiąc upór Komendanta.

O godz. 12.30 Komendant zjadł parę truskawek. W międzyczasie czytał podaną sobie gazetę *Kurier Poranny*. Wandeczka, siedząc na stopniach tarasu, towarzyszyła Komendantowi. Gołębie i wrzaskliwa gromada wróbli, zbierając pokarm, kłóciły się i biły o ziarna.

O godz. 13-tej podałem parę kawałków lodu, które zjadł. Lód, mrożone mleko i niewielka ilość owoców są jedynym pokarmem przyjmowanym co pewien czas przez Komendanta. Mleko, jak twierdzi Komendant, pije w celu spowodowania przemiany materii w organizmie.

O godz. 15-tej, kiedy zaproszony przez panią Marszałkową jadłem obiad, a przy Komendancie w tym czasie miała być Wandeczka lub Jagoda, według zapewniania pani Marszałkowej, korzystając z chwilowej nieobecności córek, wstał Komendant z fotela, prawdopodobnie z zamiarem zejścia i spacerowania po ogrodzie, lecz zamiar ten Komendantowi się nie udał, ze względu na zaplątanie się nóg w okrywającym go [słowo nieczytelne] pleddie, co spowodowało, że Komendant obsunął się na stopnie schodów i siadając na nie obtarł sobie nieznacznie kość siedzeniową. Przeczuciem jakimś tknięty, przeprosiłem panią Marszałkową i wstałem od stołu, by zajrzeć do Komendanta; udałem się na werandę. Komendant siedział na stopniu schodów, jak czynił to niejednokrotnie w czasie spacerów. Widząc mnie przy sobie, spokojnym tonem powiedział: — „Weźcie mnie ze słońca, bo mi szkodzi”. Przerazony sytuacją w jakiej Komendanta zastałem, w lot zorientowałem się co zaszło, przychodząc do przekonania, że Komendant chciał wykorzystać chwilę samotności i wypróbować swoje siły, co jednak się nie udało. Kiedy podniosłem Komendanta ze stopnia i podprowadziłem z powrotem na fotel, po pewnej chwili, nagle Komendant uniósł się złością. Czynił to prawdopodobnie w celu zamaskowania swej niemocy fizycznej, czy też z powodu zdradzenia ukrywanych przed nami zamiarów, tak niefortunnie sparaliżowanych tą nieprzewidzianą przeszkodą. Podniesionym głosem i wyrazami, jakich często używa, począł wymyślać bezosobowo tym wszystkim, którzy się Komendantem opiekują, którzy wymyślili jakieś okręcania i zakrywania nóg Komendantowi. W tym momencie pani Marszałkowa ukazała się w drzwiach wiodących na taras i była świadkiem tych bezlitosnych, okropnych w swej niesprawiedliwości słów, ciskanych pod adresem wszystkich tych, którzy Komendantem się opiekują. Tych, którzy bez wahania oddaliby życie i ostatnią kroplę krwi, by ulżyć w cierpieniach Komendanta. Stałem przez cały czas nieposkromionego wybuchu złości na tarasie z panią Marszałkową w drzwiach, z uczuciem tym, że grot jakiejś zatrutej strzały przeszły mi serce, z którego cieknąca krew jakimś palącym jadem zalewa mi pierś...

Na zakończenie tej sceny, jak gdyby obudzony z oszołomienia do rzeczywistości, patrząc na Komendantową badawczo, jakie to czyni na niej wrażenie, usłyszałem: „Chcecie mnie zamęczyć tą ciągłą swoją opieką, chcecie mnie zabić, parszywcy...”.

Jak pchnięci, Komendantowa cofnęła się do wnętrza pokoju narożnego, blada i z ceglastego koloru wypiekami na twarzy, świadczącymi o silnym nerwowym przeżyciu, ja zaś, wolnym krokiem, jak skazaniec, przemierzyłem taras i poszedłem śladem

Komendantowej, by dać możność uspokojenia się wzburzonym nerwom Komendanta.

Przez pewien czas jeszcze Komendant uspokoić się nie mógł, i gdy przyszedłem spinaczami poszczepiać dach i boki płóciennej markizy, zasłaniającej nieszczelnie przed słońcem, Komendant mrużąc przeżuwał swoją złość.

Lekarstwo podane w jakiś czas przez Komendantową wypił, lecz skutek był taki, że wymiotował.

O godz. 17-tej werandowanie zostało zakończone. Komendant sam przeszedł do pokoju narożnego, tam siedzącego na łóżku rozebrałem i położyłem, gdyż wielogodzinne werandowanie bardzo Komendanta osłabiło.

Kino, zapowiedziane i przygotowane, z powodu braku wyraźnej dyspozycji ze strony Komendanta i ciągłego zapadania co pewien czas w krótki sen, nie odbyło się. Operatora trzymałem w pogotowiu do godz. 22-ej.

O godz. 22-ej Komendant znów miał torsje, potem, jak gdyby przypomniał sobie o tym, że ma być wyświetlane kino, zapytał się: „Czy będzie kino?” — odpowiedziałem, że teraz o tak spóźnionej porze nie da się zmontować aparatu, i że panienki poszły już spać, zmęczone. Na to Komendant, zły, powiedział, że: „Tak dużo z doktorem gadaliście, dużo obiecywaliście i w końcu kina nie będzie”. Przybyła pani Marszałkowa i siedzącemu Komendantowi na łóżku zaczęła stawiać pasjansa.

Do godz. 3-ej dnia 24 kwietnia spał Komendant w łóżku, o godz. 4-tej wstał, napił się mleka i wziął prysznic, w czasie którego Go myłem. W czasie ubierania pantofle już z wielkim trudem na nogi weszły, stopy tak były opuchnięte, zwłaszcza prawa stopa. Od tego czasu Komendant już się nie kładł do łóżka, tylko siedział w fotelu, przed mahoniowym stolikiem. Mimo ранego gniewu o to, opatuliłem Komendanta nogi pledem i przykryłem szlafrokami. Jedną z poduszek położyłem na stoliku, pozostałe ułożyłem na poręczy fotela, by wygodnie można było się wesprzeć.

Dniało. Gwiazdy na niebie zbladły i pochowały się gdzieś w przestrzeni. Ciemnosine konary drzew, od wschodu, traciły swą ciemną barwę, sterczały nieruchomo, w cierpliwym oczekiwaniu otulone mrokiem zalegającym jeszcze park. Powoli barwne cienie kładły się promienisto na niebie zwalczając noc. Świt wdierał się do pokoju.

Komendant siedząc w fotelu, wsparty na poduszkach, patrzył na wschód, zamyślony, nieruchomo. Zbudzone ptaki, nawołując się, rozpoczęły trele.

Przez pewien czas Komendant obserwował zbliżający się

wschód słońca, mówił że chce by wielka czerwona tarcza słońca już się ukazała. Lecz na tę chwilę trzeba było jeszcze dwadzieścia minut poczekać.

Gdy drzewa już się zaczerwiły i słońce coraz bardziej małało, przybierając złotą barwę, Komendant zasnął, wsparty rękoma o stół mahoniowy. W ciszy tego poranka mijały godziny w niepewności, co dzień nowego przyniesie.

O godz. 7-ej Komendant zbudził się, wzywał mnie kilkakrotnie do siebie, lecz był senny i niezdecydowany czego żądać. Pokazywał mi miejsce stłuczenia, nic nie zauważyłem prócz zaczerwienienia się skóry od zadrapania, które Komendant sam wywołał na skutek spekania ciała od częstego leżenia na wznak.

Drzemiąc i mrucząc do siebie od czasu do czasu, spał Komendant. O godz. 8-ej przybył lekarz.

#### *Dzień przyjazdu Komendanta do Belwederu z G.I.S.Z., 4 maja 1935 roku*

Już w parę dni po wyjeździe Komendanta z Belwederu do Inspektoratu, po wizycie dr. Wenkebacha, w rozmowie z Komendantową powiedziałem, że dobrze by było, by Komendant dał się nakłonić do powrotu. Motywowałem to tym, że w stanie, w jakim Komendant się znajduje, o pracy, którą Komendant zamierzał przeprowadzić w G.I.S.Z., nie ma mowy, dążeniem naszym winno być właśnie usunięcie, na okres choroby, wszystkich przyczyn, które mogłyby absorbować Komendanta. W Belwederze, przy rodzinie, daleko łatwiej będzie Komendanta oderwać od myśli, które są przedmiotem irytacji lub zdenerwowania, przy tym powietrze jest tu znacznie lepsze. Pani Marszałkowej ułatwi to dogłądanie. Odpowiedziała mi pani Marszałkowa na to, że poczynione już były próby w celu nakłonięcia Komendanta do przyjazdu do Belwederu, ale Komendant dał odpowiedź odmowną, zaśnając się pracą, którą miał wykonać. Wszyscy wiedzieliśmy, że Komendant pracować nie może, mam wrażenie, że zdawał sobie z tego sprawę również i Komendant, lecz chciał koniecznie przemóc siebie i swoje mdłe, jak mawiał, ciało zmusić do posłuszeństwa.

Pod koniec rozmowy Komendantowa powiedziała, że będzie się starać przełamać opór; jeśli się to uda, to powrót nastąpić może za dni kilka i dlatego należy być przygotowanym na tę ewentualność. Odpowiedziałem, że wszystko przygotowuję na terenie Belwederu. W związku z tym poleciłem inż. Protasewiczowi

przerobić umywalnię w myśl mych wskazówek, pokój narożny, w którym miał Komendant leżeć, uporządkować i przystosować możliwie najwygodniej do tego celu. W przewidywaniu tego, że Komendant będzie na wózku szpitalnym odbywał spacer po tarasie i ogrodzie, zbudowałem z desek pomost, po którym miało się zjeżdżać przez drzwi salonu. By Komendanta nie krępować posterunkami, stojącymi w tym rejonie, opracowało się z mjr. Kaciukiewiczem ich nowy plan, obowiązujący na czas choroby Komendanta. Miejsce dla lekarzy, apteczkę i środki lokomocji, nie zmieniając istotnego stanu rzeczy w Belwederze, prowizorycznie przynajmniej kazałem przygotować. Wszystkie te zarządzenia pani Marszałkowa akceptowała.

Na trzy dni przed właściwym dniem przyjazdu Komendanta, pani Marszałkowa zakomunikowała mi, że powrót jest zdecydowany. Wiązało się z tym pytanie, jak to zrobić, którą drogą i w jakim czasie sam przyjazd przeprowadzić. Po zbadaniu dróg z inż. Protasewiczem, przysłaliśmy do wniosku, że trzeba będzie wykorzystać drogę wiodącą przez park belwederski, po uprzednim jej poszerzeniu i przystosowaniu do szerokości auta sanitarnego. Robotnicy, niezwłocznie sprowadzeni, poprawili mostki i drogę. Szofer Malinowski zapoznał się z trasą i kilkakrotnie ją przebył samochodem, by wypróbować bezpieczeństwo.

Taras, na którym Komendant werandował, przyległy do pokoju narożnego, został ogrodzony balustradą w celu zabezpieczenia przed wypadkiem, gdyby Komendant chciał tam werandować.

Kilkakrotnie byłem alarmowany przez adiutantów, którzy omawiali telefonicznie możliwość wyjazdu, za każdym razem zamiar ten był uniemożliwiany przeszkodami, jakie stawiał Komendant. Aż wreszcie 4 maja o godz. 11-tej zapadła ostateczna decyzja powrotu porą wieczorową.

Pani Marszałkowa z G.I.S.Z. wróciła przed wieczorem, sprawdziła czy wszystko w należyтым porządku, czyniąc własnoręcznie małe zmiany przedmiotów i w dekoracji kwiatów, w czym pomagałem.

Nadszedł wieczór. Komendantowa, zachowując pozorny spokój, co pewien czas zapytywała mnie, czy jest już sygnał wyjazdu z G.I.S.Z. W denerwującym oczekiwaniu liczyliśmy minuty i kwadransy, wreszcie telefon kpt. Pacholskiego zapowiedział przygotowania i w końcu sam wyjazd, o czym powiadomiłem panią Marszałkową. Otworzyłem drzwi wiodące na taras, w tym czasie przybył płk dr Czyż z Dep. Sanit M.S.W. i razem udaliśmy się na taras, by nieść pomoc w chwili przenoszenia Komendanta z samochodu sanitarnego do pokoju.

Po pewnym czasie ujrzelśmy światła reflektorów wolno zbliżającego się samochodu. Gdy auto zatrzymało się przed tarasem, wysiedli gen. Rouppert, płk Mozołowski, kpt. Miładowski i Pacholski.

Na noszach, przykryty zielonymi szpitalnymi kocami, leżał, mając dość wysoko podpartą głowę, Komendant. Wodząc trwożnym i pełnym niepokoju wzrokiem, wydawał jakieś niewyraźne, mrukliwe dźwięki, znamionujące podniecenie i zdenerwowanie. Wyczułem w tym zachowaniu się Komendanta i wzroku jednocześnie badawczym, przebłysk niepewności, gdzie się znajduje. Przystąpiliśmy do wnoszenia Komendanta z auta. Ponieważ było nas zbyt wielu do niesienia noszy, wszedłem do pokoju narożnego, gdzie w pobliżu łóżka czyniłem różne udogodnienia przenosin.

W momencie wnoszenia Komendanta do pokoju narożnego odczułem, że Komendant poznał miejsce, w którym się znajduje: oczy zmieniły wyraz i patrzyły radosnym niepokojem. Komendant, wodząc wzrokiem po pokoju, dojrzał mnie i powiedział: „I znów was widzę, kochane dzieci”. W chwili stawiania noszy na środku pokoju Komendant dość głośno, normalnym głosem, z nutą rozrzuwającej radości, krzyknął dwa razy: „Dzieci, dzieci, gdzie moje dzieci!”. W słowach tych dało się wyczuć całą tkliwość kochania i pieśczość skierowaną do córek, których w tym momencie jeszcze nie było. Komendantowa, znajdująca się właśnie w pokoju ks. Łowickiej, posłyszała głos Komendanta i powtarzając to wołanie, dodała tonem zapewnienia, że: „Będą zaraz i dzieci”. Po chwili, gdy Komendant się uspokoił, przystąpiliśmy do przeniesienia Komendanta na łóżko. Krótka była chwila zadowolenia Komendanta, ustąpiła zaraz, gdy lekarze rozpoczęli zabiegi koło chorego, powodując rozdrażnienie, któremu tak łatwo Komendant z tych przyczyn ulegał. Całą złość swoją Komendant wylewał na osobę generała Roupperta.

*Belweder, 5 maja 1935 roku  
Niedziela*

O godz. 8-ej objąłem służbę od kpt. Pacholskiego. Obydwaj przez pewien czas przebywaliśmy w pokoju Komendanta, informując się wzajemnie. Komendant, po przebudzeniu się, tonem żalonym najpierw uskarżał się na męczącą go chorobę, potem zaczął, naśladując gwarę litewską i rumuńską, niby podśpiewywać, niby deklamować własnego układu melodie i piosenki. Staliśmy z kpt. Pacholskim przy łóżku Komendanta i dziwiliśmy się, skąd

czepie tak dobry humor, przy tych cierpieniach i wyczerpaniu. W nucie wyśpiewanych i improwizowanych zwrotek tyle [było] beztroski, jak gdyby Komendantowi nic nie było, nic nie dolegało, a nastąpiły słodkie wyuczasy. Ten nastrój Komendanta i nam się udzielił, zwodniczo wdzierał się do naszej duszy, rodząc nadzieje lepszych, przyszłych dni. Podzielił się z panią Marszałkową tymi wrażeniami. Dodały one pani Marszałkowej otuchy przy i bez tego optymistycznym Jej nastawieniu, którym nas przy każdej sposobności nastraja. Przerывая monologi biadaniem na chorobę — „Biedny ty Marszałku! Biedny..., biedny! Czego się tak męczysz? Za co ty tak cierpisz, Marszałku?” — na wpół żartobliwie przybierając żalną nutę, siebie zapytywał.

Przybyli lekarze i rozpoczęli zabiegi. Podczas chwilowej przerwy między tymi zabiegami Komendant odezwał się w ten sposób, w obecności pani Marszałkowej: „Co oni ze mną wyrabiają? Na co to wszystko? Co na to powie w przyszłości społeczeństwo?”. Kiedy lekarze ukończyli już wszystkie czynności, nastąpiła projektowana jazda na wózku szpitalnym po parku.

Nie bez trudu posadziliśmy Komendanta na wózku. Bez kuszuli, przykrytego szlafrokiem, obłożonego poduszkami i poduszczkami, by było miękko i wygodnie, zawijając nogi pledem, wyruszyliśmy w podróż po pokojach pałacu.

Pchałem wózek. Widząc, że Komendantowi robi przyjemność, zawiozłem Komendanta przez sypialnię i jadalnię do pokoju córek. Tam był pierwszy przystanek. Wandeczka przyłączyła się do naszego grona i na prośbę Komendanta pchała razem ze mną wózek. Przystanki robiliśmy przed każdym oknem, gdzie wypowiadaliśmy razem z Komendantem swoje zachwyty nad oryginalnością wyglądu natury po nawrocie tegorocznej zimy w dniu 2 i 3 maja, podczas których to dni zielona, wiosenna szata ziemi i drzew okryła się grubą warstwą śniegu, padającego bez przerwy. Komendanta cieszyło i bawiło to wszystko, bo było nowe i niecodzienne, a co najważniejsze odciągało od leżenia w łóżku.

Przed oknem w sypialnym, z którego roztaczał się piękny widok na aleję świerków i kasztanów (gdzie padł od kuli wachm. Koryzma), drogę ostatnich przed chorobą spacerów Komendanta, zatrzymaliśmy się na dłużej. Z tego okna widać było również krzew jakiś, żółto kwitnący i jaskrawo odbijający się barwą na tle bielejącego śniegu. Współczuliśmy mu, że tak wcześniej zakwitł i że śnieg [słowo nieczytelne] żółte warkocze gałązek.

Pojechaliśmy do salonu i stołowego. Z okien salonu widok na taras, za nim stare lipy i wierzchołki drzew rosnących w dole parku. Wszystko grubo przykryte topniejącym śniegiem. Gałęzie drzew zginały się pod ciężarem śniegu, spadały z nich liczne, wiel-



kie krople wody. Po zmoczonych i pociemniałych od wilgoci pniach sączyły się ku ziemi strumyki topniejącego śniegu.

W czasie tej wędrówki porządkowano i wietrzono pokój naróżny, zmieniano pościel i szykowano łóżko.

Komendant był zadowolony. Unikając wstrząsów wózka, stosownie do otrzymanych instrukcji, pchaliśmy razem z Wandeczką wózek, ciągle coś mówiąc lub słuchając, co mówi Komendant. Kiedy wyczułem, że Komendant w mniejszym stopniu uzewnętrznia swoje zainteresowanie i nastrój staje się jak gdyby naciągany, by nie przesadzić i nie męczyć Komendanta, skierowaliśmy się do pokoju narożnego.

Tu zastaliśmy panią Marszałkową w towarzystwie lekarzy i gen. Roupperta, który zameldował się Komendantowi i zaraz dodał z gestem rąk, jak gdyby uderzając w dłonie: „Brawo Komendancie! Wspaniale! Jutro taki spacer, jak będzie pogoda, będzie mógł Komendant zrobić po ogrodzie”. Komendant, patrząc na generała Roupperta, nic nie powiedział, lecz coś pod wąsem zamruczał. Wydawało mi się, że nieszczerzy i sztuczny entuzjazm generała został zmrożony wzrokiem i milczeniem Komendanta, tak że po tej scenie generał czuł się nieswojo i my też. Położyliśmy Komendanta do łóżka.

Będąc już prawdopodobnie zmęczony i rozdrażniony obecnością gen. Roupperta i lekarzy, Komendant zaczął się złościć i wymyślać, głównie na generała Roupperta, zaznaczając, bez żadnych obłonek, że: „Patrzyć na niego nie mogę, na tego parszywca! Po co tu sterczy i sterczy przed moimi oczyma”. I znów dobitnie wypowiedziana litania epitetów. Generał, stojący jak pod pręgierzem, za wychodzącą z pokoju panią Marszałkową, widocznie zażenowaną, również wyszedł zgaszony i zmaltretowany, bez śladu tupetu, w jaki był poprzednio uzbrojony. Wyraźnie daje się odczuć, że Komendant widoku generała Roupperta wprost nie znosi, wpada zaraz w złość i długo po wyjściu generała nie może się uspokoić. Tak było i tym razem. Że tak jest istotnie, to bez żadnych wątpliwości dowodzi dzisiejsza scena i wszystkie inne, które miały już miejsce uprzednio. Komendant nigdy nie daje swej zgody, na skutek meldunku adiutantów, w którym zawiadamiają przybycie generała i zapytują, czy może wejść. Dlatego generał wchodzi do pokoju bez uprzedniego meldowania, najczęściej w towarzystwie pani Marszałkowej i wizyta taka ma przebieg zawsze jednakowy, przeważnie przykry dla generała i dla nas, będących z konieczności świadkami takiej sceny.

Dzisiaj generał Rouppert zakomunikował mi, że sądzi z mego wyglądu, iż czuć muszę się źle i że nie jest wskazane, bym po

przebytej niedawno ciężkiej operacji swoje wątle jeszcze siły nadwerżał. Rozmawiał właśnie o tym z panią Marszałkową, która jest tego samego zdania, dlatego proponuje, by zdrowsi ode mnie adiutanci pełnili [brak jednej strony].

Zgodnie z życzeniem pani Marszałkowej, odpowiedziałem, po porozumieniu się z kpt. Pacholskim, że w myśl podanego projektu naszą służbę zreformujemy. Na moje miejsce w kolejce przypadającej służby, mają przybyć z G.I.S.Z. adiutanci, kpt. Miładowski i Lepecki. Ich służba ma trwać co trzeci dzień, moja zaś każdego dnia tak długo, jak sam uznam za stosowne. Projekt ten w niczym mnie nie ograniczał, natomiast dawał pełnię mojej władzy wykonawczej na terenie Belwederu, która ze względu na ciągłe przebywanie kpt. Pacholskiego lub moje przy Komendancie, trochę na swej intensywności, rzecz oczywista, cierpiała. Ułatwiało mi to również swobodę ruchu. Tak że każdej chwili, kiedy zachodziła potrzeba, mogłem być przy Komendancie nie tracąc dotychczasowego kontaktu.

*Belweder, 6 maja 1935 roku*  
*Poniedziałek*

Służbę zdałem kpt. Pacholskiemu. Po wypoczynku, kiedy przyszedłem do adiutantury załatwić bieżące sprawy, dowiedziałem się od kpt. Pacholskiego o niepomysłnym przebiegu dzisiejszego przedpołudnia i objawach wyjątkowo złego humoru Komendanta w czasie przejażdżki wózkiem. Według mego zdania jest to konsekwencja wczorajszego wystąpienia generała Roupperta, który zapowiedzią swoją pobudził gołosłowne nadzieje co do przejażdżki po ogrodzie, a która mimo ładnej pogody odbywała się po pokojach pałacu. Moim zdaniem nie należało tego czynić, gdyż stan Komendanta nawet przy najpiękniejszej pogodzie nie pozwala na tego rodzaju eksperymenty, a nieurzeczywistnienie powziętych projektów jest przyczyną rozdrażnienia, któremu Komendant się poddaje. Metoda, którą można stosować z dobrym rezultatem wobec dziecka, nie może być stosowana wobec Komendanta. Nic dziwnego, że wprowadzenie Komendanta w błąd i uniemożliwienie Mu obcowania z ukochaną naturą, wracającą do swego pięknego nowego życia, spowodowało niepożądany wybuch rozdrażnienia. Komendant był przygotowany na tę chwilę, pewnie nawet żył nią od wczoraj. Śmiem twierdzić, że ten nieopatrzny, a zdawałoby się błahy projekt, stał się najgorętszym pragnieniem w okresie choroby Komendanta. Wszyscy serio ustosunkowaliśmy się do tego projektu, tak że nocą i rankiem poleci-

łem inż. Protasewiczowi sprowadzić pomost drewniany, który umożliwiłby zjazd wózkiem z balkonu na taras, po którym miała odbyć się przejażdżka.

Z inżynierem sprawdziliśmy nośność i bezpieczeństwo tego drewnianego pomostu, kazaliśmy wyrównać i usunąć wszystkie nierówności oraz kamyczki, które ewentualnie stanowić mogły przyczynę wstrząsów. Krzewami, zwiezionymi z oranżerii, odgradziliśmy taras i tym uniemożliwiliśmy znajdującej się w parku publiczności wgląd na taras, gdzie miały się odbywać te przejażdżki, mogące być przedmiotem niepotrzebnego zainteresowania ciekawych i żądnych sensacji i plotek osób.

By nie krępować nikim i niczym swobody Komendanta w tych chwilach, wydałem zarządzenie, by na czas ten usunąć w inne miejsca posterunek [dwa słowa nieczytelne]. Wszystkie przeszkody zostały usunięte, pani Marszałkowa, o tym poinformowana, przygotowała i podnieciła pragnienia Komendanta, zmierzające w tym kierunku. Jeśli ktoś znał zwyczaje Komendanta i wie, w jakiej formie urzeczywistniane są przez Komendanta przygotowane sprawy i jaką one w życiu jego rolę spełniają, to dziwić mi się nie będzie, że przytaczam to wyjaśnienie, uznając je za jedynie słuszne, którego lekarze, zupełnie nie znając Komendanta, zrozumieć nie mogli.

Tak jak pojąć nie mogą wielu zjawisk, wydających się im jako dziwne, niezrozumiałe, a nawet dziwaczne, przy braku znajomości psychiki Komendanta, przyzwyczajzeń i upodobań, służących jako jedyna podstawa ich pojmowania. Na tym tle popełniono błąd, który mając pozory błahości, spowodował niespotykany do dzisiaj stan rozdrażnienia, przejawiający się w fizycznej gwałtowności. Przypuszczam, że konsekwencje tego gwałtownego wybuchu lekarze wkrótce dojrzą. Przejęty tym faktem postanowiłem siedzieć w Belwederze, jak długo mi na to pozwolą siły. W domu nie mogę znaleźć spokoju mimo, że jest tam cisza i nikt jej nie przerywa. Nie mogę jeść, nie mogę spać nocą ani dniem, gorączki nie mam, ale nerwy mam roztrzęsione i jestem oszołomiony. Myśli o Komendancie i jego chorobie odbierają mi spokój.

O godz. 18-tej przybył do Belwederu minister Beck w związku z przyjazdem ministra Laval'a. Rozmowa miała za temat politykę zagraniczną. Komendant mówił również z ministrem Beckiem o swoim zdrowiu, dając wyraz temu, co Komendantowi dolega.

Po wizycie rozmawiałem z ministrem Beckiem, który zdumiony był żywotnością umysłu Komendanta. Wszystko to, co w czasie ostatniej wizyty jeszcze w czasie swego pobytu w G.I.S.Z., Komendant mówił o polityce, doskonale pamięta, kon-

sekwentnie rozwijając podjęte tematy. Pana ministra Becka zdumiewa ta nadzwyczajna pamięć, przejawiająca się mimo choroby. Trzeźwość i logiczność rozumowania jest uderzająca.

*Belweder, 7 marca 1935 roku*  
*Środa*

Przyjechał z Wiednia profesor Wenckebach. Przed południem odbędzie się badanie Komendanta i narada nad skonstatowanym stanem choroby.

W poczekalni zebrali się: dr Stefanowski, mjr Cienciara, płk Mozołowski i mjr Tukanowicz. Gen. Rouppert jest u pani Marszałkowej, omawia sprawy związane z badaniem. Dr Mozołowski posiada raport przebiegu choroby Komendanta od czasu ostatniego konsylium, z którym zapoznany został prof. Wenckebach.

Przyjechał również generał wiceminister Sławoj-Składkowski, który nie życząc sobie widzenia się z prof. Wenckebachem, oczekiwał rezultatów badania w pokoju stołowym.

Wszyscy z wielkim zdenerwowaniem oczekiwaliśmy końca badania i rezultatów narady prowadzonej w pokoju bibliotecznym.

Badanie wykazało stan niepomyślny.

*Belweder, 8 maja 1935 roku*  
*Czwartek*

Dziś dzień szary i chmurny. Szara i chmurna rzeczywistość rozpoczynającego się dnia. Wszystkie myśli wciąż biegną w jednym kierunku, jak woda swym wyżłobionym korytem, od źródła do ujścia u którego jako zagadnienie trapiące jest zdrowie Komendanta, budzące we mnie od kilku dni najpoważniejsze obawy.

Jako ten, który przeszedł tyle cierpienia z przyczyn choroby pokrewnej, z dziedziny chorób przewodu pokarmowego, zdaję sobie dobrze sprawę, jak dotkliwie odczuwa Komendant swój dotychczas nie dający żadnych dodatnich rezultatów stan.

Okiem wrodzonego mi pesymizmu i intuicji wyczuwam stan z każdym dniem gorszy, mimo że każdego dnia spotykam się wprost z niespotykanym u kobiet opanowaniem Komendantowej i optymizmem, którego wywodów słucham bez żadnej wiary w to, co mówi Komendantowa. Mówi o tym, że choremu siłą przybysza, ja mniemam, że jest zgoła odwrotnie, coraz bardziej Ko-

mendantowi sił ubywa. Nie wiem, na jakiej podstawie pani Marszałkowa opiera swoje przypuszczenia i mówi to z taką przekonującą wiarą. Twierdzi, że żołądek funkcjonuje normalnie i dobrze trawi, wtedy gdy ten żołądek daje aż nadto wiele dowodów w czasie każdej doby, że działa tak źle, jak działać może najgorzej, gdyż nic nie przyjmuje w formie pokarmów stałych, a płyny w niewielkiej ilości, i to po pewnym czasie, gdy większa ilość się nagromadzi, zwraca, a często daje się zaobserwować ten objaw niezwłocznie po wypiciu niewielkiej ilości płynu, mniej więcej zawartości małego kieliszka. Brzuch wzdęty, twardy jak powłoka piłki futbolowej, świadczy, tak mi się wydaje, o niezwyklej przemianie i schorzeniu wątroby.

Dzisiejsze konsylium, jakie miało miejsce o godz. 9.30 na czele z dr. prof. Wenckebachem i dr. Stefanowskim wraz z doktorami dyżurującymi, żadnych dodatnich rezultatów nie wykazało. Komendant dość długo konferował z prof. Wenckebachem w związku ze swoją chorobą.

Komendant, którego badanie doprowadza zwykle do rozdrażnienia, jest jakby apatyczny w swym zamyśleniu. Przejawia coś w rodzaju jak gdyby rezygnacji, która niepokoi. Rozmyślając nad czymś, waży i kalkuluje, dokumentując to charakterystycznym ruchem ręki.

W południe, kiedy byłem przy Komendancie, w czasie kiedy Komendant siedział w wózku zwrócony tak, by mógł patrzeć na ogród, przez drzwi wiodące na taras zauważyłem, że Komendant coś częściej pokasłuje i przy tym wydzielaną za każdym razem flegmę bada i z jakimś dziwnym lekceważącym ruchem ręki odrzuca od siebie.

Podąłem mu leżącą na stole chusteczkę, Komendant jej na razie nie przyjął, zaskoczył mnie natomiast pytaniem: „Czy widzicie tam krew?”. „Z całą pewnością — melduję posłusznie panie Marszałku — krwi nie widzę, gdyby w ślinie była, to byłaby ona zaczerwieniona, a tak nie jest” — odpowiedziałem z całym przekonaniem, patrząc na Komendanta i badawczo na panią Marszałkową i dr. Tukanowicza, chcąc znaleźć wyjaśnienie tej nowej formy badania.

Kiedy o tym fakcie rozmawiałem w adiutanturze z kpt. Pacholskim, oświadczył mi, że Komendant często badał flegmę, czegoś w niej szukał. Z tego co powiedziałem wynika, że Komendant przewidywał jakiś krwotok, nic o nim nikomu nie mówiąc, [stad] zachowuje się tak zagadkowo. Premier Sławek był dziś w Belwederze, przyjęty został przez Komendanta. Rozmawiał również z panią Marszałkową.

*Belweder, 9 maja 1935 roku*  
*Środa*

Dzisiejszy ranek nie przyniósł nic nowego i żadnej zmiany, która by zapowiadała coś lepszego w bliższej przyszłości.

Komendant poprawy zdrowia nie czuje. Noc przeszła bezsen- nie na rozmowie z adiutantem Pacholskim i dyżurnym lekarzem. To świadczy o tym, że Komendant po wczorajszej apatii i jakby pewnej rezygnacji jest znów dziś bardziej zdenerwowany i pod- niecony. Mówi wiele, często wraca do tematów politycznych lub na pozór błahych.

O godz. 9.30 przybył generał Rouppert, by zapoznać się z istniejącą sytuacją. Komendant wyraził chęć widzenia się z mi- nistrem Beckiem. Niezwłocznie połączyłem się telefonicznie z ministrem i prosiłem o przybycie do Belwederu. Minister zapo- wiedział natychmiastowy przyjazd, miało to miejsce w czasie od godz. 10.45 do 11.35.

Minister Beck rozmawiał również z panią Marszałkową i gen. Rouppertem. Rozmowa dotyczyła choroby Komendanta, a w związku z nią sprawy opublikowania komunikatu w prasie o sta- nie zdrowia Komendanta. Sprawa tej publikacji staje się bardzo ważna ze względu na wprost fantastyczne wersje krążące w kraju i za granicą o chorobie Komendanta, co jest bardzo szkodliwe dla naszych spraw wewnętrznych no i oczywiście zagranicznych.

Minister Beck ma w tej sprawie porozumieć się z premierem Sławkiem. Ścisły przebieg choroby odnotowany jest w dzienniku przez lekarza dyżurnego.

*Belweder, 10 maja 1935 roku*  
*Czwartek*

Stan zdrowia Komendanta nie wykazał dzisiejszego rana żad- nej poprawy. Noc przeszła prawie bezsennością, w rozdrażnieniu ujawniającym się wybuchami złości.

Przed południem odwiedził Komendanta gen. Rouppert, ale bardzo źle przyjęty przez Komendanta, wycofał się z pokoju. Komendant bezceremonialnie traktuje gen. Roupperta, za każdym razem daje wyraz swej złości wymierzonej przeciw jego osobie w formie wymyślenia wyrazami nieartykułowanymi, jak to Ko- mendant potrafi.

Zły nastrój z małymi przerwami trwał dzień cały.

O godz. 17.30 przyjechał znów gen. Rouppert, w tym czasie

przybył również do Belwederu minister Spraw Wewnętrznych Kościałkowski, lecz przez Komendanta przyjęty nie był. Rozmawiał w drugiej poczekalni z panią Marszałkową.

O godzinie 8-ej [20-tej] otrzymałem od pani Marszałkowej polecenie zaproszenia do Belwederu ministra Becka, z którym Komendant pragnie się porozumieć w sprawach polityki zagranicznej, a zwłaszcza sprawach związanych z przebywającym w Polsce ministrem Lavalem. Temat ten Komendanta całkowicie absorbuje.

Połączyłem się telefonicznie z ministrem Beckiem, lecz rozmawiałem tylko z wiceministrem Szembekiem ze względu na to, że w chwili tej odbywała się konferencja z ministrem Lavalem. Wiceminister Szembek oznajmił mi, że w chwili wolnej i odpowiedniej minister Beck porozumie się ze mną co do tej wizyty. Wywołanie ministra z konferencji mogłoby spowodować niepożądane skutki w formie czynienia różnych przypuszczeń przez ministra Lavalą.

Powiadomiłem Komendanta o tym, że odbywa się konferencja i że minister Beck przybędzie jak tylko rozmowy się skończą, to jest około godz. 22-ej, na co Komendant dał milczącą zgodę.

O godz. 22.30, bezpośrednio po pożegnaniu ministra Lavalą przyjechał minister Beck, był w stroju oficjalnym we fraku, z orderami. Zaprowadziłem go do pokoju narożnego. Komendant w tym czasie leżał w łóżku. Z przybycia ministra Becka bardzo się ucieszył, radość swoją objawił głośnym zadowoleniem i uśmiechem, co przy tym stanie chorobowym Komendanta jest objawem wprost rozczulającym. Komendant wyraził nawet parę komplementów odnośnie wyglądu ministra. Powiedział, że minister młodo wygląda i że jest zgrabny jak panna, po czym informować się zaczął w sprawach omawianych na konferencji, z której jak potem oznajmił mi minister Beck — Komendant był zadowolony. Dawał również dodatkowe wskazówki co do różnych spraw, które mają być poruszane z ministrem Lavalem.

O godz. 23-ej minister Beck odjechał. Przy pożegnaniu podzielił się ze mną wrażeniem, jakie na nim uczyniło powitanie przez Komendanta; mówił, że jest starym żołnierzem i do rozczulenia nieskorym, ale łzy cisnęły mu się do oczu w czasie tej chwili, która wywarła na nim tak silne wrażenie, że do końca życia będzie ją pamiętał. Dodał, że Komendant dał dowód wprost fenomenalnej pamięci, nawet co do szczegółów poruszanych ongiś przed laty, a pamiętanych dziś doskonale w czasie choroby; jest to dla ministra zdumiewające. Ucieszyło mnie to oświadczenie. Oświadczenie ministra jest całkowitym zaprzeczeniem tego, co są-

dzili o stanie umysłu Komendanta lekarze przed paru dniami. Na żadne przypuszczenie zamroczenia władz umysłowych, jakoby zaobserwowanego przez lekarzy, ani kpt. Pacholski, ani ja osobiście zgodzić się nie możemy. My swoje twierdzenie opieramy na bacznej obserwacji, która daje zaprzeczenie ich przypuszczeniom. Oni zaś wyciągają błędne wnioski wynikające z nieznamośności Komendanta. Nas oburza to ich dyletanckie i lekkomyślne przypuszczenie. Żaden z obecnych tu lekarzy nie jest psychiatrą. Wiedzy ani też praktyki w rozwiązywaniu tych zagadnień nie posiadają. Nie zauważyłem też w czasie obcowania z nimi, by posiadali jakiś dar wnikania w psychologię umysłu ludzkiego, tym bardziej rozwiązywania zagadnień skomplikowanych.

Przypuszczenia swoje opierają na pozorach — dlatego gen. Rouppert z lekarzami, których przysłał na służbę przy Komendancie, popełnia zbyt śmiało przypuszczenia.

Już przed paru dniami minister Beck zapewnił generała Roupperta w obecności pani Marszałkowej, że się myli i że ma nieuzasadnione obawy. Minister prosił, bym o każdym życzeniu Komendanta niezwłocznie go powiadamiał, a on wszystko uczyni, by być zaraz przy Komendancie i informować o rzeczach interesujących Komendanta.

W świecie politycznym rozchodzą się różne pogłoski o chorobie Komendanta. Prawdziwych mało, które by właściwy stan choroby odzwierciedlały.

Premier na skutek rozmowy przeprowadzonej przed paroma dniami z panią Marszałkową, na zwołanej w dniu zdaje się 7 maja konferencji Rady Ministrów, związanej ze stanem zdrowia Komendanta i możliwości w związku z tym wytworzenia się sytuacji politycznej oraz jej skutków, podał pod rozważanie sprawę ogłoszenia biuletynu o chorobie Komendanta. Oświadczono się za niewydawaniem jeszcze biuletynu.

*Belweder, 11 maja 1935 roku*  
*Piątek*

Noc minęła bezsennie. Chory ciągle mówił i złościł się na wszystko i wszystkich. Od rana Komendant jest niezwykle podniecony, klnie i wymyśla po polsku i francusku. Jest to szkodliwe podniecenie dla stanu Komendanta, wymagającego bezwzględnie spokoju. Niepokoju należy za wszelką cenę unikać, lecz wysiłki są daremne bez zastosowania jakichś środków uspokajających.



Około godz. 12-tej przybył gen. Wieniawa-Długoszowski, z którym wyczerpany Komendant przywitał się obojętnie i krótko rozmawiał, zresztą i w czasie tej wizyty myślą był ciągle nieoderwanie przy swych kombinacjach politycznych. Generał, któremu łatwość obcowania z ludźmi i tupet są tak pomocne w życiu, na widok Komendanta, tak strasznie źle wyglądającego, stracił kon-tenans. Na brak tematów ci dwaj ludzie chyba nigdy nie narzekali, a teraz wątku rozmowy nie można było znaleźć. Coś się nie kleiło, rwało. Sztucznym uśmiechem łątać tych niedopowiedzianych zdań, w takiej sytuacji, się nie dało. Bezradność, rzut paru słów banalnych i to wszystko, wobec nagiej rzeczywistości tego co jest dziś, a co było [inne] jeszcze tak niedawno.

Generał wyszedł blady, zmieniony i niepewny, milcząc po-żegnał się ze mną.

O godz. 2.30 kpt. Hartman, adiutant pana prezydenta, przyjechał z Zamku, powiadomił mnie o zakończeniu wizyty u pana prezydenta i przyjeździe ministra Laval'a z Zamku do Belwederu, co nastąpiło o godz. 15-tej. Minister Laval przyjechał w towarzystwie ambasadora Laroche'a, p. Aleksis Legera i kilku towarzyszących mu jeszcze osób. W czasie wizyty minister Laval powiedział do mnie: „W czasie bytności mojej u pana prezydenta dowiedziałem się o niedyspozycji pana Marszałka. Proszę panie adiutancie wyrazić mój żal z tego powodu i życzenia powrotu do zdrowia”. Podziękowałem ministrowi za złożenie życzeń i wpisanie się do księgi audiencjonalnej. Minister Laval wizytę swoją zakończył. Stan Komendanta nie ulega zmianie. Wyczuwam jakieś naprężenie sytuacji, nie umiem tego ani określić, ani wyrazić, co wypełnia atmosferę Belwederu. Zgnębienie przytłaczające nas jest tego cechą dominującą.

O godz. 18.30 Komendant nagle dostał silnego krwotoku połączonego z wymiotami. Zrozumiałem, że całonocne i całodzienne silne zdenerwowanie było wstępem do tego, co się przed chwilą stało. Krew niestężona wystąpiła w dość dużej ilości. Stało się to, czego Komendant oczekiwał od szeregu dni, a co było niespodzianką dla lekarzy zaskoczonych tym stanem rzeczy.

Komendant był tym objawem jeszcze bardziej zdenerwowany. My, przerażeni, nie tracąc ducha i opanowania na zewnątrz.

Przebieg tego wydarzenia był następujący: Komendanta męczył kaszel w czasie chwilowej przerwy, po wypiciu podanego mleka w niewielkiej ilości, zakasłał i bezpośrednio po tym znów zakasłał i wtedy ukazała się krew jasna i wymioty. Komendant z początku zachował spokój, po pewnym czasie zaczął krzyczeć

i kłać prawie nie przestawał na Francuzów, tak jakby niedawny krwotok nie miał żadnego znaczenia. Nawet w takiej chwili wszystkie myśli jakby okrążały jeden słup zagadnień polityki polsko-francuskiej.

W pewnej chwili Komendant zażądał, by przybył minister Beck, z którym niezwłocznie się skomunikowano. Gdy zbliżał się czas przybycia ministra Becka do Belwederu, powiadomiłem telefonicznie ministra o tym, że Komendant wyczerpany zasnął, odkładając przyjazd na czas późniejszy. Omówiliśmy, że przybędzie o godz. 19.45 lub o godz. 23-ej, albo w niedzielę przed południem, zależnie jak Komendant ustali. Ze względu na to, że spokój — moim zdaniem — jest nieodzowny, robiłem wszystko możliwe, by ją przesunąć na późniejszą chwilę; nic zbyt ważnego w czasie tej wizyty nie mogło być poruszone, gdyż uprzednio już te tematy omawiano dokładnie, według oświadczenia ministra Becka.

Komendantowa, kobieta nad podziw opanowana, i tym razem, po krwotoku, zachowała pozorny spokój, prawie nie opuszcza Komendanta i chwytą się każdej iskry nadziei, by nie dać się unieść zwątpieniu, że Komendant już nie wyzdrowieje. Błada, przybyła do adiutantury i jakby chcąc wyjaśnić ten straszny fakt zapewniała mnie, że krwotok ten nie jest groźny, gdyż wbrew twierdzeniom lekarzy, w mniemaniu pani Marszałkowej, jest to krew pochodząca z nosa, w co uwierzyć nikt nie mógł. Lecz by nie zwiększać zaniepokojenia odpowiedziałem, że jest to możliwe. Wszelkie zaprzeczanie temu przypuszczeniu wydawało mi się w chwili tej czymś brutalnym i niegodnym, na co nigdy nie mógłbym się zdobyć wobec kobiety szukającej jakiegokolwiek podpory dla swej już tylko wiszącej na włosku nadziei. Pani Marszałkowa wyraziła się, że mogłaby dać głowę swoją na ścięcie, tak w to wierzy, że krew poszła z nosa, a nie z płuc lub z żołądka, dowodząc tego zupełnie logicznie w ten sposób: „Panie rotmistrzu, niech pan rozważy [dwa słowa nieczytelne] możliwy krwotok z żołądka, w tej formie w jakiej miał miejsce. Przecież krew, gdyby pochodziła z żołądka, zmieszana byłaby z treścią żołądkową, a to przecież nie miało miejsca. Skoro tak nie jest, to należy przypuszczać, że pochodzi albo z nosa, albo z gardła, dlatego sądzę, że lekarze się mylą”. W tym mniemaniu, którego nie zwalczaliśmy, pani Marszałkowa pozostała.

Mijają ciężkie godziny, nadchodzi noc pełna obaw, by krwotok się nie powtórzył. Lekarze, przeciwdziałając tej możliwości, sprowadzili niezwłocznie jakieś lekarstwo, robiąc nim zastrzyk. Komendant od czasu do czasu zapada w sen spowodowany środ-

kiem nasennym. Wszystkie czynności jakie wykonywano przy chorym odnotowali lekarze w swym dzienniku.

*Belweder, 12 maja 1935 roku*

*Sobota*

Nad ranem, około godz. 6-tej, Komendant zbudził się po długim śnie, spowodowanym zażyciem środka nasennego, podanego przez lekarza służbowego. Był nowy krwotok, lecz znacznie mniejszy od wczorajszego i bez krwi skrzepłej, jasno wodnisty. Potem znów sen.

Komendant bardzo słaby i wyczerpany do ostateczności. Lekarze badają krew i zastanawiają się nad jej pochodzeniem. Szykujemy „kropłówkę”, która ma być dzisiaj zastosowana, zmieniamy rurki szklane i gumowe, przystosowując do właściwego celu. Biorę w tym udział, mając w tym praktykę przeprowadzoną w czasie własnej choroby, znając jej dodatnie działanie.

Około godz. 10-tej zjechali się lekarze na naradę. Przybył z gen. Rouppertem również dr Stefanowski, który po rozmowie z lekarzami prosił mnie, bym mu umożliwił rozmowę z panią Marszałkową, co niezwłocznie przeprowadziłem, domyślając się jej ważności.

Po niespełna godzinnej rozmowie z panią Marszałkową dr Stefanowski wyszedł, spełniwszy nałożoną nań ciężką i trudną misję komunikowania o beznadziejności sytuacji, mając gorączkowe wypieki na policzkach.

Komendantowa płacze. Płacz swój stara się ukryć przed córkami i otoczeniem. Atmosfera domowa staje się ciężka. Z nieubłaganą siłą toczy się zła chmura przeznaczenia, zwiększająca mroczny nastrój.

O godz. 10.30 telefonował premier Sławek i zapytywał o zdrowie Komendanta. Ponieważ lekarze, a zwłaszcza gen. Rouppert i płk Mozołowski, starają się ukryć wobec adiutantów właściwy stan choroby Komendanta, co jest dla nas zdumiewające, odpowiedziałem, nie mogąc skonkretyzować wyjaśnienia, że Komendant czuje się tak, jak wczoraj, to jest źle, bez zmiany na lepsze.

W godzinach popołudniowych Komendant, znacznie osłabiony, śpi z przerwami, czasami jęczy jakimś dziwnym zmienionym głosem. Taki stan trwa godziny.

Godz. 17.30, Komendant cierpi bardzo, jęczy. Zastosowano zastrzyk.

Godz. 18.30, Komendant bardzo słaby. Krzyk i jęk zmieniony rozdziera mi serce i wdziera się gwałtem swym ostrzem pod czaszkę. Nie ma sposobu i siły, by przed jego natarczywością się osłonić.

Gen. Rouppert jest z lekarzami, sprowadzono dr. Stefanowskiego. Gen. Rouppert prowadzi jakieś tajemnicze rozmowy z lekarzami, przestrzegając ściśle tego, by się całkowicie izolować od adiutantów. Mam wrażenie, że gdyby to było możliwe, to najbardziej dogadzałoby generałowi. Wysilek ten jest zbędny, łatwo się domyślam i wyczuwam właściwą istotę rzeczy. Rozmowy telefoniczne generała, niemniej tajemnicze, są coraz częstsze. Odczuwam wyraźnie chęć ukrycia przed nami rzeczy ważnych. Jeśli sprawy te dotyczą wyłącznie choroby Komendanta, to jest to metoda pozbawiona taktu ze strony generała, wobec ludzi stojących najbliższej osoby Komendanta.

Godz. 18.45. Chcąc nadać inny tok niewyraźnej sytuacji, wytworzonej przez gen. Roupperta, dzwonię do płk. Sokołowskiego, szefa gab. min., lecz go nie zastaję w domu. Telefonuję do płk. Strzeleckiego, wyjechał z Warszawy, proszę o powrót natychmiastowy.

Godz. 19-ta. Przybył kpt. Pacholski, którego proszę o chwilowe zastąpienie mnie. Jadę po gen. Wieniawę-Długoszowskiego, zastaję go w domu i przywożę do Belwederu, niezwłocznie informując, w czasie drogi, w kilku słowach o stanie rzeczy.

Godz. 19.15. Sytuacja groźna, u lekarzy się nie informuję, gdyż i tak mi szczerze nie odpowiedzą. Intuicyjnie wszystkiego się domyślam. Czuję, że się zbliża nieszczęście, które ma dotknąć Polskę i które nastąpić może każdej chwili.

Godz. 19.20. Uchwałą naradzających się stale lekarzy powzięto decyzję sprowadzenia księdza, na co prawdopodobnie uzyskano zgodę pani Marszałkowej, odbierając tym wszelką nadzieję uratowania Komendanta. Jak zauważyłem, głównym tego sposobu leczenia inicjatorem był płk dr Stefanowski, który od samego początku, gdy wszedł w skład leczących Komendanta lekarzy, był zdania, że raczej w tej sytuacji pomoże więcej jakiś ksiądz mistyk, wierzący bardziej w modlitwę i pomoc Bożą, niż skuteczność pomocy lekarskiej.

Przypominam sobie pewien szczegół sprzed tygodnia mniej więcej, który świetnie scharakteryzuje podejście tego doktora do leczenia.

Dr Stefanowski zawsze miał więcej uwagę zwróconą na stronę duchową Komendanta, aniżeli fizyczną, do której był przecie-

powołanym. Tymczasem przyjął na siebie rolę tego, który z racji swego urzędu czynić to był winien. Przez usta mjr. dr. Cienciary zwrócono się do mnie, bym skłonił Komendanta lub panią Marszałkową do tego, by zezwolono jakiemuś księdzu mistykowi, znajdującemu się na prowincji, odprawiać oficjalne modły za zdrowie Komendanta. Głównym powodem tej propozycji była obawa tego troskliwego lekarza, by społeczeństwo, w razie śmierci Komendanta, nie myślało, że Komendant zmarł jak poganin. Majorowi Cienciarze odpowiedziałem wtedy, że misji tej na siebie nie przyjmę, że mamy czas jeszcze o duszy myśleć, która to sprawa zależy wyłącznie od woli Komendanta.

Po tej rozmowie nabrałem nieufności do dr. Stefanowskiego i gen. Roupperta jako lekarzy. Z tą chwilą cała nadzieja na możliwość powrotu do zdrowia Komendanta rozpadła się w proch. Tak było tydzień temu.

Godz. 20-ta. Telefonuję na życzenie pani Marszałkowej do wiceministra Szembeka z prośbą, by depeszował do Wiednia po dr. Wenkebacha.

Kpt. Miładowski, który w dniu dzisiejszym ma służbę bezpośrednią przy Komendancie, coraz częściej przybywa do adiutantury. Zastanawia mnie to i dziwi. Na zadane mu pytanie, dlaczego opuszcza Komendanta, daje mi odpowiedź, że lekarze pod wszelkimi możliwymi pretekstami starają się go trzymać z dala od Komendanta. Oburzony na to, odpowiedziałem, że nie ma takiej siły, która by go mogła do tego skłonić i że obowiązkiem jego jest na nic nie zwracać uwagi i pełnić swoją służbę.

Nie widząc reakcji na moje słowa ze strony kpt. Miładowskiego, opuściłem adiutanturę i objąłem służbę przy Komendancie z mocnym postanowieniem zareagowania w formie stanowczej, gdyby zaszła tego potrzeba.

Godz. 20.05. Przybył gen. Sławoj-Składkowski. Przybył również ksiądz Kornilowicz, przywieziony z prowincji przez dr. Stefanowskiego. Czy w Warszawie brak księży?

Godz. 20.10. Jestem w pokoju Komendanta. Czuję i widzę zbliżający się tragizm chwili. Dr. Mozołowski i Tukanowicz krzątają się koło chorego po zrobieniu zastrzyku. Pani Marszałkowa siedzi z boku przy łóżku i nie spuszcza wzroku z Komendanta ciężko oddychającego.

Godz. 20.20. W pokoju zielonym czyha na duszę Komendanta przywieziony ksiądz i dr. Mozołowski.

Godz. 20.25. Rozpoczynają modły. Idę do prywatnych pokojów po córki Komendanta, nie zdające sobie sprawy z tragicznej

chwili; przyprowadza je siostra sanitarna. Schodzą się do zielonego pokoju generałowie: Składkowski, Kasprzycki, Rouppert, Wieniawa-Długoszowski, kpt. Pacholski i ppłk Butler, kpt. Miładowski, siostra sanitarna Makarowiczówna, potem wszyscy przechodzą do pokoju narożnego z wyjątkiem ppłk. Butlera i kpt. Miładowskiego, którzy zatrzymują się w progu drzwi.

Ksiądz szepcze modlitwy, podają oleje święte, którymi namaszcza rytuałem przewidziane miejsce na głowie Komendanta. Otoczenie kłęczy i modli się.

Rodzina wpatrzona w oblicze Komendanta z niemym bólem, niezupełnie jeszcze świadoma tragedii nadchodzącej chwili. Zbliża się kres życia Komendanta, to widzi się i czuje bez słów i wyjaśnień. Śmierć czai się gdzieś w zakamarkach domostwa, jak gdyby wypęzła z ciemnych zakątków szumiącego parku i coraz śmielej i coraz zuchwalej się zbliża, by wziąć w swe panowanie opadającego z sił mocarza.

Komendant szklistym i nieruchomym wzrokiem patrzy w przestrzeń. Jakby czynił przegląd swego bohaterskiego i tragicznego życia. Jakieś myśli, jakąś wolę objawia słabym ruchem rąk, które za życia i w czasie choroby były zawsze tak czynne i ruchliwe. Cisza grobowa zalega pokój, ciężki oddech Komendanta ją tylko przerywa i słaby stłumiony świst powietrza przeciskającego się przez krtań, połączony jak gdyby z bulgotaniem jakiegoś płynu, znajdującego się w gardle.

Jak gdyby z powiewem wiosennego wiatru życie uleciało na jego skrzydłach na znak uczyniony po raz ostatni ręką Komendanta.

Minuty ciągną się jedna za drugą, długie jak minione dziesiątki lat brzemienne historią.

Odwracam głowę, na tarczy zegara 8.45, koniec epoki związanej z życiem Wielkiego Człowieka.

Godz. 20.50. Lekarze przystępują do czynności stwierdzających śmierć Komendanta. Funkcję tę spełnia dr Mozołowski i Tukanowicz. Cicho usuwają się z pokoju generałowie, by za chwilę podać wieść żałobną panu prezydentowi i premierowi.

Godz. 21-sza. Lekarze przystępują do spisania aktu zgonu, którego redaktorem jest gen. Rouppert i ppłk Mozołowski. Wiceministrowie, gen. Kasprzycki i Składkowski wydają doraźne zarządzenia w związku z wytworzoną sytuacją. Gen. Składkowski dyktuje mi treść depechy do byłego premiera Prystora, znajdującego się w Wilnie, wzywającą do natychmiastowego powrotu.

Wszyscy zbierają się w adiutanturze, wszystkie telefony bezustannie dzwonią. Przychodzi coraz więcej osób do Belwederu, stwarzając tym chaos.

*Belweder, 14 maja 1935 roku  
Poniedziałek*

O godzinie 24-tej przybył pan prezydent RP. Złożył hołd zmarłemu Marszałkowi i wyrazi serdecznego współczucia pani Marszałkowej i córkom w sposób niewypowiedziane wzruszający. Czyniąc to wobec Jadwigi, którą po dość długim szukaniu w pokojach prywatnych odnalazłem skuloną na łóżku Komendanta, w ciemnej sypialni, samotnie przeżywającą swój ból, i sprowadziłem do zielonego pokoju przed pana prezydenta, pan prezydent powiedział: „Proszę przyjąć moje głębokie współczucie z powodu śmierci Ojca. Pocziesz się dziecko w swoim najcięższym bólu tym, że jesteś córką największego Człowieka, jakiego wydała ziemia Polski i jakiego zna historia Polski na przestrzeni swych dziejów. Wszyscy Go kochali przed śmiercią i czcili Jego wielkość. Po śmierci będą Go czcić, kochać i szanować jeszcze bardziej”.

Pan prezydent był głęboko wzruszony śmiercią Komendanta, nie ograniczył się do formalnej strony swej wizyty. Tkliwymi, ojcowskimi wyrazami starał się złagodzić ból pani Marszałkowej oraz córek, a tym samym i nasze ściskające się serca.

O godz. 1-ej przybył pan premier na czele rządu, marszałek Sejmu i Senatu. Wszyscy wzruszeni do głębi, z trudem wstrzymując łzy z wielu oczu ciekące, składali hołd zwłokom Komendanta, leżącym jeszcze na łożu śmierci.

O godz. 1.10 przygotowania do balsamowania ciała w toku. Wydałem zarządzenia co do miejsca i potrzebnych sprzętów, przewidując do tego celu pokój konferencyjny.

O godz. 1.15 premier wydaje zarządzenia odnośnie ciała Komendanta, po porozumieniu z panią Marszałkową. Przyjmuje je wiceminister Składkowski, Kasprzycki, gen. Wieniawa-Długoszowski, Roupert, Krzemiński i płk Sokołowski. Zarządzenia dotyczą sekcji, balsamowania ciała i zachowania serca i mózgu.

O godz. 1.25 premier odjechał, przedtem kilkakrotnie narażając się w sprawie pogrzebu z panią Marszałkową.

O godz. 1.30 wachmistrz Pikiel fotografuje zwłoki Komendanta, od chwili skonstatowania śmierci nieruszone.

O godz. 2-ej na noszach, na których po raz ostatni Komen-

dant przyjechał do Belwederu, adiutanci, oficerowie G.I.S.Z. oraz lekarze przenoszą zwłoki do pokoju konferencyjnego, gdzie ma być sekcja zwłok.

O godz. 2.30 profesor Szczepkowski, wezwany przez gen. Wieniawę-Długoszowskiego i prof. Jastrzębowski, przystąpił do zdejmowania maski pośmiertnej Komendanta. Dr Stefanowski w czasie tych czynności robi szkice ołówkowe głowy, rąk i nóg Komendanta.

O godz. 2.40, po ogoleniu Komendanta, przystąpiono do nałożenia masy gipsowej. Dr mjr Kaliciński i docent dr Laskowski czynią przygotowania potrzebne w czasie sekcji. Lekarze hamują nerwową ciekawość rozwiązania zagadki właściwej choroby Komendanta, którą ma wyświetlić sekcja.

Równocześnie czyni się zmiany w salonie, gdzie pod kierownictwem profesora Jastrzębskiego ma się urządzić kaplicę, gdzie na pewien czas złożone zostaną zwłoki Komendanta w prowizorycznej trumnie.

O godz. 3.25 zdjęto maskę gipsową i niezwłocznie przystąpiono do sekcji zwłok, przy której byli obecni: gen. Rouppert, gen. Krzemieński, gen. Wieniawa-Długoszowski, wicemin. Piesrzyński, którego zachowanie od samego początku raziło, ze względu na to, że nie umie się zachować poważnie, tak jak tego wymagała powaga chwili i co nie licowało z nastrojem wszystkich, bolesną tragedią dotkniętych i przejętych do głębi, ppłk dr Mozołowski, ppłk dr Czyż, który spisywał protokół sekcji, docent Uniwersytetu Warszawskiego dr Laskowski, anatom, oraz pomocnik techniczny, sanitariusz Ławniczak. Przed rozpoczęciem się sekcji gen. Rouppert, za pośrednictwem gen. Wieniawy-Długoszowskiego, zamierzał skłonić mnie do nieuczestniczenia w sekcji. Przygotowany na taką propozycję, odpowiedziałem, że tego żądać ode mnie nie może i że moim obowiązkiem jest być w czasie wszystkich zabiegów około Komendanta, czynionych aż do ostatniej chwili. Gen. Wieniawa-Długoszowski, czując słuszność mojej odpowiedzi, zgodził się z moim stanowiskiem. Widziałem, że gen. Rouppert, odnoszący się do adiutantów nieufnie, zresztą tak jak i my do generała, z mojej stanowczej odpowiedzi był niezadowolony. Ale mało z tego sobie do serca brałem, czy nie to, co mój obowiązek mi dyktuje.

O godz. 3.30 dr Kaliciński i Laskowski rozcinają żyły przebiegające przez prawą pachwinę w celu zapuszczenia rurki, którą wlewają roztwory soli konserwujących (balsam). Czynność balsamowania trwa do godziny 5.35. W tym czasie rozpoczyna się



opis zwłok. Dyktują obydwaj lekarze przeprowadzający sekcję. Jednocześnie zaszywają cięcia na prawej nodze i pod lewą pachą. Protokołuje ppłk dr Czyż.

O godz. 5.40 mjr dr Kaliciński przecina powłokę brzucha. Z jamy brzusznej wypływa ciecz, w dużej ilości, o zabarwieniu surowicy. Ciecz ta wypełnia cały, wzdęty brzuch między jelitami. Ilościowo jest jej około 2-ch litrów.

W oponie brzusznej widoczna jest powłoka tłuszczu i częściowo płaty tłuszczu przylegające do niektórych organów wewnętrznych.

Śledziona koloru fioletowego. Kiszka ślepa obłożona tłuszczem. Wątroba — powiększona, zajmująca 2/3 jamy brzusznej, jest tak wielka, że przykrywa cały żołądek, jakby przyrośnięty do niej, z licznymi sinymi wrzodami guzowatymi. Guzy raka większe i mniejsze pokrywają całą powłokę wątroby, której waga wynosi 4050 gr. Tchawica [słowo nieczytelne] ściana zgrubiała, z [słowo nieczytelne] ogniskami zwapnionymi. Nerki — wielkości normalnej. Żołądek — w żołądku ogromny skrzep krwi ciemnej, prawie czarnej — wiśniowej barwy. Raka żołądka nie skonstatowano. Serce — normalne, tylko aorta ongiś owrzodzona ma nieliczne zwapnienia. Kształtem i wyglądem podobne do podobnych oznak spotykanych u drzew niektórych, jak wierzba, łozina, lipa. Waga serca 520 g.

Płuca — sine, o niewielkiej tylko ilości zwapnień bardzo dawnych. Przy tym stwierdzono duże wrzody opłucnej. Mózg — waga 1460 gr., normalny o pięknych zwojach, silnie uwydatniony. W momencie, kiedy ponad wszelki wyraz straszna chwila kończyła się, a wraz z nią grozą przejmująca funkcja wydobywania mózgu z czaszki oskalpowanej, i opiłowanej, przy niesamowitym odgłosie zgrzytu piły, młotka i innych narzędzi użytych do tego celu, wiceminister Piestrzyński, b. lekarz przyboczny Komendanta z pierwszych lat powojennych, zadaje głupie pytanie: „Czy Komendant miał zapalenie mózgu?”. Gen. Wieniawa-Długoszowski oburza się na to bez sensu i taktu zapytanie byłego lekarza Komendanta. Trzeba dodać, że zachowanie się p. Piestrzyńskiego w czasie sekcji było całkowicie nie na miejscu i niepoważne.

Do godziny 9-tej trwa obmywanie ciała i inne z tym związane czynności. Mózg i serce złożono w specjalnych naczyniach.

O godz. 9-tej ubieramy Komendanta. Chorążemu Wójcikowi poleciłem przynieść najnowszy mundur marszałkowski Komendanta i wszystkie części bielizny, jaką Komendant zwykle używał.

Teraz, gdy już po sekcji, w chaosie najróżnorodniejszych myśli, przed oczyma mam mniej więcej jasny obraz tego, jak i jacy fachowcy w swym zawodzie opiekowali się zdrowiem Komendanta, winni strzec go, jako coś co posiadamy w Polsce najcenniejszego, i to co o tym zdrowiu i chorobie sądzili, to serce mi się ścisza z wielkiego żalu, że się tak stało, z drugiej zaś strony czuję brak szacunku dla tych, którzy mieli czelność przyjmować funkcję urzędowych stróżów zdrowia Komendanta, opierając się na niedostatecznej wiedzy i praktyce w swym zawodzie.

O godzinie 10.30 ciało Komendanta złożyliśmy prowizorycznie, do czasu przywiezienia trumny, na stole przykrytym dywanami, w narożnym pokoju. Jest rodzina i schodzą się różni dostojnicy składający hołd pośmiertny. Wszystkie czynności przy zwłokach Komendanta przeprowadzamy zespołowo, to jest lekarze, płk Strzelecki, Sokołowski, Wenda, Głabisz i adiutanci.

## PROTOKÓŁ

Belweder, 20 maja 1935 roku, godz. 12.30.

Pieczęć I-szą, którą zdjął pan prezes Okręgowego Sądu Kamieński z urny zawierającej mózg I Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, powierzonej opiece rtm. Hrynkiewicza, w obecności komisji wyznaczonej przez rząd Rzeczp. Polskiej w osobach pp. gen. Krzemińskiego, Roupperta, Wieniawy-Długoszowskiego w celu przekazania mózgu wolą pani Marszałkowej, Aleksandry Piłsudskiej, panom profesorom: Pieńkowskiemu, Orzechowskiemu oraz Rosemu.

Działo się w obecności pp. płk. dypl. Adama Sokołowskiego, szefa gab. ministra Spraw Wojskowych, płk. dypl. Leona Strzeleckiego, rtm. Aleksandra Hrynkiewicza, adiutanta ministra Spraw Wojskowych i lekarzy, pp. płk. dr. Mozołowskiego, mjr. dr. Kalińskiego i docenta dr. Laskowskiego w dniu 20 maja 1939 roku o godz. 12.30 w Belwederze w gabinecie I Marszałka Polski.

Po dokonaniu tego aktu mózg I Marszałka Polski przekazano wyżej wymienionym profesorom dla studiów antropologicznych.

*Aleksander Hrynkiewicz*  
rtm. i adiut. ministra

GENERALNY INSPEKTOR  
SIŁ ZBROJNYCH  
SAMODZIELNY REFERAT PERSONALNY

L. dz.

TELEF. 8-20-54, 8-20-53

Warszawa, dn. 1 stycznia 1936 r.

W dniu wczorajszym o godz. 9.30 zameldowałem zdanie Belwederu ppłk. Borkiewiczowi, wyznaczonemu przez p.m. Spraw Wojskowych. Pani Marszałkowa przyjęła mój raport zaznaczając, że nie rozstajemy się przecież mimo tego, gdyż stanowimy przez tak bliskie współzycie rodzinę i że uważać mnie będzie jako jej członka. Wręczyłem pani Marszałkowej spis wszystkich przedmiotów znajdujących się w Belwederze, będących własnością państwa lub własnością pani Marszałkowej, a pozostawionych w depozycie muzeum belwederskiego. W czasie rozmowy pani Marszałkowa przypomniała, iż część przedmiotów przekaze, jak już uprzednio obiecała, 1-mu pułkowi Szwoleżerów — Józefa Piłsudskiego. Serdecznie podziękowałem pani Marszałkowej za pamięć o tym i za ofiarowanie przedmiotów mających być uzupełnieniem naszych zbiorów, znajdujących się w pułku. W czasie tej wizyty były poruszone tematy związane z urządzaniem muzeum w Belwederze, kapliczki w której spoczywały zwłoki Komendanta, jej utrzymanie w stanie obecnym na okres przypuszczalnie paru lat i możliwość rekonstrukcji „salonu”. W tej sytuacji wydaje mi się, że jest możliwość techniczna utrzymania jednocześnie i kapliczki i salonu z tym, że salon byłby obiektem stałym, natomiast kapliczkę rekonstruowałoby się na każde życzenie pani Marszałkowej, w celu umożliwienia odprawiania tam nabożeństw, przechowując do tego celu wszystkie eksponaty, jakie są obecnie. W odtwarzaniu każdorazowym kapliczki nie byłoby żadnej trudności, przy dokładnym jej sfotografowaniu i opisie. Pułkownik Borkiewicz jest zdania, że to jest zupełnie możliwe.

W czasie pożegnania Komendantowa prosiła mnie, bym jeszcze chwilę pozostał, gdyż ma mi coś do pokazania. Po wyjściu ppłk. Borkiewicza Komendantowa głosem wzruszonym i tajemniczym oznajmiła mi, że znów nawiązała kontakt z duchem Komendanta i że doszło do tego na wyraźne życzenie Komendanta, który przez jakieś medium dał polecenie skomunikowania się, znanym pani Marszałkowej sposobem. Na seansie tym byli obecni tylko bliscy Komendantowi. Komendant, jako znak widoczny, pozostawił trzy parafinowe formy swoich rąk, dwie ręki prawej i jedną lewej. Komendant z foremki dobrze zachowanej, prawej ręki, polecił zrobić odlew gipsowy, o co Komendantowa mnie

prosi. Już poprzednio, na jakimś seansie przeprowadzonym w grudniu 1935 roku, pozostawił taką foremkę parafinową wysłany przy pomocy medium duch Komendanta. Jako wtajemniczony w te sprawy, na prośbę Komendantowej, zrobiłem odlew gipsowy tej ręki. Muszę zaznaczyć, że gdy ujrzałem foremkę parafinową pierwszy raz, nie wiedząc czyja jest, zdumiony byłem jej wielkim podobieństwem do ręki Komendanta, którą dobrze znałem i pamiętałem charakterystyczne cechy. Komendantowa potwierdziła trafność mych przypuszczeń, opisując w szczegółach, jak to miało miejsce.

*Aleksander HRYNKIEWICZ*

#### NOTA BIOGRAFICZNA

Aleksander HRYNKIEWICZ, ur. w r. 1896, legionista, major W.P., we wrześniu 1939 r. zastępca d-ey pułku kawalerii. Po wojnie został na emigracji, zmarł w Kanadzie w 1981 r. Aleksander Hrynkiewicz był adiutantem Marszałka Józefa Piłsudskiego od roku 1934 do Jego śmierci. Drukowane powyżej wspomnienia były zdeponowane w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, który udostępnił nam rękopis celem opublikowania go w *Zeszytach Historycznych*.

# WSPOMNIENIA Z DAWNYCH LAT

---

E. ŻAGIELL

## GAWĘDY O POLAKACH NA KOWIENSZCZYŹNIE

### ZAMIERZCHŁE CZASY

Przed pierwszą wojną światową — znaną mi raczej z opowiadań — polskość na głębokiej Żmudzi ograniczała się prawie tylko do „panów”. W odróżnieniu od południowo-wschodniej części Kowieńszczyzny, gdzie prócz zaścianków były liczne polskie wsie i gdzie większość mieszczan, z proletariatem włącznie, mówiła po polsku, na Żmudzi polskie było tylko ziemiaństwo oraz trzy warstwy, pragnące uchodzić za panów: zamożniejsze mieszczaństwo, administracja dworska i szlachta zaściankowa. Chłop, robotnik, część kleru i pierwsi pojawiający się studenci byli Litwinami. Pewne dziedziny życia gospodarczego, jak zresztą wszędzie na kresach, były zmajoryzowane przez Żydów, ale zasada ta dotyczyła nie tylko ich. Majstrami w fabryczkach i młynach parowych bywali przeważnie Niemcy lub Łotysze. Warstwę urzędniczą stanowili, jak wszędzie, Rosjanie — prawosławni. Nawet Rosjanie starowiercy, osadzeni na skonfiskowanych majątkach, mieli swoją specjalność — kopanie rowów latem i roboty leśne zimą. Do tej mozaiki można dodać jeszcze Cyganów, handlujących końmi, wróżących i kradnących.

W wielu dworach ogrodnicy byli sprowadzani nie tylko z Królestwa, ale i z Poznańskiego. Ciekawe, że byli mniej odporni na wynarodowienie od Polaków litewskich. Synowie i wnuki wielkopolskich ogrodników wsiąkali w masę litewską, podczas gdy właściciel wielkiego zakładu ogrodniczego w Szawlach, będącego dumą miasta, stał się powodem wielkiej konfuzji. Program wizyty, jaką miastu składał prezydent Smetona, przewidywał odwiedzenie zakładu Sielskiego. Okazało się, że jego sędziwy właściciel nie mówi po litewsku. Natomiast syn ogrodnika Rogalińskiego zwał się już Rogalisem. Inaczej układały się stosunki wśród ziemian. Tu D'Erceville, Hiksa, Landsberg, Saari, Knoch, Butler, baronowie Raden i Ropp, hrabiowie Choiseul, Zubow i O'Rourke, niezależnie od kraju pochodzenia przodków, mówili po polsku i w większości byli Polakami. Wyjątek stanowili naturalnie rosyjscy magnaci, posiadający tu jeden z majątków rozsianych po całym imperium, a przeważnie sami mieszkali w Petersburgu. Zarządzali tymi majątkami polscy plenipotenci. Jednym z nich w Taurogach u księcia Wasilczykowa był niejaki Anders, a jeden z jego synów wszedł do historii.

Inną postacią historyczną, związaną w owym czasie z Kowieńszczyzną, był carski premier Stołypin, znany polakożerca i wróg postępu. Jednak i on w pewnym sensie zasymilował się z Litwą. Miał tu majątek i był gubernialnym marszałkiem szlachty. Spodobała mu się struktura rolna Nadbałtyki — Łotwy i Żmudzi, gdzie nie było wielkich wsi, a dużo indywidualnych gospodarstw. Zamierzał stworzyć w Rosji liczną warstwę „kułaków” farmerów. Chciał upodobnić strukturę rolną cesarstwa do wzoru nadbałtyckiego. Pragnąc, aby wzór ten był jak najbardziej atrakcyjny, stał się w Petersburgu energicznym rzecznikiem rolnictwa na Kowieńszczyźnie. Akcje społeczne na odcinku rolniczo-gospodarczym nie były krępowane. Powiatowe miasto Szawle miało sławne wystawy rolnicze, na które zjeżdżali ludzie z całej Litwy i Białorusi. W Kownie było Towarzystwo Rolnicze, mające oddziały na prowincji, organizujące wykłady rolnicze, oczywiście w języku polskim, z udziałem profesorów z Warszawy, jak Mikułowski-Pomorski i inni. Powstała średnia szkoła rolnicza w Datnowie, stacja doświadczalna w Bejsagole, udziałowy „syndykat”, prowadzący handel maszynami rolniczymi, Wzajemna Asekuracja od Ognia itd. A w małym miasteczku nawet nie powiatowym, jak Kurszany, był bank wzajemnego kredytu, spółdzielnia mleczarska z serowarnią i pierwsze kółko kontroli obór. Nie trzeba dodawać, że wszystkie te organizacje były prowadzone przez Polaków, pracujących dla dobra całej społeczności danego rejonu.

A że na Kowieńszczyźnie nie było ani bardzo wielkich mająt-

ków (prócz kilku rosyjskich magnatów), ani też wielu małorolnych, a ogromna emigracja do Ameryki powodowała brak robotnika, co hamowało jego nadmierny wyzysk, więc i napięcia społeczne były tu mniejsze. Już w czasie Powstania Styczniowego, spośród wszystkich ziem dawnej Rzeczypospolitej, jedynie na Żmudzi wzięły równomierny udział w powstaniu wszystkie warstwy: szlachta, mieszczaństwo, kler i chłopci. Podobnie w czasie rewolucji 1905 roku. Gdy na Łotwie palono dwory baronów niemieckich, gdy czerwony kogut błyskał pozągą na Ukrainie, na Kowieńszczyźnie prawie nie było wystąpień przeciw dworom.

Środowisko lat dziecińczych zwykle zachowuje się w pamięci jako sielskie, anielskie. Sielankę wyobrażano sobie w stylu ideałów Rodziewiczówny i Orzeszkowej. Zadowolenie z pracy dla zapalonego rolnika i zadowolenie ze spełnionego obowiązku dla społecznika, prowadzącego „pracę organiczną”. Mogły też być sielanki w stylu Weyssenhoffa z polowaniami, przyjęciami i Warszulkami.

Ale widoków na karierę, na wielkie sukcesy w owym czasie w tym kraju nie było, toteż młodzi po ukończeniu szkół — o ile było to możliwe — w Rydze lub w Mitawie (bo miejscowe gimnazja były na bardzo niskim poziomie), potem po ukończeniu politechniki ryskiej (gdzie mieściły się korporacje Arkonia i Welcja) lub uniwersytetu w Dorpacie (korporacja Polonia) częściowo tylko pozostawali pilnować ojcowizny. Licznie wyjeżdżali w świat. A światem była głównie Rosja, gdzie solidni, wykształceni Polacy, m.in. z Litwy, mieli bardzo dobrą opinię. Szybko wspinali się na wysokie stanowiska, tworząc klasę „menadżerów”, do której Rosjanie mieli mało kwalifikacji. Jednym z tych Kowieńczuków, którzy wyjechali na Kaukaz, był inżynier Kierbedź, który potem zbudował w Warszawie most zwany jego imieniem. Inny żmudzki inżynier wyjechał do Szwajcarii, a potem dla jego upamiętnienia był w Warszawie Plac Narutowicza. Nie wiem, czy są place imienia inżyniera Rymkiewicza, który zbudował karkołomną kolej z Sao Paulo do Santos, lecz zapewne żadna osada górnicza czy fabryczna na Kaukazie czy Uralu nie nosi imienia organizatora przemysłu wywodzącego się z Litwy, z wyjątkiem naturalnie Feliksa Dzierżyńskiego.

Stanisław Kierbedź, ów budowniczy mostu w Warszawie, kolei na Kaukazie itd., miał rangę generała i setki tysięcy rubli, skąpy był niesłychanie. Na przyjęcie na kilkadziesiąt osób, z ministrami włącznie, dawał kucharzowi 3 ruble. Znajdował się zawsze jakiś krewny czy przyjaciel, który dodawał trochę więcej. Gdy częstował gości, odruchowo wydzielał porcję czy ciastko najgorsze, aby lepsze zachować.

Syn jego, również Stanisław, miał już inne podejście do spraw pieniężnych. Ufundował w Warszawie szkołę sztuk pięknych i bibliotekę publiczną na Koszykowej. To jedno, co zostało z wielkich fortun zrobionych w Rosji. Wokół Kierbedzia grupowała się cała plejada wielkich budowniczych: jego bratanek Michał, syn Stanisław, szwagier Zygmunt Maliński. Inż. A. Wereszczyński zbudował m.in. most tzw. *dworcowy* na Newie, prowadzący do pałacu cesarskiego. Sąsiad Kierbedzia i Malińskich z powiatu poniewieskiego, inż. Stanisław Brzozowski, był dyrektorem jakiejś fabryki w Rosji. Był on również po wojnie dyrektorem Montwiłłowskiej fabryki drożdży w Poniewiezu, jedynej polskiej fabryki na Litwie, z jedynym wakansiem dla dyrektora Polaka.

Brzozowski był właścicielem Wodokt na Laudzie, w których Oleńka niegdyś gościła Kmicica. Córka jego, bardzo zdolna matematyczka, składając egzamin na uniwersytecie w Warszawie, nie potrafiła odpowiedzieć na jakieś pytanie, na co profesor rzekł: „Dziwię się, że pani tego nie wie”. Po egzaminie profesor spytał o dane personalne i miejsce urodzenia. Zapytana odrzekła lakonicznie: „Z Wodokt”. — „Co? Gdzie to jest? Województwo?”. — „Dziwię się, że pan profesor tego nie wie”.

Egzamin jednak złożyła pomyślnie, została magistrem filozofii i żoną brata ministra Romana.

Brzozowscy stosunkowo niedawno nabyli Wodokty. Przez parę stuleci była to posiadłość Kopańskich, którzy tu niegdyś przywędrowali z Kopan na Mazowszu. Jeden z Kopańskich, ożeniony z Kownianką Klukowską, zamieszkał czasowo w Petersburgu. Z tego małżeństwa urodził się syn imieniem Stanisław. Był to późniejszy dowódca Karpackiej Brygady i dywizji, oraz szef sztabu. Dzieciństwo spędził na Kowieńszczyźnie, a o dalszych jego losach mówi historia polskiej wojskowości oraz książki autobiograficzne. Co najwyżej można by dodać powiedzonko, które w historii się nie znajdzie. Generał Kopański, jako młody oficer w roku 1919 przy zdobywaniu Wilna postradał jedno oko, uzyskując w zamian najwyższe odznaczenie. Nie mając powodu, aby się wstydić tej mało widocznej ułomności, umawia się na poufne konferencje: „Może pomówimy w trzy oczy”. Zaskoczony rozmówca nie może się poapać, czy ma jedno oko zamknąć, zakryć czy spodziewać się, że je postrada.

Z powiatu szawelskiego wielu wyjechało do Rosji po złote runo. Wiktor Nagurski był rejentem w Petersburgu. Tamże wziętym lekarzem był Korabiewicz, dziedzic na Gierzdelach, które później tym się wślawiły, że miały furmana, który się zwał Juozas Piłsudskis. Syn tego Korabiewicza Wacław wyrósł na schwał i



dostał przydomek „Kilometra”, jako prezes wileńskiego Klubu Włóczęgów i wielki podróżnik „kajakiem do minaretów”.

Młody inż. Bolesław Lutyk został współwłaścicielem fabryki metalurgicznej w Zagłębiu Donieckim, Marcjan Janowicz i inż. Słaboszewicz w koncernie „Malcewskije Zawody” byli dyrektorami działów, zatrudniających liczne tysiące pracowników. Inż. Czerniewski dochrapał się kopalni manganu na Kaukazie, Zygmunt Rymgajło był *public relations officer* przy jakichś wielkich zakładach i opowiadał, jak zakupywał kawior beczkami. Panna Wanda X z menadżerskiej rodziny zwierzyła się, jak kręciła nosem na zaloty młodego potentata przemysłowego z Niemiec, niejakiego Siemens.

W powiecie rakiskim hr. Zygmunt Komorowski wyrabiał cukierki mleczno-czekoladowe. Był „dostawcą Dworu Jego Cesarzowskiej Mości”. Z powiatu wiłkomierskiego Grynhoff, zamiast studiów, odbył w młodości praktykę życiową w Południowej Afryce. Potem zrobił fortunę nad Wołgą. Po rewolucji osiadł na „resztówce”. Na jego lotnych piaskach rodziła pszenica ku podziwowi sąsiadów agronomów. A gdy pszenica nie popłacała, założył krochmalnię. Mikucki z rosieńskiego zrobił fortunę w hotelarstwie w uzdrowiskach wód mineralnych na północnym Kaukazie. Galeria z Suwalszczyzny był dyrektorem kopalni złota na Uralu. Inż. Siemaszko kształcił syna w Paryżu za ćwierć pensji, którą mu przez dziesiątek lat płaciła firma belgijska zatrudniająca go kiedyś w Zagłębiu Donieckim i trzymająca Polaka w rezerwie na wypadek upadku bolszewizmu. Józef Geysztor był jakimś potentatem finansowym na Dalekim Wschodzie i posiadaczem wysokich orderów japońskich. Fortuna, jak i wszystkim innym, przepadła. Miał tylko taką pociechę, że w ambasadzie japońskiej w Warszawie kłaniano mu się bardzo nisko. Stomma (z wiłkomierskiego) był generałem i dyrektorem fabryki amunicji w Petersburgu, zatrudniającej w czasie wojny 10 tysięcy robotników i posiadaczem orderu, nadającego mu belgijskie obywatelstwo honorowe. Syn, jako uchodźca, po ostatniej wojnie chciał się osiedlić w Belgii. Chociaż sprawdzono, że rzeczywiście generał Stomma był belgijskim obywatelem honorowym, odmówiono mu jednak prawa wjazdu, gdyż nie miał kwalifikacji na górnik, a tylko takich wówczas przyjmowano. Czasem echa działalności Żmudzinów w dawnej Rosji mają posmak nie tylko melancholijny, ale też nieco humorystyczny.

Ponoć w czasie narad nad odbudową Warszawy sowieccy architekci demonstrowali osiągnięcia sowieckiego budownictwa, pokazując m.in. zdjęcia pałacików na Krymie. Ale znalazł się pewien zgrzybiały staruszek i uparty Żmudzin, który zakwestio-

nował sowieckość tych osiągnąć. Jeden z tych pałacyków, dobrze mu znany, on sam budował przed laty. Była też inna emigracja do Petersburga o charakterze raczej politycznym. Posłem do Dumy z Kowieńszczyzny był niejaki Dymsha. Znać wysoko się nosił. Mówiono o nim, że choć „Większy Pan Bóg, niż pan Rym-sza”, to jednak nie wiadomo „Czy większy Pan Bóg, niż pan Dymsha”. Członkiem Izby Panów był hr. Tyszkiewicz z Kretyni. Ubiegał się o to stanowisko Józef Kibort, prezes Towarzystwa Rolniczego i sympatyk Narodowej Demokracji. Aby móc kandydować do Izby Panów, trzeba było być obszarnikiem, to jest posiadaczem ponad tysiąca dziesięcin. Rodzinne Stefaniszki Kiborta miały nieco mniej. Do tych Stefaniszek przyjeżdżał w czasie wakacji bliski kuzyn właścicieli, sztubak imieniem Ziuk, a nazwiskiem Piłsudski. Była jeszcze inna kategoria żmudzkiej emigracji w głąb Rosji. Ludwik Janowicz, jeden z założycieli „Proletariatu”, zmarł po długich latach zesłania koło „bieguna zimna”, Wierchojańska.

O tymże Janowiczu ukazała się w roku 1964 parusetstronicowa biografia w języku litewskim, wydana w sowieckim Wilnie. „Liudvikas Janavicus” był synem właściciela majątku Łapkasię, na Żmudzi, przejął się ideami socjalistycznymi w czasie studiów w Moskwie i grawitując ku najbardziej radykalnemu odłamowi, stał się jednym z prekursorów komunizmu, zastępcą i następcą Waryńskiego, przywódcy grupy „Proletariat”. Gdy go aresztowano w Warszawie, stawiał opór i zranił policjanta. Został skazany na wiele lat twierdzy i następnie zesłany na Kołymę. Ten „Proletariat” był jednak nie bardzo proletariacki. Przy aresztowanym znaleziono materiały, kompromitujące największego magnata na Żmudzi, hr. Zubowa (żonatego z Billewiczówną), a pomagał w nawiązaniu kontaktów z aresztowanym jego rodzony brat — oficer ekskluzywnego pułku gwardii cesarskiej.

Aczkolwiek jego biografia pełna jest opisów okrucieństwa władz cesarskich, to jednak można wyłuskać fakty, świadczące o pewnym liberalizmie, w zestawieniu z rygorami sowieckimi.

Janowicz na Syberii otrzymywał masę wydawnictw statystycznych polskich i rosyjskich, a nawet dodatek ekonomiczny londyńskiego *Times*, co mu umożliwiło napisanie szeregu prac naukowych, publikowanych w poważnych czasopismach legalnych, a także nielegalnych.

Jego historia rozwoju przemysłu Królestwa Polskiego obalała tezę Róży Luksemburg, że Polska jest tak związana gospodarczo z Rosją, że nie należy dążyć do jej niepodległości. Janowicz na zesłaniu syberyjskim zaczął nawracać od międzynarodowego

komunizmu ku programowi PPS i pisywał do londyńskiego *Przedświtu*. Można to wyłuskać z jego obszernej biografii, zawierającej też mnóstwo cytat z jego listów do rodziny na Litwie. Imiona krewnych wymieniane w listach często są zaopatrywane w dopisek autora biografii, że nie zdołano ustalić tożsamości tych osób. Nic dziwnego, że autor nie mógł znaleźć na Litwie krewnych, by zasięgnąć informacji, bowiem w roku 1941 władze sowieckie deportowały na Syberię rodzoną siostrę Ludwika Janowicza, wymienianą w korespondencji kuzynkę Wandę, oraz kilkoro krewnych z młodszego pokolenia. O jego losach ukazała się ostatnio w Polsce obszerna książka pt. „Piórem i sztyletem”, napisana przez Leona Janowicza, późnego wnuka z tejże rodziny.

Dr Jakubowski, zesłaniec w Turkiestanie, ożenił się z Kirgizką i wyhodował gromadę dzieci na nieco żółtawych Polaków. Różnymi drogami prowadziły losy Żmudzinów w carskiej Rosji.

Generał Babiański służył lata, w jakże nie zaszczytnej roli prokuratora wojskowego. Skończył jako poseł do Dumy, głosiciel haseł liberalnych, najbliższy współpracownik Lednickiego. M. in. był obrońcą rewolucjonisty Dzierżyńskiego, którego określał jako czystej wody idealistę. Lekarz carskiej marynarki, wielkolud Nagiewicz skończył jako litewski generał i kustosz Litewskiego Muzeum Wojskowego, pełnego tyłu antypolskich ekspozycji, że Zygmunt Nowakowski w 1938 roku ze skandalem przerwał zwiedzanie tego przybytku. Skoro doszliśmy już do generałów, to nie wdając się w szczegóły metryk urodzenia, można stwierdzić, że na terytorium międzywojennej republiki litewskiej można było objechać rzemiennym dyszlem krewnych marszałka Piłsudskiego, krewnych generałów Dowbór-Muśnickiego, Bortnowskiego, Kopańskiego, Rymczy, Szylinga, a podejrzewam również generałów Sulika, Januszajtisa, któregoś z admirałów i Żeligowskiego. Ale do pokrewieństwa z tym ostatnim każdy by się w czasach tej republiki bał przyznać. Był dla Litwinów wrogiem numer jeden. Zresztą dotyczyło to nie tylko Żeligowskiego. Pewna Litwinka, wnuczka Billewiczówny, wstawiła się powiedzeniem: „Jestem kuzynką Piłsudskiego. Nie uważam tego za zaszczyt, lecz za hańbę”. Ale to było w czasach międzywojennych. Jeszcze w roku 1915 stary Chodakowski ostrzegał i prawie przeproszał swych gości, że ma za zięcia wielkiego litwomana, Antoniego Smetonę.

Przed pierwszą wojną światową miejscowi Polacy uważali się za Litwinów w sensie dzielnicowym. Kto jest Litwinem — mówili — ten samo przez się jest też Polakiem. Przeciwników tego stanowiska, separatystów litewskich, zwano litwomanami. W pierwszych latach odrodzonej republiki litewskiej, w nowej

sztuce litewskiej, na scenie teatru kowieńskiego, młoda Litwinka symbolicznie zdruzgotała statuetkę Adama Mickiewicza. Ten gest miał oznaczać zerwanie ze wspólną przeszłością polsko-litewską. Dawni litwomani stali się Litwinami, a Litwini w sensie historycznym, wierni związkowi kulturalnym, politycznym i językowym z Polską, otrzymali dzwiczny przydomek „wyrodków”. Dla udokumentowania tej tezy uchwycono się wyników badań prof. Jana Jakubowskiego. W jednej ze swych prac historycznych o Wielkim Xięstwie Litewskim sformułował wniosek, że Polacy na Litwie są w przynajmniej większości spolonizowanymi Litwinami. Pewna domieszka krwi polskiej (głównie mazurskiej) płynie w żyłach ludności Litwy, ale prawie w równej mierze wśród mówiących po polsku i po litewsku. A że Litwini z pochodzenia sprzymierzają się z obcą i wrogą potencją, jaką była Polska, są więc wyrodkami. Słowo *iszgama* było w częstym użyciu i dotyczyło również marszałka Piłsudskiego.

Brzmienie nazwiska nie było miarodajnym kryterium do stwierdzenia pochodzenia. Czysto polskie nazwisko Kalina nosili potomkowie Tatarów, zachowujący nawet wyznanie mahometańskie. Litewskie rodziny chłopskie z dóbr polskich magnatów nosiły nazwiska Lanckorońskich lub Potockich, a każdy Grysus lub Wajtkus, gdy nieco awansował na drabinie społecznej, był zapisywany w księgach metrykalnych przez polskich księży, jako Grysiewicz czy Wojtkiewicz.

Niejaki Franciszek Karp, Polak, w trzech czwartych niemieckiego pochodzenia i autor niefortunnej książki o niemieckich pracach do kolonii (wydanej przed wojną w Grodnie) zainteresował się rodowodami staro-litewskich bojarskich nazwisk jak: Gimbut, Butrym, Sągaiłło, Dowgiałło, Kibort, Korsak, Dowmunt, Dowgird, Orwid itd. W swej kilkudziesięciostronicowej pracy doszedł do nieoczekiwanych wyników. Bardzo mało spośród tych nazwisk — dowodził — świadczy o litewskim pochodzeniu. Bułhak i Korsak — to pochodzenie tatarskie. Nazwiska kończące się na: rym, but, ort, ird, to stare nazwiska bojarów litewskich, pochodzących od Wikingów. Dla porównania cytował książkę telefoniczną Kopenhagi. Twierdził, że czyta się ją jak starą heraldykę litewską, tyle tam nazwisk zbliżonych do litewskich nazwisk arystokratycznych a żadnego podobieństwa do typowo ludowych. Natomiast nazwiska kończące się na „ajłło” były bezspornie litewskie, w odróżnieniu od najpospolitszych na „wicz”, które były naleciałością ruską, świadczącą nie o pochodzeniu, a o modzie dodawania tej końcówki. Pracę Karpią drukował *Dzień Polski* w Kownie w odcinkach, póki autor nie doszedł do wikingowskich konkluzji. Wówczas cenzura wstrzymała druk. Ponoć została ona

potem zamieszczona w wydawnictwie Instytutu Bałtyckiego w Toruniu. Franciszek Karp został Polakiem i nie skusił się na „wicz”.

Domniemani potomkowie Wikingów, kolejno zlitwinizowanych, przeważnie zruszczonych za czasów Witolda, a następnie całkowicie spolonizowanych, czuli się dobrze w szlacheckiej polskorusko-litewskiej, dawnej Rzeczypospolitej. Złoty wiek kultury na kresach, w wyniku rozkwitu Uniwersytetu Wileńskiego jeszcze wzmógł litewski wkład do ogólnopolskiej kultury. Dlatego była tak niebezpieczna dla separatystów litewskich. Była ona również ich kulturą, kulturą Adama Mickiewicza, Krasińskiego syna Radziwiłłówny, Słowackiego, syna profesora Uniwersytetu Wileńskiego, by zacząć od trzech wieszczów. Poza tym Norwida, Syromkli i wielu innych, którzy spowodowali, że niejako narodowymi imionami polskimi stały się litewskie: Grażyna, Witold, Olgierd czy Aldona. Ale gdy w końcu XIX wieku wszędzie zaczęły wchodzić w obręb życia kulturalnego warstwy ludowe, liczne w Polsce etnograficznej, kultura Kasprowicza, Morcinka, Jalu Kurka, Orkana, Stryjeńskiej, Skoczylasa (Trojaka, Kujawiaka i Zbójnickiego), stawała się coraz bardziej obca „spolonizowanym Litwinom”. Stąd może ta olimpijska obiektywność w stosunku do Polaków w twórczości Miłosza i Józefa Mackiewicza, a cieplejsze struny na wzmiankę o ludziach i ziemi Litwy historycznej. Tu mała, nieco kąśliwa dygresja — obaj wspomniani, oraz Gombrowicz, mówiący o sobie, że jest potomkiem szlagonów litewskich, stali się pisarzami o światowej sławie, tłumaczonymi na liczne obce języki. Wszystkim zarzucano takie czy inne kolaboracje, lub brak aktywnej kolaboracji w czasie wojny.

Odrębność kulturalna Polaków litewskich zatarła się mocno na terenach, które weszły w skład Rzeczypospolitej międzywojnia. Natomiast na Litwie kowieńskiej, odciętej granicą, do której nie docierały nawet czasopisma polskie, gdzie kontakty osobiste ograniczały się do nielicznych jednostek, a jedynym prawie łącznikiem, prócz trudno osiągalnych książek, było radio, kultura polska zachowała się w swej formie przedwojennej, jagiellońsko-polsko-litewskiej.

Polacy na Litwie nie włączyli się w nurt litewskiego życia kulturalnego. Stworzyli swoje getto. Druga wojna światowa i zjawiska z nią związane: deportacje do Sowietów, repatriacje do Polski i całkowite zniesienie pod rządami sowieckimi szkolnictwa polskiego na terenie dawnej Litwy Kowieńskiej spowodowały, że Polonia litewska przestała prawie istnieć. To już niejako zaginione plemię.

## PIERWSZA WOJNA

Czasem, dzięki dziwnemu zbiegowi okoliczności, wspomnienia dzieciinne o zmaganiu się dwóch armii zaborczych przypominają spotkania dobrych, życzliwych ludzi. A było to tak.

Latem roku 1915, nad rzeką Wentą, na Żmudzi, ustabilizował się front. Trzeba było uciekać z domu do pobliskiej leśniczówki. Skończyły się zapasy żywności. Na domiar złego zakwaterował niebawem w leśniczówce oddział niemiecki. Ale wyszło to na dobre. Przestano obawiać się napaści maruderów. Poza tym dostawaliśmy obiady z kuchni polowej. Raz nawet w spokojniejszy wieczór chór złożony z kilku żołnierzy śpiewał nam piosenki. Działo się tak, bo dowódcą 16-go pułku pruskich huzarów był major Raszewski, jedyny później polski generał wywodzący się z armii niemieckiej. Wraziły mi się w pamięć jego słowa: „I Rosjanie i Niemcy to świnie, ale idę z Niemcami, bo to przynajmniej mądra świnia”. Jak na pruskiego oficera, w rozmowie ze świeżo poznanymi ludźmi, brzmiało to dosyć odważnie.

Niebawem ruszyła rosyjska kontrofensywa. Front się nieco przesunął i mogliśmy wrócić do (zresztą przepełnionego) domu. Zakwaterował tam sztab 67-go pułku rosyjskiej piechoty. Rosyjskość jego była raczej problematyczna. Żołnierze, przeważnie wołyńcy, mówili po ukraińsku. Jedną trzecią część oficerów stanowili Polacy, a dowódcą, który się nami wnet zaopiekował, był pułkownik Listowski. Doszedł on później w armii rosyjskiej do stopnia generała, dowódcy korpusu i wstawił się obroną Dyneburga. Następnie w roku 1920, już w armii polskiej, dowodząc odcinkiem frontu, miał w swojej grupie jako podwładnego generała Raszewskiego, tego samego, z którym się zmagał nad Wentą.

## KOWNO, KTÓREGO NA MAPIE JUŻ NIE MA

W roku 1920 w gimnazjum polskim w Kownie lekcje rozpoczęły się normalnie pierwszego września. Już w połowie października część szyb wyleciała, a kilku uczniów poturbowano.

Tak wyglądała reakcja litewska na zajęcie 9 października Wilna przez gen. Żeligowskiego. Szkoła mieściła się na górnych piętrach kamienicy i wejście do niej było przez bramę. W tych warunkach łatwiej było wytrzymać oblężenie. Zresztą napaści na gimnazjum ustały. Niemniej, mówiąc głośno po polsku na ulicy można było oberwać lub nasłuchać się przymówek, kończących się wezwaniem, by wyjeżdżać do Warszawy.

Zaczęła się rodzić nowa, coraz liczniejsza odmiana tzw. ci-  
chych Polaków, kontynuatorów polskich tradycji z czasów Mu-  
rawiewa, gdy w Kownie widniały napisy, że mówienie po polsku  
jest zabronione. A przecież w roku 1920 było w Kownie znacz-  
nie więcej Polaków niż Litwinów. Nawet jeszcze po kilku la-  
tach, gdy w mieście osiedliło się wiele urzędniczych rodzin litew-  
skich, w radzie miejskiej były trzy równe co do liczebności grupy:  
litewska, polska i żydowska. Rząd jednak był litewski i nowe  
nazwy ulic także.

Od dworca jechało się prospektem Witolda do głównej arterii,  
zwanej Aleją Wolności. Odchodziły od niej przecznice upamięt-  
niające poetów: Adama Mickiewicza, Dowkonta, Majronisa oraz  
dwie ulice równoległe: Kiejstuta i poety Donelajtisa. Przedłuże-  
nie Alei Wolności przez stare miasto do Placu Katedralnego sta-  
nowiła ulica Wileńska. Dla braku nazwisk godnych uwiecznie-  
nia sięgnięto też do postaci luźno związanych z Litwą, jak Kant  
(prawie Kłajpedzianin) i Dostojewski (rodzina wywodziła się z  
Litwy). Lew Sapieha, który przeciwstawił się Unii Lubelskiej,  
też miał swoją ulicę. Aby zachować jakoś neutralną równowagę  
między historyczną terminologią polską i niemiecką, jedną ulicę  
nazwano Grunwaldzką, inną Tannenberską. Sędziwy ksiądz Maj-  
ronis miał ulicę swego imienia jeszcze za życia. Wszystkie te  
nazwy w języku litewskim brzmiały nieco inaczej i prawie z re-  
guły kończyły się na „o”, np. Vytato czy Daukanto, końcówką  
w drugim przypadku. Toteż cudzoziemcy, oglądający szyldy i  
nazwy ulic, dzielili się spostrzeżeniami, jaki to dziwny język, gdzie  
wszystkie słowa kończą się na „o”. Była też ulica Tatarska, nie  
ciesząca się dobrą sławą, zwłaszcza w godzinach wieczornych.  
Wskutek protestu nielicznych zresztą Tatarów, została prze-  
chrzczona na Kłajpedzką. Kłajpedzianie już nie protestowali, bo  
ostatecznie w portowych miastach są „wesołe” dzielnice.

Śródmieście położone w kotlinie, u spływu Niemna i Wili, ma  
bardzo malownicze położenie. Wokół na wzgórzach rozłożyły  
się przedmieścia. Na suwalskiej stronie Niemna, czysto litewskie:  
Aleksota i Poniemuń, za Wilią — Wiliampol-Słoboda, w górę  
Niemna przemysłowe i przeważnie polskie Szańce i górująca nad  
miastem Zielona Góra, z parkiem i Górą Witolda. Za nimi poe-  
tyczna Dolina Mickiewicza, gdzie ponoć młody pan Adam flirty  
uprawiał. W Kownie, jako mieście fortecznym, nie można było  
za czasów carskich budować domów wyższych jak dwupiętrowe,  
więc śródmieście wypełniały małe kamieniczki, a przedmieścia  
parterowe drewniane domki. Jedynymi zabytkami godnymi obej-  
rzenia były kościoły i gmachy poklasztorne. Ludność Kowna  
wzrosła w ciągu dwudziestolecia niepodległości z 70 do 170 ty-

sięcy. Śródmieście zostało przebudowane. Otrzymało wiele nowoczesnych, wcale nieszpetynych kamienic i gmachów rządowych a przedmieścia szeroko się rozciągnęły na wszystkie strony.

U zarania niepodległości śródmieście było polsko-żydowskie, z kilku firmami niemieckimi. Po dwudziestu latach stało się litewsko-żydowskie. Ludność polska gnieździła się przeważnie na przedmieściach robotniczych. Wskutek bojkotu i nacisku władz ani jedna prywatna, polska firma w śródmieściu nie przetrwała do roku 1939.

Lecz jak się rzekło — w pierwszych latach niepodległości życie polskie jeszcze kwitło. Burmistrzem „tymczasowej stolicy”, czyli Kowna, był wtedy Litwin, mający przede wszystkim obowiązki reprezentacyjne. Natomiast wiceburmistrzami, kierującymi działami gospodarki miejskiej, byli polscy inżynierowie. Kolejno: Burba, Lutyk, Szwejkowski. Oczywiście wśród całej Polonii rej wodzili ziemianie. Warto dodać, że jednym z wiceburmistrzów był właściciel bodaj najlepszej obory na Litwie, a przewodniczącym frakcji polskiej w radzie miejskiej Kazimierz Janczewski, znany hodowca koni, wysyłany jak ekspert za granicę po zakup zarodowych ogierów.

Sprawy majątkowe, zwłaszcza w pierwszych latach niepodległości Litwy, wymagały częstych przyjazdów do Kowna. Miejscem spotkań były kawiarnie Perkowskiego i restauracja-hotel „Versailles”. Córka właściciela hotelu, Więckowskiego, wyszła za mąż za oficera z francuskiej misji wojskowej. Wobec tego, że topniała klientela, mogąca odczytać i wymówić trudną nazwę francuską, zmieniono ją na „Wersal”. Pod tą nazwą hotel i restauracja przetrwały dłużej, niż traktat wersalski. W czerwcu 1940 roku, już po zajęciu przez Niemców Paryża, a więc w pierwszych miesiącach Litwy sowieckiej, spotkali się w owym Wersalu b. redaktor *Dnia Polskiego* i były felietonista litewskiej nacjonalistycznej urzędówki. Zgodnie zasiadali wtedy przy jednym stole, po raz pierwszy i jedyny. Towarzystwo polskiego dziennikarza nie było już wtedy kompromitujące. Obaj uchodzili w oczach nowej władzy za tak skompromitowanych, że już im nic nie mogło zaszkodzić.

W pierwszych latach niepodległości Litwy, gdy pół wartości „Wersalu” wywiózł Francuz w posagu do Francji, restaurację przejęła spółka, a raczej spółdzielnia pracowników, podobnie jak dawny właściciel Polaków. A że w małym państwie i małym mieście można było wprowadzać ustawodawstwo w zastosowaniu do poszczególnego przedsiębiorstwa, więc podatki i licencję dla restauracji pierwszej klasy uzależniono od tego, czy kelnerzy i



kucharze „Wersalu” wystawią dywersyjną listę do rady miejskiej, aby rozbić polskie głosy. Kelnerzy listę wystawili, licencję otrzymali, ale chyba nawet sami na siebie nie głosowali, tak mało owa dywersyjna lista odebrała głosów polskim kandydatom na radnych.

Był też drugi hotel-restauracja pod nazwą „Metropol”. Po tem, gdy przekształcono go na reprezentacyjny, otrzymał nazwę Hotelu Litewskiego. Zatrzymywali się w nim różni zagraniczni goście, jak Prystor, w czasie głośnej kowieńskiej wizyty, organizowanej przez Tadeusza Katelbacha, jak groźny Jeżow, jak pewien bardzo znany korespondent amerykański Knickebocker, autor paszkwilu na Litwę. Światowej sławy dziennikarz, trafiwszy na kilka dni do takiej dziury, jak Kowno, nudził się jak mops w szufladzie. Z nudów zaczął grać w karty. Przygodni partnerzy kowieńscy ograli go na grube tysiące. Cały swój gniew i żal wylał na papier, co czytały potem tysiące.

Przy tym hotelu, zwanym litewskim, była restauracja. Mogła śmiało uchodzić za polską. Jednym z głównych spadkobierców po zmarłym posiadaczu koncesji na restaurację był eks-inspektor polskiego gimnazjum, Wialbut, zresztą litewski oficer w stanie spoczynku, *maitre d'hotel* zaś barwiarz warszawskiej korporacji „Welecja”, a kasjerem wychowanek polskiego gimnazjum w Kownie. Służba była pewna. Gdy grupa polskich studentów dorwała się na popijawę do salki recepcyjnej „Trzech Książąt”, obwieszonej portretami książąt i litewskich prezydentów, żal się Polakom zrobiło, że popijają, palą, a oni nic. Toteż któryś wlaź na krzesło i poprzyklepał prezydentom na portretach niedopałki papierosów. Dawnych książąt pominięto, pewnie jako niepalących. Kelner przygryzał węża, tłumiąc śmiech i udając, że niczego nie widzi. Można było być spokojnym, że o „obrazie majestatu” nikomu nie doniesie. W tym to czasie grano w kowieńskim teatrze sztukę o litewskim księdzu Skrupskielisie, polonizowanym przez polskie zwierzchnictwo, któremu jakiś przyjaciel Litwin wciąż powiadał: „Pamiętaj Skrupskielis, że jesteś Litwinem”.

Kiedyś, nad ranem, po balu, spotkali się przy bufecie tej litewskiej z nazwy restauracji redaktor *Dnia Polskiego* i litewski oficer huzarów, nazwiskiem Lange. Mówił o sobie, że jest niemieckiego pochodzenia i że pełni funkcję oficera do specjalnych zleceń. Podkreślał, że jest gorącym patriotą litewskim. Z pijanym uporem wmawiał w swego interlokutora: „Pamiętaj... auskas, że jesteś Litwinem”. Goście po balu już się dawno rozeszli, a huzar wciąż z uporem powtarzał redaktorowi *Dnia*, że jest Litwinem. Redaktor miał na końcu języka, że skoro wierność obowiązuje, Lange powinien się przyznać, że jest Niemcem. Wolał jednak nie rozdrażniać pijanego, aby nie wywołać incydentu,

na który się zanosilo. Redaktor *Dnia*, popijając kiedyś wódkę z głównym kucharzem restauracji, usłyszał uzupełnienie tego wydarzenia. Kucharz, drab pod sufit, powiedział, że przysłuchiwał się z daleka z kolegami całej rozmowie. Po czym dodał: „My tylko czekaliśmy, żeby on pana ruszył...”. Tak, w reprezentacyjnych salach Hotelu Litewskiego Polak mógł się czuć bezpiecznie.

Kucharz bardzo się interesował w roku 1934 składem rządu litewskiego. Ucieszył się z objęcia teki ministra spraw zagranicznych przez Lozorajtisa. Jako największy specjalista w stolicy był wzywany przez ministrowe do urządzania prywatnych przyjęć dla honorowych gości. Opowiadał, że jedna z poprzedniczek p. Lozorajtisowej potrafiła zadysponować tak oto obiad z pięciu dań: zupa, pieczeń, znów pieczeń, jeszcze inna pieczeń i deser. Kucharz musi oczywiście słuchać, ale nie chce stracić swej sławy mołojckiej, więc konflikt z sumieniem i ministrową. Stopniowo jednak ministrowe nauczyły się słuchać rad kucharza. Z kulturalnymi Lozorajtisami nie było nigdy żadnych kłopotów.

Polskie zaplecze w Hotelu Litewskim-Metropolu rozciągało się i na orkiestrę, głównie żydowską. Polska klientela z resztkami „pańskich” gestów miała zwyczaj zamawiania „kawałków”. Orkiestra otrzymywała hojne napiwki. W późniejszych godzinach zapraszano muzykantów do stolika na wspólne popijanie. Skutek był oczywisty. Orkiestra była zawsze „propolska”. Pierwszy skrzypek rozpił się, spolszczył i zapewniał, że na polskich zabawach grać będzie darmo. Co też rzeczywiście czasem czynił.

Były też w Kownie knajpki pomniejsze, jak Urbana, gdzie zbierała się publiczność bardziej demokratyczna i nawet „wysoko urodzeni” sztubacy. Pewien hrabia (wówczas sztubak, a później bodaj prezes związku ziemian wileńskich), urzędował czasem w ustronnym pokoiku, by potem, nabrawszy animuszu, tańczyć z fantazją kozaka! Była również restauracja „Rambynas”, gdzie przychodził pewien rosyjski książę na wyszukany obiad. Po spożyciu obiadu żona, córki oraz zaproszeni goście wychodzili. Książę zostawał i oświadczał spokojnie, że nie ma czym płacić. Była także „Centralka”, słynąca z wyśmienitej kuchni. Później wprowadzono w „Centralce” prawie nieznaną w Kownie flaczki. Gdy się szło na flaki we trzech z kolegą redakcyjnym Jawnutą, zamawiało się od razu 9 porcji i karafeczkę wódki. Najpierw jedną. Jewnuta odznaczał się nie tylko ogromną łatwością pisania. Miał żywej wagi 100 kilo „z hakiem”, więc też odpowiedni apetyt i pragnienie. Potrafił zjeść normalną kolację z normalną wódką i nie chcąc naśladować księcia rosyjskiego, płacił za nią ostatnimi litami. Ale dla niego to była tylko zakąska. Więc szedł do drukarni *Dnia Polskiego*, dyktował artykuł wstępny wprost na

linotyp, robił odbitkę, niósł do redaktora, dostawał zaliczkę i wracał do restauracji, aby dokończyć kolację. Jak widać, twórczość czasem wymaga silnych bodźców.

Życie kawiarniane w Kownie było bardziej rozwinięte w pierwszych latach istnienia republiki, niż w późniejszych. Polsko-żydowskie mieszczaństwo i przyjezdni dziedzice chętnie uczęszczali do polskiej kawiarni Perkowskiego i niemieckiej (z polskim personelem) Konrada. Lecz skład ludnościowy się zmienił. Do miasta napłynęło kilkadziesiąt tysięcy Litwinów, przeważnie urzędników, synów zamożnego włościanstwa. Woleli gadać i załatwiać interesy przy solidnej kolacji z wódką w restauracji lub na przyjęciach prywatnych. Próżno profesor Horbaczewski (opisany przez Boya w „Zielonym Baloniku”) usiłował nadać życiu kawiarnianemu w Kownie styl krakowski. Jakiś czas nawet zbierali się intelektualiści i „bohema” przy paru stolikach u Konrada. Gdy Horbaczewski wyjechał do Polski, wyszło to z mody.

Litewska elita mogła się zbierać tylko u Konrada, bo kawiarnia Perkowskiego (skoligaconego z Kornelem Makuszyńskim) była polska i należało ją bojkotować. Elita bojkotowała, a chuliganeria biła szyby. Byle jakiś areszt Litwina w Wilnie, zaraz leciały szyby u Perkowskiego. Stary Perkowski pilnował, by ich asekuracja „od wypadku” była zawsze opłacona, nie te szyby więc, lecz bojkot litewskiej elity zmusił go do zamknięcia lokalu. Przekrój społeczny Polonii litewskiej uległ w ogóle w ciągu dwudziestolecia takim zmianom, że przed wybuchem ostatniej wojny najwięcej języka polskiego słyszało się w trzeciorzędnych knajpach kowieńskich przedmieść Słobody i Zielonej Góry.

Jak pobliska Libawa odznaczyła się tym, że była pierwszym miastem w całym imperium rosyjskim z elektrycznym tramwajem, tak Kowno przejdzie do historii jako chyba ostatnie miasto w Europie z tramwajem konnym. Od konnego tramwaju przeszło za to wprost do autobusów, przeskakując okres tramwajów elektrycznych.

Ponieważ zatorów na ulicach po pierwszej wojnie jeszcze w mieście nie było, więc tą archaiczną ośmieszoną „konką” można było posuwać się szybciej, niż nowoczesnymi środkami lokomocji w zatłoczonych śródmieściach wielkich metropolii. Chcąc opuścić Kowno, jechało się albo „na stację” (nigdy dworzec) kolei żelaznej, albo „paruśnikiem” (statkiem) po Niemnie. Mając dużo rzeczy, szukało się furmana (słowo woźnica było nieznanne). Na położone wysoko przedmieścia jechało się funikulerem (kolejką zębatą). W dłuższą drogę zabierało się „buterbrody” np. z salcesonem, to jest suchą, wędzoną kiełbaską zrobioną w połowie

z wołowiny. Pod wódkę jadło się kwaszeninę, którą gdzie indziej zwano zimnymi nogami, lub też solidną karbonadę.

Dużo wyrażen przejęli miejscowi Polacy z litewskiego. Lecz „tymczasowa stolica” Kaunas nigdy nie była nazywana przez nich tym imieniem. Ponoć kiedyś tę część kraju zajęli krzyżacy i u ujścia Wilii do Niemna zbudowali zameczek obronny pod nazwą „Cauen”. Nazwa ta poszła w zapomnienie i po wiekach znów ją odgrzebano. Zarówno na Litwie, jak w Polsce Polacy zawsze jednak używali nazwy Kowno. Dopiero po ostatniej wojnie na mapach wydanych w Warszawie zjawia się Kaunas, a Kowna nie ma, nawet w nawiasach. A że wydawnictwa innych krajów też nie upierają się przy polskiej nazwie, więc było Kowno i już go nie ma. A szkoda.

## WAKACJE I SĄSIEDZI

Wakacje zarówno z czasów szkolnych, jak i późniejszych, gdy pracowałem w redakcji lub gdzie indziej, pozostały dla mnie synonimem domu rodzinnego w Kiecinach na Żmudzi, nad Wentą.

Wielcy ludzie okraszają wspominki genealogią, dziejami pokoleń. Jako zwykły śmiertelnik wspomnę o swych przodkach uwiecznionych na portretach jedynie po to, aby dać upust swej zaszczepionej w szkole niewierze we wszelką dokumentację historyczną. Był więc portret pięknego wąsatego pradziada Żagiel, towarzysza pancernego, który brał udział w odsieczy Wiednia. Portret ten wisiał na honorowym miejscu do czasu, gdy odwiedził nas jakiś historyk z prawdziwego zdarzenia. Stwierdził on, że król Sobieski pośpiesznie zebrał na wyprawę wiedeńską pułki koronne, jakie miał pod ręką, a żadnych wojsk litewskich tam nie było. Chyba więc jakimś dziwnym wypadkiem Żagiel z Litwy, towarzysz pancerny, a więc oficer rezerwy trafił pod Wiedeń. Był też portret Ludwika Narbuta, który zginął bohatersko w powstaniu 1863 roku. Mieszkał on w szawelskim powiecie, w jakimś Poszymszu czy Poszawszu i ożenił się z wdową z dziećmi. Jedna z córek wyrosła na dorodną pannę. Zakochał się w niej ojczym Narbut. A że czasy były wówczas romantyczne i obowiązywał inny kodeks moralny, więc za jedyne wyjście z sytuacji uznał — zginąć w powstaniu.

Za litewskich czasów urządzano wystawę pamiątek Powstania Styczniowego. Zjechała i do nas komisja w poszukiwaniu eksponatów. Przewodniczącemu oczy zabłyśły, gdy zobaczył portret Ludwika Narbuta. Nareszcie znaleziono portret jednego z przywódców powstania na Litwie (w Nowogrodzkim!...). Próżno tłu-

maczyłem, że to nie ten. Na wystawie, na honorowym miejscu zawisła podobizna sławnego Narbuta, z szawelskiego.

Z innych portretów wymienię powiększoną, starą fotografię trzech sióstr Kopańskich. Jedna wyszła za mąż za jakiegoś barona kurlandzkiego. Jego krewniak jako *Volksdeutsch* dostał później znane Kieciny. Więc pociecha, że zostały „w rodzinie”. Druga wyszła za Komorowskiego z Kowaliszek, a trzecia za Ogińskiego z Marcebelina. W Heraldyce Konarskiego znalazłem, że generał Kopański wywodzi się z tej rodziny, więc jeszcze jeden wybitny Polak ma ze Żmudzią dużo wspólnego. To przyczynek nie tyle do własnej genealogii, co do generała.

Wakacje to był nie tylko dom rodzinny, ale i odwiedziny u bliższych i dalszych sąsiadów. Dawniej karnawał w miastach bywał zimą. Dzisiaj tańczy się co sobotę przez okrągły rok. Na Żmudzi karnawał odbywał się w lecie. Urządzano wprawdzie parę dorocznych wielkich zabaw składkowych, na które trzeba było jeździć czasem szmat drogi. Karnawał wypełniały jednak głównie imieniny w sąsiedztwie. Zaczynało się od św. Jana, a potem poprzez Władysława, Marię, Ignacego, Ludwika ciągnęło się aż do Stefana w początkach września. Pierwszy bal za litewskich czasów, w niegdyś Billewiczowskich Stefaniszkach, odbył się na wielką skalę, z najętą orkiestrą wojskową (której zezwolono jeszcze zagrać mazura). Jako sztubak mało interesowałem się wtedy pannami. Uwagę skupiałem na krokomierzu w kieszeni, który w ciągu balu wystukał 10 tysięcy kroków.

W parę lat później organizowano w Szawlach polski bal z teatrem amatorskim. Zjeżdżaliśmy się w naszych okolicach coś z osiem razy na próby. Ja po to, by wygłosić kilka zdań, jako lokaj Kilometra-Korabiewicza, grającego główną rolę. Czytam teraz we wspominkach, że wileński Klub Włóczęgów urządzał wycieczki, zaspokajając pragnienie mleczkiem. Ja jednak, jako lokaj prezesa owego klubu, popiłem pierwszy raz nie tylko mleczko. Prócz nieodmiennych kurcząt z sałatą, na próbach i przyjęciach zakąską była poezja. Siedząc w Gierzędelach Korabiewicza na starej czerśni, nie wiedziałem czym się bardziej delectować: pierwszymi młodzieńczymi wierszami gospodarza, czy rzadko spotykanymi w naszym klimacie białymi czerśniami? W programie przedstawienia prócz komedii miały być kuplety i trawestacje „Miałoś chamie złoty róg”, na aktualne: „Miałem panie piękny dwór”. Do przedstawienia ostatecznego nie doszło, bo Litwini nie udzielili sali na polską zabawę.

Po kilku latach odbył się jedyny w ciągu dwudziestolecia polski bal w Szawlach, w sali kinowej. Wówczas to przez dach

weszli jacyś „patrioci” i wypróżnili na środek sali wiadro z nieczystościami oraz zdechłym psem. Salę uprzątnięto, poniektórzy poszkodowani poszli się wykąpać i tańczono dalej. Jedyńy bezpośrednio trafiony tancerz, mocno już zlitwinizowany, po tym „wyświęceniu” poczuł się ponoć znów Polakiem. Albowiem trudno jest narzucić swą kulturę zawartością kloaki. Aby nie być jednostronnym dodam, że organizatorka rzucenia pieska była za hitlerowskich czasów najżarliwszą opiekunką Polaków.

Najbardziej ekskluzywne zabawy imienninowe odbywały się u Nałęcz-Górskich w Birżynianach. Obowiązywały stroje balowe. Mało było trunków, za to dużo wśród gości tytułów hrabiowskich lub baronowskich i książęcych w administracji dworskiej. Natomiast na Laudzie, w siedlisku szlachty zaściankowej, stroje były bardzo urozmaicone. Od smokinga do samodziąłowego frencha z kołnierzem pod szyję i spodniami galife. Przechowała się tam fantazja szlachecka i stare tradycje. Angażowało się do tańca, wypowiadając formułkę: „Celuję do Waćpanny”, na co padała odpowiedź: „Staję do celu śmieie”.

Do wypicia zapraszano słowami: „Perswaduję w ręce pana”, a współbieszcznik musiał odpowiedzieć sakramentalne: „Bynajmniej”. Na pozór ten dyskurs dworny wydaje się bardzo nielogiczny. W istocie świadczy o przysłowiowej chytrłości litewskiej. Dla postronnego bowiem widza pijący wydaje się świętoszkiem, który się broni przed piciem. Dla wtajemniczonych zaś treść rozmowy jest jasna i zgoła odmienna. Jeden „perswaduje” a drugi odpowiada, że bynajmniej perswazji nie trzeba, bo i tak chce wypić.

Ale na emigracji ten stary zwyczaj stanowczo nie popłaca. Pewien Laudańczyk na australijskim przyjęciu na propozycję wypicia powiedział w angielskim tłumaczeniu — bynajmniej. Zostało to przyjęte za dobrą monetę i do końca wieczoru z żalem obserwował, jak innym gościom nalewano smakowite trunki, zawsze go pomijając jako abstynenta.

Stroje na balach polskich, również w Kownie, były bardzo dowolne. Zdarzały się też mundury wojskowe, ale żołnierskie, bowiem oficerów Polaków było bardzo mało. Bywanie ich w polskim towarzystwie nie było przez władze tolerowane. Nie było w tym nic nowego. W ostatnich latach przed pierwszą wojną na balu Towarzystwa Handlowców, czy też Sokoła na Piotrówce (zwanej później górą Witolda) wytańcowywał pewien *wolno opredelajuszczysia* ze stacjonowanego w Kownie pułku dragonów. Zdarzyło się tak raz i drugi. Wreszcie na bal przybył rosyjski pułkownik i kazał mu opuścić salę. Wywołało to poruszenie w ówczesnym Kownie. Starzy ludzie lubią wspominać ten

incydent, gdyż owym dragonem był Władysław Anders. W Kownie odsługiwał swą „powinność wojskową”, w Kownie też mieszkał stale jego brat, a ojciec w niezbyt odległych Taurogach.

Liczne i hucznie obchodzone na Żmudzi imieniny miały specyficzny charakter. Były to zabawy w swoistym getcie. Litwinów się tam nie spotykało, a że polskie było tylko ziemiaństwo, więc zbierano się w swoim kółku. Zwrot „opinia publiczna”, czy „ludzie mówią” zastępowało porzekadło: „Wszyscy krewni i znajomi”. Przy czym „krewni” byli na pierwszym miejscu, bo stanowili większość. Zaledwie parę domów miało żywszy kontakt z Polską i jej życiem intelektualnym. Adwokat Prüffer z Telsz, rodem z Lubelszczyzny, jakoś uzyskał pozwolenie na prenumeratę warszawskich *Wiadomości Literackich* (jedynego egzemplarza na Żmudzi). Zofia Gużewska z Dyrwian, wdowa po kompozytorze Adolfie Gużewskim, autorze opery „Dziewica Lodowców” (9 przedstawień w operze warszawskiej) i licznych utworów przypadłych w czasie rewolucji rosyjskiej, mieszkała przeważnie w Warszawie. Przywoziła na Żmudź atmosferę kulturalnego życia stolicy i... nuty ostatnich przebojów.

Poetyczność szlagonów, popijających przy dobrej kolacji, wyrażała się w nieco częstochowskich aktualnych dwuwierszach, jak np. „Gdzie jest dobre jedzenie i picie, niechaj żyje Powirwicie”, „Lubo się wielkim cieszy u nas mirem, więc wypijmy z panem Lubomirem”. Natomiast nie żmudzki a wileński wierszokleta zaimprovizował kiedyś na bankiecie niefortunny toast: „Bóg nam zsyła różne kłeski, niech nam żyje pan Załęski”. Dwuwiersze kowieńskie były bezbarwnie epickie i nieszkodliwe. Na przykład: „Słońce świeci, droga równa, idzie Ninka Rudolfówna”, lub „A wtem wchodzi Zyg Ugiański, odmawiając Anioł Pański”.

Powiat teleszewski na Żmudzi otrzymał kolej dopiero w latach trzydziestych. Toteż tamtejsi ludzie, nawykli do jazdy końmi i którzy świata nie widzieli, trwali jeszcze w obyczajach dziewiętnastowiecznych. Zawołani jeźdźcy, nie chcieli kapitulować przed nowymi wymysłami. Potrafili ścigać się konno z motocyklem. Tam też uchowali się najlepsi mazurzyści. Czymże jest mazur? To tabun jeźdźców pędzących na przelaj, a przy tym zawsze po staropolsku rycerskich względem dam. Na dworze Ludwików, biorąc wzór z ukłonów i dygów, powstał menuet. Lezginka z przysiadami, wyprężaniem się wzwyż i przytupywaniem-dreptaniem nasuwa myśl, że wzorem jej były toki cietrzewi czy głuszców. Fokstrot z manewrowaniem w tłumie odzwierciedla epokę, gdy ruch uliczny jeszcze nie był regulowany. Niektóre tańce powojenne — to ruchy człowieka, nawykłego do stania przy warsztacie i regulowania ruchu obrabiarki czy wrzeciona. Wrzecionem jest

tancerka wykręcająca się przed nim. Teleszewscy dziedzice-kawalerzyści tańczyli z gracją i animuszem mazura i tango, raczej to pierwotne, gaulo argentyńskich, hasających po pampasach. Kiedy Szuksztowie, Jankowski i stary pan Sakiel tworzyli pierwszą czwórkę w mazurze — było na co patrzeć.

Pan Sakiel, choć wodzirej i uwodziciel, tkwił jednak w kawalerskim stanie. Zagabywany czemu się nie żeni, odpowiadał: „Posąg wyjdzie, a paskudztwo zostanie”. Pan Budryk wybrał się przed pierwszą wojną końmi do Wilna (ludzie z głębokiej Żmudzi do kolei „nie przywykszy”), a że człowiek był ludzki, więc gdy poszedł do teatru, do pierwszych rzędów parteru, dał również bilet na galerię swemu furmanowi. Grano jakiś dramat. Gdy ktoś kogoś na scenie zamordował, furman, nie rozróżniający fikcji od rzeczywistości, przestraszył się nie na żarty. Po strzale zapanowała na scenie dramatyczna cisza. Wtem z galerii rozległ się przerażony okrzyk: „Panie Budryk, uciekajmy!”. Pan Budryk nie wytrzymał nerwowo, zerwał się na równe nogi, pogroził pięścią furmanowi i coś mu naurągał. Historia stała się tak głośna, że wiele lat potem powtarzano sobie w opresji: „Panie Budryk, uciekajmy”.

Oglądając romantyczny film amerykański o jakiejś potomkini hiszpańskich konkwistadorów w Kalifornii, właścicielce białego ogiera, ostatniego z rasy „super-koni”, przypomniał mi się podobny wypadek na Żmudzi. Ogromnie kiedyś rozwinięta hodowla żmudzkich koników podupała do tego stopnia, że Stanisław Narutowicz zaczął zbierać w Brewikach, gnieździe rodzinnym prezydenta Gabriela, ostatnie okazy, by w swej stadninie zachować resztki ginącej rasy. Miał jedynego ogiera żmudzina z domieszką krwi arabskiej, małego, muskularnego, który mógł się obywać bez owsa i drobnym kroczeniem iść, jak maszyna, godzinami i dniami. Tym to ostatnim żmudzinem, zwałym się „Aitwaras” (coś jakby Diablik), lekką dwukółką udaliśmy się z jego synem Kazimierzem w podróż ponad stukilometrową. Przebywaliśmy przeciętnie około 18 kilometrów na godzinę. Nie byłem świadom właściwego celu podróży i co tak gnało mego towarzysza. Następnego dnia, już u celu podróży, dowiedziałem się. Żmudzki Diablik gnał na ogłoszenie zaręczyn Kazika.

Skoro mowa o arabskich ogierach, to przychodzi na myśl sławna stadnina Sanguszków w Sławucie. Skąd ta sława? Opoowiadał mi o tym Stefan Madeksza z Arwistowa, pod Kiejdanami. Kiedyś książę Sanguszko zaproponował mu wspólną jazdę do Egiptu i w ogóle krajów arabskich po zakup koni. Podczas omawiania transakcji w pewnej chwili Sanguszko użył argumentu, którego nikt z „konkurencji” nie posiadał. Miał pierścień z cza-



sów Chocimia, otrzymał go przodek Sanguszki za uratowanie życia jakiegoś szejki arabskiemu, wspomagającemu sułtana. Pierścień gwarantował braterstwo krwi i przyjaźń, poprzez pokolenia. Potomek owego szejki miał najlepszą hodowlę koni arabskich. Bogaty, konserwatywny, handlem się nie zajmował. Gdy się do niego zgłosił „brat” z dalekiego Lechistanu, zrobił wyjątek. Sprzedał mu kilka wspaniałych okazów, dzięki czemu Sławuta miała najlepszy materiał hodowlany w Europie.

Skoro mowa o książętach, to na Litwie takowych prawie nie było. Po rozbiorach Rosjanie wprowadzili weryfikację tytułów. Za zatwierdzenie tytułu książęcego trzeba było zapłacić ponad 3 tysiące rubli, co w onym czasie było fortuną. Wielu kniaziów, jak Gedymin-Berżański czy brasławsko-marcebelińska gałąź Ogińskich, wyrzekło się tytułów. Pozostał tylko książę Konstany Radziwiłł z Towian. Drogo to kosztowało rząd republiki litewskiej. Pozostawiono mu ponad tysiąc hektarów, dawano liczne zapomogi i pożyczki, pierwszy też dostał względnie wysokie odszkodowanie za wywłaszczoną ziemię, bo 200 tysięcy litów.

„Totek” Radziwiłł był za młodu siłaczem. Łamał podkowy i poszedł o zakład, że wjedzie konno po schodach na drugie piętro petersburskiego pałacyku. W tej karkołomnej jeździe uległ wypadkowi i odtąd z lekka utykał. Jego córka w czasie masowego napływu uchodźców z Polski pracowała w Międzynarodowym Czerwonym Krzyżu w Kownie. Gdy za rządów sowieckich likwidowano tę instytucję oraz zagraniczne poselstwa, wyszła za mąż za Anglika nazwiskiem Anderson i dzięki brytyjskiemu paszportowi zdołała się uratować. Potem wyszła za Zdziechowskiego.

„W wysokich sferach” nie brakło dziwaków. Hrabia Choiseul de Gauffier, w którego pałacyku wisiał portret francuskiego pradziadka z odręcną dedykacją króla Ludwika, przez długie lata nie znosił widoku kobiet. Gdy musiał koniecznie przyjąć jakąś interesantkę, rozmawiał z nią, siedząc odwrócony plecami.

Był przed bez mała stu laty pewien magnat na Kowieńszczyźnie, dziwak i despota. Ożenił się z boną swych dzieci z pierwszego małżeństwa. Uciekła z amantem. Po roku znów chciała do niego powrócić. Postawił twarde warunki. Wysiadłszy z powozu powracająca niewierna żona, musiała wobec zebranej służby folwarcznej i licznych rezydentów, iść czy też czołgać się na kolanach do ręki pana męża, ucałować ją i pokornie przeprosić. Syn z tego małżeństwa nie był dziwakiem. Po pierwszej wojnie nie powrócił na Litwę. Osiadł w Warszawie, gdzie stał się znany chirurgiem. Za czasów bierutowych uratował życie synkowi pośła sowieckiego i zaskarbił sobie jego łaski, na czym mu

zresztą bynajmniej nie zależało. Kiedy odbywało się w ambasadzie jakieś uroczyste przyjęcie, dostał zaproszenie, z którego nie chciał korzystać. W ostatniej jednak chwili przyjechał oficer, domagając się przybycia. Jak stał, nie ogolony, w codziennym ubraniu, spóźniony musiał stawić się na uroczystość. Obecni nie mogli się nadziwić, jak poseł Republiki Rad traktuje „per nogam” odświętnie odzianych polskich dygnitarzy-komunistów, a z serdecznością i atencją honoruje hrabiego.

Kiedyś odwiedzając kolegów trafiłem w strony rosieńskie, do majątku Błogosławieństwo, dawnego gniazda rodu Billewiczów. Administrował nim zięć jednego z głównych spadkobierców — Chruszczowa. Ów Chruszczow był jakoś przez Chrzastowskią spadkobiercą Billewiczów, tych samych, z których się wywodziła matka marszałka Piłsudskiego. Rodzina Billewiczów, rozgałęzioną na Żmudzi, wchodziła w związki małżeńskie nie tylko z Polakami. Był więc Billewicz żonaty z Czeszką. Billewiczówna wyszła za mąż za hrabiego Zubowa. Krewnym Marszałka był Knoch ze spolonizowanej niemieckiej rodziny. Chruszczow się nie spolszczył. Z sąsiadami mówił po francusku. Był pół Niemcem, pół Rosjaninem. Często przebywał w Wiesbaden, pisząc się tam „von Chruszczow”. W latach sześćdziesiątych jakiś von Chruszczow, też z Wiesbadenu, udzielił sensacyjnego wywiadu w prasie. Twierdził, że Nikita jest synem szlachcica pozbawionego praw za działalność rewolucyjną i jego dalekim krewnym.

Poznałem uchodźcę z Polski, siostrzeńca Feliksa Dzierżyńskiego (władze sowieckie od razu przyznały jego matce emeryturę), żonatego z Juchniewiczówną z szawelskiego, bliską kuzynką Marszałka Piłsudskiego (przez Piłsudskich, a nie Billewiczów). Koli-gacja była najautentyczniejsza. Pełno w ogóle było na Litwie potomków Billewiczów, ale w ostatnich latach żadnego Billewicza nie było. Prawdopodobnie przeważały w rodzie córki, przyjmujące inne nazwiska. Być może również, że otoczone w Polsce dużym nimbem nazwisko ściągnęło tam jego nosicieli.

Wiele rodzin wyginęło, wyemigrowało, względnie nie mogło przystosować się do nowych warunków. Hrabia Kaszowski-Illiński spod Możejek w pierwszych latach reformy rolnej tym się odznaczał, że nigdy nie nosił z sobą pieniędzy. Towarzyszył mu nieodstępny rządcą D’Erceville, który na polecenie hrabiego uiszczał wszystkie rachunki, nie wyłączając nocnych restauracji. Generał Stomma, który na ostatniej posiadzie kierował fabryką broni w Petersburgu, zatrudniającą 10 tysięcy robotników, powiedział, że nie może na swej resztówce przestawić się na dozorowanie sześciu robotników. Inżynier St. Janowicz (brat znanego wileńskiego chirurga i szefa służby zdrowia wileńskiej AK) był

zamiłowanym rolnikiem. Troszczył się, by ziemia jego piaszczystych Giełuc nie była chemicznie głodna. Gdyśmy kiedyś po kilkugodzinnej wizycie zapytywali go dyskretnie, gdzie jest ustęp — wyprowadził nas przed dom, wsadził do samochodu i wywiózł na ugór. Na tym właśnie skrawku przybrało bowiem obornika. Wuj jego, dr Henryk Ławcewicz, był wziętym lekarzem w Szawlach i kostycznym staruszkciem. Traktował swych pacjentów jak duszpasterz owieczki. Mówił do wszystkich — ty. Często diagnoza i zalecenie brzmiały: „Ni pij, nie pal i nie łajdacz się, a wszystko będzie dobrze”. Znalazł się jakiś chory, który wyjąkał nieśmiało, że jest nie palącym, nie pijącym i życie prowadzi bogobojne. Usłyszał wyrok: „To już ci nic nie pomoże. Umrzesz”! Nachodzili lekarza o różne zbiórki na cele społeczne i dobroczynne. Musiał dać minimalną stawkę jednego lita na Związek Odzyskania Wilna. Gdy kwestarze „wileńscy” znów przyszli w następnym roku, doktor zatarasował sobą drzwi i powiedział: „Znów przychodzicie? Dałem wam lita, a czy odzyskaliście Wilno? Nie. Marsz stąd”.

Barwną postacią wśród młodych Polaków był sławny Gieniec Januszewski z poniewieskiego. Niedokończony paryski inżynier-mechanik kręcił się po lotnisku kowieńskim jako agent „Lotu” (nawet ja podejrzewałem, że miał coś z wywiadem wspólnego). W czasie wojny był czynny w wileńskiej AK. Nawet w najspokojniejszych czasach wyznawał dewizę: *Vivere pericolosamente*. Mimo to przeszedł całą wojnę, unikając nawet krótkiego aresztu. Za to jeden z działaczy studenckich posiedział trochę za polskość w więzieniu litewskim, potem sowieckim i na dodatek niemieckim. Zaraz jednak po wojnie powiedział sobie „dosyć tego” i zamieszkał w obozie litewskich dipisów. Drugim takim zawadką był młody medyk Dowgird, który spoliczkował litewskiego redaktora za karykaturę, uchybiającą Marszałkowi Piłsudskiemu.

O całe pokolenie starszy Januszewicz miał barwny żywot. Za młodu prowadził szkołę tańców w Buenos Aires i dla celów reprezentacyjno-reklamowych rozjeżdżał po głównej ulicy miasta w otwartym parokonnym powozie z laską o złotej gałce. Wezwany w sprawach rodzinnych do powrotu, został niebawem urzędnikiem celnym na granicy rosyjsko-chińskiej. Po rewolucji był przedsiębiorcą w Szanghaju. Pod zarzutem szpiegostwa trafił na pół roku do więzienia japońskiego, po czym wrócił na rodzinne pielesze na Żmudź, a nieodrodny jego syn został drugim po Makarczyku polskim kolonistą w Liberii, a drugi ostatnim drużynowym harcerstwa w Charbinie. Januszewicza wszędzie chętnie zapraszano, by opowiadał swe przygody. Proszono go, by udzielał fachowych porad przy urządzaniu przyjęć, jako że miał doświadczenie, zebrane

na szerokim świecie. Za czasów okupacji hitlerowskiej urzędzał zresztą przyjęcia, na których bywał personel szawelskiej placówki Abwehry (admirala Canarisa), oraz ktoś z AK z tęgą głową do wypicia. Akowiec i gospodarz wiedzieli, z kim „mają przyjemność”. Niemcy niczego się nie domyślali, więc też mógł się nasłuchać wielu ciekawych rzeczy.

Ludność miasteczka nie wiedziała o co chodzi, szeptała, że „starszy pan brata się z Niemcami”. Kiedy w roku 1944 znów zbliżały się wojska sowieckie, Januszewicz powiedział, „że się z Szawel nie ruszy, bo już i tak niewiele mu życia pozostało”.

Wśród galerii krewnych i znajomych, oglądanych zazwyczaj przez różowe okulary, zdarzały się przecież i owce parszywe, wykluczone z polskiego społeczeństwa w pierwszych latach niepodległości Litwy. Był taki, co naczytawszy się powieści kryminalnych, ukradł swej ciotce biżuterię, a po wyjściu z więzienia stał się Litwinem i zamożnym człowiekiem. Inny znów, polski kurier dyplomatyczny w wieku poborowym, w okresie „Cudu nad Wisłą” wybrał nie tyle wolność, co po prostu zdezerterował na Litwę do swych posiadłości. Wyłączony ze społeczności polskiej, nie mógł sobie przez długie lata znaleźć partnerki życiowej, toteż pocieszał się z dziewczynami wiejskimi w roli pokojówek. Każda dostawała piękną suknię, bieliznę itd., a o ile panicz był z niej niezadowolony (lub ona nieprzystępna), matka przychodziła i całą „wyprawę” zabierała z powrotem dla następczyni.

Zmiana narodowości na litewską nie powodowała ostracyzmu. Po prostu „nowy Litwin” unikał Polaków. Na ogół zmieniali narodowość ci, co musieli szukać pracy, lub nie mając środków na wysyłanie dzieci do polskiego gimnazjum, kierowali je do szkół litewskich. Wychodziło z nich młode pokolenie, w najlepszym razie tzw. „cichych Polaków”. Pewien profesor, aby dostać katedrę na uniwersytecie kowieńskim, zaczął wychowywać dzieci po litewsku. Cóż, kiedy dzieciarnia na ulicy kowieńskiego przedmieścia nauczyła się rychło mówić „po polskiemu”.

Z galerii najbliższych sąsiadów wymienię groźną „ciocię Basię”. Nie była mi ciotką, ale miała tylu siostrzeńców i wnuków, że przyłgnęło do niej miano ciotki raczej mitycznej. Pani Barbara Matuszewiczowa, z domu Witkiewiczówna, mieszkała w Nowych Gurogach i nie utrzymywała z nikim stosunków towarzyskich. Tak się złożyło, że droga z sąsiednich Kiecin do folwarku Katylishki prowadziła przez Gurogi. Z tego powodu wynikały wciąż jakieś nieporozumienia. W Kiecinach był ekonom, niejaki Pełdowicz, dawny sierżant armii rosyjskiej. Jakby się dziś powiedziało, osobowość dynamiczna i władcza. Gdy huknął na podwładnego, to winowajca zmiądzony głosem aż przysiądał.

Posłał więc dziedzic owego Pełdowicza na pertraktacje z „ciocią Basią”. Groźny sierżant, zbesztany przez staruszkę, wrócił zupełnie złamany i powiedział, że podejmie się każdej, najgorszej pracy, ale do Gurog więcej nie pojedzie.

A dzieje „cioci Basi” godne są upamiętnienia. W Powstaniu 1863 roku uczestniczyła czynnie, dostarczając partii pożywienia do lasów cytowiańskich. Miała wtedy 19 lat i dużo energii tudzież poświęcenia dla sprawy. Za udział w powstaniu rodzinny majątek Witkiewiczów Poszawsze, gminy Podubiś, został skonfiskowany przez rząd rosyjski. (W tych to okolicach są źródła Dubisy i Wenty i tutaj miał niegdyś powstać kanał Windawski). Pani Barbara wyszła za mąż za dr. W. Matusewicza. Po śmierci męża osiadła w N. Gurogach. Po wojnie została zaocznie zweryfikowana przez władze polskie i drogą okólną przez poselstwo w Rydze otrzymała zatwierdzenie stopnia porucznika wojsk polskich i krzyż *Virtuti Militari*. Ukazała się też jej fotografia w tygodniku ilustrowanym *Światowid*. Przechowywała jak relikwię czapkę z gwiazdką porucznika, a krzyż stale nosiła na piersi i z nim została pochowana w 1932 roku na cmentarzu w Kurszanach. Wobec udziału w Powstaniu Styczniowym licznych członków tej rodziny, zostali oni zesłani na *posielenje* w okolicy Tomska. Trafił tam również najmłodszy jej brat Stanisław, znany później malarz, pisarz i autor „Utworów Tatrzańskich”, „Na przełęczu” i in. (Kilka lat na Syberii w dzieciństwie lub we wczesnej młodości widocznie dobrze „hartowało stal”, przykładem St. Witkiewicz, Cz. Miłosz i... Józef Piłsudski).

Tak czy owak, gdyby rodzina nie brała udziału w Powstaniu i Poszawsze nie było rozdzielone pomiędzy burłaków, może by Żmudź, a nie Podhale, miała swego piewcę?

Stanisław jednak ożenił się również ze „Żmudzinką” z pobliskich Tryszek i namawiał syna, młodego Witkacego, do odwiedzenia „cioci Basi”, czego ten jednak nie wykonał. Jest o tym wzmianka w Listach do syna St. Witkiewicza, gdzie mylnie podano ówczesne miejsce zamieszkania B. Matusewiczowej.

Kurszańszczyzna była chyba największym zagęszczeniem dworów i dworków w północnej Żmudzi. Tu w czasie Powstania Listopadowego w miejscowej plebanii odbyła się historyczna rada wojenna, na której generał Giełgud ze sztabem powziął decyzję przekroczenia granicy pruskiej. Tu po lasach zachowały się groby powstańców. I tu w wyborach do sejmów litewskich stosunkowo duży odsetek głosów padał na listę polską. Tylko samych Ławcewiczów było w paru gminach ponad trzydziestu. Dla odróżnienia nosili rzadkie imiona, jak Zenon, Remigiusz itd.

A poza tym byli Bielscy, Bohdanowiczowie, Burbowie, Dowoyna-Sylwestrowiczowie, Gruzewscy, Janowiczowie, Januszkiewiczowie, Hiksowie, Hryszkiewiczowie, Kibortowie, Kiełpszowie, Koźmianowie, Ławciewiczowie, Matusiewiczowie, Nagurscy, Narbutowie, Ratowtowie, Rymgajłowie, Tomkiewiczowie i któżby ich tam wszystkich spamiętał.

Prócz zabaw i imienin spotykali się sąsiedzi w Kurszanach w dnie targowe. Kiedyś dosiadłem swojej „liniejki”, zaprzężonej w starego wysłużonego wałacha. Zdecydowałem zrobić podróż w nieznaną, to znaczy nie kierować, a jechać dokąd koń zawiezie. Po niespełna godzinie drobnego truchcika linejka zatrzymała się w Kurszanach na rynku przed sklepem kolonialnym Szołomowej, gdzie zbierało się zazwyczaj sąsiedztwo. Stara Szołomowa była dobrym psychologiem, miała jednak przesadne mniemanie o różnicach klasowych. Gdy dziedzic kupował cukierki na dożynki dla robotników i chciał je spróbować, wyrwała je z ręki z okrzykiem: „Pfuj, to nie do jedzenia dla pana”.

W nowoczesnym świecie modne są zakupy na spłaty. U nas kupowało się na książeczkę. W sklepie żelaznym, gdzie dostawało się też sztuczne nawozy i najrozmaitsze towary, właściciel powiedział: „jeżeliby pan chciał u mnie kupić samochód, to proszę kogoś przysłać z książeczką. Na tych książeczkach narastały sumy, które potem trzeba było przecież płacić. Ogół ziemian, zadłużony w banku polskim i rolnym, „na książeczkach”, borykał się nieraz z tego powodu z wielkimi trudnościami. Nieraz system ten prowadził do ruiny.

Dr Girdwojń porzucił praktykę i oddał się z zamiłowaniem hodowli koni. Pewnego dnia dostał wezwanie do zapłacenia trzydziestu tysięcy litów za żyra sąsiedzkich weksli. Rozchorował się ze zgryzoty. Położył się na tydzień do łóżka. Potem zaczął leczyć, aby spłacić długi. Miłości do koni pozostał jednak wierny. W parę lat po ostatniej wojnie repatriował się do Polski, wagonem towarowym z całym dobytkiem w postaci — żrebnej klaczy.

Użyłem słowa „repatriował” z pewnymi wewnętrznymi oporami. Przecie Polacy na Litwie nie byli potomkami kolonistów, a odwiecznymi autochtonami kraju. Skoro więc ktoś przynosi się z ziemi swych ojców do Wrocławia czy Szczecina (miasta te odpadły od Polski przed Unią z Litwą) to nie jest to repatriacja, czyli powrotem na łono ojczyzny, lecz raczej ekspatriacją, opuszczeniem dziedziczonej od wieków ojcowizny. Gdy przesunięto granice Polski, wędrownka Polaków z Litwy była rodzajem pogoni za ojczyzną, która nagle usunęła im się spod nóg.

Całe nastawienie zarówno krajowe, jak emigracyjne z obchodami Millenium ogranicza Polskę do ziem piastowskich. Ci „Li-

twini” z Polski Jagiellońskiej, którzy — jak Żmudzini — obchodzili za swego życia 500-lecie założenia diecezji i chrztu, czują się trochę, jak ten przysłowiowy, niewzruszony człowiek wśród rozrzuconego kazaniem tłumy — bo on jest z innej parafii.

Słowa te może piszę pod wpływem „afektu”. Oto właśnie przeczytałem list z kraju, zawierający następujący ustęp: „Znajomych ma dużo, ale bliskie stosunki utrzymuje wyłącznie z kresowcami, 'warszawiaków' nie lubi, bo są jej zdaniem 'chytre', no i w dodatku trudno się z nimi zgadać. Jak nawiązać bliski kontakt duchowy z ludźmi, którzy nie wiedzą, co to jest 'krasnopiórka' (płatka), słowo 'obojętny' rozumieją opacznie, a takich zwykłych, pospolitych wyrażań, jak 'duć się' lub 'barszkotać' po mieszkaniu zupełnie nie pojmują. Nawet pokłócić się z nimi nie jest przyjemnie, bo 'łają się' całkiem inaczej”.

Opowieści o Litwie byłyby niekompletne, gdyby nie wspomnieć o polowaniach w przysłowiowych puszczech litewskich. Ale legendy często nie pokrywają się z rzeczywistością. Litwa tzw. kowieńska miała zaledwie 18 % powierzchni pokrytej lasami, to jest mniej niż Polska, nie mówiąc już o kresach północno-wschodnich. Parcelacja, komasacja, zniesienie wspólnych pastwisk i wielkie roboty melioracyjne ograniczyły do minimum ilość „rojstów” — królestwa wielkiej zwierzyny. Były więc liczne szaraki wraz z ich północną odmianą pod nazwą bielaków, były lisy, sarny, trochę wilków i dzików. Do rzadkości należały: rysie, kuny, łasice, wydry, tchórze lub borsuki. Głuszce i pardwy, spotykane dawniej na pograniczu Inflant, prawie wyginęły. Liczne były kaczki rozmaitych odmian, kuliki, bekasy, nurki, kuropatwy, cietrzewie, słonki i jarząbki. Na pograniczu pruskim zdarzały się zabłąkane bażanty. Widziało się jedynie przelotne dzikie gęsi i żurawie. Czasem się spotykało wędrownie jelenie, daniela lub łosie, które się wymknęły z jakichś rezerwatów. Dużo łosi było w Kraju Kłajpedzkim i nieco jeleni w lasach żagórskich, naturalnie pod ścisłą kontrolą.

Przed pierwszą wojną taki rezerwat czy park myśliwski miał w Towianach książę Radziwiłł, oraz hrabia Hutten-Czapski w Berżanach, gdzie było sporo danieli. W lasach berżańskich zaprowadzono gospodarkę na wzór niemiecki z przerąbanymi liniami dla strzelców. Stajnia na 40 koni miała wodociąg i kanalizację, gdy jeszcze w domach mieszkalnych było to na Litwie nieznanne. Sala balowa miała parkiet z różnobarwnego drzewa, jak heban, mahoń itd., w kształt herbów Leliwa (ponoć zrobiony na obsta-lunek w Paryżu). Ściany w boazeriach i adamaszkach, obrazy włoskich mistrzów i zbroje rycerzy. Wszystko to się „rozeszło”, a i z danieli nie pozostało ani śladu.

W upaństwowionych lasach można było wydzierżawić prawo polowania w oznaczonych obszarach, z czego korzystali zarówno prywatni myśliwi, jak też powiatowe towarzystwa myśliwskie. Ciekawe, że tarcia na tle narodowościowym prawie nie zakłócały koleżeńskiej atmosfery na polowaniach. Większość myśliwych stanowili urzędnicy i oficerowie litewscy, którzy jednak na niepewnym dla siebie gruncie woleli nie zadzierać z miejscowymi Polakami, reprezentującymi tradycję myśliwską.

Wspominając polowania, poprzestanę na jednym, nie grzeszącym — właściwym często myśliwym — samochwalstwem. Jako sztabak pojechałem do ciotki z nową strzelbą, aby bodaj po raz pierwszy zapolować. Ciotka przydzieliła mi swego totumfackiego, starego „kątніка”, który znał teren i miał być moim przewodnikiem, nauczycielem, gończym i naganką w jednej osobie. Cały dzień chodziliśmy bezowocnie „na deptaka”, aż wreszcie pod wieczór wyskoczył skądś szarak. Nim się zorientowałem, mój opiekun wyrwał dubeltówkę i celnym strzałem szaraka uśmiercił. Wyszło na to, że przez cały długi dzień nosiłem strzelbę dla kłusownika.

Uzupełnieniem polowań „prywatnych”, częstszych w dawniejszych czasach, były przyjęcia towarzyskie. Przyjmowanie myśliwych, którzy po mniej lub więcej udanym polowaniu zjawiali się na późny obiad-kolację, odbywało się według ustalonego rytuału. Pani domu oczywiście do ostatniej chwili była zajęta w kuchni. Gdy już wszystko było gotowe, przyglądała włosy, „ogarniała się” i wychodziła do gości. Panowie zamaszycie całowali ją w rękę, ona, nie siadając, wypowiadała parę uwag na tematy gospodarskie jak, że pogoda jest dobra lub zła — na pszeniczkę lub koniczyne, po czym nieodmiennie mówiła: „A teraz, sąsiedzi kochani, czym chata bogata. Ojciec, proś gości do stołu”. Więc ojciec kłaniał się i powtarzał: „Prosim zakąsić, nie pogardzić”. Goście odpowiadali wzmożonym szuraniem nóg i wszyscy szli do stołu. *Savoir vivre* nakazywał gospodarzom nakładać, nalewać, podsuwać, przede wszystkim usilnie prosić, aby gość jadł i pił. Goście zaś musieli wzdragać się od jedzenia i picia i certować. W myśl tych przepisów dobrego wychowania, notoryczny pijak z fioletowym nosem, gdy mu proponowano drugi kieliszek wódki, wyrażał skromnie obawę, czy to aby nie za dużo i zgadzał się wreszcie wypić z zastrzeżeniem, że „chyba w złote ręce pani dobrodziejki pod tego rydza marynowanego, który jest tak wyśmienity, że lepszego nikt nigdzie nie jadłszy”. Pani domu oczywiście serce rosnęło z zadowolenia. Odpowiadała mniej więcej tak: „At już naprawdę śmiech sobie ze mnie sąsiad robisz, mnie w tym roku marynaty ze wszystkim nie udali się...”, czemu z kolei



wszyscy goście energicznie zaprzeczali. Uczty przeciągały się czasem do późnej nocy, a goście spijali się z kretešem. Panie domu nigdy do końca tych biesiad nie siedziały przy stole, jako że grzeczne certowanie się obowiązywało tylko na wstępie. W miarę wychylania kieliszków panowie wpadali w coraz lepszy humor, a tematy poruszane w rozmowie coraz mniej nadawały się dla damskich uszu. Cały rytuał był parafiański i komiczny, lecz gdy kto „żałosny w cudzej stronie”, wspomina go z rozrzewnieniem.

## W REDAKCJI

W roku 1934 wyjechałem na kilkutygodniową praktykę dziennikarską do Polski. Pod koniec tego roku wszedłem do zespołu współpracowników *Dnia Kowieńskiego*. „Zespół redakcyjny” to brzmi dumnie. Naprawdę było nas trzech, czasem tylko dwóch. Nazwa dziennika często się zmieniała wskutek tego, że je Litwini zamykali.

Za czasów pierwszej okupacji niemieckiej powstał dziennik pod nazwą *Ziemia Kowieńska*. Potem zmieniano rzeczownik na: *Kurier*, *Głos*, *Goniec*, *Dziennik*, wreszcie — *Dzień*. Potem przeszedł nakaz używania nazw miejscowości w brzmieniu litewskim. Musiał więc być *Dzień Kaunaski*. Nie zgodziliśmy się na to. Zgodziła się prasa, wychodząca w języku rosyjskim i niemieckim. W Wilnie wyrażano Litwinom zdziwienie, dlaczego piszą Vilnius, a nie Wilno... Targ w targ i po tygodniu pozwolono nam używać nazw miejscowości w polskim brzmieniu. Aby jednak tytuł nie kłuł w oczy Litwinów, zamieniono nazwę „kowieński” na „polski”. Gdyby gazetę nadal zamykano, mieliśmy zamiar zachowując nowy przymiotnik, zmieniać rzeczowniki w odwrotnej kolejności. W ten sposób tytuł numer 5 *in spe* brzmiałby *Ziemia Polska*. Do tego już nie doszło.

Redagowanie polegało głównie na wycinaniu artykułów o polityce światowej oraz różnych ciekawostek z prasy polskiej, jak również tłumaczeniu depesz litewskiej agencji telegraficznej ELTA i lokalnych informacji z prasy litewskiej. Teoretycznie trzeba też było kwalifikować nadsyłane artykuły. Było ich tak mało, że wiele pracy to nie pochłaniało. Reporterstwo ograniczało się prawie tylko do polskich imprez. Ogłoszenia w polskiej gazecie powodowały bojkot litewskich klientów, nie mogły więc być podstawą finansową pisma. Bardzo drogi czterostronicowy dziennik miał wobec tego niewielu prenumeratorów. Wielu ludzi obawiało się prenumerować polską gazetę, bo takich urzędy pocztowe wciągały na czarną listę elementów nieprawomyślnych.

W czasie okupacji hitlerowskiej spisy prenumeratorów polskich gazet też były dowodem obciążającym. Stwierdzały polskość właścicieli gospodarstw podlegających wywłaszczeniu.

Ustalenie polskości nie było łatwe, bo większości Polaków wpisano do paszportów narodowość litewską. Pamiętam jak kiedyś zebraliśmy się na naradę w składzie: generalny sekretarz „Pochodni”, doradca prawny Polskiego Banku oraz redaktor *Dnia*. Wszyscy, według paszportów, byliśmy Litwinami. Do polskich szkół powszechnych mogły w owym czasie uczęszczać tylko dzieci paszportowych Polaków i musiało ich być w danym miejscu co najmniej 20. W ten sposób polskie szkolnictwo podstawowe zostało praktycznie zlikwidowane. Tolerowano jedynie 3 gimnazja, których absolwenci, aby dostać posadę, musieli przynajmniej udawać Litwinów.

Prócz *Dnia* był też tygodnik *Chata Rodzinna* o znacznie większym nakładzie, rozchodzący się na wsi i na kowieńskich przedmieściach. Przez kilka lat ukazywał się również miesięcznik *Głos Młodych*.

W gmachu przy ulicy Orzeszkowej, zwanej po litewsku Ożeskienies, mieściły się wszystkie trzy polskie redakcje, drukarnia, ogólne stowarzyszenia studentów, organizacja studentek „Znicz”, biblioteka i „Pochodnia”. Obok, po drugiej stronie podwórza, stał okazały gmach Polskiego Banku (w stylu Frykoko, od inżyniera Fryka i stylu Rokoko), udzielający gościny paru polskim instytucjom gospodarczym, jak Dompol, oraz w suterrenach — korporacji „Lauda”.

Swój termin w redakcji rozpocząłem od żmudnych tłumaczeń z litewskiego: wiadomości i przeglądu prasy. Pochłaniało to tyle czasu, że poniechałem nawet swych sobotnich felietonów, pisywanych w ciągu ostatnich paru lat. Były to czasy pewnego odprężenia w stosunkach polsko-litewskich. Zwłaszcza prasa opozycyjna wykazywała mniej antypolskiego zacietrzewienia. Zebrałem wiązkę wypowiedzi litewskiej prasy opozycyjnej w przeglądzie prasy. Cenzura uznała je za nieściśłe i tendencyjne. Nasz odpowiedzialny „sitz-redaktor” został skazany na grzywnę z zamianą na więzienie. Na „wyższym szczeblu” postanowiono grzywny nie płacić i biedny „Majutek” posiedział tydzień za kratami.

Po roku weszła w życie nowa ustawa prasowa, przewidująca, że redaktor faktyczny jest również odpowiedzialnym i że powinien posiadać wyższe wykształcenie. A że miałem dyplom francuski, na Litwie zatwierdzony, więc zostałem redaktorem, choć studia chemiczne mało mi się przydały w pracy dziennikarskiej. Ostra cenzura prewencyjna powodowała, że nic zdrożnego nie

mogło się w gazecie ukazać. Przeto nie miałem okazji trafić do „kalejima”, to jest do więzienia.

Pierwszy rok pracy w redakcji był burzliwy. Wtedy to, po tygodniowej przerwie, *Dzień Kowieński* zaczął wychodzić jako *Dzień Polski*. Wtedy też za notatkę o spoliczkowaniu redaktora litewskiego przez polskiego studenta, występującego w obronie czci Marszałka Piłsudskiego, nasz redaktor został pozbawiony członkostwa litewskiego Związku Dziennikarzy. Ja już się nie ubiegałem o to członkostwo i nie miałem żadnych zniżek ani przywilejów dziennikarskich. Mimo to na różne „otwarcia” i wywiady otrzymywałem zaproszenia. Nasz korespondent czuł się na nich jak parszywa owca. Nikt z nim nie chciał rozmawiać, ba, nawet stać obok niego! Zdarzały się wyjątki od tej reguły, ale tylko na neutralnym gruncie i przy wódce. Przypominam sobie krótką rozmowę w jakiejś restauracji z dziennikarzem litewskim. Wolał stojąc rozmawiać z siedzącymi, niż skalać się zasiadaniem przy polskim stoliku. Ta ostrożność ułatwiła mu karierę, gdyż był to Paleckis, który został później prezydentem sowieckiej Republiki Litewskiej.

Pamiętne było przyjęcie w poselstwie francuskim z okazji otwarcia wystawy pamiątek przemarszu przez Litwę wojsk napoleońskich. Na trzygodzinnym raucie było kilku Francuzów, kilka dziesiątków litewskiej śmietanki towarzyskiej i ja. Trzeba było cały czas robić przyjemny wyraz twarzy i milczeć. Każdy bał się ze mną rozmawiać. Ze swej strony też nie chciałem kompromitować kilku przyjaznych mi Litwinów i Francuzów. Do atmosfery napięcia przyczyniła się jeszcze szczególna okoliczność.

Wystawa napoleońska nie mogła się obejść bez poparcia polskiego społeczeństwa. Większość eksponatów znajdowała się w polskich dworach. Krótko mówiąc w posiadaniu czytelników *Dnia*. Po tylu wywłaszczeniach obawiano się, że zabytki i pamiątki zagarnie muzeum litewskie. Polacy, ignorowani przez czynniki rządowe, odpłacali tym samym, toteż bez apelu *Dnia* nie można było liczyć na współpracę posiadaczy eksponatów. W tej sytuacji prezes Towarzystwa Litewsko-Francuskiego złożył z ciężkim sercem wizytę w naszej redakcji. Następnie poselstwo francuskie omówiło całą sprawę z młodym stypendystą z Warszawy, studiującym w Kownie lituanistykę, Stanisławem Westfalem. Westfal, późniejszy profesor uniwersytetu w Glasgow i autor wielu prac naukowych, już wówczas pełnił funkcje nieoficjalnego *attaché* kulturalnego przy nieoficjalnym pośle R.P., Tadeuszu Katelbachu. Francuskim kontrahentem w tych rozmowach był dobry znajomy obu, R. Schmittlein, lektor języka francuskiego na uniwersytecie kowieńskim. W gruncie rzeczy pełnił on inne, tajemnicze a od-

powiedzialne funkcje. W czasie powojennej okupacji Niemiec chodził w mundurze generalskim. Zdjął go, aby jako „gaulista” wejść do parlamentu. Pamiętniki pułkownika Reboul ujawniły, że przez długie lata centrala siatki francuskiego wywiadu na Niemcy mieściła się w Kownie.

Część eksponatów na wystawie znaleziono w miejscowym muzeum, część przysłali odważni posiadacze, największą zawieźli Polacy poselstwu francuskiemu i figurowały jako przewiezione z Francji.

W czasie przygotowań do wystawy ukazał się w litewskiej urzędowce artykuł wiceministrowej, przewodniczącej komitetu wystawowego (czy też tylko przez nią inspirowany) o tym, jak Napoleon wkroczył w roku 1812 na Suwalszczyznę, mając przy boku dwóch polskich adiutantów-tłumaczy. Okazało się jednak, że nie byli użyteczni, bo miejscowa ludność litewska nie znała języka polskiego! W odpowiedzi ukazał się w *Dniu Polskim* artykuł Westfala (pod pseudonimem) wykazujący, że ministrowa oparła swój artykuł na odpowiednio przeinaczonych cytatach i że nieładnie tak robić. Skutek był taki, że w dniu otwarcia wystawy pani ministrowa nagle zaniemogła i w ogóle się nie zjawiła. Huczek z tego powstał w kowieńskich sferach kulturalnych, co jeszcze wzmogło bojkot w stosunku do redaktora *Dnia*.

Prócz prof. Westfala, którego pierwsze artykuły ukazały się w naszym *Dniu*, wymienić można naszego jedyne go korespondenta zagranicznego, Smogorzewskiego, który od czasu do czasu przysyłał nam artykuły z Paryża, zanim nie wypłynął już na bardzo wielkie wody w charakterze korespondenta *Gazety Polskiej*. Jeśli się doda późniejszego wiceburmistrza Wilna, Nagurskiego, piszącego czasem artykuły o handlu morskim na Bałtyku, lista korespondentów zagranicznych *Dnia* będzie prawie zamknięta. Mógł jeszcze za takiego uchodzić Zygmunt Romaszekiewicz, nadsyłający nam życzenia świąteczne i materiały prasowe z dalekiej Australii.

Z zaścianka na Laudzie wyjechało dwóch braci w szeroki świat. Jeden został prezesem wielotysięcznej organizacji polonijnej w Stanach Zjednoczonych, drugi osiadł w Australii, w paręset-tysięcznym mieście Brisbane, liczącym iluś tam Polaków. Zygmunt nie chciał dać się wyprzedzić bratu i stworzył organizację Polonia. W roku 1918 jako delegat Polonii zajmował się werbunkiem do armii Hallera. Był inicjatorem przesyłania z różnych krańców świata ziemi na kopiec w Sowińcu. Dwoił się i troił w pracy społecznej. Wnosząc z serwisu prasowego Związku Polaków Za Granicą, Polonia Australijska była jedną z najaktywniejszych. Dowiedziałem się wiele lat po tym, że gdy został przedstawiony do orderu Polonia Restituta, a konsulatski zbadał na miejs-

cu jego działalność, stwierdził, że ilość członków Polonii brisbańskiej była jednocyfrowa. Nie był to aferzysta, ale cierpiał na „obsesję polskości”. Przed śmiercią chciał wydziedziczyć własne dzieci i zapisać swój dom na cele polonijne.

Skoro znad Niewiaży trafiliśmy aż nad Pacyfik, nasuwa się świeższe wspomnienie, łączące te dwa odległe od siebie punkty globu. W międzynarodowym Sydney można dostać płyty gramofonowe, nagrywane w kilkudziesięciu językach. Kiedy zagadnąłem o litewskie, był ich spory wybór, zarówno nagranych na miejscu, jak też sprowadzonych z Ameryki, Kowna i Wilna. Wśród śpiewaczek-solistek z sowieckiej Litwy najpopularniejsza była B. Grincewičiute. Przypomniały mi się dawne czasy sprzed ćwierćwiecza, gdy młodzianka siostrzenica dyrektora opery warszawskiej, Emila Młynarskiego (a kuzynka Arturowej Rubinstein) Bożenka Hryncewiczówna zaszła do redakcji *Dnia Polskiego* w Kownie w dość dziwnej sprawie. Ma propozycję śpiewania w rozgłośni litewskiego radia. Tymczasem wiadomo, że aby wejść do litewskiego życia kulturalnego, trzeba co najmniej ukrywać swą polskość. Czy może wobec tego z czystym sumieniem przyjąć propozycję? Jako niewidoma ma tak mało szans w życiu. Uspokojona, że nikt z Polaków nie będzie miał jej tego za złe, młodzianka dziewczyna zaczęła śpiewać. Może w początkach kariery pomógł jej wzgląd na wuja Młynarskiego. Przyjeżdżając przed pierwszą wojną światową na lato do Iłgowa, majątku żony na Litwie, był mecenasem wielu muzyków litewskich i zaopiekował się Hryncewiczówną. Podczas pobytu w Warszawie miała swój kącik w łoży dyrektorskiej i nie opuściła ani jednego przedstawienia w czasie całorocznego sezonu operowego. Dość, że weszła do żelaznego programu rozgłośni kowieńskiej i sal koncertowych, niezależnie od tego, czy rządy były litewskie, sowieckie lub inne. Bo przy wszystkich przewrotach, dyskryminacjach i czyszkach, kto by miał pretensję do niewidomej artystki?

Powiadają, że w burzliwych czasach odbywa się selekcja. Zgodnie z żelaznymi prawami natury przeżywają najsilniejsi. Czy aby? W Polsce najsilniejsi wyginęli w Katyniach i Oświęcimiach. Przeżyli najliczniej najsłabsi i nie niebezpieczni dla nikogo. Naród został oczyszczony z bohaterów. Może Sancho Pancho bez Don Kichota da sobie lepiej radę?

Dygresje te trafiły do niniejszych wspominków, bo są echem dyskusji, prowadzonych wśród Polaków na Litwie. Powiadano: najpierw ginie elita w powstaniach, potem najzdolniejsi wyjeżdżają do Rosji czy Ameryki, a najgłupszy zostają na roli, na miejscu. Później najzdolniejsi zajmowali stanowiska w Polsce: prezydenta, ministrów, generałów, w kraju zostawali najmniej przedsiębiorczy.

A byliśmy przecież społeczeństwem rolników-hodowców. Każdy z nich wiedział, że selekcję prowadzi się drogą zostawienia przychówku najlepszych okazów. Utarło się więc ogólne przekonanie, że przeszliśmy selekcję negatywną.

Kuzyn owej niewidomej Bożenki pisywał dla nas recenzje muzyczne. W czasie *tournée* Rubinsteina był wobec innych dziennikarzy uprzywilejowany jako członek rodziny. Właśnie wtedy zaczął pracę nowy, nieudolny korektor. Recenzja ukazała się w takim stanie, że po dziś dzień rumienię się ze wstydu, wspominając tę kompromitację. A ów sprawozdawca, inżynier, poliglota, muzyk, sportowiec wszystko co robił, robił dobrze. Człowiek rzeczowy, pozytywny, raz zakochał się, ale nieszczęśliwie. Było mu wszystko jedno. Aby zagłuszyć wewnętrzne rozterki, szukał silnych wrażeń. Kiedy wojska niemieckie podchodziły do Kowna, a w mieście jeszcze byli sowieciarze, chodził w nocy po ulicach z aparatem fotograficznym. Złapał chwilę, gdy most aleksocki na Niemnie wylatywał w powietrze. Jako że lubił wszystko robić dobrze, żalił się, że zdjęcie nie jest dosyć ostre. Ale silne wrażenia na rozterkę pomogły.

W poszukiwaniu rodzimych talentów literackich *Dzień* urządził konkurs na nowelę. Nadeszło nadspodziewanie ponad 30 prac, z czego dziesiątek nadawał się do druku. Pierwszą nagrodę otrzymał J. Minkiewicz spod Kiejdan. Mieliśmy też w *Dniu* kącik językowy i kółko polonistyczne, któremu przewodził Stanisław Westfal. Co najmniej troje członków tego skromnego zespołu dochrapało się potem katedr uniwersyteckich (M. Burbianka i H. Szwejkowska we Wrocławiu).

Publicystów trudno było wyhodować, bo cenzura uniemożliwiała wypowiedzi na tematy aktualne. Kiedyś napisałem dłuższy artykuł pt. „Przestawmy zwrotnicę na lewo”. Dowodziłem, że Polonia litewska z chyba najzamożniejszej w kraju stała się jedną z najmniej zamożnych. Nie ma więc powodów trwać światopoglądowo i politycznie na prawicy. Artykuł ukazał się, ale tak wykastrowany, że czytelnik mało mógł zrozumieć. Pisałem kiedyś skromnie, że nie pretendujemy do równych praw z Litwinami — gospodarzami kraju, ale przynajmniej do równych praw z innymi mniejszościami, dokumentując postulat faktami i cyframi. Cóż, kiedy jedynym moim czytelnikiem był cenzor. Dokonywano w tym czasie ponownego wyboru prezydenta Smetony za pośrednictwem elektorów, wyłonionych przez instytucje mające przewagę nominatów. Napisałem felieton o pewnej restauracji, która dawała wszystkim klientom taki sam obiad, aż wreszcie zdecydowała uwzględnić rozmaite gusta konsumentów i wprowadziła szereg dań *à la carte*, do wyboru. Lecz w istocie — pisałem — mało

się zmieniło, bo pod rozmaitymi nazwami podawano, jak poprzednio, tylko świnię (na Litwie słowo wieprzowina było mało używane). Felieton przeoczył cenzor, ale nie przeoczyła litewska opozycja.

Podpisywałem wtedy swe artykuły pseudonimem E. Żagiel, jako wnuk Edwarda Żagiela, w przekonaniu, że już nie ma nikogo noszącego to nazwisko. Po wojnie na uchodźstwie korektor dodał mi drugie „l”, uważając, że tak „będzie ładniej”. Było już za późno przerabiać i tak zostałem Żagiellem. Choć w historii nazwisko to pisało się dwojako, to jednak podróżnik dr Ignacy Żagiel pisał się przez jedno „l”. Ze zdziwieniem przeczytałem w krajowej encyklopedii: Ignacy Żagiell. Czyżby artykuły emigracyjnego Żagiella, cytowane parokrotnie w prasie krajowej, przekonały redaktorów Państwowego Wydawnictwa Naukowego, że ten Żagiell lepiej wie, jak się pisze jego nazwisko? A są ludzie, którzy twierdzą, że emigracja nie wpływa na kraj...

W kraju miało być wznowione wydawnictwo książki Żagiela pt. „Podróż historyczna do Abisynii, Szoa, Nubii, u źródeł Nilu”. Dałaby ona temat do ciekawego studium geograficzno-literackiego, skąd czerpał Henryk Sienkiewicz szczegółowe informacje o nieznanym mu krajach, opisanych w „W pustyni i w puszczy”. Sam ponoć nie wychylał się poza północną część Egiptu. O ile mnie pamięć nie myli, Staś i Nelly szli właśnie trasą Żagiela.

Po ostatniej wojnie polscy uchodźcy i naukowcy dotarli do Abisynii, zwanej dziś Etiopią i stwierdzili, że dr Ignacy Żagiel również nigdy się nie wychylał poza północną część Egiptu, a cała opisywana podróż abisyńska była wymyślona.

To mi wreszcie wyjaśniło, dlaczego u nas w domu o sławnym krewnym podróżniku nigdy się nie mówiło, a jeżeli, to powściągliwie i raczej niechętnie. I jeszcze raz utwierdziło w przekonaniu, że informacje historyczne, nawet podawane w encyklopediach, mogą być... lipą.

Lecz wróćmy z Afryki znów na ulicę Ozeskienes, do redakcji. Kiedyś zamieściliśmy wycinek orędzia papieskiego z serdecznym fragmentem pod adresem narodu polskiego. Został wykreślony przez cenzora. Nie wytrzymałem i „na gorąco” zatelefonowałem, pytając, jak mam redagować pismo, skoro nawet papieża uważają za nieprawomyślnego. Był to jedyny wypadek, gdy interwencja odniosła pewien skutek. Nakazano usunięcie bardzo pochlebnego dla Polski tytułu, tekst przemówienia pozwolono jednak zamieścić.

Innym razem cenzor skreślił połowę tekstu, zachowując tytuł. Wykonaliśmy nakaz. Ale tytuł odnosił się właśnie do wykreślonej

części. Całość wyszła bez sensu i stanowiła namacalny dowód działalności cenzury. „Światpol” zrobił z tego zdjęcie i rozesłał w swym serwisie prasowym. Wyczyn kompromitujący cenzora litewskiego obiegł prasę polsko-amerykańską i inną, ale nam nic to nie pomogło.

Miejsca skreślonych artykułów musieliśmy czymś wypełniać. A że znaleźliśmy jakąś starą encyklopedię humoru, więc staliśmy się chyba jedynym na świecie dziennikiem humorystycznym tego typu. Poza tym rząd rządził nas jeszcze materiałami nadesłanymi, które trzeba było zamieszczać jako redakcyjne, choć zupełnie nie odpowiadały naszym poglądom. I w dodatku własnym trudem trzeba je było tłumaczyć na polski.

Raz zrobiliśmy kawał cenzurze. Udał się na sto dwa. Druga stronica zawierała wiadomości zagraniczne, względnie materiał bezbarwny i niepolityczny. I właśnie na tej stronie podaliśmy pod najniewinniejszym tytułem wykaz prześladowań, zamkniętych szkół, aresztów nauczycielek itd. Zaletą cenzury prewencyjnej jest to, że gdy coś przeszło przez cenzora, to już redaktor nie jest winien. Ten wykaz Katelbach pokazał litewskiemu ministrowi jako namacalny dowód ucisku Polaków. Bardzo był Katelbachowi w tym czasie na rękę. *Dzień Polski* w owych latach sam nie prowadził żadnej polityki, bo nie mógł zarówno ze względu na cenzurę, jak też na brak środków i czasu na jakąś działalność. Trzeba było myśleć w trudnych warunkach o możliwie umiejętnym zapełnieniu czterech stron dziennika.

Jeśli chodzi o stosunki wewnętrzne w Polsce, byliśmy jako pismo Polonii Zagranicznej raczej prorządowi. Pomimo takich czy innych osobistych sympatii, nigdy w naszym zespole nie było na ten temat nieporozumień. W sprawach społecznych i ekonomicznych zajmowanie stanowiska utrudniał nadmiernie szeroki wachlarz czytelników; od żubrów-szlagonów do młodzieży robotniczej w podmiejskich świetlicach. Chociaż czytelnicy przedmięć stanowili mniejszość, to jednak liczyliśmy się z ich reakcją w niemniejszym stopniu, jak z wieśniacką większością. Zresztą antagonizmów klasowych w łonie naszego społeczeństwa prawie nie było. Przynajmniej nie dochodziły do nas ich odgłosy. Słabo również rysował się podział na tak zwanych krajowców i tych, którzy uważali, że jesteśmy odłamem całej Polonii Zagranicznej. Były utarczki grup, ale wszystko odbywało się bardzo w rękawiczkach.

Przywódca jednej z grup później, w godzinach próby, uratował jednego ze swych dawnych przeciwników i ostatni zajazd na Litwie zakończył się już poza jej granicami staropolskim „kochajmy się”. Ale w tym wypadku jeszcze *nomina sunt odiosa*.



Zresztą za moich lat redakcyjnych wszyscy liczyli się z autorytetem nadrzędnym z osobie Tadeusza Katelbacha, reprezentującego Najjaśniejszą Rzeczpospolitą.

Przez gabinet redaktorski, mieszczący się pod lokalem korporacji żeńskiej „Znicz”, a więc poniekąd „w cieniu zakwitających dziewcząt”, przewijało się mnóstwo ludzi. Rzadko przynosili materiał nadający się do druku. Częściej zdarzały się dziwolągi. Były docent zaprezentował nam kiedyś obszerny traktat astronomiczny, napisany... wierszem. Raz trafił mi do ręki list, który ubawiłby do łez czytelników. Autorem jego był sławetny Montalk-Potocki, który jako młody człowiek dopiero się nauczył języka polskiego. Napisał list do swego przyjaciela na Litwie stylem górnolotnym i poetycznym. Składnia i zwroty były angielskie, a słowa polskie, wybrane ze słownika, nie zawsze trafne. Była to lektura bodaj bardziej pobudzająca do śmiechu od poczytnej w owe czasy książki Magdaleny Samozwaniec „Na ustach grzechu”. Lecz list był prywatny, więc nie można go było wykorzystać w druku.

Czasem nadsyłał, pisane ślicznym językiem, opowiadania a nawet studia o żmudzkich kapliczkach przydrożnych Józef (Żozio) Perkowski. „Włóczęga” Żyźniewski pisywał reportaże z podróży do Ameryki, lub o Litwie, zawierające niekiedy trafne spostrzeżenia. Na przykład nazywał Szawle litewską Łodzią. Był pewien żarłok, który wypełniał reportaże opisami tego, co gdzie jadał. A że jadał tylko ulubioną karbonadę, więc opowieści były dosyć monotonne. Z Kiejdańszczyzny O. Paszkiewicz nadsyłał tasiemce, z których trzeba było wyciskać dużo tzw. wody. Cz. Mikołajunas napisał kiedyś obszerny i świetny reportaż z okazji ileś-tam-lecia sławnych zajść w Krożach, malując w nim opór polskich parafian i palestry przeciw carskiej policji. Zahuczano w prasie litewskiej. Zarzucano Mikołajunasowi, że „ukradł Litwinom Kroże”.

Przegląd wydawnictw stał na bardzo wysokim poziomie. Przewodził ten dział Cz. Stefanowicz. Przed pierwszą wojną studiował przez kilkanaście lat na różnych wydziałach najrozmaitszych uniwersytetów. Erudycję i pamięć miał niesłychaną. Był on pierwszym redaktorem *Ziemi Kowieńskiej* w roku 1918. Później wykładał na sposób uniwersytecki literaturę polską w gimnazjum, a następnie był powszechnie szanowanym emerytem, o którym mówiono, że „mądry jak Salomon, a pije jak...”. Ale dożył 90 lat.

Nie mieliśmy już wówczas płodnych publicystów, jak Wielhorski lub Zawisza. Zresztą nie mieliby pola do popisu.

Kiedyś ukazało się w krakowskim *Ikacu* kilka obszernych i żywo napisanych korespondencji z Kowna. Przypuszczano, że trafił

tu *incognito* jakiś dziennikarz z Polski i umiejętnie zebrał informacje. Ale gdy w ostatnim artykule ujawnił, że w sławnym domu Mickiewicza, nie przekształconym wciąż na muzeum, mieszkają dwa dziewczątka wesołego prowadzenia, zawrzało w kołach złotej kowieńskiej młodzieży. To musi być ktoś z naszych — mówiono — jeżeli zna takie szczegóły, zresztą zgodne z prawdą. Okazało się potem, że był to rzeczywiście „ktoś z naszych”, czyli z miejscowych działaczy młodzieżowych.

Były więc możliwości pisania w prasie polskiej, ale nie wydawanej w Kownie. Prowadziłem przez jakiś czas rubrykę „Na marginesie dnia”. Była to jednak praca tak niewdzięczna, że 1 stycznia 1938 roku zrezygnowałem ze stanowiska redaktora, by powrócić na domowe pielesze, gospodarzyć i objąć kierownictwo eksploatacji torfu. Cóż, kiedy wilka ciągnęło do lasu, do prawdziwej pracy dziennikarskiej, a nie w kowieńskim kaftanie bezpieczeństwa. Miałem ją zacząć w Polsce we wrześniu 1939 roku. Wybuchła wojna. Zostałem na Litwie z paszportem zagranicznym i polską bezpłatną wizą dziennikarską, co nie ułatwiało życia za rządów sowieckich.

Reasumując mój okres redaktorski, chciałbym podkreślić dziewczyną dwupłaszczyznowość stosunków z Litwinami. W Kownie jako redaktor byłem przez nich uważany za wroga. Na żmudzkiej wsi wcale tego nie odczuwałem. Miałem poprawne stosunki z władzami, a z wielu Litwinami wręcz przyjazne. To, że po zapasach na kowieńskim ringu można było niejako „w szatni”, na Żmudzi, mieć najlepsze sąsiedzkie stosunki z Litwinami, spowodowało, że w mym stosunku do Litwinów przeważał okres dwudziestu lat, spędzonych na Żmudzi, nad kilku latami kowieńskimi.

## WE WRZEŚNIU I POTEM

W majątku Płuszczyki, w rosieńskim, był wielki bal w ostatnich dniach sierpnia 1939 roku. Wśród obecnych byli też goście z Polski, odwiedzający swe rodzinne strony, jak Kryśka Wańkowiczówna, prof. W. Wielhorski i pewien polski oficer rezerwy. I oto dramatyczna scena. W czasie balu dosięga oficera depesza, wzywająca do natychmiastowego powrotu z powodu mobilizacji. Zrobiło to wstrząsające wrażenie na wszystkich i bal przerwano.

A oto inny obrazek. Dworek polski na Żmudzi, wyjątkowo uprzemysłowiony, bo z maszynową eksploatacją torfu. Jest ranek pierwszego września, godzina 8. 01. Wiejska centrala, zaczynająca funkcjonować o godzinie ósmej, zapowiada rozmowę zamiejsco-

wą. Z poniewieskiej fabryki drożdży: „Ofertę pańską na dostawę torfu rozpatrzyliśmy i zakupujemy cały jeszcze posiadany towar”. W ciągu dnia było jeszcze parę podobnych telefonów, ale ostatni z wielkich manadżerów w Rosji, inż. Brzozowski, pierwszy się zorientował, że na skutek wybuchu wojny krucho będzie z paliwem i zakupił torf po przedwojennej cenie.

W pierwszych dniach wojny zaczęły napływać do poselstwa polskiego w Kownie zgłoszenia ochotników do wojska, załatwiane z reguły odmownie, bo Polska ma dosyć wyszkolonych rezerwistów, a konflikt dyplomatyczny z Litwą byłby bardzo nie w porę. Ale już po kilku dniach zagrało echo tradycji powstaniowych — szarpie dla rannych. Zaczęto zbiórkę dla Czerwonego Krzyża i odzieży dla uchodźców celem wysłania do Polski. Bodajże jeden transport zdążył jeszcze dojść do Wilna.

18 września udałem się do Kowna, aby rozejrzeć się w sytuacji i zabrać w nasze okolice uchodźców, których główna fala napływała do Kowna. Aby połączyć pozytywne z przyjemnym, chciałem zaprosić do siebie dziennikarzy i intelektualistów, aby przynajmniej móc inteligentnie pogadać. Więc też gdy spotkałem w kowieńskiej redakcji Karola Żbyszewskiego, chciałem go zaprosić na wieś, by nacieszyć się dowcipem autora „Niemcewicza od przodu i tyłu”. Lecz ów autor po przyjeździe w nocy do Kowna, pierwszego ranka na obczyźnie, utkwiał mi w pamięci jako człowiek o najbardziej ponurym, tragicznym wyrazie twarzy, jaki kiedykolwiek widziałem. Nie śmiałem go zagadywać, a od redaktora, który nas poznał, dowiedziałem się, że pan Żbyszewski chce jak najszybciej jechać dalej na zachód i przeto być blisko konsulatów, więc moje zaprosiny na daleką Żmudź by mu nie odpowiadały.

Gdy fala uchodźców rozmieściła się w naszych okolicach, rewelacją dla mnie była jej różnorodność.

Był wśród nich oficer o niemieckim nazwisku, luteranin, inny znów był węgierskiego pochodzenia, była spolszczona rosyjska arystokratka, był Polak urodzony w Ameryce o rysach raczej orientalnych, rodzina Karaimów, Tatarka-muzułmanka, oficer armii walczącej z Hitlerem, noszący imię Zygfryd, i był Polak o historycznym nazwisku Jeziorański, ale urodzony w Turcji. Wśród kilkudziesięciu uchodźców, rozmieszczonych w okolicy, brakło tylko prawdziwego Macieja Piasta znad Wisły. (Był co prawda jeden Polak katolik znad Wisły, ale członek honorowy włoskiej partii faszystowskiej, więc też nietypowy). Nasunęło mi to refleksje, że trudno byłoby ujednoczyć naród polski.

Wiele lat po wojnie, malując własnoręcznie swój domek i cały czas bacząc, by kolor i powierzchnia były ujednoczone, wży-

łem się w psychologię kolegi po fachu — Hitlera. Gdy kto za młodu musi cały czas baczyć na wszelkie nierówności i odchylenia wyrównywać, to mu to wchodzi w nawyk i gdy stanie się władcą, stara się uprawiać *Gleichschaltung* również w stosunku do ludzi. Stanowczo malarze pokojowi powinni być wyłączeni od udziału w rządach.

Nim powrócimy do właściwego tematu gawędy o Polonii litewskiej, kilka słów o uchodźcach. We wrześniu napłynęło kilkanaście tysięcy oficerów i żołnierzy oraz drugie tyle uchodźców cywilnych. Wojskowych rozmieszczono w obozach w Olicie, w Kołotowie pod Kownem, część oficerów w Poładze, cywilów, zwłaszcza studentów, w Żagorach. Komendantem studenckiego obozu w Żagorach był syn prezydenta Narutowicza, a komendantem obozu w Rakiszkach, gdzie później zgrupowano wszystkich oficerów, gen. Przeździecki. Dlaczego właśnie tam umieszczono gen. Przeździeckiego wraz z oficerami? Może myśl podsunął zbieg okoliczności, że Rakiszki były posiadłością hr. Przeździeckiego. Dziedzic na Rakiszkach, aczkolwiek jako współwłaściciel Hotelu Europejskiego był związany z Warszawą, to jednak był obywatelem litewskim i znanym działaczem polonijnym.

Sporo oficerów „wyciekło” z obozów, bowiem kontrola, zwłaszcza w pierwszym okresie, nie była nazbyt surowa. Obóz w Rakiszkach przejęły później władze sowieckie i jej mieszkańców deportowały do Rosji. Lecz było to już po Katyniu i większość oficerów ocalała i trafiła do armii Andersa.

Chociaż nie brakło drobnych szykan, na ogół jednak Litwini znaleźli się po rycersku. Na przykład Marian Bauerman, Kownianin, dawny kolega z mojej klasy, był przez długie lata kierownikiem i spikerem litewskich audycji wileńskiego radia. Nagadał on Litwinom wiele przykrych rzeczy, a jednak Litwini pozwolili na jego przejazd na Zachód. W wielu „czysto litewskich” rodzinach raptem zjawiał się brat czy kuzyn — oficer polski, i nawet przestało to być uważane za kompromitujące.

Oto parę przykładów granic narodowościowych, dzielących rodziny: Hiksowie, czeskiego pochodzenia, mieli pociąg do lotnictwa. Jeden wysłany przez rząd carski do Anglii na kurs instruktorski, był potem powołany do lotnictwa litewskiego, a jego kuzyn był polskim lotnikiem.

Kuzyn późniejszego szefa aktywnego wywiadu na Niemcy w czasie ostatniej wojny, pułkownika Rybikowskiego, zwał się Ribikauskas i uważał się za Litwina o skrajnie lewicowych poglądach. Do niespodziewanych odwiedzin w roku 1939 nigdy nie wspominał, że ma kuzyna w polskim wojsku.

Poznałem kiedyś litewskiego urzędnika, nazywał się Ponas Bacevičevicius, zgadzało się coś o muzyce, o popularnych na Litwie audycjach polskiego radia i okazało się, że mój rozmówca jest rodzonym bratem wymienianej w tych programach Grażyny Bacewiczówny. Na moje zdziwienie prawie wzruszył ramionami. „A ot tak się złożyło, że ona osiadła w Polsce, a ja tutaj”. W latach sześćdziesiątych polska orkiestra symfoniczna na występach za granicą grała utwory polskiej jedynej kompozytorki — Grażyny Bacewiczówny. A wszystko dlatego, że „tak się złożyło”, że właśnie siostra osiadła w Polsce, a brat został na Litwie, a nie odwrot.

O ile czasem się zdarzyło, że był polski uchodźca gościem w litewskiej rodzinie, o tyle czasem się zdarzało, że nie było uchodźcy w polskim dworze. Patriotyzm, ofiarność? Owszem. Ale było to też echo starych opowieści o pańskich dworach, których znaczenie mierzyło się ilością rezydentów. Gdy szlachciancezka na resztówce, harująca od rana do wieczora i czująca, że „chłopieje”, mogła zacząć sadzać do stołu kilku oficerów-rezydentów, czuła się panią i była szczęśliwa. Natomiast mąż nie zawsze. W sąsiednim dworze był czasowo mały obóz oficerski. Chcąc zaprosić do siebie oficera, trzeba było uzyskać pozwolenie stwierdzając, że jest on krewnym. Mój najnowszy przygodny krewniak, gdy się wyrwał z obozu, już tam więcej nie wrócił, więc nie mogłem już być poręczycielem na wyjazdy i mogłem jedynie odwiedzać obóz, jako gość gospodarza domu. A że gospodarz doszedł do wniosku, że z powodu wojny lokata kapitału w pieniądzech czy akcjach jest niepewna, a jedynie wódka stanowi wartość stałą, do których to zapasów często sięgał, więc zjeżdżali się sąsiedzi, by pocieszać internowanych oficerów. Po dobrej kolacji zasiadało się do kart. Tu trzeba nadmienić, że uchodźcy z Polski dokonali przewrotu w obyczajach. Nauczycieli miejscowych Polaków gry w brydża, a preferans i wint wyszły z mody.

A że się grało na pieniądze, że nauczyciel-rezydent grał naturalnie lepiej od uczniów i przeto wygrywał, że miał darmowe mieszkanie i utrzymanie, więc ów brydż rozwiązywał sprawę krępujących datków w gotówce na drobne wydatki.

Gdy pierwszy entuzjazm i rozrzewnienie w zetknięciu się z polskimi żołnierzami minęły, gdy uchodźcy ochłonęli z szoku klęski wrześniowej, stosunki między Polonią litewską a uchodźcami się unormowały i na ogół można powiedzieć, że ta fala uchodźcza bynajmniej nie skompromitowała Polaków, a wśród Litwinów, karmionych antypolską propagandą, wyrobiła przekonanie, że Polacy to nie takie wcielone diabły, jak o nich piszą,

lecz ludzie i to bardziej podobni i bliscy Litwinom, niż inne ościenne nacje.

Po likwidacji poselstwa polskiego oficjalną opiekę nad obywatelami polskimi przejęło poselstwo brytyjskie, wydając paszporty itd., ale część pomocy szła poprzez polskie organizacje. Najbardziej skuteczna i masowa była jednak działalność indywidualna prywatnych osób, często przedtem nie biorących udziału w polskim życiu społecznym, w którym uśpiona polskość obudziła się dopiero w zetknięciu z przybyłymi rodakami.

W sprawach finansowo-walutowych wydatnej pomocy udzielała „prywatna inicjatywa” w kowieńskim tzw. Banku Polskim. Uchodźcy poprzywozili złoto i biżuterię, które chcieli zbyć. Turbylcy, widząc, że świat się wali (jeden z ukrytych motywów gościnności), woleli mieć część funduszu w postaci łatwej do ukrycia lub zabrania. Bywały też transakcje bardziej skomplikowane. Hrabia T., właściciel majątku na Litwie, jako uchodźca z Polski znalazł się bez grosza na paryskim bruku. Z Litwy nie można wysłać za granicę żadnych walut, czeków czy przelewów, lecz są tu znajomi oficerowie, przedzierający się na zachód i nie mający pieniędzy na drogę. Więc trzeba to skoordynować, aby pieniądze z majątku trafiły do kieszeni podróżnych, którzy potem będą mogli je spłacić.

W pierwszym okresie te podróże na zachód przez Łotwę i Szwecję odbywały się bez przeszkód, później już nie wypuszczano mężczyzn w wieku poborowym, więc też oficerowie mieli do wyboru, albo charakteryzować się na siwowłosych staruszków, albo też na gołowąsych chłopaczków w krótkich porteczkach.

O ile zaognienie w stosunkach polsko-litewskich uległo na Litwie właściwej znacznemu złagodzeniu, o tyle w przyłączonym jesienią 1939 roku Wilnie bieg wypadków był niefortunny. Społeczeństwo litewskie było utrzymywane cały czas przez kłamliwą propagandę w przekonaniu, że Wilno jest miastem litewskim, toteż całą politykę w odzyskanej stolicy dostosowano do sytuacji, niezgodnej ze stanem faktycznym. I to nie „klapowało” zupełnie. Pomimo wkładów finansowych, Litwini w ciągu rocznej gospodarki raczej „odlitewszczyli” Wileńszczyznę.

E. ŻAGIELL

## DOKUMENTY

### ROZMOWA Z MIECZYŚLAWEM RAKOWSKIM

*W początkach 1982 roku Bohdan Lewandowski, były ambasador PRL przy Narodach Zjednoczonych (1960-1966) a później zastępca sekretarza generalnego ONZ (1972-1982) kolportował w kołach rządowych w Waszyngtonie i w kilku stolicach europejskich bardzo niezwykły dokument. Był nim zapis magnetofonowy jego rozmowy z Mieczysławem Rakowskim, ówczesnym wicepremierem, jednym z najbliższych ludzi gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Rozmowa toczyła się w dniu 22 grudnia 1981 roku, a więc w dziewięć dni po wprowadzeniu stanu wojennego. Opinia zachodnia była wówczas pod bezpośrednim wrażeniem brutalnego zmiążdżenia „Solidarności”. Przez świat przewalała się fala oburzenia, protestów i manifestacji. Rządy zachodnie naradzały się nad zastosowaniem sankcji.*

*Kolportowane przez Lewandowskiego wynurzenia Rakowskiego miały oczywisty cel. Tak też zostały odczytane. Adresaci uznali je za nieudolną, grubymi nićmi szytą próbę usprawiedliwienia gwałtu, dokonanego na polskich robotnikach. Rakowski przekonywał, że ostracyzm zastosowany wobec reżymu Jaruzelskiego wepchnie go jeszcze bardziej w objęcia „sojuszników w Europie Wschodniej”.*

*Naiwny zabieg Rakowskiego został więc zlekceważony i transkrypt taśmy nie przedostał się do środków masowego przekazu. W ówczesnych nastrojach nikt nie miał ochoty powtarzać propagandy usprawiedliwiającej grudniową wojnę. Dziś jednak, po re-*

welacjach ptk. R. Kuklińskiego, dokument ten zasługuje na ogłoszenie w całości jako przykład chytrej i prostackiej zarazem próby wprowadzenia w błąd zachodnich sfer rządowych.

Rakowski utrzymuje na przykład, że „Wojtek i ja” łudzili się, pełni byli nadziei i wiary, że uda się doprowadzić do partnerskiego układu z „Solidarnością”. Ta „nasza wiara” — twierdzi Rakowski — gaśła z upływem miesięcy. Koronny świadek, ptk. R. Kukliński, pisze natomiast, że „idea wprowadzenia w Polsce stanu wojennego rodziła się już w szczytowym okresie sierpniowych strajków”, a „Solidarność” skazana była na śmierć w chwili swego poczęcia. (Kultura, kwiecień 1987 roku).

— Czy prawda, że są doradcy sowieccy? — pyta naiwnie Lewandowski swego przyjaciela.

— Skądże znowu — odpowiada Rakowski. — Bzdura! Kulikow odwiedza nas od sierpnia co parę tygodni. Przyjechał do Warszawy zupełnie nieświadomy tego, co się stanie, bo oni o niczym nie wiedzieli.

Wystarczy skonfrontować tych kilka zdań z informacjami Kuklińskiego, by właściwie ocenić prawdomówność byłego wicepremiera, a obecnie członka BP i sekretarza KC.

Przedstawia się on słuchaczom tych wyznań jako liberał, rewizjonista marzący o przekształceniu „przestarzałych struktur”, patriota, który wraz ze swoim przyjacielem „Wojtkiem” obawia się przyjscia „prawosławnych”, adorator Prymasa Wyszyńskiego.

Nie ma oczywiście w tych metodach oszukiwania zachodnich polityków niczego nowego. Nowością jest tylko forma przekazu — użycie własnego głosu, utrwalonego na taśmie dźwiękowej przez człowieka tak blisko związanego z szefem partii i rządu.

Zamieszczamy ten dokument sprzed laty, gdyż nabiera on wyjątkowej aktualności na tle obecnej sytuacji w kraju.

REDAKCJA

## TAŚMA PIERWSZA

RAKOWSKI: — Jedna sprawa, która mnie interesuje w związku z twoją pozycją, ona sprowadza się do takiego rozumowania, że jeżeli na przykład teraz na Zachodzie pewne koła wpływowe podejmą ofensywę przeciwko Jaruzelskiemu i przeciwko temu co się stało, to jest rzeczą jasną, że wpędzą go w izolację polityczną i ekonomiczną\*. Ta izolacja zmusi go do tego, by oprzeć się

\* Tekst drukujemy bez żadnych zmian i poprawek — Red.



jeszcze bardziej na sojusznikach w Europie wschodniej. W rezultacie oznaczać to będzie koniec jakichkolwiek procesów ozdrowieńczych. Trzeba będzie z Polski w ogóle zrezygnować jako tego czynnika, który może tutaj w Europie wschodniej i środkowej przekształcać te przestarzałe struktury, tworzyć korzystny układ dla narodu i dla narodów. Słowem wszelkie podjudzanie, wszelkie atakowanie tego co się stało w Polsce, a dlaczego się stało to jeszcze kilka słów później, doprowadzi po prostu do poddania Polski jeszcze większym — powiedzmy wpływom, rozumiesz — naszego wschodniego sąsiada. To nie ulega wątpliwości, dlatego trzeba po prostu — w moim przekonaniu — wyjaśniać to rozmówcom i mówić im o tym, że to co dokonało się w Polsce jest faktycznie na dłuższą perspektywę, choć od razu są ogromne straty. W dłuższej perspektywie to zjawisko jest korzystne i nie tylko dla Polski, ale również dla Europy. Rozumiesz? Dlaczego doszło do tego? Doszło do tego, że faktycznie następował rzeczywisty proces rozkładu państwa i struktur państwowych. Rzeczywiście gasła gospodarka polska na skutek anarchii, która zaczęła zdobywać w Polsce coraz większe prawo obywatelstwa. Jest faktem, że w ostatnich miesiącach społeczeństwo polskie utraciło to, co można nazwać zdrowym rozsądkiem. Jak nie całe społeczeństwo, to duża część. To nie jest według mnie rzecz taka zupełnie niespodziewana. Bywają takie sytuacje w historii, kiedy całe narody tracą poczucie zdrowego rozsądku. I to się stało w Polsce. Nie ulega wątpliwości, że gdyby ten proces trwał tutaj jeszcze tydzień, dwa to, w moim przekonaniu, musiałyby dojść do wojny domowej, która by pochłonęła na pewno więcej ofiar aniżeli tych siedmiu górników, co jest oczywiście nieszczęściem wielkim. Polska spłynełaby na pewno krwią, wierz mi, że to wszystko szło w tym kierunku, tak jak tu siedziałem i obserwowałem, a następną fazą byłaby interwencja z zewnątrz. Ona by musiała nastąpić dlatego, że radzieccy chcieliby ochronić jakoś powiedzmy marksistów, leninistów czy też komunistów w Polsce, ale musiałaby nastąpić również dlatego, że po prostu Związek Radziecki nie może pozwolić sobie na to, ażeby taki kraj jak Polska, w tym układzie sił jaki istnieje wypadł spod jego, że tak powiem, wpływów — nawet ograniczonych. W związku z tym chcę ci powiedzieć, że tutaj przez pewien czas kursowały takie opinie, że radzieccy dogadają się z „Solidarnością” i że zadowolą się tym, iż na wyraźnie złożone — nie tyle przez ludzi z „Solidarności”, ile doradców — bo oni byli główną siłą napędową — ich zresztą obarczam główną odpowiedzialnością za to co się stało, za to że całą tą młodzieżą — bo „Solidarność” to są młodzi ludzie — nie kierowali tak jak należało. [? —Red.] Otóż oni

uwawali — i takie były tutaj opinie — że Związek Radziecki z nimi się dogada, że im zagwarantują odpowiednie linie tranzytowe, niewychodzenie z Układu Warszawskiego... To, to jest nieprawda. To od początku była nieprawda, to było pobożne życzenie tych ludzi. Jak teraz rozmawiam tutaj z niektórymi doradcami „Solidarności” — wczoraj z Siłą-Nowickim rozmawiałem, wiesz, z Olszewskim — to oni rzeczywiście mówią: oczywiście był to obłąd, były to kombinacje nie wiadomo na czym oparte, rozumiesz. I to jest ten aspekt, powiedzmy, międzynarodowy. Ale wracam do tego wewnętrznego aspektu. Otóż obserwując rozwój sytuacji w Polsce w ostatnich miesiącach widać było, że nie ma takiej siły, która poruszając się w obszarze politycznego życia byłaby w stanie powstrzymać te niszczące procesy, wiesz, to było dla mnie zupełnie jasne, bo żadne apele, żadne słowa już nie trafiały do przekonania. Wczoraj podczas tej rozmowy z Siłą-Nowickim usłyszałem od niego taką opinię: panie premierze, to jest wasza wina, bo wyście nie mówili temu związkowi, tym przywódcom, że przekraczają swoje statutowe uprawnienia, że wykraczają daleko poza swoje statutowe ramy, bo co ma związek — cytuję Siłę-Nowickiego — cóż ma związek do wyborów do sejmu, opracowania ordynacji wyborczej i tak dalej, i tak dalej. Na to ja powiedziałem, panie mecenasie, pan się trochę jednak gubi w szczegółach, w faktach raczej, dlatego że my, ja osobiście, też parę razy mówiliśmy o tym, że tu zostały przekroczone te wszystkie ustanowione bariery i granice. Tak to było stale, to nie jest tak, że myśmy tego nie widzieli, tylko problem polegał na tym, że nie chciano w ogóle słuchać, ale wiesz, z założenia nie chciano słuchać i uważano rzeczywiście, że (*jąkanie*) od pewnego czasu w zespołach kierowniczych „Solidarności” przyjęła się teza, że władzę można obalić poprzez zniszczenie gospodarki. W istocie rzeczy była to — może się z tym nie zgodzisz — zbrodnia dokonywana na narodzie polskim. Zarzucam to głównie inteligencji polskiej, tym różnym panom Geremkom i nie-Geremkom, Mazowieckim. Mazowiecki na przykład w tygodniku *Solidarność* judził sukinsyn, tydzień w tydzień judził przeciwko tej władzy. Po co? Przecież ona i tak się zmieniała. Niezależnie od całej tej dogmatycznej otoczki w partii, czy od tych dogmatyków, to tutaj w tym kraju w tych ostatnich 15-tu miesiącach dokonały się zmiany nieprawdopodobne. Dubczek ze swoim programem, rozumiesz, intelektualiści czescy ze swoim manifestem dwóch tysięcy słów, to są po prostu niemowlęta w porównaniu z tym, co się dokonało w Polsce. Wielu ludzi, zwłaszcza mówię o tych doradcach, bo ich bardziej winię niż tych Frasyniuków, i tego nieszczęsnego, nieszczęsnego mówię Wałęsę, bo to czło-

wiek bardzo ograniczony, aż żal, że tak wielu przywódców na Zachodzie poczęło podrzucać go do góry; otóż nie ich winię za to, do czego doprowadzili ten kraj, bo oni ponoszą współodpowiedzialność. Lecz winię właśnie tych wszystkich doradców, którym się zdawało, że ta władza jest tak słaba, że można ją tylko jeszcze przydusić raz, drugi do ściany i zniknie. Choć ja tu rozmawiałem na przykład z Geremkiem w lipcu tego roku, który zaczął rozmowę zresztą od tego, panie — powiedział — premierze, przecież nie łudźmy się, w Polsce stoi na porządku dnia zagadnienie władzy. Ja wtedy mu odpowiedziałem, że nie trzeba ulegać iluzjom że już poza wszystkim, jeżeli nawet ta władza będzie rozłożona, to będzie istniał kompleks gwardii Somozy — wiesz co ja pod tym rozumiem — mianowicie, że nadchodzi taki moment, w którym ludzie występują w obronie nie systemu, nie dyktatora — ludzie, którzy mają broń — tylko w obronie swego własnego życia. Nie przyjmowano, uwierz mi, nie przyjmowano żadnego z tych argumentów. Był to, jak powiem, rozpędzony, rozszalały koń, który biegł do przodu, nie zważał na żadne przeszkody, na żadne jakieś kłopoty. Ale dlaczego stan wojenny udał się jak do tej pory, to znaczy, on rzeczywiście stał się szokiem, czy spowodował szok w społeczeństwie, to nie ulega wątpliwości. Co oczywiście nie oznacza, że cokolwiek zostało zdjęte jakby z porządku dziennego. Wszystkie wielkie problemy Polski pozostają. Mówi np. generał, że Polsce potrzebna jest druga rewolucja. Rozszyfrowując to pojęcie trzeba po prostu powiedzieć, że chodzi o zasadniczą przebudowę struktur państwa, o zasadniczą przebudowę struktur życia politycznego — słowem — o stworzenie nowego systemu politycznego. Stan wojenny może być tylko parasolem, który będzie ochraniał te dążenia czy też realizację tych celów. Nie ukrywam, że jest to straszliwie ciężkie przedsięwzięcie. Nawet nie wiem czy stać mnie, czy stać jeszcze paru ludzi, by podjąć taki wysiłek, ale widzę nieuchronność i konieczność tego, prawda. Natomiast, dlaczego ten stan wojenny się udał? Ano udał się przez, powiedziałbym, zdumienie, nie tyle zaskoczenie ile zdumienie. Bo przez te ostatnie miesiące przywódcy „Solidarności” czy zespoły przywódcze „Solidarności” dzień w dzień udowadniały temu społeczeństwu, że ta władza jest po prostu bezsilna, że jest słabiutka, że jest rozłożona, do tego nawet dochodziły takie opinie, że wojsko nie pójdzie za władzą, że milicja jest rozłożona. Rozumiesz, z faktu, że kilkudziesięciu milicjantów chciało utworzyć „Solidarność” wyciągano wnioski, że to już, proszę cię, jest siła, która nie jest siłą, i tak dalej i tak dalej. Otóż w ostatnich miesiącach powstało przekonanie w społeczeństwie, że to rzeczywiście jest władza bezradna. Dzień w dzień

otrzymywałem różnego rodzaju teleksy z fabryk, podpisywane przez członków zarządu „Solidarności” „X” czy „Y”. Każdy taki teleks zaczynał się od słów „protestujemy”, „domagamy się”, „zdecydowano że”, „żądamy” — w sprawach najbardziej nieoczekiwanych — tak, że powstała taka sytuacja, że ta władza była kompletnie spętana. Powiedziałem kiedyś, że przypominała konia, pamiętam z lat młodości, dziecięcych, że zawsze jak pasły się konie gdzieś na pastwisku blisko szosy, to wiązało się mu postronkiem przednie nogi, żeby nie mógł przejść, rozumiesz, żeby nie mógł uciekać, prawda? Więc myśmy przypominali taką władzę i jeszcze nas poganiano batem i kazano nam zdobywać pierwsze miejsca na wyścigach na Służewcu, rozumiesz. Jakikolwiek krok byśmy nie uczynili, natychmiast była kontra. Nie ma reformy, źle — sabotujemy, chcemy powrotu do starego okresu. Zgłaszamy projekty reform, źle — nie o te projekty chodzi. Proponujemy podwyżkę — dobrze, podwyższajcie. Była taka umowa, że ceny na tak zwane pszenne używki, czy jak to się tam nazywa — to znaczy alkohol, papierosy nie muszą być uzgadniane ze związkiem zawodowym, z „Solidarnością”. Dobra, robimy podwyżkę — protestują. Na każde posunięcie był protest. Jakaśmy to przyjmowali? — jeżeli cię to interesuje. Myśmy oczywiście ciągle wierzyli, że mimo tego uda się doprowadzić do tego, co można określić układem partnerskim. Przysięgam ci, że zarówno Wojtek jak i ja, jakaśmy tu przyszli, byliśmy pełni nadziei i wiary. Byliśmy przekonani — może byliśmy idealistami, cholera wie — myślę, że byliśmy, że nasze doświadczenie w ogóle w rządzeniu było minimalne wówczas, po prostu nie byliśmy w stanie przewidzieć, co może nastąpić, wiesz, w tych miesiącach lutym, marcu, kwietniu. Ale cały już czas, jeżeli nie było głębokiej wiary, tliła się nadzieja w nas, że jednak wyjdziemy na swoje, co znaczy nie na swoje w sensie zdobycia przewagi, tylko, że stworzymy tutaj taki system polityczny w Polsce wspólnie z „Solidarnością”, wspólnie z innymi związkami i ugrupowaniami, które pozwolą stworzyć coś nowego. Wojtek niejednokrotnie tak nostalgicznie wraca do tych pierwszych tygodni. Mówi, no popatrz Mietek, popatrz jakie mieliśmy wspaniałe zamiary, jak byliśmy głęboko o tym przekonani, że można coś uczynić. Potem ta nasza wiara gaśła z upływem miesięcy, i dla mnie już gdzieś na początku jesieni stało się widoczne i oczywiste, że tutaj już, że tak powiem, niestety, ale żadnej możliwości na stworzenie takiego układu partnerskiego nie ma. A wracam teraz, jeżeli pozwolisz, dlaczego ten stan wojenny się udał. A to z tej przyczyny, że ta władza pokazała, że jest jednak w stanie odwrócić bieg dziejów, czy bieg polityki. I to spowodowało ten wielki szok. To spowodowało

także kompletne wytrącenie z tej pewności wszystkich działaczy „Solidarności”, bo oni jeszcze bardziej niż społeczeństwo byli przekonani że tę władzę można poruszyć palcem, dotknąć palcem i ona się przewróci, rozumiesz. To jest m.in. przyczyna, dla której zarówno w pierwszym, drugim, trzecim czy czwartym dniu, czy dzisiaj — już prawie 10 dni po tym przewrocie — nie powstało większe ognisko silniejszego oporu. Ono może powstać, ja nie wykluczam, musielibyśmy długo mówić o przyszłości, ale jest faktem, że te anarchizujące elementy w „Solidarności” stanęły nagle zdumione przed sprawnością i siłą, jaką ta władza dysponuje, rozumiesz. To określa tę sytuację, jaka dzisiaj istnieje; jest rzeczą jasną, że ta sytuacja jeszcze niczego nie rozwiązuje. Jest kwestia na przykład trwałości trwania stanu wojennego. Otóż stan wojenny — z samej natury jego wynika represyjność, prawda. Ta represyjność została zastosowana tutaj jednak w ograniczonych rozmiarach, bo skończyło się na internowaniu około 5 tysięcy ludzi, z których — jest rzeczą oczywistą — że zdecydowaną większość musisz po pewnym czasie zwolnić, prawda. Chociażby dlatego, że jest przecież również dekret o abolicji [? — Red.], dalej, jeśli pominąć tragedię w Katowicach oraz — ale to są już potyczki z młodymi ludźmi od 13 do 20 lat w Gdańsku — to brutalność, która towarzyszy stanowi wojennemu miała tutaj, bardzo, że tak powiem, ograniczone wymiary. To co tam na Zachodzie opisują, to jest... propaganda, została wprawiona w ruch ta sama machina, która sprawiała po tej stronie... przypomina, że Michnik jest pochodzenia żydowskiego, czy też chętnie sięga się po argumenty, że tam syjoniści czy też takie czy inne powiązania z dywersją antykomunistyczną, bo to jest natura rzeczy troszeczkę tutaj funkcjonuje, chociaż ja osobiście uważam to za wysoce niebezpieczne zjawisko, dlatego, że tego rodzaju propaganda, która jest w ogóle najsłabszą stroną tego co się stało, nie jednoczy ludzi czy też nie zyskuje poparcia dla naszej polityki, lecz tych ludzi odpędza po prostu, ale pomijając ten fakt, choć jest on bardzo ważny, choć oczywiście podstawowe pytanie jest następujące: jak długo może trwać stan wojenny w Polsce to pierwsze, po drugie czemu on ma służyć na dłuższą metę? Otóż pierwsze pytanie. Odpowiedź na pierwsze pytanie. W moim przekonaniu on musi trwać dość długo, nie miesiąc nie dwa, może rok, a może nawet dwa. Dlatego, że on musi doprowadzić do zdyscyplinowania społeczeństwa. A tu nie chodzi mi o zdyscyplinowanie w tym sensie, że nikt nie będzie mógł gęby otworzyć, tylko że stan wojenny musi doprowadzić do poszanowania tego zwyczajnego porządku i ładu — rozumiesz — bez którego po prostu żadna struktura gospodarcza nie będzie pracować. Bo trzeba po prostu tego

rozpędzonego rozhukanego konia jakby zwolnić jego bieg, truchtem niech on biegnie, a nie galopem i to nie patrzac na to, czy to jest droga, czy to są jakieś mokradła, coś takiego. To jest pierwsze. Drugie, on musi — takie jest moje założenie — powinien odegrać, być parasolem, pod którym dokonuje się konieczna i gruntowna przebudowa struktur życia państwowego i społecznego w Polsce. Tylko ta przebudowa przecież nie może w żadnym przypadku oznaczać powrotu do starego, bo wtedy jest gotowy kolejny konflikt, może nawet nie wybuch, lecz konflikt w łonie *establishment*'u, prawda, przesilenie bo ta polityka dzisiaj, jeżeli chodzi o polityków w Polsce, tych którzy decydują, to jest to mieszanina różnych sposobów myślenia, różnych szkół powiedziałbym: obok liberałów, pół-liberałów, są ludzie, którzy dyszą odwetem. Wszystko to taka zmiana może wywołać i spowodować. Otóż generał stanął przed zadaniem znacznie dzisiaj trudniejszym, aniżeli w poprzednią sobotę, kiedy nacisnął ten guzik. Mianowicie on użył takiej formuły, że w Polsce musi dokonać się druga rewolucja. Tak, bardzo to dobra formuła, tylko tę formułę trzeba rozszyfrować, rozumiesz. A ona mieści w sobie konieczność na przykład kontynuacji reform, które zostały zapoczątkowane w tych piętnastu miesiącach niezależnie od tego, w jakim stopniu doradcy „Solidarności” czy ci, którzy byli przez nich kierowani, odcisnęli piętno na tych ustawach czy uchwałach, ustawach — głównie były takie, które zmieniały strukturę państwa polskiego czy układów gospodarczych i politycznych...

Ta formuła, druga rewolucja, zawiera to, czyli kontynuację głównego kierunku zapoczątkowanego po sierpniu, ale ona musi nawet pójść dalej, ta kontynuacja. To jest druga sprawa, mianowicie Polska jeżeli ma funkcjonować jako normalne państwo, normalne myśleć w tym sensie, że po prostu będzie akceptowane i będzie tworzyło warunki dla rozwoju gospodarczego i społecznego, to gruntownej nie tyle przebudowie, co pewnej zmianie muszą ulec wszystkie struktury istniejące w tym państwie — rozumiesz — nie tylko struktury państwowe, lecz i partyjne i społeczne. A więc na przykład na porządku dziennym stoi bardzo ostro zagadnienie powołania nowej, stworzenia nowej partii komunistycznej i nowych organizacji, nowej partii chłopskiej i nowej partii demokratycznej. Te wszystkie struktury one umierały w istocie rzeczy w ostatnich latach i dogorywały w ostatnich piętnastu miesiącach, a umarły wraz z wprowadzeniem stanu wojennego, rozumiesz. Jeżeli chcesz teraz stworzyć nowe, demokratyczne państwo polskie — oczywiście biorąc pod uwagę różnego rodzaju konieczności, jakie funkcjonują w świecie — to musisz pójść na gruntowną przebudowę tych struktur. Rozumiesz? Jeśli się tego

nie uczyni w dającym się przewidzieć czasie, w najbliższych tygodniach, bo tygodnie decydują, to niestety, ale trzeba założyć, że stan wojenny nie przyniesie pożądanych rezultatów.

Kolejna sprawa. Stan wojenny, jak już powiedziałem, z natury swojej jest represyjny, ma tego ducha represji wmontowanego we wszystkie dekrety i teraz powstaje pytanie, jak długo możesz tym duchem represyjnym się posługiwać na krótką metę. On może funkcjonować i możesz używać tego narzędzia wtedy, kiedy ci robią na przykład strajk nielegalny, coś takiego — ale stan represyjny nie zrodzi bazy społecznej. Musisz tworzyć bazę społeczną, czyli na porządku dziennym staje znowu sprawa porozumienia narodowego i budowania układu partnerskiego. Jeżeli chodzi o pierwszą sprawę, to decydującym czynnikiem musi być dzisiaj Kościół katolicki, który też jest miotany, wiesz, różnymi namietnościami, przy czym tutaj niewątpliwie jest widoczny brak Stefana Wyszyńskiego, bo u nas w Biurze Politycznym nie ma jedności, ale w biurze politycznym Episkopatu też nie ma jedności (*śmieje się w tym momencie*) i też Prymas — wiesz — jest przez jednych mniej akceptowany, przez innych bardziej, to nie jest już ta postać, jaką był kardynał Wyszyński, rozumiesz, ale niezależnie od tego Kościół ma tu do odegrania wielką rolę, tylko znowu powstaje pytanie, czy dzisiaj kierownictwo Kościoła, tak jak powiedzmy kierownictwo partii, rozumie co się stało. Czy rozumie to, że nie ma powrotu do odtworzenia układów sprzed trzynastego sierpnia, rozumiesz? Bo ja na przykład mam taką tezę, że nie ma, jeżeli chodzi o partię, że nie ma powrotu, ani nie ma możliwości odtworzenia układu sprzed sierpnia ubiegłego roku, ani sprzed trzynastego grudnia tego roku. Natomiast Kościół, tak jak ja obserwuję te wszystkie rozmowy, wysłuchuję tych relacji i tych listów — wiesz — od Papieża i z powrotem i tu Glomp itd. Kościół akceptuje tylko jeden, jak na razie, jeden członek tej mojej tezy, mianowicie, że nie ma powrotu do okresu sprzed sierpnia. Ale w swoich poczynaniach chce odtworzyć stan sprzed trzynastego grudnia. To też jest niemożliwe. Z tej chęci odtworzenia na przykład wynika taka zjadła obrona tej „Solidarności”, która była... przy tym ta obrona to taka pełna niedomówień. My wiemy, że ta „Solidarność” to niezupełnie, ale... i na czoło wysuwa się znowu „Solidarność”, to główna siła, Wałęsa to główny, że tak powiem, idol, słowem, jak dotychczas, to ze strony Kościoła płyną życzenia reaktywowania całego układu, z lekką taką poprawką, że trzeba ich przywołać do porządku, prawda. Mazowiecki na pewno będzie teraz dobrze pisał — ja upraszczam — ale widzisz, to jest to rozumowanie. Otóż nieprawda.

## TAŚMA DRUGA

RAKOWSKI: — To są złudzenia, jeżeli ktoś uważa, że po takim wielkim wstrząsie i po tak jednak silnym uderzeniu te wszystkie zanachronizowane zespoły „Solidarności” po tym brutalnym działaniu — koniecznym w moim przekonaniu — by uchronić Polskę przed jeszcze gorszą rzeczą. [? — Red.]. To powrotu do tego nie ma, to znaczy jeżeli my musimy szukać teraz nowych rozwiązań, wcale nie wiem czy znajdziemy, ale taka woła musi istnieć, to Kościół też musi szukać nowych rozwiązań — wiesz. Czy potrafi, czy zechce, to trudno mi powiedzieć, odpowiedzieć na to pytanie — rozumiesz.

LEWANDOWSKI: — *Pozwól, że ci przerwę i zadam pytanie — tylko poczekaj, wezmę sobie coś do picia, dobrze? Bo mi zaschło w gardle. Chcę wrócić do informacji. Zaczęłeś od tego, żebyś postarał się o zrozumienie wśród partnerów na Zachodzie waszej pozycji — waszej rozumiem Jaruzelskiego i twojej — i nie wpychanie generała w ramiona innych. Na pewno moi partnerzy odpowiedzą na to drugim pytaniem. Jakie stoją za wami siły, na jakich siłach się opieracie. Powiedziałeś, że wy i Kościół musicie pomyśleć o nowych formach. Tymczasem w kraju w tej chwili ta władza składa się z co najmniej trzech członów. Dwa członki — MSW i aparat partyjny — działają na własną rękę nawet bez waszej wiedzy. Na kim się opieracie wobec tego? Kto za wami stoi? W sytuacji, w której społeczeństwo zaszokowane stanem wojennym powoli z tego szoku wychodzi i wyjdzie do opozycji — czy ktoś chce czy nie chce — w sytuacji, w której do tej opozycji zresztą będzie też wepchnięty przez taki krok jak na przykład aresztowanie grupy profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, o czym wyście nawet nie wiedzieli. I nie akceptowali, prawdopodobnie.*

R.: — Tak, to wiesz tak po pierwsze, to jeżeli chodzi o działania tych ośrodków władzy. Oczywiście jest rzeczą jasną, że te ośrodki funkcjonują, z tym, że ośrodek, który się nazywa aparat partyjny funkcjonuje bardzo słabo, bo on nie dysponuje w tej chwili żadnym poważniejszym zapleczem.

L.: — *Ale na prowincji? Ale na prowincji rozlicza się.*

R.: — Rozlicza się, choć pilnujemy tego. Czy pilnujemy w dostatecznym stopniu, to jest zupełnie inna sprawa. Werbalnie ostrzegamy każdego dnia. Faktycznie nie jesteśmy w stanie na skutek



braku czasu w tych dniach po prostu łąpać te wszystkie przejawy odgrywania się czy też po prostu brania odwetu. Takie tendencje występują — to jest jasne. Ja myślę, że one nie są zbyt groźne. Dlatego, że gdyby się przerodziły w jakąś bardziej masową akcję, to ci ludzie zostaliby przywołani do porządku dziennego — nawet przez swoje otoczenie, które dostatecznie wie, czym to grozi. Ze strachu by zaczęło przeciwdziałać temu, choć przyznaję, że jest to sprawa bardzo istotna i ważna. Drugi członek tej władzy — MSW. No wiesz, MSW w każdym systemie ma swoje własne prawa, a w naszym jeszcze większe. I co my robimy? No, po prostu pilnujemy tego. Ja miałem już kilka takich poważnych jakby kłótni w tym dyrektoriacie, wiesz, w tej grupie, która teraz, wiesz, w jaki sposób to określa rozwój polityki czy też politykę właśnie w tych wszystkich sprawach. I muszę tutaj zresztą powiedzieć, że Wojciech również w sposób niezwykle powiedziałbym stanowczy występuje przeciwko wszelkim próbom uproszczenia w ocenach ludzi no i tak dalej. Nie ulega wątpliwości, że niektórzy faceci z MSW wykorzystali tę okazję, żeby się policzyć z tymi, którzy im — jak oni to mówią — zaleli tyle sadła za skórę. Prawda, no. Jest faktem, że na przykład o internowaniu profesorów z Uniwersytetu Jagiellońskiego myśmy nie wiedzieli.

L.: — *To ma swój wydzwięk.*

R.: — Ma swój wydzwięk, więc ja tylko to, co złapałem tutaj w Warszawie, spowodowałem zwolnienie Goldfingera-Kunickiego, rozumiesz, i tam jeszcze jednego profesora. Wczoraj tam walczyłem o nową grupę ludzi, których już zwolniono. Wczoraj i dzisiaj się zwalnia, ponieważ uważam, że po prostu nawet jeżeli trzeba było kogoś izolować na jakiś czas, to należało izolować nie z paragrafu, że on — wiesz — był opozycjonistą, że był takim owakim, że mówił, czy pisał źle, to znaczy że pisał w duchu wrogim wobec nas, rozumiesz. Z tym, że przyznaję, że jest to trudna walka i ja na pewno sobie nie zyskuję tam opinii, ale pies ich trącał. Natomiast tu Wojciech z całą konsekwencją występuje przeciwko tego rodzaju samowoli, co więcej, no wiesz, powiedział po prostu, że on ponosi odpowiedzialność za to dlatego, że widzi u siebie winę, ponieważ po prostu nie wpadł na to, by w natłoku całych tych wszystkich spraw zażądać listy tych osób, których tamci chcieli internować. No ale to jest proces tutaj, po prostu wiesz, który trwa, to znaczy proces zwalniania tych ludzi, zwłaszcza z tego świata intelektualnego. Ja zresztą wygłosiłem wczoraj, dzisiaj w nocy, taką tezę, że jeżeli

chodzi o inteligencję, to ja ją dzielę z grubsza na takie trzy ugrupowania. Wąska grupa doradców, która pchała „Solidarność” na tę drogę, czyli w stronę nieszczęścia i uważam, że ci ludzie moralnie lub inaczej powinni odpowiadać za to, bo igranie z ogniem to raz, a dwa po prostu bawili się losem narodu. Nie po raz pierwszy zresztą inteligencja polska odegrała, czy część inteligencji, taką rolę.

Druga grupa inteligencji — ja mówię o twórczej inteligencji czy tej, która na obrzeżach twórczej inteligencji funkcjonuje — druga grupa to klasyczna opozycja, antykomunistyczna, taka wiesz, no która nie walczyła przeciwko nam, ale funkcjonowała na zasadzie odrębności poglądów i nieuznawania tego, co działo się w Polsce nie tylko teraz, ale w ostatnich 36 latach. I wreszcie trzecia grupa najliczniejsza to jest ta, która pod koniec tego żywiołowo rozwijającego się procesu, po sierpniu, uznała, że „Solidarność” jest największą siłą w państwie polskim, wobec czego trzeba stanąć po stronie silniejszego, rozumiesz. I teraz tak — ani w stosunku do tej drugiej grupy, dość wąskiej, ale na czele z ważnymi nazwiskami nieraz, ani w stosunku do tej grupy trzeciej nie wolno stosować represji. Bo to mnie prowadzi do twego następnego pytania, najistotniejszego. Dlatego, że tutaj te, powiedziałbym, niesprawiedliwości, które popełniono można w jakiś sposób przy pomocy mądrej polityki, mądrego postępowania, no, przynajmniej wyłagodzić. Przypomnij sobie, że Kadar po '56 roku zamknął na wiele lat do więzienia najwybitniejszego pisarza węgierskiego, pamiętasz? Tak. Zapomniałem jego nazwiska. A to była wielkość. Potem został zwolniony i do końca życia mieszkał w Budapeszcie, a pierwszym, który go odwiedził po wyjściu z więzienia, był Kadar. Rozumiesz? Są takie konieczności w życiu. Natomiast to można zrobić, to znaczy to można wyrównać, te krzywdy, bo niewątpliwie ludzie wychodzą z tego obolali — wiesz — posiniaczeni w sensie psychicznym, prawda, no, — rozmawiałem z kimś, z jednym z moich ministrów, który otrzymał polecenia porozmawiania z jednym z profesorów, którego zresztą zamknięto, po jednym dniu wypuszczono, ale z głupoty takiej, chamskiej takiej głupoty zamknięto. Ja go się zapytałem niestety, jak on reaguje, ten człowiek. No on mówi: sprawa wrażenia człowieka, który już pożegnał się z Polską, wiesz. Otóż rzecz polega po prostu na tym, dlaczego to tak ważne. Bo to prowadzi, już nie prowadzi, ale to jest ta sprawa bazy społecznej. Ale w naszym kraju w ogóle niebezpieczeństwo polega w tej chwili na tym, że jeżeli wojsko użyte do szlachetnego celu — no, ja rzeczywiście uważam, że Polsce groziła klęska totalna, totalna klęska — użyte do szlachetnego celu, jeżeli to wojsko pozostanie w pustce to

tak — musi zacząć stosować przemoc, musi wejść na drogę terro-  
roru. Ponieważ przemoc będzie wywoływać konspirację, odpo-  
wiedź na konspirację może być tylko jedna: coraz surowsze  
poczynania, rozumiesz, i dlatego tak ważną sprawą jest stwo-  
rzenie bazy społecznej. My teraz przygotowujemy Wojtkowi taką  
deklarację, którą pod koniec tego roku powinien wygłosić: do  
czego dążymy, o co walczymy, rozumiesz. Ma być to taka dekla-  
racja, która tutaj stworzy warunki dla powstania nawet szczupłej  
bazy społecznej, czy zaplecza społecznego. Czy są tacy ludzie,  
którzy chcą wziąć udział w tworzeniu takiej bazy? Są. Ponieważ  
reakcja na to co się stało jest reakcją bardzo mieszaną. Ja roz-  
mawiałem na przykład z kilkoma intelektualistami, którzy nawet  
są w stanie zrozumieć internowanie swoich przyjaciół, pod warun-  
kiem, że taka struktura, która się wyłoniła ze stanu wojennego lub  
sytuacja, którą stworzył stan wojenny otworzy drogę do wielkiego  
porozumienia. Tu znowu wracam do sprawy Kościoła, bo jeżeli  
Kościół chce tylko w kategoriach moralnych rzecz całą widzieć  
lub uważa, że kategorie moralne mądrze nawet użyte pozwolą mu  
stać się głównym czynnikiem w państwie polskim — to to jest  
błąd. Kościół też musi pójść na pewne ustępstwa, bądź też ustęp-  
stwa rozumiane w tym sensie, że rozumie sytuację w jakiej Polska  
się znalazła i zagrożenia, które powstają dzisiaj. Te zagrożenia,  
o których mówiłem przed chwilą: brak bazy społecznej, represje,  
terror, konspiracja, rozumiesz. Taki rozwój wydarzeń, który gdy-  
by miałby nastąpić to po pierwsze on odrzuci cały szereg ludzi  
od tego co jest, mnie też odrzuci oczywiście i przekreśli, na wiele  
lat może przekreślić, na dziesięciolecie jakąkolwiek szansę na stwo-  
rzenie czegoś nowego w Polsce, bo terrorem czasem można dość  
długo rządzić, ale oczywiście u końca tego jest klęska terroru,  
prawda. Ale wiesz ja tak obserwuję teraz po ludziach, nawet  
zaczęłam dostawać znowu pierwsze listy po tym trzynastym. No,  
to jest po prostu sporo ludzi, którzy gotowi są uczestniczyć w  
czymś nowym, w jakichś zabiegach, które zmierzają, powiedział-  
bym, do ustabilizowania sytuacji, ale pod warunkiem, że ta stabi-  
lizacja będzie się dokonywać właśnie na gruncie przestrzegania  
norm demokratycznych. Ale w tych listach jest sporo takich,  
których autorzy mówią: no, nareszcie, teraz pokażemy, co po-  
trafimy! Otrzymuję też tam takie meldunki z terenu, piszą to  
oczywiście faceci w komitetach wojewódzkich, nie? Piszą, że  
aktyw jest teraz, prawda, bojowy, i tak dalej. Otóż tworzenie  
bazy społecznej uważam za rzecz najważniejszą. I teraz w zwią-  
zku z tym jeszcze jeden element tej sytuacji. Czynnikiem związany  
z tą bazą społeczną. Ja osobiście uważam, że nie należy w tej  
chwili reaktywować związków zawodowych. Również nie należy

podejmować starań na rzecz tworzenia odnowionej „Solidarności”. W moim przekonaniu ten, że tak powiem, układ związkowy powinien być na jakiś czas zamrożony, rozumiesz. Dlaczego? Otóż dlatego, żeby po prostu po pierwsze — no miliony tych członków „Solidarności” czy w ogóle miliony członków związków zawodowych. [? — Red.]. No tak na marginesie ci powiem, że było to wielkie kłamstwo, że „Solidarność” liczy 10 milionów ludzi. Liczyła raptem 6 milionów, to niemało, tylko to nie jest 10 milionów. A myśmy to łatwo podliczyli, bo to się podlicza na podstawie składki związkowej, którą się potrąca z listy płacy. Tam jest napisane... Oni mówili 10 milionów, a branżowcy mówili 4 i pół — pięć, a mieli dwa i pół. Ale dwa i pół miliona mieli. Tylko, że wiesz ten atak cały, prawda, ta pewność siebie, ona, że te 10 milionów, to była ta część tej pewności siebie, rozumiesz. Dziesięciomilionowy związek i każdy to powtarza, ale to tylko na marginesie. Natomiast uważam, że po prostu to obolałe społeczeństwo, te obolałe solidarnościowe masy muszą mieć czas na pewne, wiesz, przemyślenie różnych spraw. To jest pierwsze. Po drugie reaktywowanie związków zawodowych dzisiaj — to jutro znaczy ten sam bałagan, czy i bajzel w zakładach pracy. Na nowo wraca to wszystko, co było do trzynastego, to znaczy protesty, teleksy, przestoje, dyskusje. Przecież to społeczeństwo nie pracowało, pamiętaj o tym. Z tym, że jak mówiłeś: ludzie, przecież jesteśmy żebrakami Europy, to w ogóle nie trafiało do nikogo. I dlatego ja uważam, że najbliższa perspektywa Polski, powiedziałem to generałowi parę razy, jeszcze mu dzisiaj rano nawet napisałem taki liścik, gdzie mu napisałem, że ty, że tobie wolno występować tylko jako, znaczy, ty powinieneś mówić, ciągle grać na jednym, a mianowicie użyłeś wojska po to, by zaprowadzić porządek i ład w Polsce, by przeciąć politykierstwo, by nie dopuścić do śmierci gospodarki, by nie dopuścić do osłabienia... [przerwa]. Taki powinien być kierunek działania, jeśli chodzi o twoją politykę. Tak, że ta nieszczęsna propaganda w rękach tego Funia — Stefan Olszowski — ograniczony jak diabli człowiek. Ona nie powinna mówić słowa o kontrewolucji, o spiskach — bo to nie trafia, to nie o to chodzi. Ja być może dlatego, że pochodzę z Poznańskiego i mam wielki szacunek dla państwa jako instytucji, wiesz, i Prusacy jakoś tam moją rodzinę podchowali, a ja jeszcze korzystałem z tego. Ja uważałem i byłem święcie przekonany i jestem nadal, że naczelnym zadaniem każdej siły politycznej w Polsce jest utrzymanie państwa polskiego. Myśmy tu czasem tak żartowali z Wojciechem, że jak były takie czy inne rozmowy, Wojtek tak mówi: to powiedz im, czy chcą mieć prawosławnych tutaj. I naprawdę na tym by to się

skończyło i Europa by jęknęła i z czasem jakoś by się z tym pogodziła, jak zawsze, rozumiesz.

I dlatego uważam, że zdobywanie tej bazy społecznej może się też odbywać tylko na gruncie tych haseł i tych celów. Chciałem położyć kres anarchii — bo była. Chciałem nie dopuścić do rozpadu państwa polskiego — bo się rozpadało. Chciałem skończyć z politykierstwem — bo było, wszędzie. Nie tylko w związkach zawodowych, rozumiesz. W ten sposób — w moim przekonaniu — można liczyć się z tym, że w perspektywie wcale niewielkiej, niezbyt długiego okresu czasu możesz pozyskać sporo ludzi w Polsce, umęczonych tym co było. Zresztą pamiętaj o tym, że w ostatnich miesiącach zaczęła zmieniać się sytuacja, iż na przykład jeśli chodzi o stosunek do „Solidarności” — on już nie był pełen zachwytu — niemal przez każdą rodzinę przebiegały podziały, jedni byli za, drudzy byli przeciwko, jedni uważali, że to są wspaniali herosi naszych czasów, inni uważali, że to są głupcy albo awanturnicy. To już nie było tak, że cały naród, wiesz, z podziwem patrzył na „Solidarność”. Oczywiście jak tę „Solidarność” teraz uderzysz lub ustawisz w kącie i powiesz, że to jest siła kontrewolucyjna — to trzy czwarte narodu albo trzy czwarte tych, którzy byli przeciwko „Solidarności” powiedzą: o, nie, rozumiesz. Tylko wytłumaczyć to niektórym głąbom u nas — to bracie — to prawdopodobnie, gdybyś wziął kapustę i tłumaczył, to byś szybciej, że tak powiem, szybciej by to zrozumiała niż taki głąb, który ma — kurcze — jednak mózg, nie? A kapusta nie ma mózgu. Tak ja widzę tę sprawę... [przerwa].

L.: — *A jednak tylko socjalistyczni ludzie ten punkt w rozumowaniu mają wątpliwość i pewien niepokój nawet. [? — Red.]. Jedną z głównych spraw jest czy ty uważasz, że jest czas na to, żeby społeczeństwo trochę mimo ataków opamiętało się i zastanowiło się. Otóż w życiu społecznym takich momentów nigdy nie ma i nie będzie, to jest w ogóle niemożliwe, żeby całe społeczeństwo czy nawet jego większość zgodziła się poczekać na to, jak wy się ustawicie, jak się Kościół ustawi, jak się ono samo ma ustawić do tej swojej najbliższej przyszłości. Mechanizmy polityczne i gospodarcze działają automatycznie. Już się stworzyła, już jest określona sytuacja, która — powiem otwarcie — stawia was w bardzo niekorzystnej sytuacji — i w sytuacji izolacji od społeczeństwa i izolacji w samej władzy.*

R.: — No wiesz, ta linia, o której mówisz...

L.: — *Po pierwsze to także, ja..., ja nie wiem jak to, jak na to, jak na to odpowiesz, ale element czasu dla mnie jest tutaj...*

R.: — Jeżeli masz tylko jedną wątpliwość...

L.: — *Ja mam sporo wątpliwości na temat o tym...*

R.: — Jak ja mówiłem o tym, że społeczeństwo powinno mieć czas na zastanowienie się, to oczywiście nie myślałem, że ono po prostu będzie nieaktywne lub przestanie reagować na to co my robimy, nie. Ja po prostu myślę o czymś innym, że to jest wzburzone morze — nasze społeczeństwo — i w tym sensie uważam, że nawet dla wyjścia na prostą potrzebne jest uspokojenie, czyli może to brzmi zbyt idealistycznie, ale jest potrzebna pauza, na refleksję, ale to nie znaczy, że my nie powinniśmy na przykład podrzucać, powiedziałbym, tematu do tej refleksji, oczywiście nie w ten sposób właśnie, jak robi to Funio, którego nie lubię, правда. Ja tylko, wiesz, ja sam myślałem o sobie niejednokrotnie i o swoich najbliższych czy przyjaciółach, spędzałem całe godziny na różnego rodzaju dyskusjach. Mnie też, to był też dla mnie szok, potrzebna jest chwila refleksji i chwila, która może trwać wiele miesięcy nawet, w tym sensie ja myślałem. Natomiast druga sprawa. Mówisz tak, społeczeństwo nie czeka. Niezupewnie bym się z tym zgodził dlatego, że społeczeństwo po pierwsze jest bardzo różne. Ja dostawałem właśnie gęziej skórki, jak ci działacze „Solidarności” tutaj przychodzili do mnie i mówili w imieniu społeczeństwa. Rulewski mówi: panie premierze, społeczeństwo żąda, społeczeństwo domaga się... Ja mówię: ja też jestem członkiem społeczeństwa, a wcale się nie domagam. To co: całe społeczeństwo? Otóż ja nie sądzę, że to jest tak, jak ty mówisz. Społeczeństwo po pierwsze jest dziś bardzo zróżnicowane. Teraz powiadasz, że już jesteśmy w izolacji. Po pierwsze my i społeczeństwo. Trudno mi na ten temat dziś się wypowiadać, dzisiaj to Obodowski zrobił pierwszą naradę taką, powiedzmy: są dyrektorzy, wziął dyrektorów z 30-tu fabryk, by się trochę dowiedzieć, co tam się dzieje w środku, rozumiesz. Jest rzeczą pewną, jeżeli się zrobi dzisiaj ankietę na temat popularności Jaruzelskiego czy też rządu, to przypuszczam, że zero byłoby na to odpowiedzią, to jest jasne. Chociaż mogłoby być też inaczej, ale bardzo w to wątpię.

Dlaczego ono jest przeciwko nam dzisiaj? Ja myślę, że to przede wszystkim wynika z tego szoku, ale ono nie bardzo wie, czego my chcemy. Poza tym po wystąpieniu Wojtka, dobrym wystąpieniu — w moim przekonaniu — że ono już nie uzyskało... [? — Red.]

L.: — *Czy to jest prawda, że Rosjanie nie byli zadowoleni z tego, że on pominął partię?*

R.: — Nie, nieprawda, nie.

L.: — *Ale skoro przy tym jesteśmy, to dlaczego nie pojechał do Moskwy na urodziny Loni?*

R.: — No, po prostu, myśmy to rozważali i wspólnie myśmy uznali, poza Funiem właśnie, który mówił, że właśnie ktoś powinien pojechać. Nie, nikt nie pojechał. Myśmy to rozważali i wyszliśmy z założenia, że podróż jego do Moskwy nawet na tak wielką rocznicę i tak wielkie wydarzenie byłaby nietaktem dla społeczeństwa..., byłby to krok niezręczny, po prostu — wiesz. Teraz mówisz izolacja, nasza izolacja w samym aparacie władzy, znaczy, czy myślisz, że izolację Wojciecha, moją, tak jeszcze dwóch, trzech innych?

L.: — *(nie do odcyfrowania).*

R.: — No, jakby ci to powiedzieć. Ja te przejawy izolacji też widzę. Widzę nawet niebezpieczeństwo stąd płynące, po prostu problem polega na tym, że ten przewrót od razu uskrzydlił tych wszystkich, którym trzęsły się nogawki przez ostatnie miesiące, rozumiesz. No i jak mówił Dmowski: jak zawieje wiatr historii, to wpiery śmiecie leci do góry, rozumiesz. Tak było. Już takich tych wielkich, znaczy tych, których ten wiatr już w przeszłości kilka razy tak szalenie wzbijał to śmiecie do góry, teraz też wzbijał. Ja może jestem na to uczulony, bo Wojciech zawsze mówił, nie przejmuj się, ja nie pozwolę, postawimy skuteczną tamę tym ludziom. Ale to się tak mówi, a potem jest praktyka, przecież nie upilnujesz każdego gnojka, który ci robi takie czy inne rzeczy.

### TAŚMA TRZECIA

RAKOWSKI: — Jest niebezpieczeństwem wielkim może nawet nie tyle dla nas w tym seensie, że ta linia musi się załamać, tylko tego rodzaju śmiecie wzbija się do góry i utrudni porozumienie ze społeczeństwem, wydłuży ten okres działań na rzecz osiągnięcia porozumienia. Bo ja to obserwuję w telewizji. Tam nie ma żadnych nazwisk do tej pory, wiesz nazwisk znanych.

LEWANDOWSKI: — *Czy rozlana krew tam w kopalni to za waszą wiedzą, czy to tylko was tak poinformowano?*

R.: — Nie, to było w ten sposób, że Wojciech od pierwszego dnia, nie, nie było takiej rozmowy, wiesz, z szefem sztabu i z sze-

fem policji, podało się ostrzeżenie, że nie wolno używać broni. Każdy dzień, który kończyliśmy z takim westchnieniem ulgi: na szczęście ani jedna kropla krwi się nie przelała, chociaż byli ludzie z dala od nas stojący, którzy mówili, że taka operacja musi, niestety, spowodować również rozlew krwi. W tym konkretnym dniu, w którym to się stało, myśmy otrzymali, to znaczy generał Kiszczak, szef MSW, bardzo zresztą fajny chłop, wojskowy co — to jest też bardzo ważne — nie ma mentalności policjanta. W trakcie obrad naszych, nie pamiętam, która była godzina — to było południe — otrzymał karteczkę od adiutanta Wojciecha, że ten szef komendy MO w Katowicach prosi go do telefonu. On poleciał, przyszedł i powiedział, że ten pułkownik pyta i prosi o prawo do użycia broni, ponieważ sytuacja w kopalni jest krytyczna. Zresztą tam mieli takie piki, rozumiesz, coś niebywałego, jedna taka na dwa metry, taki pręt metalowy z taką rączką przyszwajowaną i zaostrzony, to rozpalali w kuźni i to rzucali do tych milicjantów, którzy mieli tarcze plastikowe.

I ten rozpalony, wiesz, pręt przebija od razu. Tak, że milicjant stał na jakiś metr, półtora metra od tego atakującego, wiesz, i był bezbronny, bo ta tarcza nie pomagała. Na to Wojciech powiedział — w żadnym wypadku, wydaj im takie polecenie — i ten poleciał po raz drugi do telefonu, ja jeszcze dobiegłem, powiedziałem — słuchajcie, ponieważ są to Katowice, wiesz, twierdza w gruncie rzeczy jakiegoś obskurantyzmu czy dogmatyzmu w tych władzach — to ja mówię: słuchajcie generale, powiedzcie tam temu komisarzowi wojskowemu, żeby stał przy komendancie MO, by pilnował. I nie mam jeszcze raportu prokuratury, bo ona bada szczegółowo, trzeba będzie ją zmusić, żeby bardzo szczegółowo zbadała, ale zdaje się, że w momencie kiedy pułkownik się pytał — to już było po, rozumiesz. Że oni sami podjęli decyzję.

L.: — *Dlaczego o to pytam, bo dla mnie nie ulega wątpliwości, że ta sprawa odizolowała was bardzo mocno. Jeszcze bez tej sprawy prawdopodobnie to co mówisz mogłoby się przy dużych oporach, trudnościach, przy tym okaleczeniu przede wszystkim inteligencji polskiej, która tego nigdy nie zapomni. [? — Red.]. Na przykład to co w Krakowie się stało już w tej chwili ma psychiczny związek z najgorszym okresem w historii polskiej.*

R.: — Słuchaj, ja nie znam tej sprawy krakowskiej — ja się zainteresuję tym, zapisuję ją teraz.

L.: — *Jeszcze delegacje zagraniczne jak Estreicher oprowadzał po Jagiellonce, ja byłem często uczestnikiem takich grup, to przede*



*wszystkim zaprowadzało się ich do tablicy ku czci tych, którzy zostali aresztowani w momencie kiedy...*

R.: — Więc zaczynając od tej drugiej sprawy, jak ci powiedziałem, ja nie znam, zaraz się tym zainteresuję, choć uważam, powtórzę to co mówiłem, że są to sprawy do wyrównania, do załagodzenia, chociaż muszę tu znowu powiedzieć, boję się, że to zostaną ślady na długie lata. To jest jedna sprawa. Druga kopalnia „Wujek” i kopalnia „Wujek” jako mur, że tak powiem, który powstał między nami i społeczeństwem. Powiem ci, może to jest cyniczne, ale w końcu żyjemy w określonym świecie, to znaczy nie myślę o Europie wschodniej, ale w ogóle w świecie. Pani Thatcher zagłodziła na śmierć dziesięciu więźniów i nie będzie to jej — tak powiem — policzone za wielką zbrodnię, o ile potrafi w moim przekonaniu rozwiązać ten problem, o który ci więźniowie walczyli. Jeżeli z tego wielkiego nieszczęścia, z tego morza chaosu wyłoni się Polska rzeczywiście, powiedziałbym, możliwa do akceptacji, to jest przedmiot moich codziennych rozmów z Wojciechem, dzień w dzień na tym dyrektoriacie też to wtedy można rzeczywiście powiedzieć, że te ofiary chociaż nie były konieczne, ale nie poszły na marne, wiedz, ja tak na to patrzę. Popatrz przyjacielu, no według mnie choć myśmy tego nie wliczali przecież, ale w istocie rzeczy jak wprawiasz w ruch coś takiego, to w zasadzie musisz z góry się liczyć, że coś takiego może być.

L.: — *To ja też odpowiem cynicznie. Nie chodzi mi tutaj o jakąś polemikę z tobą, tylko chodzi mi o uściślenie pewnej bardzo zasadniczej sprawy. Pani Thatcher jak zagłodziła na śmierć to zrobiła to mając za sobą poważną bazę polityczną, gospodarczą, która ją w tej sprawie poparła. Natomiast tutaj, to co się stało — może też cyniczne sformułowanie — ja na to patrzę tylko i wyłącznie w tej chwili od strony polityki. To zostało dokonane, czy to zostało dokonane świadomie, czy nie, ale to stworzyło przepaść między wami a społeczeństwem, bo to w tej chwili urosło do symbolu, tak jak symbolem były ofiary w Gdańsku w '70 roku, stały się symbolem i czego się boję, że w momencie, kiedy — to co narysowałeś — zacznie się jakiś dialog ze społeczeństwem, z Kościołem, żeby przy utrzymaniu stanu wojennego w sytuacji, w której — sam przyznajesz, Wojtek i inni też — nie panujecie nad tymi aparatami, które działają...*

R.: — Staramy się panować.

L.: — *... to może znowu powstać podobnie, zwłaszcza, że w spo-*

*łeczeństwie są nastroje rosnącej opozycji, ta młodzież szuka na pewno konspiracji. Jestem przekonany, że te konspiracje już się narodziły, i że nie będzie trudno albo sprowokować albo nawet...*

R.: — Słuchaj, ja to rozumiem w ogóle wszystko i dostrzegam te niebezpieczeństwa, tylko wróć do przeszłości. Kiedy już było widoczne, że zbliżamy się do wielkiego dramatu, bo tutaj widać było, że przywódcy „Solidarności” zresztą szaleli, naprawdę tak było, że wiesz, ja, znasz mnie dziesiątki lat i wiesz, że możesz na przykład powiedzieć, że w takich czy innych ocenach myliłem się, ale nigdy nie byłem histerykiem, nigdy. Zawsze dość trzeźwo patrzałem na to wszystko, co się działo w Polsce. Otóż kiedy to szło w kierunku wielkiego nieszczęścia, bo ten 17 [? — Red.] grudzień miał być demonstracją siły — tu zresztą najgorszą rolę odegrał region „Mazowsze”. To rzeczywiście był ośrodek, między nami mówiąc, kontrrewolucji. To już Siła-Nowicki też przedwczoraj mówił: wie pan, jak wchodziłem do tego budynku to byłem przerażony, po prostu, nastrojami. Ale kiedy tak już ten złowieszczy rozwój widać było wyraźnie, to ja powiedziałem Wojciechowi: słuchaj, jest jeszcze jedno wyjście. Mianowicie zwołać szybko krajową konferencję partyjną, wejdiesz na trybunę i powiesz: podjąłeś się próby zbudowania czegoś — nie wyszło. Jeszcze wierząc że można objąć przywództwo partii. W związku z tym, że nie udały się wszystkie twoje cele, twoje zamiary, proponujesz dokonanie wyboru nowego składu KC i władza przejdzie w ręce innych, czyli Kociołka, Grabskiego, Funia — w porządku. Ja to powtarzałem kilka razy, na to argument Wojtka, zresztą powtarzałem, mówiłem o tym argumentacie, używałem tego argumentu także w rozmowach z innymi zaprzyjaźnionymi ludźmi. Na to odpowiedź była taka: a to znaczy, że ty chcesz po prostu doprowadzić do tego, by ten kraj był skąpany we krwi. To pierwszy zarzut. Bo tak by było — to nie ulega wątpliwości. A drugi — pamiętam jak mi ktoś powiedział: to znaczy, że po prostu uważasz, że powinniście uciec, zdezerterować. Będziecie mieli, ludzie będą mieli podstawy do tego, by powiedzieć, że jesteście tchórzami. To są, oczywiście, drogi Bohdanie, dylematy moralne, piekielnie trudne. Co ty myślisz, że ja nie zdaję sobie sprawy z tego, co, jakie przepaści zostały tu wykopane między mną na przykład a częścią społeczeństwa? To wiem wszystko. Tylko jak postąpić w takich sytuacjach? Najchętniej, tak wiesz kierując się swoim dobrem, powinienem uciec z tego interesu, tak? A gdybym uciekł, to ty pierwszy byś prawdopodobnie powiedział: no wiesz, stary, to tak się nie robi. Otóż, może to zabrzmiało, wiesz, i wzniośle lub też banalnie, ale...

L.: — *Teraz siedzisz i ty i Wojtek na tygrysie, wy nie możecie zejść z tego tygrysa, bo by was zagryzł...*

R.: — ...zagryzł, to ja to wiem o tym, ale ten tygrys może nas ponieść także w złym kierunku. Ja sobie zdaję sprawę z tego. Teraz jakieś przyszedł, to piszę taki *Denkschrift* na temat tej sytuacji, potrzeb, konieczności, ponieważ ja...

L.: — ... *dla kogo?*

R.: — Dla Wojciecha, wiesz, więc po prostu z zawodu jestem historyk, lubię po sobie zostawiać ślady.

L.: — *Pytanie: czy prawda, że są doradcy sowieccy?*

R.: — Nie, skądże, bzdura w ogóle. Bzdura... Tu przyjechał na parę dni przedtem Kulikow, ale po pierwsze Kulikow odwiedza nas od sierpnia, no wiesz, co parę tygodni, że tak powiem, co miesiąc lub dwa. Tutaj też przyjechał zupełnie nieświadom tego, co się stanie, bo oni o tym nie wiedzieli, przecież rozumiesz. Natomiast widzisz, jeżeli już wspomniałeś o doradcach... Rzecz polega na tym, że Związek Radziecki dwukrotnie był przygotowany do wejścia, to wiesz. To był 6 grudzień ubiegłego roku, tak jest, i początek kwietnia tego roku, czy koniec marca, po tych wydarzeniach bydgoskich. Latem zmienił swoją koncepcję. Mianowicie uznał, że wejdzie tu w momencie, kiedy rozpocznie się wojna domowa. Będzie czekał na masakrę wewnętrzną. A ona musiała nadejść. Ja pamiętam na dwa tygodnie przed tym całym zamachem dopuszczono mnie na Biuro Polityczne i ja tam przedstawiłem ocenę sytuacji. Powiedziałem, że na gruncie mojej wiedzy i mojej obserwacji o tym co się dzieje w Polsce następnym krokiem musi być wojna domowa. Bo jej elementy faktycznie zaczęły się pojawiać. Gdzieś tam wpadł jakiś facet, wyciąga pistolet i postrzelił komendanta posterunku. Ja powiedziałem: od tego wydarzenia do momentu kiedy ktoś strzeli na ulicy do milicjanta albo do patrolu wojskowego — jest tylko jeden krok. I logika po prostu zdarzeń musi doprowadzić do podniesienia tych napiętości na wyższy poziom, rozumiesz. W tym sensie myśmy byli rzeczywiście oddaleni nie wiem o ile dni od wewnętrznych, że tak powiem, rozpraw fizycznych. Zresztą takie elementy były również w postępowaniu niektórych osób. Stary, to jest, to jest fakt, ja, ja bardzo ostrożnie przyjmuję te fakty, które do nas napływają, ale no było tak, że wiesz, kilku ludzi z „Solidarności” bierze faceta i mówi: nadejdzie dzień, kiedy będziesz zjadł tę swoją legitymację partyjną. Do Giertycha, tego profesora,

to jest taki profesor ekonomista, starszy pan z rodziny tych Gier-tychów, zresztą członek partii *nota bene*, słuchaj: w Instytucie Akademii Nauk kilku ludzi powiedzieli, panie profesorze, pan jest tą czerwoną świnią i pan będzie wisiął. To takie były namiętności.

L.: — *Tak! Mietek, ja tutaj co do tego nie podważam twoich opinii z tym, że oczywiście jedną uwagę muszę zrobić, że nigdy władza nie może polegać tylko na informacji, która jest sterowana...*

R.: — ... człowieku...

L.: — ... *bo to pogłębia izolację...*

R.: — Po pierwsze to chcę ci powiedzieć, że tak, myśmy tutaj po przyjściu, bo był taki tradycyjny kanał informacji MSW, tak? Drugi kanał — informacja partyjna, tj. wydział informacyjny. Trzeci kanał to informacja kontrwywiadu wojskowego, tak? Myśmy uruchomili sobie jeszcze jeden kanał: od wojewodów, bardziej obiektywnych ludzi. Piąty kanał myśmy uruchomili: sieć korespondentów Polskiej Agencji Prasowej, proszę ciebie. Szósty kanał sieć korespondentów telewizyjnych. Codziennie mieliśmy i mamy zresztą teraz oczywiście... dwa ostatnie padły, ale przecież będą odbudowane. Myśmy codziennie dysponowali tymi sześcioma kanałami informacji i niejednokrotnie łapałem na przekłamaniach...

L.: — ... *tak...*

R.: — Te kanały pierwsze — wszystkie. Ja to, my o tym wiemy, stary. Myśmy sprawdzali, robiliśmy nawet takie próby. Ja zadzwoniłem do MSW i powiedziałem: słuchajcie, w tych wszystkich waszych informacjach jest sporo, jest tak dużo ciekawych po prostu informacji, które można zużyć w prasie... dobrze!? Po jednym dniu, po dniu, dzwoni do mnie facet i mówi: wiecie, myśmy to rozpatrywali i przed wykorzystaniem jednak to prosimy o to, żebyście, żeby ci, którzy chcą wykorzystać nas powiadamiali, bo musimy sprawdzić. I zaczęli robić taką kronikę dnia dla PAP-a, i tam u góry był numer telefonu, do którego możesz zadzwonić, jeśli chce się wykorzystać. Przecież ty wiesz, to są mechanizmy, jak wiesz, wprost.

L.: — *Teraz druga rzecz, do której wróce, to jest to, że wydaje się, że czasu nie macie do stracenia. Wróce do tego, od czego ty zacząłeś. Zachód będzie patrzył na te sprawy cynicznie i z wyrachowaniem, jeśli zobaczy, że wy czekacie, że straciliście inicjatywę, że biorą górę inne siły, które będą się rozliczały, czy będą chciały*

*wracać do takich czy innych starych koncepcji, oczywiście oni się do tego odpowiednio ustosunkują, a czyli innymi słowy i społeczeństwo...*

#### TAŚMA CZWARTA

LEWANDOWSKI: — *Wy musicie pokazać szybko akcję, wtedy tylko ten zyskuje, kto działa. I tutaj musicie mieć jakiś program szybkiego działania. Żeby społeczeństwo także wiedziało, że tu nie kończy się na słowach, że odnowę się kontynuuje. Tylko jakie działanie, w jakich kierunkach? No to na razie macie sporo do tego, żeby odczyścić.*

RAKOWSKI: — *Słuchaj, Bohdan, ja się zgadzam z tym całkowicie. To jest warunek podstawowy z tym, że my pracujemy nad tym programem, o którym ci mówiłem, nad tą deklaracją. Oczywiście to nie jest tylko kwestia deklaracji, to jest kwestia przede wszystkim działań, prawda.*

L.: — *Tak, tak. Na przykład Wojtkowi wczoraj sugerowałem dwie rzeczy: uderzenie w biurokrację...*

R.: — *Tak, ja też. Zrobił to Gomułka w sposób natychmiastowy i radykalny. A drugie — wyrzucenie tych tysięcy przepisów, dekretów, które ludziom po prostu już nie dają nie tylko żyć... w zasadzie mamy permanentny stan wojenny w społeczeństwie od trzydziestu kilku lat.*

L.: — *Ponieważ obaj jesteśmy ludźmi inteligentnymi, to wpadamy na te same pomysły, na te same propozycje.*

R.: — *No wiesz, ja prawie że nie ma dnia, w którym Wojciechowi bym nie podrzucał jakichś rozsądnych rozwiązań. Zresztą sporo tego co w ostatnich miesiącach zrobiono jest wynikiem takich moich, wiesz, tych, bo on jednak przyszedł tutaj z innej szkoły myślenia, prawda. Jest to człowiek o wysokiej kulturze, człowiek mówiący pięknie po polsku, piszący bardzo ładnie, wiesz... To są może takie cechy nieistotne, ale one są istotne. Nie jest to człowiek nieczuły na wszelkie, wiesz, przejawy niesprawiedliwości, choć twardszy ode mnie, ponieważ ma chyba bardziej rozwinięte cechy wodzowskie. Bo ja mam zawsze to pochylenie się nad człowiekiem, prawda, nad pojedynczym człowiekiem — no. A on, ponieważ odpowiada za państwo, to uważa, że ten pojedynczy człowiek jest ważny, ale ważniejsze na przykład państwo, ważniejsze są takie czy inne kierunki. Więc to tak na marginesie.*

Ja wiem o tym, że my w ogóle nie mamy czasu. Jeśli można naszą pozycję czy też nasze położenie w tej sytuacji określić przy pomocy tej metody obliczania przy wystrzeleniu rakiety, to tu się odlicza od dziesięciu do zera też, rozumiesz. Nie wiem, gdzie jesteśmy, w którym miejscu, ale czasu w ogóle my nie mamy. Na tym polega ten dramat, mój osobisty również, bo wiesz, no, przecież tutaj jest straszna pustka, jeżeli chodzi o polityków. To mówiliśmy o tym. Całe nasze KC to jest puste KC, to są robotnicy — no ludzie na pewno uczciwi i porządni, tylko, no, hmm, nie ma tam żadnego działacza, człowieka, który ma doświadczenie. Ale nawet ten zespół kierowniczy stary, no, po prostu my zbieramy rezultaty negatywnej polityki kadrowej przez dziesiątki lat stosowanej, rozumiesz. I dlatego ten krąg tych ludzi, którzy w obrębie władzy funkcjonują, krąg ludzi myślących, patrzących trochę dalej, no wiesz, ta jedna łapa całkowicie wystarczy, wiesz. A wśród tych, których można policzyć na palcach tej jednej ręki jeszcze by mi zostały ze dwa palce. Jeszcze są ludzie zmęczeni.

L.: — *Tak, tak.*

R.: — No to co, stary? Jeżeli potrafisz choć trochę zmienić spojrzenie Zachodu, albo obniżyć stopień ekscytacji, bo on jest niepotrzebny, jak Boga kocham, nam wszystkim tutaj to... Jeżeli potrafisz to zrobić, to tylko powiedz mi miejsce, gdzie mam znośić kamienie na pomnik dla ciebie.

L.: — *Ty mi powiedz, czy potraficie tę sprawę tak rozwiązać. No właściwie to nie ma innego rozwiązania. To dużo od was zależy, od ciebie i od Wojtka.*

R.: — Chcę ci powiedzieć tak, że w momencie kiedy przeczytacie w gazecie, że ja ustąpiłem, to będzie to nie tylko wynik mojego osobistego rozczarowania czy mojej osobistej porażki, ale po prostu będzie to sygnał, że wielki eksperyment polski ostatecznie został pogrzebany. Tu zresztą nie mówiłem cały czas o tym, ale mam osobisty żal, osobisty żal do tych polskich intelektualistów, którzy przez cały ten najtrudniejszy okres nigdy nas nie poparli. Człowieku, nikt z tych twarzy, żadna z tych twarzy znana nie ukazała się w telewizorze, by powiedzieć: ludzie, opamiętajcie się, niszczyicie tę nieszczęsną gospodarkę, żądając coraz to nowych pieniędzy — niszczyicie ją podwójnie. Ta inflacja, ten brak towaru, wiesz nigdy, byliśmy samotni i zresztą... ludzie na Zachodzie świątli, prawda, wiesz, jedynym człowiekiem, wiesz, to jest dramat tragiczny, jedynym człowiekiem, który myślał tak jak ja myślę, bądź to zrozumiał o co chodzi, to był Wyszyński. Słuchaj, to

cudne jego przemówienie na Jasnej Górze, na które ja się powo-  
 ływałem niejednokrotnie z tym słynnym zdaniem, którego nie  
 zapomnę: rodacy, nie wszystko na raz, rozumiesz?

L.: — *Ach.*

R.: — To był jedyny człowiek, który miał odwagę pójść wtedy  
 w sierpniu. Chłopie! Rozumiesz!>? Potem gaś! już oczywiście,  
 ale i w tych pierwszych miesiącach, rozumiesz, tego roku, tego  
 roku. No, był to człowiek, który potrafił się wznieść ponad  
 wszystkie inne jakieś sprawy i myśleć o narodzie. Bo on praw-  
 dowo myślał, chłopie, jak on, ja nigdy znaczy nie zajmowałem  
 wobec niego jakiejś pozycji skrajnej, ani nie zwalczałem, raz tylko  
 ratyfikowałem jakiś w latach sześćdziesiątych artykuł na temat  
 tego listu biskupów, zresztą nie mój artykuł, ale ja opublikowa-  
 łem, jako redaktor naczelny. Wyszyński napisał mi taki dość  
 ciepły list, ale wtedy, w tych dniach przełomowych, no zresztą  
 już wcześniej trochę wiedziałem o nim więcej niż w latach sześć-  
 dziesiątych, ale wtedy zobaczyłem, że jest to człowiek, który myśli  
 na dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat naprzód. Otóż, jeżeli-  
 bym miał kiedykolwiek stanąć przed jakimkolwiek trybunałem historii  
 i być o coś oskarżonym, to bym prosił, żeby na tej ławie zasiadł  
 kwiat inteligencji polskiej, który igrał z losem tego narodu, ba-  
 wił się nim, bawił się tymi szczeniakami z „Solidarności”, rozu-  
 miesz, niedoświadczonymi, którzy wchodzili na tę salę i uważali,  
 że oni są tą główną siłą no bo mają Geremka, bo mają Mazo-  
 wieckiego, bo mają Olszewskiego, bo mają tam tego, tamtego, ci  
 im mówią, prawda, do przodu, to stary, a reszta tej inteligencji  
 polskiej — kibicowała im, podczas kiedy rzeczywiście ten kraj  
 ginął — stary — przecież, no człowieku, nawet takie argumenty  
 dostajemy, materiały, informacje tam z różnych wywiadów, wiesz,  
 to co przecieka normalnie do każdego państwa. Triumf w obo-  
 zie niemieckim, to znaczy Bonn, że Polska na długie lata została  
 wytracona z polityki odgrywania w polityce europejskiej jakiejś  
 znacznej roli. Pamiętam jeszcze takie spotkanie dwa tygodnie  
 temu, gdzie na takim właśnie wśród inteligencji, mówię: ludzie,  
 zastanówcie się przez chwilę! Przecież nawet ta granica na Odrze  
 i Nysie nie jest taka pewna. Tu przecież mogą powstać konstela-  
 cje, które doprowadzą do tego, że my staniemy się Księstwem  
 Warszawskim. Pies z kulawą nogą nie powie nie! Tu Beitz  
 przyjechał, znasz Beitz? Nie? Przyjechał w październiku, za-  
 dzwonił do mnie Karski, czy może przyjąć. Przyszedł, mówi:  
 słuchaj, Mietek, ja znam tego Karskiego od lat. Beitz był w  
 NRD. Przyjechał tutaj i miał takie dwa spostrzeżenia. Jeżeli

chodzi o sytuację u nas, to powiedział: mnie to przypomina trzydziesty drugi rok w Niemczech. A jeśli chodzi o NRD, to wiedział, że — a on ma tam rzeczywiście znajomości w wysokich kołach — że tam po prostu dosiedli wielkiej nadziei, że nareszcie będzie można coś tu zmienić na tej mapie Europy. Szczecin, okręg wałbrzyski, rozumiesz. Bohdan, wierz mi, że w ogóle te argumenty nie trafiały, były przyjmowane jako obrona własnej pozycji. Rozumiesz, tak to wyglądało. I dlatego zresztą Janek Szczepański na przykład, Janek Szczepański wielokrotnie powtarzał taką tezę, nie wiem czy ty ją znasz, że narodowi potrzebny jest szok. Bez szoku się nie obejdzie. Kiedy to Janek mówił? W czerwcu, lipcu. Janek miał jeszcze jedną złowieszczą tezę. Że nie obejdzie się, że szok to jest rozlew krwi. On to zresztą wywodził na przykładzie, wiesz, pięćdziesiątego szóstego roku i siedemdziesiątego, że mimo tego wielkiego wstrząsu, jakim byli zabici, naród po paru miesiącach wraca w te swoje normalne koleiny. Więc wiesz, ten rachunek współwinnych, odpowiedzialnych za to co się stało jest ogromny, wiesz. To są długie listy ludzi, którzy powinni być sumieniem rzeczywiście tego narodu, ale również tymi, którzy ostrzegają — nie było tego. I to jest mój najgłębszy żal. Największe rozczarowanie. Ja nawet nie mam pretensji do tych głupców właśnie z „Solidarności”, gówniarze w istocie rzeczy, niektórzy jak ten Bujak i inni, prawda. Śmieszyło mnie to oczywiście, jak byli przyjmowani na salonach europejskich przez polityków, jak pani Walentynowicz, oszalała baba, oszalała baba, rozumiesz, którą Wałęsa wyrzucił nawet — jest przyjmowana przez premiera Francji. Nie mam o to wszystko pretensji. Mam pretensje do swoich przyjaciół, do tego pnia, z którego ja wyrastałem, ja wyrastałem i oni wyrosli, rozumiesz. I dlatego powiedziałem: nie mam czasu teraz w ogóle na pisanie, ale trzeba by napisać taki artykuł o polskiej inteligencji... tak, trzeba oczyścić to przedpole. Wrócić do tych piekielnych mitów. Słuchaj, na tym Kongresie Kultury, który był w piątek czy w sobotę, stał Kijowski i polemizował z tezą, że Polska jest chorym człowiekiem Europy — nieprawda, powiedział (to było moje wyrażenie kiedyś). Nieprawda, Polska zaprowadza nowy ład w Europie, pojałtański. To powiedział, rozumiesz to? Polska bez portek. Ty masz goły tyłek na tym mrozie, dlatego musisz błagać kogoś, by ci jakieś podarte portki nawet dał. To jemu się śni, idiocie, jakiś nowy ład w Europie.

L.: — *Czekaj, czekaj, tu wejdę.*

R.: — *Wejdz.*



L.: — *Bo przecież tyś na zjeździe partii w swoim zresztą znakomitym wystąpieniu...*

R.: — A nie, to było inaczej, że Polska może stać się nadzieją, ale może stać się nadzieją...

L.: — *To odczytano, i słusznie...*

R.: — Ale ja tam użyłem jeszcze innego sformułowania, którego żaden z intelektualistów nie posłuchał. Powiedziałem: przyzwyczajamy się do życia w kryzysie.

L.: — *Tak.*

R.: — Dzisiaj jeszcze widziałem w gazecie, w gazecie jeszcze sprzed trzynastego, w tygodniku jakimś taki artykuł, który wylicza wszystkie te tezy mojego artykułu — nie, mojego wystąpienia — a na końcu mówi: to wszystko było już powiedziane. Powiedział to Rakowski. Rozumiesz, tylko tego nie brano pod uwagę. Nie brano pod uwagę. Ja już nie chcę o tym mówić, ale gorycz tego wszystkiego, więc wiesz... [wycięte].

L.: — *... nie do zrozumienia...*

R.: — Ale stary, ja to tłumaczę tym właśnie głąbom kapuścianym, wczoraj, a nawet dzisiaj w nocy na takim zebraniu powiedziałem: jak wy sobie wyobrażacie jakikolwiek system polityczny w Polsce bez inteligencji?

L.: — *Dwie rzeczy. Pierwsza rzecz to jest teraz w Polsce...*

R.: — To zamykam, patrzę tylko na datę: Warszawa dwudziestego — którego?

L.: — *Dwudziestego drugiego.*

R.: — Dwudziestego drugiego grudnia roku pamiętnego można powiedzieć, tak.

L.: — *Osiemdziesiątego pierwszego...*

R.: — Tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego, słusznie.

## RECENZJE

Zbigniew BŁAŻYŃSKI

### DWUDZIESTOLECIE ZMAGAŃ

Książka Jana Nowaka „Polska z oddali”<sup>1</sup> to drugi tom „Wojny w eterze”, a zatem jego osobistych wspomnień z czasów, kiedy był na stanowisku dyrektora Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. A był nim przez dwadzieścia cztery lata (1952-1976), nieporównanie dłużej niż inni kierownicy programów polskich nadawanych od lat przez zachodnioeuropejskie i amerykańskie radiostacje. Był odpowiedzialny za programy polskie RWE w okresie kluczowych i dramatycznych wydarzeń w Polsce, które z jednej strony odzwierciedlały zmagania społeczeństwa z narzuconym ustrojem i ideologią, z drugiej zaś kształtowały jego postawę na przyszłość, na okres lat osiemdziesiątych i stały się zalążkiem kolejnych nurtów i procesów w życiu kraju.

Książka obejmuje dwudziestolecie 1956-1976. Przeczytałem ją z ogromnym zainteresowaniem z kilku powodów. Przed wielu laty pracowałem w zespole RWE, a potem nie utraciłem kontaktu z wydarzeniami w samej rozgłośni. W okresie objętym przez książkę śledziłem dokładnie rozwój sytuacji w Polsce „z oddali”, jednocześnie reagując na nią w BBC, naprzód w serwisie polskim, a potem środkowoeuropejskim. Analizowałem sytuację także „z bliska” w czasie moich wielokrotnych, służbowych pobytów w kraju w rozlicznych, wielogodzinnych rozmowach z ludźmi

---

1. Jan Nowak, *Polska z oddali*, Odnova, Londyn 1988.

wszystkich środowisk i formacji politycznych. A poza tym, podobnie jak autor, mam podejście z gruntu polityczno-radiowe, choć zapewne z odcieniami różnorodności.

„Polska z oddali” to fascynujący kalejdoskop wspomnień osobistych snuty na kanwie patriotyzmu i w kontekście „służby krajowi”. Mimo, że taka właśnie motywacja może zacierać czasem obiektywizm w spojrzeniu na sytuację — autor stara się wyłowić wszystkie światła i cienie w ramach swych możliwości i przekonań. Jest to także kalejdoskop wielowymiarowy. Przeżywamy wraz z autorem dramatyczne wydarzenia w Polsce i śledzimy je w jego politycznych analizach. A zatem fragmenty historii dwudziestolecia. Uczestniczymy w programowaniu reakcji rozgłośni na te wydarzenia względnie w kampaniach specjalnych, które podejmuje się w programach. A zatem polityczne i zawodowe elementy pracy radiowej. Przez cały okres jesteśmy świadkami napięć, jakie rysowały się — zależnie od układów politycznych w Ameryce — między dyрекcją i zespołem polskim a przełożonymi amerykańskimi. Mimo to, jak podkreśla autor, była to współpraca „równorzędnych partnerów”. I wreszcie wymiar czwarty: trudne przeżycia osobiste Jana Nowaka, który w późniejszych latach znalazł się pod ostrzałem pewnych czynników niemieckich, części zespołu rozgłośni, a przede wszystkim stał się głównym celem „akcji specjalnej” reżymu warszawskiego, której organizatorzy nie przebiegali w metodach, w kampanii oszczerstw i dezinformacji.

Elementy historii PRL są z natury rzeczy wplecione w historię rozgłośni i w wytyczne jej pracy. Znakomicie udokumentowane fakty, daty i szczegóły pozwalają wglądać za kulisy mechanizmów działania partii, jej wewnętrznych rozgrywek i metod montowania akcji w społeczeństwie i przeciw społeczeństwu, zwłaszcza w okresie dramatycznych wydarzeń. Przy czym po październiku 1956 różnorodność dotychczasowych źródeł informacji została wzbogacona bezpośrednimi kontaktami z ludźmi z kraju, z ludźmi poważnego kalibru. Jak w filmie dokumentalnym przewijają się wydarzenia: euforia w Polsce i za granicą po polskim Październiku; „gradualizm”, czyli popieranie stopniowej ewolucji w miejsce „wyzwolenia” w amerykańskiej polityce wobec Wschodniej Europy; własna droga do socjalizmu w politycznej filozofii Gomułki i odwrót od Października, wnikliwie i trafnie ujęte w analizie autora z roku 1958; a potem list 34, antykościelna kampania reżymu w latach sześćdziesiątych, ofensywa przeciw intelektualistom w latach 1959-1964, tajne instrukcje KC określające strategię walki z Kościołem, narastające niebezpieczeństwo „partyzantów” z Moczarem na czele. I wreszcie: marzec 1968 — „bunt młodych marksistów”, jak pisze autor: „... Pokoleniowy konflikt na podłożu moralnym... zapowiadał śmierć ideologii, zmierzach systemu, od którego odwracały się jego własne dzieci”; antysemicka kampania; demonstracje studenckie. Wkrótce po-

tem: praska wiosna i inwazja Czechosłowacji z udziałem oddziałów polskich; grudzień 1970 — „tydzień, który wstrząsnął Polską”.

Wydarzenia w kraju odbijały się „jak w lustrze” (JN) w programach rozgłośni, która nie tylko z miejsca reagowała na nie, ale i podejmowała kampanie specjalne, jak choćby w obronie Kościoła i kardynała Wyszyńskiego, w obronie intelektualistów czy też w akcji „dekonspirowania” (JN) partyzantów i manewrów Moczara. Z punktu widzenia programu radia, jego tonu i zasięgu najtrudniejsze chyba było przejście z okresu dwukolorowego: „białe i czarne” (stalinizm w przenośni oczywiście) do okresu, w którym zaczęły występować także plamy „szare” (rządy Gomułki i Gierka). U zarania ery Gomułki Nowak wysunął zasadę maksymalizmu i etapowości. Celem maksymalnym jest niepodległość i demokracja, ale „maksymalizm nie pozostaje w sprzeczności z etapowością, która polega na tym, że ostateczny cel osiąga się przez stopniowe, ewolucyjne przemiany”. U progu etapu Gierka autor podkreślał z naciskiem, że „robotnicy a wraz z nimi całe społeczeństwo, wynieśli z grudniowych doświadczeń poczucie własnej siły, z którą władze musiały się liczyć” i jednocześnie tak formułował geopolityczny element w sytuacji Polski: „... obalenie ustroju nie jest możliwe, dopóki nie dojdzie do zasadniczego przełomu w Związku Sowieckim... Istnieją granice, których przekroczyć nie sposób... Ale nawet w tych wąskich granicach istnieją różne możliwości... kierownicza rola partii może przybierać różne formy...”. Idzie o takie formy, które dają „ujście energii twórczej społeczeństwa i pozwalają wykorzystać wszystkie siły...”.

W polityce programowej było, z natury rzeczy, kilka problemów, z których dykcja polska starała się znaleźć wyjście. „Antykomunizm to jeszcze nie program — pisze Nowak — ... potrzebna jest określona koncepcja alternatywna, odpowiadająca polskim interesom... sama negacja nie wystarcza”. Koncepcje takie wysuwał właśnie w czasach Gomułki i Gierka. Z drugiej strony w grę wchodził ton i propagandowy wydźwięk programów. „Jako wychowanek BBC — pisze autor — uważałem zawsze, że natrętna propaganda i operowanie epitetami odnoszą skutek negatywny... niestety, w początkach naszej działalności nie sposób było powstrzymać zespół redakcyjny. Ludzie szukali możliwości wyładowania swoich uczuć... ograniczenie agresywnego tonu byłoby opacznie rozumiane...”. Niemniej na przełomie lat sześćdziesiątych zaczyna się zmieniać charakter programu pod kątem widzenia „precz z propagandą” (JN) zgodnie zresztą z postulatami, które docierały do dyrektora rozgłośni z kraju.

Kolejny wymiar wspomnień Nowaka to stosunki na linii dykcja polska rozgłośni — szefowie amerykańscy, o których autor informuje obszernie i otwarcie. Współpraca i „partnerstwo” z jednej strony, ale napięcia i nawet konfrontacje z drugiej. Pó stronie amerykańskiej wchodziło w grę kilka elementów. Radio

Wolna Europa było tworem dość unikalnym w sensie organizacyjnym i w kontekście zamierzeń politycznych. Kierowane przez Komitet Wolnej Europy w Nowym Jorku, ale finansowane w tajemnicy przez CIA (co wkrótce stało się tajemnicą poliszynela) oddane zostało w ręce emigrantów politycznych. Dopiero u początku lat siedemdziesiątych nadzór nad RWE i Radiem Swoboda objął Zarząd Radiofonii Międzynarodowej, który zabiegał o fundusze w Kongresie, a zatem rozwijanie wzorowane na strukturze BBC. Od dnia narodzin RWE miało być narzędziem ówczesnej amerykańskiej polityki wobec Europy Wschodniej. W miarę zmieniających się uwarunkowań politycznych treść i metody pracy rozgłośni polskiej były przedmiotem targów nie tylko między stroną polską i amerykańską, ale też i między samymi Amerykanami. Grały niewątpliwie *vested interests* oraz normalne, nie tylko zresztą w ustroju amerykańskim, konfrontacyjne często debaty i starcia między Departamentem Stanu, Kongresem, CIA i Krajową Radą Bezpieczeństwa. Wiązały się one nierzadko ze zmianami sytuacji w Polsce, które interpretowano czasem w sposób zbyt optymistyczny czy „pobożno-życzeniowy”. W tych okresach nacisk ambasadorów amerykańskich w Warszawie na zmiany w RWE był szczególnie silny. Zmiany, oczywiście, były wskazane. Szło o ich zakres i formę.

Na tym odcinku lata 1957-1958, 1959-1960, 1969-1971 i następne były szczególnie krytyczne dla rozgłośni. W skrócie kalejdoskopowym: wytyczne domagające się ograniczenia komentarzy na wewnątrz-polskie tematy; próby narzucenia cenzury prewencyjnej; oskarżenia rozgłośni o kłótniwy antykomunizm; ambasador Beam żąda zamknięcia RWE; senator Case wnosi projekt ustawy wstrzymującej dopływ funduszy z CIA dla RWE; senator Fullbright domaga się zamknięcia RWE i Radia Swoboda; walka o istnienie radiostacji w Kongresie; konflikt z Amerykanami w sprawie granicy na Odrze i Nysie; presja Warszawy w okresie niemieckiej *Ostpolitik*; fuzja Wolnej Europy i Radia Swoboda. W rezultacie powstały sytuacje, w których rozgłośnia miała na przykład fundusze zapewnione aż... na najbliższe dwa tygodnie.

Rozgrywanie tych konfliktów wymagało ogromnych wysiłków po stronie polskiej i pochłaniało wiele czasu dyrekcji rozgłośni. Nie przyczyniało się do podtrzymania morale zespołu, wpływało, poza innymi też czynnikami, na podziały w samym zespole, co mogło się odbijać korzystnie na samym programie. Nowak działał niezmiernie. Godził się na pewne ustępstwa utrzymując podstawowe własne zasady działania radiostacji. Dyskutował, mnożył memoranda i analizy, prowadził okresowo swoistą *shuttle diplomacy* i znajdował oparcie wśród wielu wybitnych i wpływowych Amerykanów. Autor odsłania wiele interesujących szczegółów (choć może nie wszystkie i podkreśla, że sam fakt krytykowania „niektórych aspektów polityki amerykańskiej... jest wymownym świadectwem ideałów demokracji”).

Każde mi to postawić kilka pytań, które, jak sądzę, uwytatniają dylematy rozgłośni polskiej RWE w okresie „dwudziestolecia zmagani”. Była finansowana przez Amerykanów a zatem, logicznie, winna działać w ramach choćby najszerzej pojętych interesów polityki amerykańskiej. Z drugiej strony w rozumieniu i wycuciu strony polskiej była rozgłośnią niezależną, eksponującą w ramach „partnerstwa” swój własny pogląd na sytuację polską. „Polacy mówią do Polaków” — w którym imieniu? W imieniu Polaków. Treściowo: namiastka opozycji względnie opozycja wobec reżymu, ustroju, ideologii. Problem rysuje się zawsze, kiedy interesy polityki amerykańskiej niezupełnie są zbieżne, choćby tylko okresowo, ze specyficzną formułowaną i eksponowaną na kraj postawą polityczną w polskich programach.

W czwartym, najbardziej osobistym wymiarze swych wspomnień autor szczerze, otwarcie i, jak się wydaje, w pełni odsłania szczegóły trudnych, ostatnich lat swego dyrektorowania. Kampania warszawskiej komórki dywersji politycznej w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych zmierzająca do skompromitowania go i zniszczenia; procesy o zniesławienie w Anglii i w RFN; ataki wychodzące ze środowisk niemieckich „wysiedleńców”; rozłamy i intrygi w zespole rozgłośni; anonimowe listy; „erozja”, jak pisze autor, „autorytetu i prerogatyw kierownika zespołu” i wreszcie coraz szersze redukcje personelu. Ostatecznie — rezygnacja.

Książka „Polska z oddali” (podobnie zresztą jak pierwszy tom, „Wojna w eterze”) pisana jest, jak podkreśla autor, z perspektywy jednego człowieka, opisującego swój własny świat — świat emigranta wpatrzonego w Polskę z oddali. Element osobisty, a zatem, przy najlepszych chęciach, subiektywny trzeba brać pod uwagę przy ocenie tej sagi rozgłośni, która, przy różnych wzlotach i upadkach, słuchana była w kraju masowo. Historykowi tego okresu książka daje interesujące materiały źródłowe do wnikliwej i bezstronnej analizy. Dla ludzi radia, a zwłaszcza radia politycznego, stanowić może lekcję poglądową, jak należy lub nie należy przystosowywać się w tonie i treści do zmiany uwarunkowań politycznych i reakcji słuchaczy przy zachowaniu pewnych zasadniczych podstaw działania. Czytelnikowi w Polsce książka odsłania fascynujące kulisy rozgłośni, która w owych czasach, przez ćwierćwiecze była niezbędną częścią jego codziennego życia. Przywołuje żywo i barwnie wydarzenia, które przeżywał i w których uczestniczył. Dla czytelników poza krajem — to lektura obowiązuująca, a jednocześnie pouczająca.

Jan Nowak liczy się z góry „z falą protestów i kontrowersji” na temat książki. Bardzo dobrze. Jeżeli się pojawią, stanowić będą jedynie potwierdzenie wartości tej pracy.

*Zbigniew BŁAŻYŃSKI*

## O DECYZJI OPUSZCZENIA WILNA W 1939 ROKU

Jako badacz dziejów Wilna w początkowym okresie drugiej wojny światowej czuję się w obowiązku sprostować bardzo tendencyjne i nieprawdziwe twierdzenia, zawarte w książce Karola Liszewskiego pt. „Wojna polsko-sowiecka 1939 r.” (Londyn 1986), a dotyczące płk. Jarosława Okulicz-Kozaryna.

Liszewski pisze, że płk Okulicz-Kozaryn jako szef „Ekspozytury DOK III” i faktycznie dowodzący w Wilnie odegrał w przełomowych dniach września 1939 roku „fatalną rolę”, dając już rano 18 września „ostateczny rozkaz ewakuacji na Litwę” (str. 39). Dalej rozwijając ten wątek autor nadmienia, że płk Okulicz „okazał się defetystą”, że „nie wierzył w najmniejsze możliwości obrony” Wilna, że „karygodnie zachował się” w krytycznej sytuacji (str. 275-276). Ogólnie biorąc autor książki czyni z płk. Okulicz-Kozaryna osobę odpowiedzialną za taki a nie inny obrót wydarzeń, za ewakuację Wilna w dniu 18 września i wycofanie bez walki stacjonujących tam oddziałów na Litwę.

W rzeczywistości kulisy sprawy wyglądały zupełnie inaczej, zaś wysuwane zarzuty uwłaczają tylko pamięci dobrego Polaka i dzielnego oficera, jakim był płk Okulicz-Kozaryn. Karol Liszewski oparł się w tym wypadku na jednostronnych i niepełnych relacjach osób, które pragnąc swoją własną rolę przedstawić w jak najlepszym świetle, całą winą obarczyli płk. Okulicz-Kozaryna.

Przekonuje nas o tym autentyczny dokument — zapis rozmowy aparatem Hughesa, którą płk Okulicz-Kozaryn z Wilna przeprowadził ok. godz. 7-ej rano 18 września 1939 roku z gen. bryg. Józefem Olszyną-Wilczyńskim w Grodnie. Wynika z niej niedwuznacznie, że płk Okulicz-Kozaryn postępował ściśle w myśl poleceń swego przełożonego gen. Olszyny-Wilczyńskiego, a nawet, co więcej, będąc początkowo zwolennikiem stawienia symbolicznego oporu w Wilnie, na skutek argumentów generała zrezygnował z tego zamiaru.

Ażeby nie być gołosłownym, przytaczam poniżej w całości zapis tej, powiedzieć można bez przesady, historycznej rozmowy, która odbyła się rankiem 18 września między Wilnem a Grodnem:

„Tu mjr Sokołowski. Pan generał polecił zawiadomić pana pułk[ownika], że wobec wytworzonej sytuacji do Wilna nie przyjedzie, a pozostanie przy grupie Grodno i podzieli jej los. Poza tym kazał zakomunikować: wobec tego, że z Rosją Sow[iecką] wojny nie [prowadzimy] a oddziały gen. Przeździeckiego nie

zdają do [...] uważa obronę Wilna za bezcelową. W razie nacisku na Wilno armii sowieckiej wycofać się na Litwę. Podpisano Olszyna-Wilczyński, gen. bryg”.

A oto dalszy ciąg rozmowy:

„— Czy pan gen[erał] tu jest?

— Jest obok w Komendzie Miasta.

— Chcę bardziej szczegółowej[go] wyjaśnienia tej sytuacji.

— Proszę pana generała telefonicznie.

— Są następujące trudności. Jest masa oddziałów w Wilnie nie walczących. Ogólnie stanowi to dużą ilość ludzi razem z walczącymi. Litwa prawdopodobnie tego nie pochłonie, a może w ogóle nie przyjmie na swoje terytorium. Trzeba było z nimi pertraktować. Chciałem tą obroną zaznaczyć tylko jako pewien protest przed siłą zajmowania tego co nasze, żeby nie było tego, że oddajemy zupełnie bez walki.

— Tu generał Olszyna. Panie pułkowniku, nie mogę oczywiście podać panu dokładnej sytuacji, ale ogólnie jak z jednej strony sytuacja ogólnoeuropejska walki z Niemcami jest bardzo dobra i pomyślna, tak znów nasza wewnętrzna jest w tej chwili, jak wiem, w północnej Polsce fatalna. Żadnego rozkazu wojsko nasze o przyjęciu wojny z Sowietami nie otrzymało. Nie wiem nawet, czy politycznie jest to pożądane podejmować z nimi walkę. A po trzecie nie ma po prostu z czym podejmować walki na dwa fronty. Przynajmniej na naszym terenie. To by było wszystko. Jeśli chodzi o wasz piękny zamiar zmanifestowania obrony — to trzeba się grubo namyślić, czy warto w tej chwili narażać tę garstkę waszych sił na zupełnie zniszczenie, a przede wszystkim na zniszczenie miasta i ludności. A więc lepiej pójść po linii mojej rady. Pertraktacji z Litwą właściwie żadnych nie potrzeba. Wojsko wyparte z bronią w rękę zawsze było przez wszystkie państwa przyjmowane. Gorzej jest z tymi oddziałami pozafrontowymi. Te by musiały albo wcześniej przedostać się, albo pozostawiwszy sprzęt, zakłady, instytucje, wzięwszy w rękę broń i także się cofnąć z oddziałami liniowymi. Panie pułkowniku, niech mi pan wierzy, że przemyślałem tę sytuację do końca, że gorzko i smutno mi jest ten rozkaz panu komunikować, ale nie tracę nadziei, że jest to wszystko tylko chwilowe i dlatego się na to ważę. Co jeszcze chciał pan pułkowniku?

— Uważam za konieczne pertraktacje z bolszewikami. Proszę wypowiedzieć się, bo jedynie w tych warunkach będzie możliwe wycofanie się w jakim takim porządku.

— Można by rozpocząć pertraktacje z nimi oficjalnie przez parlamentarzysty, ale one się skończą zatrzymaniem was i niewypuszczeniem nigdzie, co postawią za pierwszy warunek pertraktacji. Tak zresztą zrobili już z Baranowiczami i paru innymi garnizonami. A więc namyślcie się i rozstrzygnijcie w swoim



sumieniu co jest lepsze, czy przejść chwilowo na teren Litwy, czy znaleźć się nie wiadomo jak długo pod okupacją sowiecką.

— To co pan generał powiedział o Baranowiczach przesądza sprawę i pertraktować nie będę.

— A jeszcze jedno chcę wam powiedzieć. Mianowicie mogą was z bliska zaskoczyć przy wycofywaniu się, to w tym wypadku jednak trzeba wysłać parlamentarzysty, którzy by im zakomunikowali, że Polska wojny z Sowietami nie prowadzi, dlatego nie przyjmuje wojsk tych ogniem”.

Tak więc treść rozmowy gen. Olszyny-Wilczyńskiego z płk. Okulicz-Kozarynem nie pozostawia wątpliwości co do rozkazów, jakie ten ostatni otrzymał.

Kończąc raz jeszcze warto podkreślić, że juzogram rozmowy między Grodnem a Wilnem jest ważnym i rzadkim dokumentem, pozostałym z tamtych czasów. Zdawał sobie z tego sprawę płk Okulicz-Kozaryn i nakazał rodzinie przechowywać go pieczołowicie. Zostało to spełnione. Dokument został ocalony przez wszystkie przeżycia i doświadczenia lat wojennych i powojennych. Dziś jest on w posiadaniu syna — prof. dr. Jerzego Okulicza.

*Piotr ŁOSSOWSKI*

---

Jerzy JASTRZĘBOWSKI

## PARADOKS POLSKIEGO PACYFIZMU

W maju 1987 roku odbyło się w Warszawie międzynarodowe sympozjum organizacji Wolność i Pokój. WiP zorganizował je na terenie parafii przy ul. Żytniej, w miejscu niechętnie odwiedzanym przez policję. Tylko dlatego zresztą mogło się ono odbyć. Władze wydały surowy zakaz uczestnictwa w sympozjum. Połowę uczestników zagranicznych zawrócono z lotniska warszawskiego. Killkunastu członków WiP przewencyjnie zatrzymano w areszcie, inni stawili się jednak na spotkanie. Stawił się nawet przedstawiciel Karty 77 z Czechosłowacji. Biorąc pod uwagę obyczaje czeskiej policji, musiał chyba czołgać się przez Tatry. Do sympozjum doszło pomimo zakazów.

Pamiętne było to sympozjum również z uwagi na doborową stawkę uczonych, zwłaszcza historyków, którzy wzięli udział w inauguracyjnej sesji naukowej.

Wykład wprowadzający wygłosił prof. dr Stefan Kieniewicz. Mówił jak zwykle bez notatek, jak zwykle bez namaszczenia, lecz pięknie. Mówił o dziwnej w swych paradoksach historii Polski, przywoływał z pamięci wielce dziś kontrowersyjny cytat z Mickiewicza: „Bo kto siedzi w Ojczyźnie i cierpi niewolę, aby zachował życie, ten straci Ojczyznę i życie; a kto opuści Ojczyznę, aby bronił Wolność z narażeniem życia swego, ten obroni Ojczyznę i żyć będzie wiecznie”. Wzmiankując o odległych antecedenсах WiP-u, mówił Profesor, iż tak składało się w historii narodu polskiego, iż od teorii do praktyki pacyfizmu droga bywała daleka. Mówił, że jeden z ciekawszych dokumentów polskiego pacyfizmu powstał na polu bitwy po bitwie, spisany przez XIX-wiecznego artylerzystę i uczonego polskiego, który Wolności bronił Ojczyzny nie opuszczając. Jego dzieło, mówił Profesor, jest od pewnego czasu ponownie przedmiotem zainteresowania historyków, a sam autor pasuje jak ulań na patrona Wolności i Pokoju. Profesor zachęcał do zapoznania się z jednym i drugim.



„Nie masz dziwniejszego pod słońcem fenomenu nad ten, że ludzie najwięcej pragną pokoju, a najmniej starają się o jego utrzymanie. (...) A przecież po upłynieniu pięćdziesięciu dziewięciu wieków wzajemnych mordów i barbarzyństwa, po dokonaniu tylu okropności wynikających z wojen, pręcej podobno spodziewają się zwiedzić krainy księżycowe, lub dokopać się do środka ziemi, niż przypuścić podobieństwo osiągnięcia kiedyś upragnionego celu swoich życzeń”.

Powyższy cytat sprzed ponad półtora wieku pochodzi z dokumentu wydobytego z Archiwum Głównego Akt Dawnych w Warszawie i opublikowanego w 1985 roku, w starannym opracowaniu, z komentarzem krytycznym i znakomitą wstępem pióra Franciszki Ramotowskiej<sup>1</sup>. Niektórzy historycy uważają, iż „Traktat o wspólnym przymierzu...” i „Konstytucja dla Europy” były kamieniem milowym w historii światowej myśli pacyfistycznej.

Wojciech Bogumił Jastrzębowski, autor obydwu wymienionych prac, nie był oczywiście prekursorem tej myśli. Programowymi pacyfistami byli Dante i Leibniz, Penn i Bentham, Rousseau i Kant. W Polsce byli nimi Paweł Włodkowic z Brudzewa (trak-

---

1. Wojciech Bogumił Jastrzębowski, *Traktat o wiecznym przymierzu między narodami ucywilizowanymi. Konstytucja dla Europy*. Opracowanie i wstęp Franciszki Ramotowskiej, PWN, Warszawa-Lódź, 1985. Autor dziękuje prof. dr F. Ramotowskiej za łaskawe pozwolenie na korzystanie z owoców jej trudu.

tat na Soborze w Konstancji w 1415 roku), Stanisław Leszczyński i Stanisław Staszic. Pacyfistą — i poprzednikiem Jastrzębowskiemu — był Saint-Simon. Z jego to pomysłu „Wielkiego Parlamentu Europy” wywodzi się projekt „Kongresu Europejskiego” polskiego autora. Współczesnym Jastrzębowskiemu pacyfistą dużego formatu był książę Adam Czartoryski: w swym *Essai sur la diplomatie*, opublikowanym anonimowo w 1830 roku, proponował on powołanie Ligi Europejskiej, stałej Rady, Senatu i Kongresu Europejskiego.

Według badaczy tematu nowatorstwo projektu Jastrzębowskiemu polega nie na jego zasadzie strukturalno-prawnej, lecz na duchu, jaki udało się autorowi w ten projekt tchnąć i na formie jaką mu nadał, pisząc obydwie dokumenty późną zimą roku 1831. Jeśli chodzi o przesłanie ideologiczne „Traktatu o wiecznym przy mierzu...” i „Konstytucji dla Europy”, to cechuje się ono dążeniem wolnościowym, liberalno-demokratycznym. Za podstawę nowego ustroju autor przyjmuje zasadę suwerenności narodu. Co równie ważne, a w owym czasie rzadko spotykane, autor jest też apostołem praw człowieka i praw obywateli, którzy „w obliczu Boga i prawa (...) są sobie równymi”. Głosi też zasadę, przyjętą — nie do końca! — dopiero w XX wieku (m.in. w ONZ-cie), iż narody są sobie równe, bez względu na liczbę ludności.

Jeśli chodzi o formę, to „Konstytucja dla Europy” jest skodyfikowanym w 77-miu artykułach zbiorem zasad, jakimi rządzić się mają narody europejskie w ramach wspólnoty nadzorowanej przez Kongres. Warto chyba zacytować kilka ważniejszych artykułów polskiego projektu Konstytucji dla Europy, aby wczuć się w styl i klimat mało znanego dokumentu sprzed sześciu pokoleń.

Art. 3. W obliczu Boga i prawa wszyscy ludzie, a zatem i wszystkie narody, są sobie równymi.

Art. 9. Odtąd nie będzie wcale w Europie krajów, lecz tylko narody. Dotychczasowe granice między krajami (główna przyczyna rozlewu krwi europejskiej) znoszą się na zawsze.

Art. 11. Naród składać będą ludzie mówiący jednym językiem, bez względu na miejsce ich pobytu w Europie.

Art. 12. Nierówna liczba indywidualów składających narody nie będzie nadwężała ich równości.

Art. 13. Jak dotąd, tak i nadal żyć może w jednej krainie jeden oddzielny albo kilka pomieszanych, lecz niezależnych od siebie narodów. Naród, tak oddzielny, jak pomieszany z drugim, ulegać będzie tylko swoim prawom narodowym. Naród rozproszony, podobny np. żydowskiemu lub cygańskiemu, ulegać musi nie tylko prawom swoim, ale i prawom tych narodów, z którymi

jest pomieszany. Lecz to dopóty tylko trwać będzie, dopóki naród takowy nie przyjmie za cel swojej edukacji, jaki wskazany jest pod liczbą 27.

Art. 27. Celem edukacji każdego narodu będzie: doskonalenie człowieka, czyli sposobienie go na użytecznego członka społeczeństwu; utwierdzenie w nim władzy rozumu nad namiętnościami; (...) na ostatek zaszczepianie rodzinnej miłości między narodami, połączonymi węzłem wiecznego przymierza. Wspomnienia historyczne, zdolne obudzać nieprzyjemne uczucia między narodami, przedstawiane będą młodzieży jako zabytki barbarzyństwa.

Art. 44. Krzywda wyrządzona prawom jednego narodu należącego do przymierza przez inny naród tak europejski, jak barbarzyński, będzie uważana za krzywdę praw całej Europy.

Art. 49. Wojsko stałe zwija się na zawsze w Europie (...).

Art. 50. Każdy obywatel Europy (...) na wezwanie Kongresu Europejskiego staje się żołnierzem nie mogącym być do niczego więcej użytym, tylko do bronięcia praw Europy i jej bezpieczeństwa.

W „Traktacie o wiecznym przymierzu...”, poprzedzającym projekt „Konstytucji dla Europy”, Jastrzębowski szczegółowo wykląda swe *credo* filozoficzne i polityczne. Chce wyeliminować niemal do końca siłę oręża jako instrumentu rozstrzygnięcia sporów. Siłę oręża chce zastąpić siłą prawa, rozumianego nie jako instrument reżimowego ucisku, lecz właśnie jako ochrona przed nim — ochrona narodów, społeczeństw i obywateli. W tym celu proponuje wprowadzenie „powszechnego prawa narodów” — najpierw w Europie, następnie na innych kontynentach.

W celu wyeliminowania wojen autor proponuje całkowitą zmianę systemu stosunków między narodami. Chce oprzeć ten system na prawie naturalnym, czyli na prawie równości między ludźmi i narodami. W tym duchu proponuje wychowywać społeczeństwa. Prawa winny pochodzić z woli ludu, woli narodów, nie zaś z samowładnej woli monarchów. Ci ostatni — okreśłani przez autora mianem „patriarchów” — mają być jedynie stróżami i wykonawcami praw.

Podstawą definicji narodu ma być wspólny język. Jest to klasyczny przykład idei etno-lingwistycznej, typowej dla epoki romantyzmu.

Prawa narodowe stanowione być mają przez sejmy narodowe, prawa europejskie — przez Kongres, złożony w równej liczbie z przedstawicieli wszystkich narodów. Zniesione być mają wszelkie przywileje klasowe, wprowadzona będzie wolność osobista,

wolność druku i słowa, wreszcie całkowita tolerancja religijna. Ogromną wagę przykładac się będzie do wychowania młodzieży w duchu pokoju oraz poszanowania praw, w tym praw innych narodów do stanowienia o sobie.

Polski autor daleko wyprzedził swoją epokę w sferze myśli politycznej. Jak już wspomniano, nowatorstwo jego koncepcji polegało przede wszystkim na tym, że za podstawę organizacyjno-ustrojowej struktury w Europie przyjął naród — widząc w nim zasadniczą kategorię społeczności, oraz człowieka — jako pełnoprawną molekułę tegoż narodu. Stanowiło to zasadnicze odejście od koncepcji jego poprzedników, którzy za punkt wyjścia brali struktury państwowe oraz aktualne układy sił politycznych.

Najwyższa ranga przyznana kategorii narodu jako podstawowego składnika nowoczesnej Europy niewątpliwie miała swe źródło w doświadczeniach Polski, dopiero co ujarzmionej przez sąsiadów. Stąd taka wysoka wartość przypisana do idei wolności — zarówno człowieka jak narodu.

W sumie Jastrzębowski znakomicie wpisuje się w nową podówczas, uniwersalistyczną koncepcję postępowo-romantyczną, jednocześnie wybijając na plan pierwszy typowy dla dążeń Polaków pierwiastek narodowy.



Z treści „Traktatu o wiecznym przymierzu...” wynika jasno, że autor zdawał sobie sprawę z całkowitej niepopularności hasła pacyfistycznych zarówno wśród „sprawców nieszczęścia rodzaju ludzkiego” jak wśród własnych współrodaków prowadzących wówczas wojnę o niepodległość. Dokument powstał w okresie krwawej wielodniowej bitwy (a właściwie kilku bitew, od Wawra 19 lutego po Olszynkę Grochowską 25 lutego 1831 roku) pod Grochowem. Zaledwie parę tygodni wcześniej, 25 stycznia, Sejm ogłosił detronizację cara Wszechrosji jako króla polskiego i proklamował niepodległość i suwerenność narodu polskiego. Z punktu widzenia nastrojów społecznych projekt pokojowy Jastrzębowskiego nie mógł ukazać się w mniej odpowiedniej chwili. W okresie między bitwami grochowską i ostrołęcką polskie społeczeństwo ogniskowało swą uwagę na mobilizacji sił bojowych, nie zaś na hasłach pacyfistycznych. Nic dziwnego, że traktat nie wzbudził entuzjazmu ani dyskusji po opublikowaniu go w prasie warszawskiej.

Po upadku powstania broszura Jastrzębowskiego znalazła się na liście ścisłych prohibitów. Gdy w rok później żandarm carski zastał chłopów w karczmie bodzanowskiej pod Płockiem na czy-

taniu owej broszury (znalezionej w płockich koszarach byłego Wojska Polskiego), nie pomogły tłumaczenia, iż chłopci sądzili, że była to książka do nabożeństwa. Wszyscy powędrowali do kryminału. Ten zaś spośród nich, który, jako jedyny według aktu oskarżenia człowiek piśmienny, „czytał głośno”, osadzony został w twierdzy w Zamościu. Wkrótce potem dziełko to, wytypowane przez cenzurę i żandarmerię, uległo zapomnieniu.

Odkrył je dla polskiego czytelnika ponownie dopiero prof. Janusz Iwaszkiewicz w 1926 roku. Następne czterdzieści lat minęło do chwili, gdy odkrył je Zachód. W 1966 roku historyk Peter Brock z Uniwersytetu w Toronto wygłosił na temat projektu Jastrzębowskiiego obszerny referat, w rok później opublikowany w *The Polish Review* w Nowym Jorku, a wreszcie wydany osobno drukiem<sup>2</sup>. Autor bardzo wysoko ocenił koncepcje Polaka. Uznał go mianowicie za pierwszego i jak dotychczas jedynego — w kręgu myśli politycznej słowiańszczyzny — autora tak oryginalnej koncepcji przebudowy Europy. Brock wyraził pogląd, że traktat Jastrzębowskiiego winien być uwzględniony w każdym zarysie teorii organizacji międzynarodowych.

W swym wstępie do obecnego wydania dokumentu Franciszka Ramotowska ocenia znaczenie myśli filozoficzno-politycznej Jastrzębowskiiego w następujących słowach: „Autorami niezliczonych koncepcji pokojowych byli władcy i politycy, filozofowie i uczeni, duchowni i świeccy, ludzie różnych profesji i narodowości (...). Jastrzębowski zajął na tym przetartym już trakcie historycznym miejsce wyjątkowe. Jego piękne myśli o pokoju, wyłożone na szerokim tle historiozoficznym, wyróżniały się aliażem głębokiego humanizmu, ugruntowanego na zasadach etycznego racjonalizmu i sprawiedliwości, z żarliwym patriotyzmem i mądrym internacjonalizmem, a wizjonerska koncepcja międzynarodowych struktur prawnych, które miały zapewnić pokojowy rozwój wszystkim wolnym i niepodległym narodom, odznaczała się śmiałością i nowoczesnością”.

Zanotujmy również pewne zastrzeżenia natury zasadniczej, zgłaszane do koncepcji Jastrzębowskiiego. We wczesnych latach pięćdziesiątych naszego stulecia „stalinowski” historyk-amator (nazwisko niechaj pochłonie mrok niepamięci) doszukał się w pracy polskiego autora „akcentów reakcyjno-kosmopolitycznych”. Zarzut ten obecnie brzmi tak egzotycznie, że nie wywołuje chęci do polemiki. Według poważniejszych krytyków dzieła Jastrzębowskiiego (m.in. wspomniany Brock), zasadniczym mankamen-

---

2. Peter Brock, *A Pacifist in Wartime: Wojciech Bogumił Jastrzębowski*, reprint z: *The Polish Review*, XII, № 2, 1967, New York, N.Y.

tem jego koncepcji jest jej utopijność. Jednak w świetle współczesnych kierunków myśli politycznej i niektórych rozwiązań już dzisiaj obecnych na politycznej mapie Europy Zachodniej zarzut ten jest dyskusyjny. Autorka opracowania streszcza tę linię obrony w końcowych uwagach swego wstępu: „Nie wydaje się wszakże, aby głoszone w dziele Jastrzębowskiego hasła wolności, prawdy, prawa równego i sprawiedliwego dla wszystkich, oraz czynu pożytecznego, jako rudymenarnych elementów pokoju, można było zaliczyć do idei utopijnych”.

Kim był autor „Konstytucji dla Europy” i „Traktatu o wiecznym przymierzu...”?

Sam o sobie pisał tak: „Czymże więc jestem w rzeczywistości — kiedy nie mogę być ani panteistą, ani idealistą, ani utopistą, ani sokratystą, ani żadnym innym podobnym dziwotworem? Oto jestem człowiekiem, chrześcijaninem, Słowianinem, polaninem (Polakiem — J.J.), ziemianinem (tj. człowiekiem związanym z rolą, nie zaś posiadaczem majątku, którego nie miał — J.J.) ... i staram się wszystkie te swoje nazwy tak pogodzić ze sobą, żeby połączyły się w jedną nazwę, którą najdawniejsza pieśń polańska, tj. pieśń Bogurodzica, mianuje pierwszego ojca Kmieciem Bożym”.

Dążył do tworzenia wartości podstawowych i trwałych. Szanse odrodzenia ludzkości widział w pożytecznym czynie każdego człowieka, zharmonizowanym z przyrodą. Jako motto do swego dzieła użył hasła: „Nie słów, lecz rzeczy szukajmy”.



Wojciech Bogumił Jastrzębowski (1799-1882) urodził się wśród chodackowej szlachty mazowieckiej w okolicy Ciechanowa i Mławy. Wiele samozaparcia i trudu musiało kosztować wcześniej osieroconego hołysza przebicie się przez szkoły w Płocku i w Warszawie, zanim otrzymał, w wieku 26 lat, magisterium filozofii na Uniwersytecie Warszawskim. W trzy lata później był już adiunktem Uniwersytetu i członkiem przybranym Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Z owych lat datuje się jego oryginalny pomysł „kompasu polskiego czyli gnomografu”. Zegar słoneczny, wykreślony przy pomocy owego przyrządu na ogromnym gładzie narzutowym, stoi po dziś dzień w ustronnym miejscu Łazienek Królewskich w Warszawie.

W 1830 roku zaciągnął się Jastrzębowski jako ochotnik do artylerii Gwardii Narodowej. W lutym 1831 roku, w przemówieniu przed frontem wojsk na Placu Saskim, zagrzewał ochotników do marszu w bój pod Warszawę. Kilka dni później, wciąż

jako szeregowy artylerzysta, brał udział w dwu krwawych bitwach — pod Wawrem i o Olszynkę Grochowską. Tam też, pod wrażeniem pobojuwiska i w przerwach między kolejnymi atakami wojsk Dybicza, żołnierz-filozof zaczął pisać obydwa omawiane wyżej dokumenty.

Ani przemówienie, ani pisma nie zostały Jastrzębowskiemu zapomniane. Obdarzony przez Paskiewicza wilczym biletem, przez kilka lat po upadku powstania utrzymywał się z korepetycji. Dopiero w 1836 roku wrócił do szkolnictwa. Został profesorem w Instytucie Rolniczo-Leśnym w Marymoncie pod Warszawą (poprzednik słynnej potem Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego), gdzie wstąpił się jako pedagog, botanik, mineralog, a nade wszystko miłośnik przyrody ojczystej i zwolennik ochrony przyrody drogą mądrej interwencji człowieka. Na starość poświęcił się nadzorowaniu i zalesianiu nieużytków, m.in. Czerwonego Boru w łomżyńskim. Całe życie pasjonował się filozofią i użytecznością pracy ludzkiej. Sam zresztą uważany był przez współczesnych za tytana mądrej pracy. Aleksander Świętochowski napisał o zasługach W. B. Jastrzębowskiego, iż „są wyższe dla dobra ludzkości od zasług Darwina”. Cały czas pisał. Skrzynia rękopisów, wielu z nich nigdy nie publikowanych i nie skatalogowanych, uległa zniszczeniu wraz z zagładą Warszawy w 1944 roku.

Z tego co się zachowało wiadomo dziś, że — będąc członkiem podbitego narodu — urodził się o sto lat za wcześnie. Wojciech Bogumił Jastrzębowski był pionierem nowoczesnej ergonomii, rozumianej przez niego w szerokim sensie jako filozofia i nauka humanizacji pracy. Był twórcą samego pojęcia i nazwy tej nauki. Jego dorobek w tej dziedzinie doceniono w pełni po upływie blisko wieku od jego śmierci. W 1979 roku Światowy Kongres Ergonomii w Warszawie przyjął Jastrzębowskiego za swego patrona.

**BYŁ PACYFISTĄ.** Przed 1863 rokiem ostrzegał gorące głowy, przytaczając znane słowa de Lamennais'go, że do wykonania każdego ważnego dzieła trzeba *vouloir, savoir et pouvoir*, a tego trzeciego elementu Polakom brakło.

Jak zwykle w Polsce, od teorii do praktyki droga daleka.

Gdy przyszedł czas, WSZYSCY jego wychowankowie poszli do powstania. On sam wysłał swych dwóch synów do „partyj”. „Czerwony” Władysław przeszedł przez leśną partyzantkę i warszawską Cytadelę; „biały” Lubomił wyszedł z powstania zaledwie z wilczym biletem — zakazem podejmowania pracy w instytucjach publicznych. A później... Syn Władysława, Wojciech (uczeń Mehoffera, założyciel „Warsztatów krakowskich” i „Ładu”, póź-



niejszy rektor ASP w Warszawie) poszedł na front z I Brygadą Legionów. Syn Ludomiła, Stanisław (pionier techniki kesonowej w Polsce i budowniczy mostów, w tym mostu księcia Poniatowskiego w Warszawie), bił się o niepodległość w I Pułku Ułanów Krechowieckich. I tak dalej.

W czasie majowego sympozjum WiP-u grupka brytyjskich *peaceników* prosiła o rozmowę ze Zbyszkiem Romaszewskim. *Peacenicy*: jasne czoła, dobre chęci, dorobek teoretyczny sprzed etapu „Konstytucji dla Europy”. W tym dorobku figuruje teoria o konieczności stopniowego, jednostronnego rozbrojenia Zachodu, po to aby ZSSR znormalniał, przestawszy się obawiać zagrożenia militarnego.

W Romaszewskim *peacenicy* widzieli apostoła *nonviolence*. Gdy w dodatku dowiedzieli się, że Zbyszek zalicza Andrieja Sacharowa do swych osobistych znajomych, rąbek szaty chcieli całować. Lecz jasne oblicza posmutniały, gdy usłyszeli, że w Polsce bez wymuszenia rozwiązań siłą chyba nie obejdziesz się, ponieważ taka już jest natura władzy komunistycznej, że respektuje tylko siłę; gdyby „Solidarność” miała — oprócz hasła *nonviolence* — kilka dywizji pancernych, to sympozjum WiP-u odbyłoby się w warszawskiej Sali Kongresowej a ich, *peaceników*, nikt by po lotnisku nie ganiał. *Peacenicy* byli rozczarowani. Do końca nie mogli zrozumieć, że w Polsce już blisko dwieście lat temu słuszna teoria rozwiódła się z brutalnym życiem.

Dlaczego w najlepszej wierze mówimy jedno, później czynimy drugie? Ano — „z koniecznej potrzeby”. Nawet trudno to było na angielski przetłumaczyć.

Jerzy JASTRZĘBOWSKI

## OKRUCHY HISTORII

Z. S. SIEMASZKO

### GENERAŁOWIE POLSCY W RĘKACH SOWIECKICH

Pismo sowieckie *Krasnaja Zwiezda* z 17 września 1940 pisało o 12 polskich generałach wziętych do niewoli we wrześniu 1939. Polskie źródła mówią też przeważnie o tych samych 12 generałach, którzy byli w obozach Kozielsk i Starobielsk i zostali wszyscy z wyjątkiem jednego, Wołkowickiego, zamordowani wiosną 1940, czyli zanim *Krasnaja Zwiezda* podała wiadomość o ich wzięciu do niewoli.

Natomiast faktycznie w okresie 1939-1941 trafiło w sumie do rąk sowieckich *41 polskich generałów*<sup>1</sup>, wśród nich 12 służby stałej i 29 w stanie spoczynku, spośród których co najmniej czterech zmobilizowano w sierpniu 1939 (Plisowski, Przedziecki, Sikorski i Wołkowicki), a kilku wzięło udział w obronie kraju z własnej woli (np. Billewicz, Januszajtis, Jędrzejewski, Linde i Prich).

Generałowie służby stałej liczyli sobie pomiędzy 42 i 57 lat i wszyscy mieli stopień generała brygady. Natomiast wiek gene-

---

1. Dane do tego tekstu zostały zaczerpnięte w pierwszym rzędzie z następujących źródeł: Kryska-Karski i Żurakowski, *Generałowie Polski Niepodległej*, Londyn 1976; Kryska-Karski, *Straty Korpusu Generałów WP*, „Dziennik Polki i Dziennik Żołnierza”, Londyn 7 lutego 1985; Mora i Żwiernik, *Sprawiedliwość sowiecka* (str. 162), Włochy 1945; Listy do redakcji „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza”: Bazylewicz, Brochwicz-Lewińskiego, Podoskiego i Sucheitza, Londyn, 8 października 1983 oraz 15 lutego, 9 maja i 13 maja 1985.

rałów w stanie spoczynku wahał się pomiędzy 50 i 82 latami i byli oni różnych stopni: 1 generał broni (Olszewski), 12 generałów dywizji (Dzierżanowski, Haller, Horoszkiewicz, Januszajtis, Jędrzejewski, Linde, Malczewski, Minkiewicz, Pawlik, Prich, Skierski i Suszyński) i 16 generałów brygady.

Losy generałów służby stałej po dostaniu się do sowieckiej niewoli były następujące:

*Dwóch zdołało uciec i przedostać się do Rumunii:*

*Władysław Langner*, ur. 1897, legionista. W 1939 roku był d-cą Okręgu Korpusu „Lwów”, po wydostaniu się na Zachód większej roli nie odegrał. Zmarł w Newcastle-on-Tyne w 1972;

*Marian Przewłocki*, ur. 1888, oficer carskiej kawalerii. W 1939 roku dowodził Grupą Operacyjną w Armii „Modlin”, potem odegrał poważną rolę jako dowódca Bazy 2-go Korpusu na południu Włoch. Zmarł w 1966, został pochowany w Londynie.

*Czterech przeszło więzienie i dożyło „amnestii” w 1941 roku:*

*Władysław Anders*, ur. 1892, oficer sztabowy carskiej armii. W 1939 roku dowódca Nowogródzkiej Brygady Kawalerii. Trzymano go w więzieniu na Łubiance; mianowany przez Sikorskiego dowódcą Armii Polskiej w ZSSR; dowódca 2-go Korpusu we Włoszech. Zmarł w Londynie w 1970 roku, pochowany na Monte Cassino.

*Mieczysław Boruta-Spiechowicz*, ur. 1894, legionista. W 1939 roku dowódca Grupy Operacyjnej „Bielsko”. Po „amnestii” dowodził 5 Dyw. Piech. w Tatiszczewie, a potem 1-szym Korpusem w Szkocji. Po wojnie wyjechał do PRL. Zmarł w październiku 1985 roku w Zakopanem<sup>2</sup>.

*Czesław Jarnuszkiewicz*, ur. 1888, legionista. W 1939 roku był inspektorem PW i WF, od lutego 1942 był na Środkowym Wschodzie, gdzie przeniesiono go w stan nieczynny. Po wojnie osiedlił się w Londynie. Zmarł 19 czerwca 1988 w wieku 99 lat i 10 miesięcy.

*Michał Karaszewicz-Tokarzewski*, ur. 1893, legionista organizator wojskowego podziemia po klęsce wrześniowej, aresztowany w drodze z Warszawy do Lwowa w marcu 1940, ale przez dłuższy czas nie rozpoznany przez NKWD. Po „amnestii” dowodził 6 Dyw. Piech., a potem na Środkowym Wschodzie 3-cim Korpusem. Osiedlił się w Londynie. Zmarł w 1964 roku.

---

2. Według niektórych źródeł Boruta-Spiechowicz ukrywał się jako podoficer wśród jeńców wojennych i nie został przez sowieciarzy rozpoznany. Nie odpowiada to jednak prawdzie. Został on aresztowany we Lwowie w jesieni 1939 i władze sowieckie wiedziały, kogo mają w ręku. W lipcu 1945, przed odjazdem do PRL, Boruta-Spiechowicz, wraz z Modelskim, Paszkiewiczem i Prugar-Ketlingiem podpisał odezwę, wzywającą żołnierzy polskich na Zachodzie do powrotu do kraju. Boruta-Spiechowicz był żonaty ze Szkotką.

*Jeden został zastrzelony z miejsca po dostaniu się do niewoli:*

*Józef Olszyna-Wilczyński*, ur. 1890, legionista. W 1939 roku był dowódcą Okręgu Korpusu „Grodno” i widocznie Rosjanie uważali, że był on odpowiedzialny za walki, które tam miały miejsce. Został zastrzelony 22 września 1939 w miejscowości Sopoćkinie, na granicy litewskiej.

*Jeden został zgładzony w więzieniu:*

*Aleksander Czcheidze*, oficer kontraktowy, Gruzin, dowódca piechoty dywizyjnej w 16 Dyw. Piech. Zamordowany przez NKWD w 1941 roku.

*Czterech przebywających w obozach jeńców wojennych zostało zgładzonych. Dwóch z Kozielska:*

*Ksawery Czernicki*, ur. 1882, ppłk carskiej marynarki, kontradmirał, przez dłuższy czas był przewodniczącym Komisji Nadzoru Budowy Okrętów;

*Mieczysław Smorawiński*, ur. 1893, legionista. W 1939 roku był dowódcą Okręgu Korpusu „Lublin”;

*Dwóch ze Starobielska:*

*Kazimierz Łukoski*, ur. 1890, legionista. W 1939 roku był dowódcą odcinka „Słowacja” Armii „Karpaty”;

*Piotr Skuratowicz*, ur. 1893, oficer carskiej kawalerii. W 1939 roku był dowódcą obrony w Łucku.

Zestawienie to wskazuje, że spośród 12 generałów służby stałej, 6 zostało zgładzonych<sup>3</sup>.

Z kolei należy przyrzeć się losom 29 generałów będących w stanie spoczynku:

*Jeden przebywający w obozie jeńców (w Kozielsku) nie został zastrzelony:*

*Jerzy Wołkowicki*, ur. 1883, komandor por. carskiej marynarki, po 1920 roku służył w armii lądowej. W 1938 roku został przeniesiony w stan spoczynku. W 1939 roku dowodził etapami Armii „Prusy”. Po „amnestii” był z-cą d-cy 6 Dyw. Piech. Na Środkowym Wschodzie został przeniesiony w stan nieczynny, zmarł w Londynie w 1983, mając bez mała 100 lat. Prawdopodobnie nie został rozstrzelany dlatego, że po rozbiciu przez Japończyków carskiej floty w Cieśninie Cuszima 27 maja 1905, jako młody podporucznik marynarki był jedynym oficerem, który wypowiedział się przeciwko poddaniu Japończykom krążownika. W nagrodę został odznaczony Orderem św. Jerzego (odpowiednik polskiego

---

3. W czasie konferencji z Mołotowem (22 października 1941) i Wyszyńskim (2 listopada 1941) ambasador Kot upominał się o dwóch generałów służby stałej, Ludwika Kmicica-Skrzyńskiego i Wincentego Kowalskiego, nie zdając sobie sprawy z tego, że obaj byli w niemieckiej niewoli. (Kot, *Rozmowy...*, str. 95 i 106).

Virtuti Militari) i potem był uważany w Rosji za narodowego bohatera<sup>4</sup>.

*Jeden, internowany początkowo na Litwie, dożył „amnestii”:*

*Wacław Przeździecki*, ur. 1883, kpt. carskiej piechoty. W 1936 roku przeniesiony w stan spoczynku. W 1939 roku był dowódcą Grupy „Wołkowysk”, z którą wycofał się na Litwę. Po dostaniu się w ręce sowieckie przebywał w więzieniu na Łubiance, po „amnestii” służył w Polskiej Armii w ZSSR, a potem na Środkowym Wschodzie, gdzie został przeniesiony w stan nieczynny. Zmarł w Wielkiej Brytanii w 1964.

*Dwóch przeszło więzienie i dożyło „amnestii”:*

*Marian Januszajtis (Żegota)*, ur. 1889, legionista. W 1929 roku został przeniesiony w stan spoczynku. W 1939 roku we Lwowie tworzył specjalne ochotnicze oddziały przeciwzołgowe. W pierwszych dniach października 1939 roku został we Lwowie aresztowany, w tym czasie w Warszawie planowano oddanie w jego ręce naczelnego dowództwa nad Narodową Organizacją Wojskową, powołaną do życia przez Stronnictwo Narodowe. Więziony na Łubiance, był jednym z pierwszych Polaków, którzy jeszcze w sierpniu 1941 wyjechali z Sowietów. Pozostał w Wielkiej Brytanii, ale nie odegrał większej roli ani w czasie wojny, ani też po wojnie. Zmarł w Tunbridge Wells, Kent, 24 marca 1973;

*Jakub Salicki*, ur. 1865, austriacki urzędnik wojskowy, był szefem Centralnego Zarządu Poczty Polowych, przeniesiony w stan spoczynku w 1923 roku. Po „amnestii” w Armii Polskiej w ZSSR, na Środkowym Wschodzie przeniesiony w stan nieczynny. Zmarł w Wielkiej Brytanii w 1947 roku.

*Czterej, prawdopodobnie wywiezieni wraz z osobami cywilnymi, zmarli w Sowietach:*

*Kazimierz Horszkiewicz*, ur. 1867, ppłk austriackiej piechoty. W 1926 roku przeniesiony w stan spoczynku. Wywieziony w głąb Sowietów chyba jako uciekinier z zachodniej Polski, zmarł w Tobolsku na Syberii, około 400 km na północ od Pietropawłowska, 15 grudnia 1942;

*Juliusz Kotler, dr.*, ur. 1857. Przeniesiony w stan spoczynku przed 1923. Zmarł w Rosji po czerwcu 1940;

*Tomasz Nejman*, rok ur. nieznan. Przeniesiony w stan spoczynku przed 1923. Wywieziony do Rosji, zmarł w 1942;

*Kajetan Olszewski*, ur. 1858, gen. bryg. carskiej piechoty. Przeniesiony w stan spoczynku w 1924, możliwe, że został wywieziony do ZSSR jako osadnik wojskowy, zmarł w Sowietach w 1944.

---

4. Zgodnie z inną wersją ppor. marynarki Wołkowicki dowodził lekkim krążownikiem „Almaz”, będącym jednym z trzech rosyjskich okrętów wojennych, które zdołały uratować się z porażki w cieśninie Cuszima i dotrzeć do Władywostoku. (Widz list Brochwicza-Lewińskiego).

*Dwunastu zostało zamęczonych w więzieniach i łągach i nie dożyło „amnestii”:*

*Albin Jasiński*, ur. 1880, płk rosyjskiej piechoty. Przeniesiony w stan spoczynku w 1929. Miał osadę wojskową w nowogródzkim. W marcu 1940 był w więzieniu w Drohiczynie, potem przewieziony do Mińska.

*Adolf Jastrzębski*, ur. 1866, płk rosyjskiej piechoty. Przeniesiony w stan spoczynku w 1921. Był więziony i trzymany w karcerze przy 30-stopniowym mrozie.

*Władysław Jędrzejewski*, ur. 1863, gen. bryg. carskiej piechoty, przeniesiony w stan spoczynku w 1924. W 1939 roku organizował Straż Obywatelską we Lwowie, aresztowany w październiku 1939, zmarł w marcu 1940 w więzieniu we Lwowie.

*Mieczysław Linde*, ur. 1868, ppłk austriackiej piechoty. Przeniesiony w stan spoczynku w 1927. W 1939 roku zaciągnął się do Straży Obywatelskiej we Lwowie. Zmarł w więzieniu we Lwowie lub w Kijowie w 1940.

*Juliusz Malczewski*, ur. 1872, ppłk austriackich saperów. Przed przewrotem majowym w 1926 był Inspektorem Armii. Przeniesiony w stan spoczynku w 1927. W zimie 1939/1940 został aresztowany, dalsze losy nieznane.

*Franciszek Paulik*, ur. 1866, płk austriackiej piechoty. Przeniesiony w stan spoczynku w 1925. Aresztowany przez NKWD we Lwowie w 1939, brak dalszych wiadomości.

*Rudolf Prich*, ur. 1881, ppłk austriackiej piechoty. Przeniesiony w stan spoczynku w 1935. We wrześniu 1939 organizował obronę przedmieścia Lwowa, brak dalszych wiadomości.

*Jan Sawicki*, ur. 1872, płk rosyjskiej kawalerii. Przeniesiony w stan spoczynku w 1927. W maju 1940 zmarł w więzieniu sowieckim.

*Leonard Skierski*, ur. 1866, gen. bryg. carskiej artylerii. Przeniesiony w stan spoczynku w 1931. Zmarł we Lwowie lub w Sowieciech w 1939 lub 1940.

*Tadeusz Sulimirski*, ur. 1866, płk austriackiej kawalerii. Przeniesiony w stan spoczynku w 1923. Zmarł w więzieniu we Lwowie w 1940.

*Stefan Suszyński*, ur. 1872, płk carskiej kawalerii. Przeniesiony w stan spoczynku w 1927. Zmarł w miejscowości Dolinka koło Karagandy w Kazachstanie w 1940 lub 1941 roku (do *karagandinskiej obłasti* rodzin polskich nie deportowano, natomiast wiadomo, że znajdowały się tam *Karagandinskie Łagiera*, należy więc przypuszczać, że został zesłany do tych łągów).

*Mariusz Zaruski*, ur. 1867, legionista, przeniesiony w stan spoczynku w 1925 roku. Zmarł na początku 1941 w więzieniu w Chersoniu.

*Dwóch zostało zgładzonych w 1939 roku:*

*Kazimierz Dzierżanowski*, ur. 1872, ppłk austriackiej artylerii.

Przeniesiony w stan spoczynku w 1933 roku. Rozstrzelany przez władze sowieckie w okupowanym Lwowie w 1939;

*Stanisław Dowoyno-Sottohub*, ur. 1885, oficer rosyjskiej piechoty. Przeniesiony w stan spoczynku w 1936. Zastrzelony przez sowieckiego oficera we wrześniu 1939.

*Siedmiu przebywających w obozach jeńców wojennych zostało zgładzonych. Trzech z Kozielska:*

*Bronisław Bohaterowicz*, ur. 1870, mjr carskiej piechoty. Przeniesiony w stan spoczynku w 1927. Zamordowany w Katyniu;

*Henryk Minkiewicz*, ur. 1880, legionista. Przeniesiony w stan spoczynku w 1934. Zamordowany w Katyniu;

*Franciszek Sikorski*, ur. 1889, legionista. Przeniesiony w stan spoczynku w 1933. W 1939 roku był dowódcą obrony Lwowa. Zamordowany w Katyniu;

*Czterech ze Starobielska:*

*Leon Billewicz*, ur. 1870, płk carskiej piechoty. Przeniesiony w stan spoczynku w 1927 roku, w dniu 17 września 1939 był w Dubnie;

*Stanisław Haller*, ur. 1872, płk austriackiej artylerii. Przeniesiony w stan spoczynku w 1926. Był pierwszym kandydatem Sikorskiego na dowódcę Armii Polskiej w ZSSR, ale „nie udało się go odnaleźć”.

*Aleksander Kowalewski*, ur. 1879, oficer rosyjskiej artylerii. Przeniesiony w stan spoczynku w 1928 roku;

*Konstanty Plisowski*, ur. 1890, rtm. carskiej kawalerii. Przeniesiony w stan spoczynku w 1930 roku. W 1939 roku najpierw był komendantem twierdzy Brześć nad Bugiem, a potem był w grupie Operacyjnej Kawalerii gen. Andersa.

Powyższe zestawienie wskazuje, że spośród 29 generałów w stanie spoczynku zaledwie 4 przeżyło, z tego trzech jeszcze zdanych do jakiejś służby (Wołkowicki 58 lat, Przewdziecki 58 lat i Januszajtis 52 lata) i jeden starszy wiekiem (Salicki 76 lat).

Czy można wyciągnąć jakieś ogólne wnioski na podstawie przytoczonych tu losów generałów, którzy dostali się w ręce sowieckie w jesieni 1939? Jeżeli jest logika w sowieckim postępowaniu, to można by sądzić, że pozbyli się oni w sposób gwałtowny (rozstrzelania itp.), czy też w sposób stopniowy (łagry lub zesłanie) tych generałów, których uważali za nieprzydatnych z punktu widzenia Związku Sowieckiego lub zbyt wrogo nastawionych do sowieckiego systemu. Natomiast zostawili przy życiu i trzymali „pod ręką”, tzn. w więzieniach, tych którzy mogliby być jeszcze wykorzystani do jakiegoś pozytywnego celu, z punktu widzenia sowieckiego lub mogliby być jeszcze źródłem jakichś pożądanych informacji. Za takich widocznie władze sowieckie uważały w 1940 roku, bo wówczas te sprawy rozstrzygano, generałów Ander-

sa, Borutę-Spiechowicza, Januszajtisa, Jarnuszkiewicza, Przeddzieckiego i Wołkowickiego. (Karaszewicza-Tokarzewskiego rozpoznano dopiero w 1941 roku).

Spośród wymienionych tu generałów, którzy zginęli albo w sposób gwałtowny (rozstrzelanie), albo w sposób stopniowy (więzienia i łagry), wielu odgrywało zasadniczą rolę w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Podczas bitwy warszawskiej, w sierpniu 1920, zajmowali oni następujące stanowiska:

I z-ca szefa Sztabu Gł. (Haller);  
II z-ca szefa Sztabu Gł. (Malczewski);  
szef Oddziału I Sztabu Gł. (Prich);  
d-cy Okręgów Generalnych: Łódź (Olszewski), Kielce (Sulimirski);  
szef Wojsk Saperskich (Olszyna-Wilczyński);  
z-ca Gen. Inspektora Artylerii (Dzierżanowski);  
k-nt portu wojskowego w Modlinie (Czernicki);  
szef Poczty Polowej (Salicki);  
d-cy Armii: 1-ej (Jędrzychowski), 4-tej (Skierski);

d-cy Dywizji:

2 Dyw. Piech. Leg. (Minkiewicz),  
2 Dyw. Strzelców Wielkopolskich (Jasiński),  
6 Dyw. Piech. (Linde),  
13 Dyw. Piech. (Paulik),  
1 Dyw. Jazdy (Sawicki);

d-cy Brygad:

IV Bryg. Piech. Leg. (Smorawiński),  
IX Bryg. Piech. (Jastrzębski),  
XX Bryg. Piech. (Sikorski),  
XXIII Bryg. Piech. (Billewicz);

d-cy Pułków:

6 Pułk Strzelców (Łukoski),  
81 Pułk Piechoty (Bohaterewicz),  
1 Pułk Strzelców Podhalańskich (Horoszkiewicz),  
6 Pułk Strzelców Konnych (Skuratowicz),  
11 Pułk Ułanów (Zaruski),  
14 Pułk Ułanów (Plisowski),  
6 Pułk Artylerii Polowej (Kowalewski).

Zestawienie to sugeruje, iż władze sowieckie rozprawiły się w latach 1939-1941 z tymi, którzy przed 20 laty przyczynili się do powstrzymania sowieckiego pochodu na Zachód, zatrzymując Armię Czerwoną na linii Wisły w sierpniu 1920.

W końcowym okresie drugiej wojny, w latach 1944-1945, dostali się w ręce sowieckie następujący generałowie AK:

*Ludwik Bittner (Halka)*, ur. 1892, legionista, mianowany gen.



bryg. w marcu 1943, aresztowany na skutek wykonywania akcji „Burza” w sierpniu 1944. Powrócił do PRL prawdopodobnie w 1946. Zmarł w Warszawie w 1960 roku;

*Leopold Okulicki (Kobra, Niedźwiadek)*, ur. 1898, legionista, mianowany gen. bryg. w maju 1944, komendant AK po Powstaniu Warszawskim. Ujawnił się przed władzami sowieckimi w marcu 1945 wraz z przedstawicielami podziemia. Sądzony i skazany w Moskwie. Zmarł w więzieniu w grudniu 1946<sup>5</sup>;

*Emil Fieldorf (Nil)*, ur. 1895, legionista, mianowany gen. bryg. we wrześniu 1944. Dłuższy czas był szefem Kedywu. Aresztowany przez NKWD pod Warszawą jako Walenty Gdanicki w marcu 1945 i wywieziony do łagrów, nierozpoznany przez NKWD. W listopadzie 1947 został odesłany do PRL, w lutym 1949 aresztowany przez UB, sądony i skazany na śmierć, wyrok wykonano 24 lutego 1953<sup>6</sup>.

Powyższe zestawienie wykazuje, że spośród 44 generałów, którzy w ciągu drugiej wojny światowej znaleźli się w rękach sowieckich, uratowało się zaledwie 12, z których jeden (Fieldorf) został potem zamordowany przez UB. Biorąc jednak pod uwagę, że spośród tych 44 dwóch uciekło na samym początku, nie dając NKWD szansy rozprawienia się z nimi (Langner i Przewłocki) i jednego NKWD nie rozpoznało (Fieldorf), z pozostałych 41 (z posiadania których NKWD zdawało sobie sprawę), przeżyło zaledwie dziewięciu — Anders, Boruta-Spiechowicz, Januszajtis, Jarnuszkiewicz, Karaszewicz-Tokarzewski, Przezdziecki, Salicki, Wołkowicki i Bittner. Czyli zginęło około 78 % generałów polskich<sup>7</sup>, którzy w czasie drugiej wojny światowej pozostali w rękach sowieckich.

Z. S. SIEMASZKO

---

5. Na początku 1941, będąc w stopniu ppłk dypl., został Okulicki aresztowany we Lwowie. Po „amnestii” najpierw był szefem sztabu Andersa, a potem d-cą 7 Dyw. Piech. Do kraju został zrzucony w maju 1944.

6. Nie są tu włączeni Władysław Filipkowski (Stach, Janka) k-nt Obszaru Lwów i Aleksander Krzyżanowski (Wilk) k-nt Okręgu Wilno, którzy ujawniając się przed armią sowiecką latem 1944, podawali się za generałów, a faktycznie byli pułkownikami.

7. Oprócz wymienionych tu generałów mogli być inni, których losy nie są znane, a którzy mogli zginąć będąc w rękach sowieckich, jak np. Edward Szpakowski (ur. 1880), Władysław Jung (ur. 1870), który zmarł we Lwowie w styczniu 1940 lub Stanisław Hlawaty (ur. 1868), który zginął we wrześniu 1939 w Stanisławowie w bliżej nieznanym, tragicznym okolicznościach. Również nie zostali tu uwzględnieni oficerowie, którzy zginęli w Sowietach, a potem zostali mianowani generałami pośmiertnie, jak np. płk dypl. Konstanty Drucki-Lubecki (ur. 1893) lub płk dypl. Stefan Kossecki (ur. 1889).

J. B.

## RZECZYPOSPOLITA KURPIOWSKA

W latach 1923-1924 starostą w miasteczku Kolno był niejaki B. Brzęczek. Solidny, typowy urzędnik z tradycjami C & K, nie- zbyt zapewne nadawał się na to stanowisko wśród Kurpiów.

Gdy wieś kurpiowska zaległa ze spłatą podatków, wysłał komornika w asyście policji. Kurpie jednak, to nie potulni C & K poddani. Zbyt żywe wśród nich były tradycje wolnej puszczy królewskiej. Zdrażnione ambicje wybuchły. Kilkutysięczny tłum, uzbrojony w „com ta miał”, ruszył na Kolno, opanował miasto *manu militari*, rozbroił policję, a starosta musiał kryć się. Ktoś z tłumy ogłosił powstanie „Republiki Kurpiowskiej”...

Powstała sytuacja niezmiernie drażliwa. Prasie polecono sprawy nie rozdmuchiwać. Młode państwo zbyt wielu miało wrogów, którzy tylko czekali na okazję, aby oskarżyć Polskę o prześladowanie mniejszości.

Z drugiej strony prawo musiało być przestrzegane. Ojca mego, naówczas starostę w Sejnach, znanego — jak to wtedy nazywano — chłopomana, przeniesiono do Kolna z poleceniem wybrnięcia z sytuacji „z honorem”.

Kolno zastał ojciec już „uwolnione”, jako że Kurpie zbyt dużo mieli pracy w polu i przy gospodarstwach, aby zajmować się polityką mocarstwową... Pozostawała więc kwestia ściągnięcia podatków. Sugestie użycia do tego celu wojska ojciec stanowczo odrzucił. Wsiadł natomiast w powóz, a były to czasy przedmatoryzacyjne, i w towarzystwie nieuzbrojonego komendanta policji i z nieodstępłą laską w ręce wybrał się do zbuntowanej wsi. Przy wjeździe do niej zastąpił mu drogę uzbrojony tłum, niedwuznacznie dający wyraz swym antypodatkowym sentymentom.

Ojciec wysiadł z powozu, zbliżył się do chłopów i z uśmiechem powiedział: „Was jest wielu i macie karabiny, cepy i widły. Ja jestem sam i mam tylko laskę, więc bić się chyba nie będziemy. Może więc pójdziemy do karczmy i tam sprawę obgadamy”.

Przemowa została przyjęta ze śmiechem i porozumienie było zawarte. Potrzeby płacenia podatków Kurpie nie negowali, nie godzili się tylko z metodami ich ściągania jako uwłaczającymi ich puszczańskiemu honorowi.

W ostatniej jednak chwili sytuacja uległa zmianie: żony obradujących gospodarzy — bardziej widać łase na pieniądze — zaczęły mężów buntować. Dopiero uwaga ojca — „taki to wasz i honor, że się bab słuchacie” — uratowała porozumienie. Zaległości zostały spłacone bez problemów.

Gdy po roku czy dwu przeniesiono ojca do Grodna, delegacje Kurpiów jeździły do Warszawy z prośbą o pozostawienie go na miejscu. Nie byłoby to jednak zgodne z polityką ministerstwa, w myśl której starosta nie powinien się „zasiedzieć” zbyt długo w powiecie.

J. B.

## KATYŃ W XVII WIEKU

Katyń budzi zawsze tragiczne skojarzenia. Ilu jednak Polaków pamięta z lekcji historii, że w I połowie XVII wieku granica Rzeczypospolitej Obojga Narodów przebiegała na wschód od Smoleńska, obejmując pobliski Katyń?

Historyk badający akta staropolskie napotyka czasem i na takie dokumenty, których treść — nie budząc wielkich emocji w odniesieniu do czasów sprzed kilkuset lat — nabiera swoistej wymowy w zderzeniu z historią najnowszą Polski i Polaków. Zwłaszcza jeżeli dotyczą miejsca, gdzie dopełnił się los tysięcy polskich oficerów.

Oto dwa dokumenty odszukane przypadkiem w czasie kwerendy archiwalnej (R.S.).

### *1. List króla Władysława IV do wojewody smoleńskiego Aleksandra Korwina Gosiewskiego pisany 7 maja 1634 roku*

Władysław Czwartry z Łaski Bożej Król Polski Wielki Książę Litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki, Żmudzki, Inflantski i Szwedzki Gotski, Wandalski Dziedziczny Król, Obrany Wielki Car Moskiewski.

„Wielmożny Uprzejmie nam miły. Dana jest pewna suma na *dobrach katyńskich* w województwie smoleńskim leżących, którą był szlachetny Maxim Wołk do skarbu naszego winien pozostał<sup>1</sup>, urodzonemu Janowi Drobyszowi, podczasemu wendeńskiemu, sekretarzowi naszemu dobrze nam i Rzplitej zasłużonemu do wytrzymania. Żądamy przeto abyś Uprzejmość Wasza lubo sam przez się, lubo też kogo innego do tego sposobnego zażywszy z pomienionym Wołkiem rachunek dostateczny uczynił, aby się pokazać mogło, jako wiele tej sumy jest już wytrzymaanej od urodzonego Drobysza i jako jej jeszcze wiele do wytrzymania zostaje, aby ta resta, lubo mu cale oddana była, luboteż przezeń wytrzymaana na tejsze *majątności katyńskiej*. Co abyś Uprzejmość Wasza bez wszelakiej zwłoki uczynił żądamy. Zycząc zatym Uprzejmości Waszej dobrego od Pana Boga zdrowia. Dan w Obozie pod Białą dnia VII m-ca maja Roku Pańskiego MDCXXXIV Panowania Naszego Polskiego Wtórego a Szwedzkiego Trzeciego Roku”.

### *2. Dokument (cytowany tu we fragmentach) wystawiony przez Władysława IV w Warszawie 30 marca 1635 roku*

„Oznajmujemy tym listem naszym komu by o tym wiedzieć należało, iż cośmy byli względem zasług Urodzonego Jana Drobysza podczasego wendeńskiego, sekretarza naszego nam i Rzpli-

---

1. Mowa tu o tzw. wyderkafie, czyli pożyczce pod zastaw dóbr ziemskich z prawem korzystania z zastawu...

tej od młodości lat swych w różnych expeditiach wojennych oddawane, niemniej i na to respektując, że majątności swych ojczystrych w Inflanciech dotrzymując statecznie Nam i Rzplitej cnoty i wiary odbieżał<sup>2</sup> naznaczyliśmy mu byli na sustentatią Onego, Żony i Dziełek jego pewną sumę pieniędzy mianowicie złotych trzy tysiące pięćset osiemdziesiąt trzy, która do skarbu naszego za pewne długi przez zesłego Macima Wołka winna na *majątności jego katyńskiej* w województwie smoleńskim leżącej przyśadzona była. Tedy że zaś znowu mając wzgląd na zasługi zesłego Maxima Wołka, które w oblężeniu terazniejszym Smoleńskim wygodne oddawał<sup>3</sup>, odpuściwszy tę sumę, którą był do skarbu naszego winien teśmy mu dobra przywrócili. Zaczym urodzony Jan Drobysz tej sumy od nas Onemu na sustentatią danej wytrzymać na tej *majątności katyńskiej* nie mógł. W nagrodę tedy sumy tej umyśliliśmy mu dobra w województwie smoleńskim leżące nazwane Surokorzeń... conferować”.

*Kultura Niezależna* nr 37, styczeń 1988.

---

2. W następstwie wojen ze Szwecją, zakończonych rozejmem w Szturmsdorfie (1635), Rzeczpospolita utraciła Inflanty.

3. Oblężenie Smoleńska przez wojska moskiewskie (14 listopada 1632 - 4 października 1633). Władysław IV w wyniku mistrzowsko prowadzonych działań wojennych uwolnił Smoleńsk od oblężenia, a następnie otoczył przeważające liczebnie wojska moskiewskie, zmuszając je do kapitulacji 25 lutego 1634 roku.

## LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze,

W *Zeszytach Historycznych* nr 83 z 1988 roku (str. 186-211) znajduje się relacja Antoniego Kołodzieja, nagrana w ZHP w dn. 15 września 1961 r. Był on w czasie wojny przez cztery lata sekretarzem Polskiego Związku Marynarzy w Londynie, a po utworzeniu PPR na terenie brytyjskim członkiem jej egzekutywy. Ponadto był organizatorem i działaczem powołanej do życia na terenie brytyjskim przez egzekutywę PPR organizacji politycznej „Zjednoczenie Polskie”, która — według słów Kołodzieja — miała na celu propagowanie programów, reprezentowanych przez Związek Patriotów Polskich w ZSSR, a w kraju przez PPR. Kołodziej twierdzi, że pod koniec wojny Zjednoczenie Polskie liczyło około 1.000 członków (str. 188), co jest kompletną fikcją.

Kołodziej — według jego relacji — na posiedzeniu zarządu Związku Marynarzy Polskich w dniu 17 stycznia 1945 roku zreferował ówczesną sytuację w kraju i przeprowadził jednogłośnie uchwałę o uznaniu Rządu Tymczasowego w Polsce. Po uchwałach jałtańskich, w czasie przygotowań do konferencji w Moskwie, Kołodziej otrzymał w dniu 16 czerwca 1945 roku z brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych pismo, zawiadamiające, że „na polecenie premiera Wielkiej Brytanii Winstona Churchilla, zgodnie z decyzją Wielkiej Trójki, został zaproszony do Moskwy dla udziału w konsultacjach nad powołaniem Rządu Jedności Narodowej”. Po rozmowach w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Kołodziej zgodził się jechać i wojskowym samolotem brytyjskim przyleciał do Moskwy w dniu 18 czerwca. Nazajutrz odbyła się w ambasadzie brytyjskiej konferencja, w której wzięli udział wszyscy konsultanci, zarówno przybyli z kraju jak i z Wielkiej Brytanii. Kołodziej pisze (str. 193) o swym udziale w tej konferencji: „O mnie wszyscy wiedzieli, że jestem PPR-owcem i komunistą, ale oficjalnie byłem przedstawicielem Związku Marynarzy i Zjednoczenia Polskiego na terytorium brytyjskim”.

Jak to było w rzeczywistości z przedstawicielstwem Związku Marynarzy? Zajrzyjmy do ówczesnej prasy, a przede wszystkim do wychodzącego w Londynie *Robotnika Polskiego w Wielkiej Brytanii*. Na wiadomość o przeprowadzeniu przez Zarząd Związku Marynarzy (formalnie Zarząd Sekcji Morskiej

ZZTRP — Związku Zawodowego Transportowców RP) w styczniu 1945 roku uchwały, w której uznał „rząd tymczasowy” w Lublinie za „jedyne autorytatywne władze Narodu Polskiego”, zaczęły napływać protesty załóg ze statków Polskiej Marynarki Handlowej. Grupa marynarzy przebywających wtedy w Londynie, na doraźnym zebraniu w dniu 5 lutego powołała do życia 9-osobową Komisję Informacyjną. W jej odezwie czytamy m.in.: „Wzywamy wszystkich Towarzyszy Marynarzy, członków Centralnej Sekcji Morskiej ZZTRP do:

1) potępienia Zarządu, który nieprawnie powziął powyższą uchwałę wbrew uprawnieniom statutowym i woli ogółu członków;

2) wybrania Delegatów na statkach, którzy reprezentowaliby swoje załogi w Komisji Informacyjnej;

3) nawiązania z nami kontaktu dla współpracy w celu obrony interesów zawodowych”.

Komisja w swojej odezwie podkreśliła, że stoi na stanowisku utrzymania całości i ciągłości Związku i podporządkowuje się Międzynarodowce Zawodowej Transportowców (ITF) oraz Reprezentacji Zagranicznej Klasowych Związków Zawodowych Polski w Londynie.

W konsekwencji Komisja Informacyjna, wzmocniona udziałem upoważnionych przedstawicieli załóg statków Polskiej Marynarki Handlowej, przeobraziła się w Komisję Organizacyjno-Zjazdową Centralnej Sekcji Morskiej ZZTRP. Wydała ona odezwę, zwołującą na dzień 28 i 29 marca 1945 roku nadzwyczajny walny zjazd związku na M/S „Batory”, z porządkiem dziennym, obejmującym m.in. wybór prezydium Zjazdu, sprawozdania z działalności obu Komisji wraz z dyskusją, wybór nowych władz Związku oraz ustalenie wytycznych dla prac przyszłego zarządu. Odezwa zawierała również dokładne objaśnienie przepisów statutowych dotyczących wyborów delegatów na Zjazd oraz zgłaszania wniosków. Główną troską organizatorów było, jak z tego wynika, zapewnienie prawomocności i bezstronności Zjazdu, dlatego podaje powyższe szczegóły. Tymczasem napływały do Komisji coraz liczniejsze protesty przeciw bezprawnej uchwale zarządu Związku Marynarzy o uznaniu tzw. komitetu lubelskiego za rząd polski.

Ale i Kołodziej rozwinął akcję. Jego zarząd Związku zwołał zjazd marynarzy polskich do Liverpoolu na 14 i 15 kwietnia. Uwzględniając żądanie Międzynarodowej Federacji Pracowników Transportowych oraz chcąc uniknąć wszystkiego, co byłoby lub mogłoby wydawać się szkodliwe dla jedności ruchu zawodowego marynarzy, Komisja Organizacyjno-Zjazdowa zgodziła się odwołać własny Zjazd, zwołany na 28 i 29 marca i wezwać delegatów, wybranych na statkach do przybycia na Zjazd związkowy w Liverpoolu.

Głównym przedmiotem zainteresowania delegatów była decyzja zarządu, uznająca tzw. rząd lubelski. Zjazd wymownie potępił zarząd za to nadużycie, 17 głosami przeciw 13 odmawiając mu udzielenia absolutorium. Własny więc Zjazd wyraził votum nieufności Kołodziejowi i jego kolegom z zarządu. Do nowych władz związkowych delegaci nie wybrali ani jednego z członków poprzedniego zarządu. Nowym prezesem 22 głosami wybrano Jana Fligiela.

W świetle prawdy historycznej, twierdzenie Kołodzieja w jego relacji, że był oficjalnie przedstawicielem Związku Marynarzy na konferencji moskiewskiej jest *potwierdzeniem oszustwa przy wyznaczaniu konsultantów*. Albowiem Kołodziej przestał być członkiem władz Związku od kwietnia 1945, nie mógł więc reprezentować Związku na konferencji, odbywającej się w czerwcu tegoż roku.

Sprawa ta wywołać musiała wówczas żywe zainteresowanie i w kraju. W podziemnym piśmie PPS AS już w numerze z dnia 30 czerwca 1945 (nr

16) czytamy: „Związek Zawodowy Transportowców w Anglii ogłosił oświadczenie, że zaproszony na rozmowy moskiewskie Antoni Kołodziej nie wchodzi obecnie w skład zarządu tego związku, gdyż będąc członkiem poprzedniego zarządu uznał wraz ze swoimi towarzyszami Komitet Lubelski. Przy nowych wyborach do zarządu nikt z członków poprzedniego zarządu nie uzyskał mandatu. Utracili oni zaufanie marynarzy i zostali pozbawieni swoich funkcji. Oświadczenie to podpisane zostało przez przewodniczącego Związku Transportowców Jakóba Kliegiera i sekretarza Jerzego Szubskiego” (Powinno być — Jana Fligiela i Jerzego Szubskiego. Prawdopodobnie pomyłki te wynikły z błędnego odebrania naskłchu radiowego).

Łączę wyrazy poważania

Dr Lidia CIOŁKOSZOWA



Warszawa, 7 stycznia 1988.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jedno ze zdań w drugiej części mojego artykułu pt. „Polsko-czechosłowackie stosunki polityczne przed konferencją trzech mocarstw w Poczdamie (maj-czerwiec 1945 roku) (*Zeszyty Historyczne* nr 82) uległo istotnemu przekształceniu. Czytamy na str. 117 co następuje: „Został on podpisany tego samego dnia przez Mołotowa, Fierlingera i Clementisa. Na mocy układu Ruś Podkarpacka została formalnie i ostatecznie włączona do ZSSR”. Powinno być: „29 czerwca nastąpiło podpisanie przez Mołotowa, Fierlingera i Clementisa układu, na mocy którego Ruś Podkarpacka została formalnie i ostatecznie włączona do ZSSR”.

Będę wielce zobowiązany za zamieszczenie tego sprostowania.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Marek Kazimierz KAMIŃSKI



14 czerwca 1988.

Szanowny Panie Redaktorze,

W liście Prezesa Zarządu Głównego Stowarzyszenia Polskich Kombatanów w Wielkiej Brytanii p. Czesława Zychowicza w sprawie konfiskaty *Słowa Ojczystego* — pisma Polskiej Macierzy Szkolnej (*Kultura* nr 6/1988) — znajduje się nieprawdziwe twierdzenie, jakoby publicysta *Observer*'a Neal Ascherson, konsultant serialu czwartego kanału telewizyjnej brytyjskiej „The Struggles for Poland” w wywiadzie dla RWE (cytuje): „wyraźnie powiedział, że do serii telewizyjnej *'The Struggles for Poland'* wkładły się błędy”. W cytowanym wywiadzie Ascherson przyznał (cytuje): „serial nie jest doskonały (...) dwa odcinki w szczególności wywołały zastrzeżenia: jeden o Polsce międzywojennej, a drugi o polskich Żydach aż do hitlerowskiego *Endlösung*”. Nawiązując do kontrowersji wokół serialu w środowisku polskiej emigracji w Wielkiej Brytanii, Ascherson powiedział dalej: „Przez cały czas przykrej, hałaśliwej i nawet bolesnej dyskusji z częścią polskiej emigracji zwracaliśmy się o wykazanie nam błędów interpretacji, pominięcia faktów i właściwie takich błędów nam nie wykazano, choć jestem prawie pewien, że istnieją. To, co budziło największe zastrzeżenia polskich odbiorców, to ton. Polscy odbiorcy skupili uwagę nie tyle na tym, co było poka-

zowane, ile na insynuacjach, w jakim celu pokazano to, co pokazano. Kto to wszystko sfinansował i jakie antypolskie motywy mu przyswiecały. Szerowano nie tyle argumentami, co przesądami”.

RWE zwróciła się do Neala Aschersona o wyjaśnienie powodów oburzenia, które serial wywołał wśród sporej liczby Polaków w Wielkiej Brytanii, którzy widzieli go pierwsi. Oto jego odpowiedź: „Wydaje mi się, że w szczególności w Wielkiej Brytanii mieszka liczna grupa starszych wiekiem uchodźców z Polski, którzy osiedlili się tu po wojnie. W wielu wypadkach nie mówią zbyt dobrze po angielsku. Jedynym brytyjskim środkiem masowego przekazu, którym się posługują jest telewizja, nie czytają gazet brytyjskich. Ich lekturą jest wydawany po polsku w Londynie Dziennik Polski, czasem jakieś pismo kościelne. Nie czytają angielskich książek, lub też bardzo mało. Ta część powojennego polskiego uchodźstwa w Wielkiej Brytanii, zwłaszcza poza Londynem, jest bardzo samotna, często też uboga. Żyją bardzo samotnie wśród swoich wspomnień o kraju, który utracili. Telewizyjny serial 'Zmagania o Polskę' postawił przed ich oczyma po raz pierwszy od 40-tu lat, po raz pierwszy w ciągu całego ich życia obraz Polski taki, jak widzą go cudzoziemcy. Było to dla nich szokiem. I taki szok był nie do uniknięcia, nawet gdyby serial z założenia przedstawiał Polskę w bardzo zycliwym świetle. Mogę zrozumieć to uczucie. Co jednak jest mniej zrozumiałe, to zachowanie oświeconej części polskiej społeczności emigracyjnej, która chciała ten szok wykorzystać do swoich celów”.

Podziemny Przegląd Wiadomości Agencyjnych, który zauważył tłumaczenie skonfiskowanego przez SPK artykułu Jerzego Samborskiego w *Index on Censorship*, napisał: „Ten polonik nie cieszy”. List prezesa Zychowicza cieszy jeszcze mniej. Najgorsze jest w nim ostatnie zdanie imputowane Aschersonowi (cytuje): „Obydwa filmy były reżyserowane przez Polaka i dlatego on, jako doradca historyczny, ufał, że będą obiektywne”. Skąd ta znajomość motywacji Neala Aschersona, przecież nie z jego wywiadu dla RWE? I co bycie lub niebycie Polakiem ma wspólnego z obiektywnością? Gdzie jest sejsmograf do mierzenia polskości? Emigracyjny kaznodzieja na zebraniu Związku Pisarzy Polskich na obczyźnie niedawno pouczał — „bądźmy mniej Polakami, a więcej Europejczykami”. Spór wokół serialu czwartego kanału telewizji brytyjskiej dowiódł niestety, że jest to odległe. Nie wszyscy potrafili spojrzeć na serial jako na towar mniej lub bardziej doskonały, ale będący reklamą dla Polski, do wykorzystania w politycznej robocie na emigracji. Serial wywołał wśród części emigracji kompleksy, dla których lekarstwo upatrywano w mitach, a upust w listach do *Dziennika*. To prawda, że tułaczy chleb nie raz smakował gorzko, że emigranci polityczni są uwrażliwieni na dobre imię Polski w świecie, ale czym wytłumaczyć brak polemicznej ogłady? Jak długo jeszcze artyleryjskim przygotowaniem do polemiki z kimś, kto zajmuje odmienne zdanie, będzie odsądzanie go od czci i wiary jako wroga, albo wręcz nie-Polaka?

Z poważaniem

Nazwisko i adres znane Redakcji



## SPIS TREŚCI

S.N.: <i>Anielstwo i imperializm. Rozmowa z prof. Danielem Beauvois</i> .....	3
Jacek Trznadel: <i>Powstanie Warszawskie. Hamlet w historii</i>	13
Emanuel Halicz: <i>Aleksander II — Michaił Gorbaczow</i> ..	40
S.W.R.: <i>Najboleśniejsza „biała plama” — Uzupelnienie</i> ..	44
Kajetan Bieniecki: <i>Jak rzeczywiście wyglądała pomoc z Zachodu dla Warszawy w pierwszych dniach powstania</i>	47
Tadeusz Wyrwa: <i>Ze wspomnień generała Louisa Faury, szefa wojskowej misji francuskiej w Polsce w 1939 r.</i>	68

## WSPOMNIENIA

Aleksander Hryniewicz: <i>Dziennik adiutanta Marszałka Józefa Piłsudskiego</i> .....	75
--	----

## WSPOMNIENIA Z DAWNYCH LAT

E. Żagiell: <i>Gawędy o Polakach na Kowieńszczyźnie</i> .....	139
---	-----

## DOKUMENTY

<i>Rozmowa z Mieczysławem Rakowskim</i> .....	181
---	-----

## RECENZJE

Zbigniew Błazyński: <i>Dwudziestolecie zmagañ</i> . . . . .	208
Piotr Łossowski: <i>O decyzji opuszczenia Wilna w 1939 roku</i>	213
Jerzy Jastrzębowski: <i>Paradoks polskiego pacyfizmu</i> . . . .	215

## OKRUCHY HISTORII

Z. S. Siemaszko: <i>Generałowie polscy w rękach sowieckich</i>	224
J.B.: <i>Rzeczpospolita kurpiowska</i> . . . . .	232
<i>Katyń w XVII wieku</i> . . . . .	233

## LISTY DO REDAKCJI

Lidia Ciołkoszowa: <i>Sprostowanie relacji A. Kołodzieja (Zeszyty Historyczne nr 83)</i> . . . . .	235
Marek Kazimierz Kamiński: <i>Errata do artykułu „Polsko-czechosłowackie stosunki polityczne przed konferencją trzech mocarstw w Poczdamie” (Zeszyty Historyczne nr 82)</i> . . . . .	237
Nazwisko znane Redakcji: <i>Odpowiedź na list Cz. Zychowicza (Kultura nr 6/1988) w sprawie konfiskaty Słowa Ojczystego</i> . . . . .	237

---

Achévé d'imprimer le 18 juillet 1988 sur les presses  
de l'Imprimerie Richard, 24, rue Stephenson, Paris 18<sup>e</sup>.  
Dépôt Légal : 3<sup>e</sup> Trimestre 1988.  
N<sup>o</sup> d'imprimeur 9068.



